

Zahn Timothy - Obława na Icarusa

Kiedy wchodziłem do tawerny, już tam czekali: trzech młodociანი Yavanni o rozmiarach byków Brahma. Sterczeli niczym wieże po obu stronach drzwi. Aż ich świerzbiły łapy, żeby komuś przyłożyć.

Coś mi mówiło, że ja im pasuję.

Zatrzymałem się tuż za progiem i poczułem lekki zapach terpentyny. Młodzi, skorzy do rozróby, i w dodatku mocno napici. Pięknie. Jeszcze nie przekroczyłem niewidzialnej granicy ich terenu. Rozum podpowiadał mi, że tak powinno zostać. Yavanni nie należą do bystrzaków, nawet na trzeźwo. Kiedy spotka się na swojej drodze takich dwóch lub trzech, z góry wiadomo, że nie sposób przemówić im do rozsądku. Miałem za sobą długi dzień i jeszcze dłuższy wieczór. Byłem wykończony. Klamka zatrzaśniętych drzwi wbijała mi się w plecy. Najmądrzej byłoby odwrócić się i dać nogę.

Zerknąłem do wnętrza lokalu. W nastrojowo mrocznej sali panował spory tłok. Roilo się od ludzi i przedstawiceli innych gatunków. Nie wyglądało na to, żeby ktoś miał ochotę wyjść; musiałby ominąć te trzy żywe góry mięsa. Część klientów ukradkiem obserwowała prolog małego dramatu, który zapewne lada chwila rozegra się przy drzwiach. Inni ignorowali tę scenę. Nikt nie przejawiał chęci przyjścia mi z pomocą w razie potrzeby. Dwaj barmani gapili się na mnie, ale na nich też nie mogłem liczyć. Znajdowałem się w okolicy portu kosmicznego na Meimie, w enklawie

zamieszkaną przez Vyssiluyan, a oni nie lubili wtrącać się do niczego. Miejscowa policja gorliwie pozbiera szczątki, kiedy będzie po wszystkim. A to słaba pociecha.

Spojrzałem na Yavanni. Jeden stał z mojej lewej strony, dwaj z prawej. Żaden jeszcze się nie ruszył, ale czułem, że są gotowi. Oczami wyobraźni widziałem, jak sprężyny w ich ciałach kurczą się o kilka następnych zwojów. Nie uciekłem i nie zamierzałem uciekać. Aż się palili, żebym wreszcie przekroczył tę niewidzialną barierę. Z pewnością chcieli zobaczyć, ile kolorów przybiorą moje siniaki po ich ciosach.

Nie byłem uzbrojony. A gdybym nawet był, nie zaryzykowałbym strzału z bliskiej odległości do trzech wyrosniętych Yavanni. Nie polecałbym tego nikomu, kto chce żyć długo i szczęśliwie. Ale kilka lat temu usłyszałem o pewnej sztuczce związanej z psychiką i fizjologią Yavanni. Wyglądało na to, że teraz nadarza się okazja do wypróbowania jej w praktyce. Popatrzyłem kolejno na każdego z młodzieńców i odchrząknąłem.

– Wasze matki wiedzą, że tu jesteście, chłopcy? – zapytałem grubym głosem.

Jak na komendę opadły im szczęki.

– Już późno... – ciągnąłem – i powinniście być w domu. Lepiej wracajcie, i to zaraz.

Spojrzeni na siebie wyraźnie zbici z tropu. Na pewno dawno nie słyszeli takich słów z ust obcego, dwukrotnie mniejszego od nich faceta. Sieczką, którą mieli zamiast mózgow, nie mogli ogarnąć sytuacji.

– Słyszeliście? – parsknąłem. – Do domu, ale już!

U tego z lewej sieczka w głowie pracowała widocznie szybciej niż u pozostałych.

– Nie jesteś Yavannem – odburknął w typowej mieszance angielskiego i yawańskiego, i chuchnął na mnie terpentyną. – Nie będziesz tak do nas gadał. – Zaciśnął łapska i zrobił krok naprzód...

Otworzyłem usta i wydałem okrzyk mrozący krew w żyłach.

Stanął jak wryty i wykrzywił kosmiczną twarz. Do jego zakutego łba dotarło, że popełnił fatalny błąd. To on się ruszył, nie ja. Tym samym wtargnął na moje terytorium. Wydałem prawidłowy yawański okrzyk oskarżenia i wyzwania. Teraz miałem prawo uderzyć pierwszy.

Rzecz jasna, pamiętał, że nie jestem Yavannem, i ich kurtuazyjne zwyczaje nie mają wobec mnie zastosowania. Ale nie zamierzałem czekać, aż w pełni to sobie uświadomi. Dałem susa, zacisnąłem pięści i walnąłem go poniżej piersi. Trafiłem w lekkie zagłębienia po obu stronach wzgórka kryjącego centralny mięsień.

Zapiszczał dziwnie cienko, jak na tak wielkiego stwora. Potem zwałił się na podłogę z głuchym łoskotem. Cała tawerna zadrzęła. Skulił się i znieruchomiał.

Jego dwaj kolesie gapili się na mnie z rozdziawionymi paszczami. Nie dałem się zwieść. Byli zaskoczeni, ale tylko czekali, żebym wkroczył na ich kawałek podłogi. Wtedy byłoby po mnie. Na szczęście ten problem już nie istniał. Po mojej lewej rozciągała się teraz ziemia niczyja. Przeszedłem nad leżącym Yavannem i wkroczyłem do wnętrza lokalu.

W sali zapanowało chwilowe poruszenie. Słychać było pomruki uznania, ale szybko ucichły. Klientela przypomniała sobie w porę, że dwaj Yavanni jeszcze stoją na własnych nogach. Nie spodziewałem się kłopotów z ich strony, ale na wszelki wypadek obserwowałem odbicie tej dwójki w kopułach mosiężnych kandelabrow. Przedarłem się przez labirynt stolików i krzeseł, i usiadłem w końcu sali, plecami do płonącego kominka. Dwaj Yavanni pomogli wstać powalonemu koleźce i wyszli w noc.

– Mogę postawić panu kolejkę?

Odwrociłem głowę. Koło mojego stolika stał w mroku ciemnoskóry mężczyzna średniej budowy. Trzymał na wpół opróżniony kufel. W blasku ognia połyskiwała siwa czupryna.

– Nie jestem w towarzyskim nastroju – odparłem.

Wybrałem wódkę i wcisnąłem klawisz na selektorze menu. Nie miałem również ochoty na alkohol, ale nie chciałem zwracać na siebie uwagi, siedząc bez kieliszka w dłoni. Wzbudziłem już wystarczające zainteresowanie podczas przepychanki z Yavanni.

– Podziwiam pański wyczyn – powiedział mężczyzna. Wyszunął krzesło i usiadł na wprost mnie, jakbym go zaprosił. – Tkwiłem tu przez pół godziny i czekałem, aż wyjdą. Szczerze mówiąc, trochę pan ryzykował. W najlepszym razie mógł pan sobie połać palce.

Przyjrzałem mu się. Pomarszczona skóra wskazywała, że większość życia spędził na słońcu. Sądząc po muskulaturze

widocznej pod kurtką, z pewnością nie siedział beczynnym na plażowym krzeselku.

– Niczym nie ryzykowałem – odrzekłem. – Skóra młodych Yavanni nie jest zbyt twarda. W przeciwieństwie do dorosłych okazów, takie dzieciaki mają sporo miękkich miejsc na ciele. Trzeba tylko wiedzieć gdzie.

Skinął głową. Potem rzucił okiem na moją spłowiełą, czarną skórzaną kurtkę. Dostrzegł na ramieniu symbol statku powietrznego i stylizowane litery „BC”.

– Często ma pan do czynienia z obcymi?

– Owszem – przyznałem. – Mój współnik to obcy, jeśli to coś pomoże.

– A w czym ma pomóc? – zdziwił się.

Środek stolika otworzył się i wjechała moja wódka.

– W podjęciu przez pana decyzji – wyjaśniłem i wziąłem z tacy kieliszek. – Czy warto powierzyć mi ładunek.

Wyglądał na zaskoczonego, ale zaraz się uśmiechnął.

– Jest pan bystry – stwierdził. – To mi się podoba. Niezależny przewoźnik, jak się domyślam?

– Zgadł pan – potwierdziłem. W rzeczywistości nie byłem już całkiem niezależny, ale w tej chwili nie zamierzałem się z tym zdradzać. – Jordan McKell, kapitan frachtowca klasy Koziorożec o nazwie „Burzowa Chmura”.

– Jakie ma pan kwalifikacje?

– Nawigatora i pierwszego pilota. Mój współnik, Ixil, to specjalista od napędu i układów mechanicznych.

Uniósł brew.

– Prawdę mówiąc, nie potrzebuję ani pańskiego współnika, ani pańskiego statku.

– To nie jest pozbawione sensu – przyznałem, starając się, żeby nie zabrzmiało to zbyt sarkastycznie. – A czego właściwie pan potrzebuje? Czwartego do brydża?

Przysunął się bliżej i pochylił nad stolikiem.

– Mam już statek – wymruczał konspiracyjnie. – Stoi w porcie kosmicznym. Zatankowany, załadowany i gotowy do drogi. Brakuje mi tylko załogi.

– Ciekawa sztuczka – pochwaliłem. – Przyleciał pan tutaj bez załogi?

Przygryzł wargi.

– Wczoraj jeszcze miałem załogę. Opuściła statek, kiedy wylądowaliśmy, żeby wziąć paliwo.

– Dlaczego?

Machnął ręką.

– Wzajemne urazy, rozłam w grupie, takie tam... Podzielili się na dwa obozy. Jedni nie wiedzieli, że drudzy zamierzają opuścić statek, i na odwrót. Nieważne. Chodzi o to, że nie dotrzymam terminu dostawy, jeśli szybko kogoś nie znajdę.

Wyciągnąłem się wygodnie na krześle i popatrzyłem na niego z chytrym uśmiechem.

– Słowem, ugrzązł pan tutaj na dobre. Dość niefortunne położenie. O jakim statku mówimy?

– To odpowiednik klasy Orion – wyjaśnił z taką miną, jakby nagle poczuł w ustach kwaśny smak. Widocznie uznał, że początkowo źle mnie ocenił. Bez wątpienia myślał, że będę chciał z niego wycisnąć, ile się da. Teraz okazało się, że jest w błędzie. – Nie standardowy Orion, rozumie pan, ale podobnej wielkości i...

– Potrzebuje więc pan minimum sześciuosobowej załogi – przerwałem mu. – Trzech ludzi znających się na obsłudze sterowni i maszynowni. Cała grupa musi mieć w sumie osiem specjalności wymagających certyfikatów w dziedzinie nawigacji, pilotażu, elektroniki, mechaniki, komputerów, napędu, naprawy kadłuba od zewnątrz podczas lotu, i medycyny.

– Widzę, że zna pan dobrze Kodeks Handlowy.

– To część mojej pracy – odparłem. – Jak już mówiłem, mogę wziąć na siebie pilotaż i nawigację. Ilu ludzi jeszcze panu brakuje?

Uśmiechnął się krzywo.

– A co? Ma pan przyjaciół, którzy szukają zajęcia?

– Możliwe. Kogo pan potrzebuje?

– Doceniam pańskie dobre chęci, ale wolę sam dobrać załogę. – Nadal się uśmiechał, choć jego rysy stwardniały.

Wzruszyłem ramionami.

– W porządku. Chciałem tylko zaoszczędzić panu biegania po okolicy. A co ze mną? Bierze mnie pan?

Przyglądał mi się przez kilka uderzeń serca.

– Jeśli potrzebuje pan pracy, proszę bardzo – powiedział w końcu. Nie wyglądał na zbyt zadowolonego z własnej decyzji.

Celowo spojrziałem w lewo. Na środku baru siedzieli trzej osobnicy z Patthaaanutthu w szarych pelerynach. Patrzyli wyniośle na resztę towarzystwa niczym samozwańczy władcy na poddanych.

– Spodziewał się pan, że nie skorzystam z propozycji? – zapytałem z gorzką nutą w głosie.

Popatrzył tam gdzie ja i pociągnął łyk z kufła. Dostrzegłem kątem oka, że lekko się skrzywił.

– Nie. Raczej nie.

Skinąłem głową. Piętnaście lat temu na głównych szlakach handlowych Spirali pojawił się prawdziwy przebój – statki z napędem gwiazdowym Merkury. Dzięki nim Patthowie awansowali z pozycji trzeciorzędnej rasy podstępnych, ciemnych typów do roli dominujących przewoźników w naszym przytulnym zakątku galaktyki. Nic dziwnego. Transportowali towary trzy razy taniej i cztery razy szybciej niż inni. Nie trzeba geniusza, żeby zgadnąć, komu powierzano zdecydowaną większość ładunków.

Pozostali nie mieli łatwego życia. Istniały jeszcze mniej ważne trasy, na których nie królowali Patthowie, ale panował tam duży tłok i ostra konkurencja. Chętnych było zbyt wielu, i nie dla wszystkich starczało roboty. Powodowało to chaos ekonomiczny. Kilka dużych firm wciąż utrzymywało się na rynku, ale większość niezależnych przewoźników głodowała albo ograniczała się do krótkich kursów. Przy niewielkich odległościach napęd gwiazdowy nie był konieczny.

Niektórzy wykorzystywali swoje statki do mniej uczciwych zajęć.

Jeden z Patthów przy stoliku lekko odwrócił głowę. Pod kapturem dostrzegłem błysk elektronicznych implantów na jego ponurej, mahoniowoczerwonej twarzy. Dobrze im się wiodło i nie zamierzali tracić tego, co osiągnęli. Każdym statkiem gwiazdowym sterował zaufany pilot połączony indywidualnie z systemem Merkury na zasadzie sprzężenia zwrotnego. W ciele miał wszczepione obwody z wysłwiełaczami sygnalizującymi działanie aparatury. Początkowo właściciele towarów odnosili się nieufnie do tych nowości. W razie niedyspozycji pilota statek z cennym ładunkiem mógł przepaść bez wieści. W przestrzeni kosmicznej nietrudno zaginać na zawsze. Patthowie rozwiali te obawy, obsadzając każdy statek jednym lub dwoma pilotami rezerwowymi. Zmniejszyli ryzyko wypadku bez zdra-

dzania sekretu systemu Merkury. Kradzież maszyny lub wypożyczenie było bezcelowe. Tylko pilot mógł włączyć urządzenia pokładowe, zabezpieczone dodatkowo na kilka sposobów. Bez jego implantów uzyskałoby się dokładnie zero informacji.

Tak przynajmniej mówiono. Ale fakt, że na czarnym rynku nie pojawiła się jeszcze kopia Merkurego, potwierdzał tę teorię.

Mężczyzna naprzeciw mnie niecierpliwie odstawił kufel na stolik. Przestałem rozmyślać o Patthach i wróciłem do interesów.

– Kiedy chce pan odlecieć?

– Jak najszybciej – odparł. – Powiedzmy jutro o szóstej rano.

Zastanowiłem się. Meima była kolonią Ihmisitów. W ich portach kosmicznych obowiązywał dość osobliwy regulamin. Zamykano je na cztery spusty o zachodzie słońca i do świtu nikogo nie wpuszczano. Eksperti od psychologii obcych przypisywali to dziwnym zabobonom, w które wierzyli Ihmisici. Osobiście miałem inne zdanie; chodziło o to, by hotele w pobliżu portów mogły zarobić na tym, że załogi musiały gdzieś prznocować.

– Rozwidni się dopiero o piątej trzydzieści – zauważyłem. – Nie będziemy mieć zbyt wiele czasu na sprawdzenie statku przed startem.

– Wszystko jest już gotowe – przypomniał.

– Mimo to, lepiej sprawdzić – odparłem. – Kontrola przedstartowa jest konieczna. Co z papierami?

Klepnął się po kieszeni.

– Są w porządku. Mam je ze sobą.

– Niech pan pokaże.

Przez moment wyglądał, jakby chciał wstać i wyjść. Pewnie wolałby innego pilota, który darzy pracodawcę i właściciela statku większym zaufaniem. Wyjął jednak dokumenty i położył na stole. Może spodobała mu się moja postawa albo nie miał już czasu szukać kogoś innego.

Przejrzałem plik cienkich kart, ale trzymałem w dłoni kopie, nie oryginały. Statek zarejestrowano na Ziemi. Był zmodyfikowanym frachtowcem klasy Orion i nazywał się „Icarus”. Nazwisko właściciela brzmiało Aleksander Borodin.

– To pan? – spytałem.

– Tak. Jak pan widzi, wszystko jest w porządku.

– Na to wygląda – przyznałem. Miałem dowody kontroli maszynowni, ciągu silników, napędu, komputera, odprawy celnej...

Nagle zmarszczyłem brwi.

– Co to znaczy „zaplombowana ładownia”?

– Dokładnie to, co napisano – odparł. – Ładownia znajduje się w tyle środkowej części statku i została zapieczętowana. Nie ma tam dostępu i nie podlega kontroli. Zgodę wydały władze portowe na Gamm.

Odnalazłem stosowną kartę.

– Wiec stamtąd pan przyleciał? Ciche, spokojne miejsce.

– Owszem. Choć trochę prymitywne.

– Fakt – przyznałem. Złożyłem karty razem i zerknąłem na tę na wierzchu. Chciałem zapamiętać kody zezwolenia na start i odprawy celnej przydzielone „Icarusowi”. Potem oddałem dokumenty. – W porządku. Ma pan kapitana swojego statku. Ile wyniesie zaliczka?

– Tysiąc kommarek. Płatne rano, po stawieniu się na pokładzie. Następne dwa tysiące wypłacę po wylądowaniu na Ziemi. Na więcej mnie nie stać – usprawiedliwił się.

Trzy tysiące za robotę, która zajmie pewnie pięć lub sześć tygodni. Nie zrobię na tym majątku, ale też nie umrę z głodu. Oczywiście zakładając, że facet pokryje koszty paliwa i opłat portowych. Przez moment zastanawiałem się, czy nie warto się potargować, ale poznałem po jego minie, że to strata czasu.

– Niech będzie – zgodziłem się. – Ma pan dla mnie plakietkę?

Zaczął grzebać w wewnętrznej kieszeni kurtki. Był wyraźnie zdziwiony, że nie próbuje wydusić z niego więcej forsy. Ciekawe, jak mnie teraz ocenia. Ale to bez znaczenia.

Wreszcie znalazł to, czego szukał. Wyciągnął plastikowy prostokąt o wymiarach trzy na siedem centymetrów, pokryty kolorowymi kropkami. Jeszcze jedno dziwactwo Ihmisitów; tym razem chodziło o ich niechęć do ponumerowania lub innego oznakowania przeszło dwustu stanowisk lądowniczych w porcie kosmicznym. Bez tego kawałka plastiku nie sposób było znaleźć konkretny statek, celnika, magazyn, czy cokolwiek. Plakietkę umieszczało się w przezroczystej osłonce na kołnierzu kurtki lotniczej, obok dowodu tożsamości. Na każdym skrzyżowaniu ciągów komunikacyjnych sensory odczytywały kod kropkowy. Potem sygnały świetlne wtopione w nawierzchnię wskazywały posiadaczowi określonej plakietki właściwy kierunek. Wynalazek wcale nie ułatwiał

dotarcia do celu, ale podobał się Ihmisitom. Niewiele ich obchodziło, że utrudniają komuś życie. Zawsze podejrzewałem, że po prostu czyjś szwagier dostał koncesję na produkcję tych plakietek.

– Chce pan wiedzieć coś jeszcze?

Wsunąłem plakietkę obok innej, która miała mi wskazać drogę powrotną do mojej „Burzowej Chmury” i uniosłem brew.

– A co? Spiesz się pan?

– Tak. Mam jeszcze coś do załatwienia. – Wstał. – Życzę miłego wieczoru, kapitanie McKell. Do zobaczenia rano.

Skinąłem głową.

– Do jutra.

Odwzajemnił gest i skierował się do wyjścia. Przecisnął się między stolikami i zniknął za progiem tawerny. Pociągnąłem łyk wódki, policzyłem do dwudziestu i ruszyłem za nim.

Udawałem, że się nie spieszę, toteż dojdzie do drzwi zajęło mi pół minuty więcej niż jemu. W porządku. Na ulicach panował duży ruch, ale były jasno oświetlone. Powinienem dostrzec w tłumie siwą czuprynę. Wyszedłem w chłodną noc.

Już zapomniałem o Yavanni. Ale oni nie zapomnieli o mnie.

Czekali przed lokalem, ukryci częściowo za ozdobnym szklanym wiatrochronem. Dwie takie osłony wystawały na metr ze ściany po obu stronach wejścia. Rozpoznanie konkretnego obcego nie jest łatwe, ale tamci widocznie mieli to opanowane. Gdy tylko znalazłem się na zewnątrz, ruszyli.

Musiałem coś zrobić, i to szybko. Przestali się bawić w wyznaczanie terytorium i walili prosto na mnie. Ośmieszyłem ich przed całą tawerną i teraz chcieli mi udowodnić, że popełniłem błąd. Pomyślałem o broni ukrytej pod kurtką, ale zaraz zdałem sobie sprawę, że sięgnięcie po nią to samobójstwo. Ucieczka z powrotem do lokalu też nic by mi nie dała. Opóźniłaby tylko nieuniknione starcie.

Pozostało mi jedno. Cofnąłem się za wiatrochron, odwróciłem o dziewięćdziesiąt stopni w lewo, i z całej siły kopnąłem prawą nogą w szklaną tafle.

Gdzie indziej takie osłony są zazwyczaj z wytrzymałego, sprężystego plastiku. Wyssilowanie woleli szkło. I to grube. Ale mocny kopniak załatwił sprawę, choć poczułem to uderzenie w kręgosłupie i pod czaszką. Wokół rozprysnęły się odłamki.

Odzyskałem równowagę i dałem nura przez pustą ramę. Duży, ostry kawał szkła, który w niej pozostał, drasnął mi kurtkę. Chwyliłem go w palce i wyrwałem. Z tym prowizorycznym nożem narobiłem na Yavanni.

Pierwszy z nich zbaraniał i stanął jak wryty. Dwaj z tyłu wpadli na niego z rozpędu. Yavanni są uczuleni na widok własnej krwi i żadnemu nie uśmiecha się kłuta czy cięta rana. Ale zanim ich mózgownice przypomniały im o tym, zdążyli się otrząsnąć z pierwszego zaskoczenia. Znow ruszyli naprzód.

Nie czekałem, co będzie dalej. Po rozwaleniu wiatrochronu miałem za sobą otwartą drogę odwrotu. Zamachnąłem się szkłem na pierwszego Yavanna i dałem nogę.

Zawyli i rzucili się w pogoń. Wiedziałem, że daleko nie ucieknę. Człowiek nie jest w stanie prześcignąć Yavanni. Ale zanim te kupy mięsa nabrały szybkości, wyrobiłem sobie kilkusekundową przewagę.

Nie traćłem czasu na oglądanie się przez ramię. Wystarczyło, że słyszałem tupot prześladowców. Wciąż dzieliła mnie od nich bezpieczna odległość. Dopadłem rogu tawerny i skręciłem w wąski zaułek. Niestety pusty. Yavanni wpadli w uliczkę. Pochyliłem głowę i przyspieszyłem na ile mogłem. Wiedziałem, że mnie złapią, zanim okrążę cały budynek. Jeśli zaraz nie znajdę tego, co miałem nadzieję znaleźć, będę w poważnych tarapatkach.

Wybiegłem zza następnego rogu. Yavanni zbliżyli się niebezpiecznie. I wtedy to zobaczyłem: stos półmetrowych szczap drewna do kominka. Nareszcie! Leżały porządnie ułożone pod ścianą i niemal sięgały dachu. Nie zwalniając, wspiąłem się na górę.

Ledwo mi się udało. Yavanni już deptali mi po piętach. Biegli za szybko, żeby wyhamować, i staranowali stos. Szczapy poleciały w dół. Gdybym się spóźnił o ułamek sekundy, zjechałbym po nich na ziemię. Najwyższa usunęła mi się spod nóg, ale zdążyłem się odbić i wciągnąć na dach.

W samą porę. Gdy tylko ukryłem się za krawędzią, jedna ze szczap świsnęła mi nad głową i poszybowała w noc. Nie miałem pojęcia, czy Yavanni potrafią doskoczyć do dachu bez pomocy zdemolowanego stosu drewna, i wolałem tego nie sprawdzać. W powietrze poleciały następne szczapy. Poderwałem się i schyłony pobiegłem po dachu.

Wszystkie budynki w okolicy były tej samej wysokości. Przedziały je tylko wąskie zaułki. Bez trudu przeskoczyłem na sąsiedni dach; zostało mi nawet pół metra zapasu. Potem znów dałem susa na inny budynek. W biegu ściągnąłem kurtkę i włożyłem ją podszewką na wierzch. Teraz już nie byłem ubrany na czarno, tylko jaskrawozielono. Kiedyś celowo podszyłem kurtkę tym materiałem, z myślą o takich okazjach. Skierowałem się w stronę dymiącego komina, znalazłem stos drewna i zszedłem na dół.

Wróciłem na główną ulicę i rozejrzałem się. W tłumie miejscowych i przyjezdnych kręcili się kieszonkowcy, ale nie zauważyłem Yavanni.

Niestety, siwego mężczyzny też nie dostrzegłem.

Włóczyłem się po okolicy jeszcze przez godzinę. Zaglądałem do tawern w nadziei, że odszukam mojego nowego pracodawcę. Może jeszcze werbuje załogę? Nie znalazłem go jednak. Nic dziwnego. Peryferie portu kosmicznego były zbyt rozległe, by jeden człowiek mógł wszędzie zajrzeć. Poza tym bolała mnie noga, którą rozwaliłem o wiatrochron. I musiałem być na lądowisku o wpół do szóstej rano.

W dzielnicy zamieszkałej przez Vyssiluyan roіło się od takśówek. Pieniądze miałem jednak dostać dopiero jutro przy „Icarusie”. Na razie wolałem nie wydawać tego, co mi zostało. Wyróśnięty właściciel podrzędnego hoteliku, w którym czekał na mnie Ixil, nie byłby zachwycony, gdyby zabrakło nam forsy na zapłacenie rachunku. Dwie utarczki z siłaczami obcych gatunków w ciągu dwunastu godzin, to stanowczo za wiele. Westchnąłem i ruszyłem do domu na piechotę.

Noga dokuczała mi coraz bardziej. Kiedy wdrapałem się na cztery kondygnacje schodów, ból dotarł do czaszki. Wsunąłem klucz do szczeliny obok drzwi. Marzyłem o miękkim łóżku i dużej szkockiej pośród uspokajającego pulsowania vyssiluyańskich świateł. Przystąpiłem próg pokoju.

Szana na miękkie łóżko i dużą szkocką wciąż istniała. Gorzej ze światłami. W pokoju było zupełnie ciemno.

Dałem nura na podłogę i wylądowałem na brzuchu. Po drodze zdążyłem sięgnąć do kabury pod lewą pachą i wyszarpnąć pistolet plazmowy. Ixil powinien na mnie czekać. Ciemność oznaczała, że go nie ma, i że przywita mnie ktoś inny.

– Jordan? – rozległ się znajomy głos. – To ty?

Przyплыł adrenaliny zastąpiło nagłe zmieszanie i moją nogę przeszył zdwojony ból.

– Myślałem, że jeszcze nie śpiesz – warknąłem ze złością. Z trudem powstrzymałem się, żeby mu nie wygarnąć bez przebiegania w słowach. A repertuar miałem szeroki. Za niewyparzony język postawiono mnie kiedyś przed sądem wojskowym.

– Nie śpię – odparł. – Chodź tu i popatrz.

Ku własnemu zdziwieniu westchnąłem cierpliwie, zabezpieczyłem broń i wsunąłem ją do kabury. Wiedziałem, że Ixila mogło zainteresować wszystko: od mgły unoszącej się w oddali nad oświetlonym miastem do pająka pełznącego po szybie.

– Zaraz – mruknąłem. Wstałem, zatrzasnąłem kopniakiem drzwi i podszedłem do okna.

Większość ludzi zapewne uznałaby wygląd Ixila i jego ziomków za makabryczny. Podobnie jak powierzchowność trzech uroczych chłopaków z plemienia Yavanni, których spotkałem w tawernie. Ixil był typowym Kalixem, krępy i szerokim w ramionach. Jego twarz często nieelegancko porównywano do rozdeptanego pyska iguany. Poza tym miał zdecydowanie niesymetryczną sylwetkę. Prawe ramię sterczało mu karykaturalnie wysoko niczym u nadymającego się zapaśnika z filmów rysunkowych. Drugie było bardziej płaskie. Klepnąłem go w lewe.

– Kogoś tu brakuje – stwierdziłem.

– Wysłałem Pixa na dach – wyjaśnił. Jego łagodny głos zupełnie nie pasował do przerażającej urody. Jedną z niewielu przyjemności, jakie mi pozostały w życiu, było obserwowanie reakcji ludzi podczas pierwszego spotkania z Ixilem. Widok ten nie miał sobie równych. Potem rozmawiali z nim tylko przez gwiazdny telefon pozbawiony ekranu wideo.

– Aha... – powiedziałem, i obszedłem go z prawej strony. Kłębek spoczywający na jego ramieniu rozwinął się i wilgotny pyszczek dotknął mojego policzka.

– Cześć, Pax – przywitałem zwierzątko. Potem podrapałem je za mysim uchem.

Ludzki narząd mowy nie był w stanie wyartykułować kalixirskiej nazwy dwóch stworzonek Ixila, nazywałem je więc po prostu fretkami. Przypominały je wyglądem, choć miały raczej

wielkość szczerów doświadczalnych. W dawnych czasach służyły Kalixom do polowań. Pełniły rolę zwiadowców. Wyszukiwały zdobycz i wracały do swoich panów z wiadomością.

Od psów myśliwskich i innych zwierząt tego typu różniła je osobliwa więź z właścicielami. Gdy Pax siedział na ramieniu Ixila i mocno wbijał pazurki w jego grubą skórę, był połączony z systemem nerwowym swego pana. Ixil mógł w myślach wydawać Paxowi rozkazy, które trafiały do mózgu zwierzątka. Kiedy Pax się oddalał, rejestrował każde napotkane zjawisko. Po powrocie na ramię łączność działała w drugą stronę; Ixil widział, słyszał i czuł wszystko, co fretka znalazła na swej drodze.

Dla myśliwych płynące z tego korzyści były oczywiste. Dla Ixila, mechanika pokładowego na statkach gwiazdnych, wręcz nieocenione. Fretki potrafiły poruszać się w ciasnych pomieszczeniach wśród płataniny drutów i rurek. Często myślałem o tym, że gdyby więcej Kalixów zajęło się mechaniką i elektroniką kosmiczną, mogłoby zmonopolizować te dziedziny podobnie, jak Patthowie transport.

Znów podrapałem fretkę. Milion razy zastanawiałem się, czy Ixil to czuje.

– Co ciekawego chciałeś znaleźć na dachu? – zapytałem.

– Nie chodzi o dach... – odparł i uniósł masywne ramię – ...tylko o to, co dzieje się tam.

Zmarszczyłem brwi i spojrzałem we wskazanym kierunku. Daleko za portem kosmicznym i miastem żarzył się na niebie nikły blask. Do góry wzbily się trzy ogniki i poleciały poziomo w różne strony.

– Interesujące – przyznałem. Jeden ze statków poruszał się dość wolno i zygzakował. Przynajmniej tak mi się zdawało z tej odległości i perspektywy.

– Zauważyłem to jakieś czterdzieści minut temu – powiedział Ixil. – Najpierw myślałem, że to odbicie światła z nowego osiedla, którego po prostu wcześniej nie dostrzegłem. Sprawdziłem na mapie, ale tam nic nie ma. Tylko pasmo wzgórz i pustynia. Przemknęliśmy nad tamtym rejonem, kiedy lecieliśmy tutaj.

– Może to pożar? – podsunąłem bez przekonania.

– Wątpię. Blask nie jest aż tak czerwony i nie widać dymu. Raczej akcja poszukiwawczo-ratownicza.

Coś zaskrobało cicho za okienną ramą. Na parapecie pojawił się Pix. Kichnął, odbił się, i wskoczył Ixilowi na ramię. Rozległo się

drapanie, jak paznokciem po skórze. Skrzywiłem się. Przez moment Ixil stał bez ruchu. Przejmował wiadomości z małego mózgu fretki.

– Ciekawe. Okazuje się, że to dalej, niż sądziłem. Za wzgórzami, całe kilometry w głąb pustkowia.

Co oznaczało, że blask jest dużo jaśniejszy, niż na to wygląda. Kto tam jest i czego szuka na tym odludziu?

Nagle zapomniałem o bólu w nodze.

– Nie wiesz przypadkiem... – zagadnąłem z udawaną obojętnością – gdzie grupa Camerona prowadzi wykopaliska archeologiczne?

– Gdzieś na pustkowiu – odrzekł Ixil. – Nie znam dokładnej lokalizacji.

– Ale ja znam – pochwaliłem się. – Idę o zakład, że właśnie tam.

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo Arno Cameron był dziś w mieście. Zaproponował mi pracę.

Rozdeptana twarz iguany odwróciła się ku mnie.

– Żartujesz!

– Niestety nie – zapewniłem. – Wybrał sobie idiotyczny pseudonim, Aleksander Borodin, i ufarbował włosy na siwo. Wygląda o dwadzieścia lat starzej. Ale to on. – Poklepałem kołnierz kurtki. – Chce, żebym jutro zabrał go stąd na pokładzie statku o nazwie „Icarus”.

– Zgodziłeś się?

– Za trzy tysiące? Jasne, że się zgodziłem!

Pix znów kichnął.

– To może być trudne – zauważył Ixil. – Brat John nie będzie zadowolony.

– Rewelacja! – prychnąłem ironicznie. – A czy kiedykolwiek był z nas zadowolony?

– Fakt, bardzo rzadko – przyznał Ixil. – Ale chyba jeszcze nie widzieliśmy go naprawdę wkurzonego. Teraz może być okazja.

Z pewnością miał rację. Johnston Scotto Ryland, którego sarkastycznie nazywaliśmy „Bratem” uratował nas trzy lata temu przed finansową ruiną. Po prostu nasza „Burzowa Chmura” zasilła flotyllę jego przemytniczych statków. Szmuglowaliśmy wszystko: broń, części ciała, narkotyki, kradzione dzieła sztuki, elektronikę... Słowem, każde nielegalne świństwo. Teraz wykonywaliśmy kolejne

zadanie. W ładowni naszego statku tkwiła nowa porcja trefnego towaru.

Brat John nie wspiałby się na szczyt przestępczego podziemia Spirali, gdyby tolerował samowolę wśród swoich ludzi.

– Załatwię to z nim – obiecałem Ixilowi, choć w tej chwili nie miałem pojęcia, jak. – To w końcu trzy patyki. Nie mogłem odrzucić takiej oferty, skoro udaję biednego, niezależnego przewoźnika.

Ixil nie zareagował, ale jego fretki wykrzywiły pyszczki. Czasem to ich wzajemne połączenie było wygodne, jeśli się wiedziało, o co chodzi.

– Nie ma powodu, żeby Brat John wkurzał się na nas – ciągnąłem. – Sam doprowadzisz „Burzową Chmurę” na Xathru. Jego towar dotrze na miejsce i wszyscy będą zadowoleni. Ja polecę z Cameronem. Jutro rano zorientuję się w trasie i prześlę ci wiadomość, gdzie się spotkamy.

– Przepisy wymagają, żeby w statku klasy Koziorożec była minimum dwuosobowa załoga – przypomniał.

– Świetnie – odparłem krótko. Zrobiło się późno, bolała mnie noga i głowa. Nie miałem zamiaru słuchać cytatów z Kodeksu Handlowego. W dodatku z ust kogoś, kto wpakował mnie w to całe szambo. – Przecież jest was trzech: ty, Pix, i Pax. Szczegóły możesz uzgodnić rano z władzami portu.

Pokuśtykałem na zdrowej nodze do łazienki. Podczas wieczornej toalety nieco ochłonałem. Wróciłem spokojniejszy.

– Coś nowego? – zapytałem Ixila.

Wciąż gapił się przez okno. Fretki siedziały mu na ramionach i gapiły się razem z nim.

– Przybyło obiektów latających – odpowiedział. – Kogoś wyraźnie przyciąga tamto miejsce.

– To jasne – zgodziłem się. Po raz ostatni rzuciłem okiem na niebo i włożyłem do łóżka. – Ciekawe, co ludzie Camerona tam wykopali?

– I kogo to interesuje – dodał Ixil. Niechętnie odszedł od okna. – Może się okazać, Jordan, że nasza dyskusja o kursie dla Brata Johna była niepotrzebna. Nie zdziwiłbym się, gdybyś jutro odkrył, że „Icarus” jest już w czyichś rękach.

– Nie ma szans – zaprzeczyłem i wyciągnąłem obolałą nogę.

– A niby dlaczego?

Opadłem na cienką poduszkę. Kolejna licha poduszka, lichy hotel i lichy port kosmiczny. Jak całe moje życie. Westchnąłem.

– Bo nigdy nie mam aż takiego fartu.

2

Kiedy o piątej rano przybyłem do portu, niebo na wschodzie dopiero różowiało. Przed bramą czekał już tłum ludzi i obcych. Wszyscy chcieli jak najszybciej zasiaść w swoich statkach i polecieć dalej. Kilku najbardziej niecierpliwych kosmonautów głośno krytykowało zwyczaj Ihmisitów. Strażnicy pilnujący bramy należeli do tej rasy, ale jak zwykle ignorowali komentarze.

Oczywiście wśród oczekujących nie było Patthów. W ciągu ostatnich kilku lat zdarzyło się wiele „nieprzyjemnych incydentów”, jak to określają dyplomaci. Większość portów kosmicznych przydzieliła Patthom własne lądowiska, wejścia, stanowiska obsługi i poczekalnie. Władze portowe miały już powyżej uszu papierkowej roboty po napadach i morderstwach, a rządowi zdziwiło się słuchanie gróźb Patthów, że nałożą sankcje za swoje rzeczywiste czy urojone krzywdy.

Przypominałem sobie trzech pilotów z tawerny. Dziwne, że znaleźli się wśród pospólstwa. Albo byli młodzi i odważni, albo starzy i pewni, że nikt ich nie ruszy. A może po prostu bardzo spragnieni. Ciekawe, czy w drodze do domu nie przytrafił się im jakiś „wypadek”?

O 5.31 zza horyzontu wyłoniło się słońce. W tej samej chwili otwarto bramę. Tłum wlał się do środka, porywając mnie ze sobą. Dotknąłem kołnierza, żeby sprawdzić, czy plakietka jest na swoim miejscu. Nigdzie nie zauważyłem Camerona. Albo wszedł inną bramą, albo już go zdjęli ci, którzy wczoraj krążyli nad rejonem jego wykopalisk archeologicznych. Mimo wszystko postanowiłem rzucić okiem na „Icarusa”. Choćby po to, żeby zobaczyć, jaki gatunek go pilnuje.

Ktoś położył mi ciężką, pachnącą dłoń na ramieniu.

– Kapitan Jordan McKell?

Odwrociłem się. Dwaj ihmisiccy strażnicy zeszli z posterunku i stali teraz za mną. Wyglądali imponująco i groźnie w swoich ceremonialnych hełmach.

– Tak – potwierdziłem ostrożnie.

– Proszę z nami – powiedział ten, który trzymał mnie za ramię. – Dyrektorka portu, pani Aymi-Mastr chce widzieć się z panem.

– Oczywiście – odrzekłem. Serce podskoczyło mi do gardła. Strażnik wskazał kierunek i zaczęliśmy torować sobie drogę do budynku zarządu portu. Stał dwadzieścia metrów za ogrodzeniem. Papiery mieliśmy w porządku, ładunek „Burzowej Chmury” został odprawiony, opłaty uregulowane. Czyżby ktoś w końcu wytropił, że pracujemy dla Brata Johna? Jeśli tak, czekało mnie ciężkie zadanie, żeby jakoś z tego wybrnąć.

Jeszcze nie byłem w tutejszym zarządzie portu, ale wiedziałem, czego się spodziewać. Spędziłem dość czasu w ihmisickich hotelach i tawernach. Nie pomyliłem się; przyjemne oświetlenie, wygodne meble, uśmiechnięte twarze... Wszystko po to, żeby goście czuli się, jak u siebie.

Słyszałem, że ta przyjazna atmosfera utrzymuje się aż do chwili, gdy zaczynają delikwenta łamać kołem.

– Aaa... kapitan McKell! – rozległ się głęboki głos. Doprowadzono mnie do wielkiego, zagraconego biurka w rogu głównej sali, gdzie panowała gorączkowa krzątanina. Dyrektorka Aymi-Mastr należała do typowych przedstawicielek swojego gatunku. Miała wyłupiaste żabie oczy, cztery owadzie czułki wyrastające z czoła i żebrowate pręgi na twarzy i szyi. Było oczywiste, dlaczego piastuje to stanowisko. U Ihmisitów tylko kobiety mogły kierować takim cyrkiem. Miały zdolności organizacyjne. – Miło mi, że pan wpadł. Proszę siadać.

– Cała przyjemność po mojej stronie, pani dyrektor – odrzekłem i przysunąłem sobie krzesło. Przemilczałem fakt, że nie „wpadłem” tu z własnej woli. Jeden ze strażników postawił moją torbę na biurku i zaczął ją przetrząsać. Chciałem zaprotestować, ale zrezygnowałem. – O co chodzi?

– Szczyrze mówiąc, kapitanie, sama dokładnie nie wiem – odparła dyrektorka. Wzięła zdjęcie leżące na stosie papierów i podała mi. – Dostałam od przełożonych polecenie, żeby zapytać pana o tę osobę.

Fotografia przedstawiała Arno Camerona.

– No cóż... To człowiek – stwierdziłem odkrywco. Nie chodzi im więc o Brata Johna. Na razie nie wiedziałem, czy to dobre, czy złe. – Poza tym, nigdy go nie widziałem.

– Naprawdę? – zapytała Aymi-Mastr melodramatycznym tonem. Wyciągnęła się w fotelu i złączyła koniuszki palców. Ihmisici podpatrzyli ten zwyczaj na starych filmach Ziemi. Zawsze denerwowało mnie to małpowanie. – Bardzo interesujące. Zwłaszcza że przed kwadransiem naoczny świadek zeznał coś innego. Wczoraj wieczorem widział pana z Cameronem w vyssiluyańskiej tawernie.

Poczułem na plecach zimne łapki całej rodziny kalixirskich fretek.

– Nie zamierzam podważać wiarygodności pani świadka... – odrzekłem i rzuciłem zdjęcie na biurko – ale musiał się pomylić. Żabie oczy zwęziły się.

– Podał pańskie nazwisko.

– W takim razie albo był pijany, albo lubi robić dużo szumu.

Wstałem. W tamtej tawernie panował tłok. Z pewnością wielu gości zapamiętało rozróbę z trzema Yavanni, a połowa z nich widziała mnie potem z Cameronem. Musiałem szybko wywinąć się z tego, zanim Ihmisici zaczną kopać głębiej.

– Niech pan siada, kapitanie! – zgromiła mnie Aymi-Mastr. – Chce mi pan wmówić, że wczoraj wieczorem nigdzie pan nie wychodził?

– Oczywiście, że wyszedłem! – odburknąłem z rozdrażnieniem i niechętnie osunąłem się na krzesło. – Chyba nie myśli pani, że ktoś lubi siedzieć w tych zawszonych vyssiluyańskich hotelach?

Uśmiechnęła się krzywo, co jeszcze bardziej upodobniło ją do żaby.

– To racja. Odwiedził pan jakieś lokale?

Wzruszyłem ramionami.

– Jasne. Kilka. A co innego można tu robić? Ale z nikim nie rozmawiałem.

Westchnęła teatralnie.

– Tak pan twierdzi? W tym cały kłopot. – Otworzyła teczkę z meldunkami. – Pańskie słowo przeciw słowu tamtego anonimowego świadka. Komu wierzyć?

– Zaraz, zaraz... Więc nawet pani nie wie, kim on jest?! – obruszyłem się. Pod kołnierzykiem poczułem pot. Nie znałem zbyt dobrze pisma Ihmisitów, ale wiedziałem, jak wygląda moje nazwisko na papierze. Przynajmniej w większości głównych języków Spirali. Trzymała przed sobą moją kartotekę, pochodzącą z Zarządu Federacji Handlowej! Jej zawartość nie stawiała mnie w dobrym świetle. – Co to za sztuczka?

– Właśnie tego chcemy się dowiedzieć. – Aymi-Mastr zmarszczyła brwi i utkwiała wzrok w papierach. Potem spojrzała na mnie. – Na tym zdjęciu nie jest pan wcale podobny. Kiedy je zrobiono?

– Jakies siedem lat temu – odrzekłem. – Kiedy zaczynałem pracę jako samodzielny przewoźnik.

– Zupełnie niepodobny – powtórzyła, przyglądając mi się uważnie. – Musi pan zrobić nowe.

– Zrobię – obiecałem, choć była to akurat najmniej ważna sprawa, jaką obecnie miałem na głowie. Ludzie Brata Johna wręcz nie powinni przypominać swoich urzędowych fotografii. W takiej branży im trudniej kogoś rozpoznać, tym lepiej. – Od tamtej pory sporo przeszedłem – dodałem.

– W istocie – przyznała, przerzucając kartki. – Szczerze mówiąc, kapitanie, pański życiorys nie zachęca do tego, żeby wierzyć panu na słowo.

– Nie musi mnie pani obrażać – warknąłem. – To, co tam jest, zdarzyło się dawno temu.

– Pięć lat w Oddziałach Pomocniczych Ziemskich Sił Obronnych – ciągnęła Aymi-Mastr. – A potem żaloszny koniec obiecującej kariery. Sąd wojskowy i wydalenie ze służby za niesubordynację.

– To był idiota – odparłem. – Wszyscy tak uważali. Ale tylko ja miałem odwagę powiedzieć mu to prosto w oczy.

– I to dość barwnym językiem, jak widzę – odpowiedziała i odwróciła kartkę. – Nawet znajomość niewielkiej części tych ziemskich słów pozwala stworzyć imponującą listę. – Przewróciła dwie następne kartki. – Później zmarnował pan swoją drugą szansę. Po czterech latach pracy wyrzucili pana z Ziemskiej Służby Celnej. Tym razem za branie łapówek.

– Wrobili mnie – odparowałem. Nawet w moich własnych uszach zabrzmiało to mało przekonująco.

– Za każdym razem protestuje pan coraz słabiej – zauważyła Aymi-Mastr. – Ale jakoś uniknął pan więzienia, jak widzę. Służba Celna uznała, że proces z pańskim udziałem byłby zbyt kłopotliwy.

– Wymyślili taki pretekst, żeby nie dać mi szansy oczyszczenia się z zarzutów.

Aymi-Mastr dalej przeglądała papiery.

– Potem przez sześć miesięcy pracował pan w małej firmie transportowej braci Rolvaag. Kogoś pan uderzył... Aha, młodszego pana Rolvaaga...

– Niech pani posłucha – przerwałem ze złością. – Nie musi mi pani czytać całego mojego życiorysu. Może lepiej przejdźmy do rzeczy.

Strażnik dokładnie przeszukał moją torbę, zapiął ją i wyprostował się. Zamienił kilka słów z szefową i wyszedł. Torba została na biurku. Nie zdziwiło mnie to. Nie było w niej nic podejrzanego. Miałem nadzieję, że pani dyrektor nie czuje się zbyt rozczarowana.

– Rzecz w tym – powiedziała – że trudno nazwać pana porządnym, prawomyślnym obywatelem. Nie chcę przesadzić, ale naprawdę sprawia pan wrażenie osobnika gotowego pomóc mordercy.

Zaniemówiłem.

– Mordercy?! – wykrzyknąłem, kiedy odzyskałem głos. – Ten facet kogoś zabił?!

Aymi-Mastr przyglądała mi się badawczo.

– Tak napisano w meldunku. Trudno panu w to uwierzyć?

– No pewnie – odrzekłem. Nie musiałem udawać zaskoczenia. – Na zdjęciu nie wygląda na mordercę. Jak to było? Kogo zabił?

– Dyrektora wykopalisk archeologicznych na Wielkiej Pustyni – wyjaśniła Aymi-Mastr. Odsunęła moje akta i znów złączyła czubki palców. – Wczoraj rano nastąpiła tam potężna eksplozja. Nie słyszał pan o tym?

Pokręciłem głową.

– Wyładowaliśmy krótko po południu miejscowego czasu. Pytałem, skąd takie opóźnienie w przyjmowaniu statków, ale nikt nie potrafił mi jasno odpowiedzieć.

– Na skutek wybuchu do atmosfery dostały się duże ilości pyłu. Nasze sensory i radiolatarnie kierunkowe nie działały przez

ponad godzinę, co spowodowało wstrzymanie ruchu. W każdym razie, prowadzący śledztwo znaleźli na miejscu katastrofy spalone ciało doktora Ramonda Chou. Leżało ukryte w jednej z podziemnych grot na terenie wykopalisk. Natychmiast otoczono tamten rejon, żeby zatrzymać i przesłuchać archeologów.

Aymi-Mastr znów podała mi zdjęcie Camerona.

– Tylko temu człowiekowi udało się wymknąć. Jego towarzysze wskazali go jako mordercę.

To tłumaczyło nocne poszukiwania na pustkowiu. Popatrzyłem na fotografię.

– Cóż... Życzę owocnych łowów. Ale moim zdaniem, dawno dał stąd nogę. Zapewne skorzystał z zamieszania w powietrzu, o którym pani wspominała.

– Bardzo możliwe – przyznała Aymi-Mastr. – Mamy nie potwierdzoną informację, że coś przedarło się przez burzę odłamków. – Skinęła parą czułków w kierunku zdjęcia. – Ale z drugiej strony, mamy też meldunek, że widziano go z panem ostatniego wieczoru. Niech pan przyjrzy mu się dobrze, kapitanie. Jest pan pewien, że nie zamienił pan z nim ani słowa?

Chciała mi to ułatwić. Wystarczyłoby przyznać się, że Cameron mnie wynajął, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że jest zabójcą. Odpowiedziałbym na wszystkie pytania, wręczył jej plaketkę i koniec. Zdjęliby go przy „Icarusie”, a ja wyszedłbym stąd czysty.

A najważniejsze, że nie musiałbym tłumaczyć się przed Bratem Johnem.

Westchnąłem, pokręciłem głową i odłożyłem zdjęcie.

– Przykro mi, pani dyrektor. Żałuję, że nie mogę pomóc. Bardzo bym chciał, bo nie mam litości dla morderców. Ale naprawdę go nie spotkałem. Pani świadek musiał go widzieć w towarzystwie kogoś innego.

Patrzyła na mnie przez kilka uderzeń serca. Potem wruszyła ramionami niczym Ziemię, co w jej przypadku wyglądało równie idiotycznie, jak łączenie koniuszków palców.

– W porządku, kapitanie. Jeśli to pańskie ostatnie słowo...

Zignorowałem jej sarkastyczny ton.

– Tak – odparłem i wstałem. – Mogę już iść? Muszę trzymać się mojego rozkładu lotów.

Podniosła się z fotela.

– Rozumiem. Ale zanim pan stąd odleci, będziemy niestety zmuszeni dokładnie przeszukać pański statek. – Wyciągnęła rękę. – Poproszę o plakietkę.

Zmarszczyłem brwi. Nagle przypomniałem sobie, że w widocznym miejscu na moim kołnierzu tkwi emblemat „Icarusa”.

– Słucham?

– Poproszę o pańską plakietkę – powtórzyła Aymi-Mastr surowym tonem. – Proszę mnie nie zmuszać do użycia siły. Wiem, że Ziemianie uważają Ihmisitów za śmiechu warte stworzenia, ale zapewniam, że jesteśmy silniejsi, niż na to wyglądamy.

Przez dłuższą chwilę stałem bez ruchu. Potem mruknąłem coś pod nosem i wyciągnąłem obie plakietki. Ukryłem w dłoni tę od Camerona i położyłem na biurku moją.

– Proszę bardzo – warknąłem. Towar Brata Johna był doskonale zamaskowany, nawet przed wścibskimi Ihmisitami. – Możecie sobie szukać. Tylko nie zostawcie bałaganu.

– Zrobimy to szybko i porządnie – obiecała. – Niech pan zaczeka w pokoju gościnnym obok.

Ściągnąłem z biurka moją torbę.

– Wolę pójść do centrum obsługi podróżnych. Skoro tracę przez was cenny czas, to przynajmniej zjem śniadanie.

– Jak pan sobie życzy. – Aymi-Mastr wykonała pożegnalny gest Ihmisitów. Zadzwoił telefon i podniosła słuchawkę. – Za godzinę skończymy – rzuciła, przykładając ją do szczeliny na szyi.

Odwrociłem się na pięcie i z godnością pomaszerowałem do wyjścia. Pozwolili mi odejść i nie zabrali telefonu. Ciekawe. Albo tak naprawdę o nic mnie nie podejrzewają, albo wręcz odwrotnie. Jeśli jestem podejrzany, może będą chcieli wyśledzić, czy nie idę do kryjówki Camerona.

– Kapitanie McKell? – zawołała za mną Aymi-Mastr.

Przez ułamek sekundy miałem ochotę uciec, jednak do drzwi było jeszcze daleko i na mojej drodze kręciło się za dużo Ihmisitów. Przystanąłem i odwróciłem się.

– Co znowu? – warknąłem.

Ciągle rozmawiała przez telefon i przyzywała mnie na migi. Może rzeczywiście powinienem spróbować ucieczki? W końcu jednak zrezygnowałem i podszedłem.

Zanim stanąłem przed biurkiem, odłożyła słuchawkę.

– Bardzo przepraszam, kapitanie – powiedziała i oddała mi plakietkę. – Może pan iść.

Żarty sobie robi? Popatrzyłem podejrzliwie na kawałek plastiku, jakby miał z niego nagle wyskoczyć diabełek na sprężynie.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu – potwierdziła. W jej głosie zabrzmiała mieszanina zakłopotania i niechęci. – Moi przełożeni właśnie usłyszeli coś nowego od naszego anonimowego informatora. Zmienił zarzuty. Podobno widziano pana w towarzystwie znanego bandyty Belgai Romssa, który dokonał wielu zbrojnych napadów. Trzy dni temu obrabował magazyny w Tropicstick.

Zmarszczyłem brwi. Co tu jest grane, do cholery?

– I co? Chce pani, żebym jego zdjęcie też obejrzał?

– To nie będzie konieczne – zapewniła z niesmakiem Aymi-Mastr. – Wygląda na to, że nasz przyjaciel przeoczył pewien fakt. Romss został aresztowany wczoraj rano, zanim pan tu wylądował. – Podsunęła mi plakietkę. – Miał pan rację; lubi robić dużo szumu. Jeszcze raz przepraszam.

– Nie ma sprawy – odparłem i ostrożnie wziąłem kawałek plastiku. Diabełek nie wyskoczył. – Ale następnym razem powinna pani wstrzymać się z rzucaniem bezpodstawnych oskarżeń.

– W przypadku morderstwa musimy sprawdzać każdy ślad – powiedziała w zamyśleniu, bębniąc palcami w moją kartotekę. – Życzę bezpiecznej podróży, kapitanie.

Znów ruszyłem w kierunku drzwi. Plakietkę „Burzowej Chmury” wsunąłem do kołnierza, ale tę od „Icarusa” wciąż ściskałem w dłoni. Nikt mnie nie zawołał ani nie zatrzymał. Dwie minuty później wyszedłem na świeże powietrze. Byłem wolny.

Nie wierzyłem w to ani przez sekundę. Coś za łatwo to poszło. Ihmisiści poszukiwali Camerona i liczyli, że doprowadzę ich do niego. Dlatego mnie puścili.

Teraz chcieli wytropić, gdzie stoi „Icarus”. Musieli mi przyczepić jakąś pluskwę.

Tylko jaką? Echotransponder molekularny nie spełniłby swojego zadania wśród kakofonii sygnałów radiowych w porcie kosmicznym. Zatem coś większego. Na przykład nadajnik wielkości igły. Ale nie spuszczałem z oka podwładnego Aymi-Mastr, kiedy przeszukiwał moją torbę. Przysięgłbym przed sądem, że niczego

tam nie włożył, co oznaczało, że zrobili to po rewizji. Nagle wszystko stało się jasne.

Ostrożnie wysunąłem z kołnierza plaketkę i dokładnie obejrzałem. W dolnej krawędzi tkwił niemal niewidoczny drucik. Wyciągnąłem go paznokciami.

Musiałem pomyśleć, jak zgrabnie się tego pozbyć. Gdybym wrzucił nadajnik do śmietnika, zorientowaliby się, że go znalazłem, a tego chciałem uniknąć. Na szczęście, okazja sama wpadła mi w ręce. Przez tłum przeciskał się niski Bunkre w błyszczącej kurtce lotniczej z wysokim kołnierzem. Takie kurtki zawsze kojarzyły mi się z Elvisem. Bunkre był trzy sekundy ode mnie i nasze drogi krzyżowały się. Dostosowałem tempo marszu do jego szybkości, po czym odwróciłem głowę, żeby wyglądało, że się zagapiłem, i wpadłem na niego.

– Przepraszam – powiedziałem i przytrzymałem go za ramiona, żeby nie stracił równowagi. Postawiłem mu kołnierz, który opadł przy zderzeniu, i wyjąłem z kieszeni pięć kommarek. Wręczyłem mu monetę. – To całkowicie moja wina – zapewniłem zgodnie z ich zwyczajem. – Przyjmij to jako częściową rekompensatę. Zjedz i wypij za zarobione przeze mnie pieniądze.

Chwycił łączywie monetę i wymruczał, że przyjmuje przeprosiny. Potem natychmiast zmienił kurs i ruszył w kierunku centrum obsługi podróżnych. Dałem mu co najmniej dziesięć razy więcej niż powinienem. Najwyraźniej zamierzał wydać pieniądze, zanim ziemski frajer zorientuje się, że przeplacił, i zażąda reszty.

Miałem nadzieję, że nieprędko odkryje, jaki jeszcze prezent dostał ode mnie, kiedy stawiałem mu kołnierz. Zaczekałem, aż oddali się na dziesięć metrów i poszedłem za nim.

Budynek stał okrakiem nad główną alejką, trzydzieści metrów od bramy. Od zwykłej, ihmisickiej tawerny różnił się tylko wielkością i wyższymi cenami. Przemierzyłem dużą, zatłoczoną jadalnię, minąłem kilka małych, prywatnych salek restauracyjnych, i pchnąłem drzwi z napisem „Wstęp wzbroniony”. Wszedłem na zaplecze.

Zgodnie z oczekiwaniem, nie zastałem nikogo. Była pora śniadaniowego szczytu i cały personel obsługiwał gości. Skierowałem się do tylnego wyjścia, zdjąłem kurtkę i włożyłem ją na lewą stronę. Nie miała wewnątrz kieszonki na dowód tożsamo-

ści, wetknąłem więc plakietkę „Icarusa” między suwak i jego osłonę. Sensory powinny odczytać kod.

Po chwili znów znalazłem się na otwartym terenie. Wkroczyłem na najbliższy ruchomy chodnik ze światłami kierunkowymi, wijący się wśród stanowisk lądowniczych. Teraz zobaczymy, czy Ihmisici są w pogotowiu i śledzą mnie.

Ku mojemu zaskoczeniu, nie wyglądało na to. Musieliby wysłać za mną kogoś ze wzmacniaczem sygnału nadajnika. Tymczasem nie zauważyłem żadnego „ogona”. Przy zmianach chodników nie widziałem, żeby ktoś deptał mi po piętach. Albo zmylił ich mój manewr i przebranie, albo z jakiegoś powodu przestali się mną interesować. Może po prostu nie wiedzieli o istnieniu „Icarusa”.

A może wręcz przeciwnie. Wszystko wiedzą, znaleźli „Icarusa”, i już na mnie czekają. Cała ta zabawa to tylko uprzejme podsuvanie mi liny, żebym mógł się powiesić. Bardzo przyjemna myśl o szóstej rano.

Miałem wrażenie, że od piętnastu minut jeżdżę w kółko. Zacząłem przeklinać pod nosem całe plemię Ihmisitów, gdy wreszcie żółte światła zmieniły się na różowe. Dotarłem do celu. Rozejrzałem się po raz ostatni, zeskoczyłem z chodnika i okrążyłem rufę trinkiańskiego frachtowca. Stałem oko w oko z „Icarusem”.

Stwierdzenie, że na jego widok doznałem zawodu, to za mało powiedziane. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Ba, nawet sobie nie wyobrażałem. Jak to coś może latać?

Część dziobowa wyglądała typowo; miała stożkową osłonę głowicy sensorowo-kondensatorowej i wieniec skośnych ostrzy niezbędnych do poruszania się w hiperprzestrzeni. Na tym jednak kończyło się podobieństwo do innych statków międzygwiazdnych. Tuż za dziobem pęczniała wielka kula o średnicy dobrych czterdziestu metrów. Pokrywały ją takie same ciemnoszare płyty, jak przednią część kadłuba. Na jej powierzchni rozsiane były wyłoty manewrowe. Z głównymi dyszami w tyle statku łączyły je rzędy przewodów biegnących w wąskiej przestrzeni między wewnętrznym i zewnętrznym poszyciem.

Z tyłu dużej kuli wyrastała mniejsza, o średnicy dwudziestu metrów. Ich połączenie maskowała siodłowata osłona. Za mniejszą kulą widniał pełnowymiarowy przedział silnikowy, dodany chyba poniewczasie. Wyglądał, jakby odpadł od zdezelowanego,

kronkijskiego rudowca. Wzdłuż lewej burty statku ciągnął się tunel w osłonie kosmicznej. Wychodził z tylnej części dużej kuli, ciasno przylegał do mniejszej, i wchodził do przedniej części przedziału silnikowego. Mniej więcej w połowie tunelu zobaczyłem zamknięty właz. Nad nim sterczały dwa reflektory. Pod klapą z czerwonym obrzeżem wisiały podnoszone, dziesięciometrowe schodki sięgające ziemi. Na dole poręczy miały klawiaturę sterującą włazem. Przedział silnikowy stał na amortyzowanej płozie lądowniczej, ale średnica większej kuli wymuszała pochylenie statku. Dziób wznosił się do góry pod kątem około dziesięciu stopni.

Całość przywodziła na myśl starą raketę, która nagle doznała wzdęcia w dwóch miejscach i kadłub podzielił się na kule. Albo metalowego, ciężarnego dziwoląga, który ma urodzić bliźniaki, w tym jednego karła. Nie oczekiwałem smukłego statku o imponującym kształcie, ale to wyglądało po prostu idiotycznie.

– Jakby złożyły to do kupy nie tresowane szympansy, co? – odezwał się nagle wesoły głos.

Odwrociłem głowę. Obok stał niewysoki, masywny mężczyzna po trzydziestce, z niebieskimi pasmami we włosach. Patrzył na „Icarusa” z rozbawieniem i niedowierzaniem.

– Trafnie powiedziane – zgodziłem się i postawiłem torbę na ziemi. – A jeden z nich najpierw wylał kawę na instrukcję montażu.

Wyszczerył zęby i postawił torbę obok mojej.

– Widzę, że się rozumiemy. Leci pan z nami?

– Podobno – odparłem. – Jordan McKell, pilot i nawigator.

– Jaeger Jones, mechanik – wyciągnął rękę. – Boscorski Cech Mechaników.

– Dobre towarzystwo – przyznałem i uściśnałem mu dłoń. Miał mocny, pewny chwyt, jak przystało na mechanika pokładowego. – Długo pan czeka?

– Nie, kilka minut. Trochę mnie zdziwiło, że jestem pierwszy. Myślałem, że Borodin już tu będzie, ale właz jest zamknięty i nikt nie odpowiada na brzęczyk.

Podszedłem do schodków i dotknąłem napisu „Otwarte” na klawiaturze. Rozległo się ciche piknięcie i to wszystko. Uniosłem głowę i popatrzyłem na statek.

– Sprawdzał pan, czy jest inne wejście? – zapytałem.

– Jeszcze nie – odrzekł Jones. – Najpierw obszedłem dziób tamtego Trinka, żeby zobaczyć, czy nie nadchodzi Borodin. Nie pokazał się. Mam sprawdzić drugą stronę statku?

– Nie, pójdę sam – odpowiedziałem. – Niech pan tu zostanie na wypadek, gdyby przyszedł.

Poszedłem w kierunku rufy. Minałem mniejszą kulę i przedział silnikowy. Z bliska niektóre płyty kadłuba wyglądały, jakby rzeczywiście mocowały je szympansy. Mimo to, sprawiały wrażenie solidnych. Okrążyłem wyloty dysz, które były zainstalowane bardziej fachowo, i pomaszerowałem wzdłuż prawej burty.

W połowie drogi do mniejszej kuli moją uwagę zwróciły dwa otwarki w przedziale silnikowym. Miały po centymetrze szerokości i dzieliło je trzydzieści centymetrów. Sprawdziłem palcem głębokość; dwa centymetry i jeszcze pięć w dół. Przypominały wpusty do zaczepów liny ratowniczej, ale jeszcze nie widziałem tak wąskiego rozstawu. Zmrużyłem oczy przed wschodzącym słońcem i spojrzałem w górę kadłuba. Dostrzegłem cztery następne pary otworków. Dochodziły pionowo do szczytu przedziału silnikowego.

Zastanowiłem się. Nie miałem pojęcia, do czego mogą służyć, ale biorąc pod uwagę dziwną budowę „Icarusa”, szkoda było czasu na domysły. Szczegóły konstrukcyjne powinienem znaleźć w komputerze. Zapoznam się z nimi po starcie.

Pod wpływem nagłego impulsu wyciągnąłem bezużyteczną już plakietkę i przedarłem na pół. Zwinąłem luźno oba kawałki i ukryłem w dwóch niższych otworkach. Cienki plastik nie przeszkodzi w zahaczeniu zaczepów; zostanie zgnieciony i wciśnięty w głąb. Wtedy zdobędę dowód, że ktoś tu był.

Skończyłem oględziny statku. Nie znalazłem niczego interesującego. Osłonięty tunel – i jednocześnie komora powietrzna – biegł tylko po lewej stronie kadłuba. Drugiego nie było. Nie zauważyłem też czego wjazdu. Kiedy wróciłem do schodków, czekały tam już cztery nowe osoby z bagażem: dwaj mężczyźni, jeden Craea i... młoda kobieta! Coś takiego!

– Aaa... jest pan! – zawołał Jones, gdy wyłoniłem się spoza mniejszej kuli. – Oto nasz pilot i nawigator, kochani. Kapitan McKell.

– Miło mi – powiedziałem i obrzuciłem grupkę przelotnym spojrzeniem. – Mam nadzieję, że ktoś wie, co się tu dzieje.

– Jak to? – parsknął jasny blondyn po dwudziestce. Był chudy jak szczapa i strasznie nerwowy. – Pan jest pilotem, no nie? Myślałem, że piloci zawsze wszystko wiedzą.

– Widzę, że czytuje pan nasze propagandowe broszurki – odrzekłem. – To się chwali.

Zmarszczył brwi.

– Jakie propagandowe broszurki?

– Żartuję – wyjaśniłem. Pożałowałem, że w ogóle zacząłem. Wyraźnie brakowało mu poczucia humoru. – Wynajęto mnie na ulicy – ciągnąłem. – Jak was wszystkich.

Byłem ciekaw ich reakcji, ale nikt nie zaprzeczył, że zaproszono go tutaj w taki sam sposób, jak mnie.

– Na pewno wszystko się wyjaśni, kiedy zjawi się nasz pracodawca – dodałem.

– Jeśli się zjawi – mruknął mężczyzna około trzydziestki. Miał przedwcześnie posiwiałe włosy i spokojne, badawcze spojrzenie. Był mniej muskularny od Jonesa, ale dobrze zbudowany.

– Zjawi się, nie ma obawy – zapewniłem bez wielkiego przekonania. Camerona poszukiwano za morderstwo, co niewątpliwie krępowało jego swobodę działania. – A na razie proponuję, żebyśmy się sobie przedstawili.

– Jasne – zgodził się siwy. – Nazywam się Almont Nicabar, ale mówcie do mnie Revs. Jestem dyplomowanym silnikowcem, choć mam też uprawnienia mechanika pokładowego.

– Naprawde? – zainteresował się Jones. – Gdzie szkoliłeś się na mechanika?

– Nie ukończyłem oficjalnego kursu – odrzekł Nicabar. – Wszystkiego nauczyłem się w wojsku.

– Nie żartuj?! – wykrzyknął Jones. – A gdzie służyłeś? – Nasz mechanik był wyraźnie towarzyskim typem.

– Słuchajcie, może odłożymy takie gadki na później, dobra? – wtrącił się nerwus, strzelając oczami na każdego przechodzącego kosmonautę.

– Jestem otwarty na wszelkie propozycje – powiedziałem. – Ale dopóki wąż jest zamknięty...

Chłopak spojrzał w górę.

– To go otworzymy – przerwał mi niecierpliwie. – Żaden problem. Taką gównianą klapę rozwalę w pół minuty.

– Niezbyt dobry pomysł – ostrzegł Jones. – Mógłbyś uszkodzić uszczelnienie komory powietrznej.

– I wtedy nasz specjalista od napraw kadłuba nie miałby już co robić – zwróciłem się do Craei. – A pan jest...?

– Chort – odpowiedział obcy. Miał melodyjny, świszczący głos o niezwykłej tonacji, typowy dla jego gatunku. Ten osobliwy dźwięk zawsze fascynował albo frustrował inne istoty. – Skąd pan wiedział, że jestem kosmicznym wędrowcą?

Skłoniłem się z szacunkiem.

– Jest pan zbyt skromny. Sława Craei sięga daleko. Macie reputację najlepszych. To dla nas zaszczyt, że leci pan z nami.

Chort odklonił się. Miękka niebieskozielona łuska na jego ciele zamigotała w słońcu. Jak większość współplemieńców był niski i szczupły. Miał białe oczy i zębaty, ptasi dziób zamiast ust. Na głowie wyrastał mu krótki pierzasty grzebień w stylu Mohawk. Nie byłem w stanie określić jego wieku; równie dobrze mógł mieć piętnaście, jak osiemdziesiąt lat.

– Jest pan zbyt uprzejmy – odrzekł.

– Ależ nie – zapewniłem najbardziej szczerze jak umiałem. Cała craeańska rasa uwielbiała stan nieważkości, czy to przy pracy, czy przy zabawie. Te zwinne, drobne istoty doskonale nadawały się do kosmicznych wędrówek wokół statku. Co więcej, miały jakby szósty zmysł, który pozwalał im wykrywać uszkodzenia kadłuba, zdarzające się często w hiperprzestrzeni z powodu panującego tam ciśnienia. Potrafiły też ocenić stan płyty samym dotykiem.

Przedstawiciele tej rasy byli bardzo poszukiwanymi specjalistami. Właściciele statków używali pochlebstw i przekupstwa, byle tylko podkraść ich konkurencji. Nie miałem pojęcia, jak Cameronowi udało się ściągnąć tu Chorta, ale uznałem, że trochę pochwał nie zaszkodzi. Lepiej, żeby z nami został.

Niestety, nasz nerwus albo nie rozumiał tych subtelności albo miał to gdzieś.

– Nie wysiłaj się, człowieku – parsknął. – Zobaczyl twój bagaż, Chort. Widać, że masz kombinezon.

Niebieskozielona łuska przybrała ze zdumienia bladoczerwony kolor.

– Och... No tak, oczywiście. To też, na pewno.

Z trudem stłumiłem niechęć do chłopaka.

– Proszę się nim nie przejmować – zwróciłem się do Chorty. – To nasz dyplomowany ekspert od dyplomacji.

Jones zachichotał. Chłopak spojrzał na mnie wilkiem.

– Jestem elektronikiem.

– A nazywasz się jakoś? – spytał Nicabar. – Czy mamy do ciebie mówić Narwaniec?

– Dobra, dobra... – warknął nerwus. – Shawn. Geoff Shawn. Odwróciłem się do kobiety.

– Została tylko pani. – Była szczupła, czarnowłosa i opalona. Miała piwne oczy i wyglądała na dwadzieścia pięć lat. Podobnie jak Shawn bardziej interesowała się przechodniami, niż naszym małym zebraniem zapoznawczym. – Pani specjalność to komputery i medycyna?

Rzuciła na mnie okiem i znów odwróciła wzrok.

– Tylko komputery. Nazywam się Tera.

– A dalej? – zapytał Jones.

Przeszła go zimnym spojrzeniem.

– Po prostu Tera.

– Tak, ale...

– Po prostu Tera – przerwałem Jonesowi i dałem mu znak, żeby nie naciskał. Może była nieśmiała, i to wszystko. Ale wiedziałem też, że są sekty religijne, których członkowie nie podają nazwisk postronnym osobom. Tak czy inaczej, drażnienie tematu nie miało sensu. Chciałem uniknąć zadrażnień wśród załogi. Atmosfera była już wystarczająco napięta.

– Brakuje nam tylko lekarza – zauważył Nicabar, zgrabnie przezywając kłopotliwe milczenie. – Ciekawe, gdzie się podziewa?

– Może pije z Borodinem – podsunał kwaśno Shawn. – Posłuchajcie, to głupota, żeby tak tu stać. Na pewno właz jest zablokowany?

– Nie krępuj się, spróbuj – zachęciłem i wskazałem klawiaturę. Zastanawiałem się, co dalej. Nie chciałem zostawiać tu Camerona, zwłaszcza z ciężącym na nim oskarżeniem o zabójstwo. Jeśli jednak Ihmisiści już go dopadli, po co tu dłużej sterczeć? Może powinienem zadzwonić na pokład „Burzowej Chmury” do Ixila i niech to po cichu sprawdzi?

Nade mną szczęknęły rygle i zasyczał mechanizm hydrauliczny. Odwróciłem się i zobaczyłem otwarty właz. Spojrzałem na Shawna.

– Jak to zrobiłeś?

– Co to znaczy, jak to zrobiłem? – odszczeknął. – Nacisnąłem ten cholerny klawisz z napisem „Otwarte”. Wcale nie było zablokowane, palanty.

Jones zmarszczył brwi.

– Borodin widocznie nastawił włącznik czasowy. Ciekawe po co?

– Może nie przyjdzie – podsunęła Tera. – I nigdy nie miał takiego zamiaru.

– Bez zaliczki nigdzie nie lecę – oświadczył Shawn.

– Na razie nie wiemy nawet, dokąd mamy lecieć – uświadomiłem mu. Podszedłem do schodków i spojrzałem w górę. Były lekko przechylone w prawo. Jeszcze jedno partactwo na mojej długiej liście. Przy wejściu paliła się lampa sufitowa. Poza tym niczego nie mogłem dostrzec.

– Powiedział mi, że polecimy na Ziemię – odezwał się Chort.

– Owszem, ale Ziemia jest duża – przypomniałem mu. – Mnóstwo tam lądowisk w różnych miejscach. W każdym razie, chyba możemy wejść. – Wziąłem torbę i wspiąłem się na stopnie.

– Zaczekaj, Jordan – zawołał Jones. – Ktoś biegnie.

Odwrociłem się. Zza rufy pobliskiego statku wyłonił się wielki, brzuchaty facet z dwiema torbami podróżnymi. Wyglądał jak truchtający hipopotam.

– Nie odlatujcie beze mnie! – wrzasnął. – Już jestem!

– A pan to kto? – odkrzyknąłem.

Grubas zatrzymał się obok Tery i wziął głęboki oddech.

– Hayden Everett. Lekarz. Uff! Miałem kłopoty przy braniu. Myślałem, że nie zdążę.

– Bez obaw, nie jesteś pan ostatni – uspokoił go Jones. – Naszego szefa jeszcze nie ma.

Everett ściągnął brwi.

– Naprawdę?

Lekarz miał krótkie, czarne włosy, niebieskie oczy i lekko spłaszczony nos. Takie twarze zawsze kojarzyły mi się z zawodowcami uprawiającymi sporty kontaktowe. Teraz jego imponujące cielsko obrosło tłuszczem, ale był dobrze umięśniony. Zbliżył się do pięćdziesiątki, i wokół ust i oczu marszczyła mu się skóra.

Chyba biegł od samej bramy, ale nawet się nie spocił. I wcale nie dyszał. Mimo wieku i otyłości, nie miał widocznie problemów z układem sercowo-naczyniowym.

– Naprawdę – potwierdził Jones. – Co teraz robimy, McKell?

– Wchodzimy do środka – odparłem i ruszyłem w górę. – Revs, idź do maszynowni i zacznij kontrolę przedstartową. Ja poszukam sterowni. Reszta niech wniesie bagaże i znajdzie swoje stanowiska.

Biorąc pod uwagę dziwną budowę „Icarusa”, rzuciłem im wyzwanie. Czekala mnie jednak miła niespodzianka. Tunel okrężał mniejszą kulę i kończył się ciśnieniowymi drzwiami na powierzchni większej. Wyraźnie służył za komorę powietrzną dla całego statku. Przy drzwiach wisiał rozkład pomieszczeń.

– Praktycznie – pochwaliła Tera, kiedy w sześcioro stłoczyliśmy się wokół. Nicabar już zdążył pójść w przeciwnym kierunku do maszynowni. – Gdzie jest kabina komputerowa...? O, już widzę. Dziwne usytuowanie.

Rozległy się potakujące pomruki. Wnętrze statku było nietypowe, tak jak wygląd zewnętrzny. Kula miała trzy poziomy. Sterownia mieściła się w zwykłym miejscu, tuż za dziobem, na środkowym pokładzie. Ale kabina komputerowa nie łączyła się z nią, choć powinna. Znajdowała się po przeciwnej stronie i przylegała do ściany dzielącej obie kule. Była na prawo od linii centralnej, dokładnie za ścianą, na którą teraz patrzyliśmy. Dwa warsztaty, mechaniczny i elektroniczny, oraz służę ewakuacyjną stłoczono razem na lewej burcie. Niewątpliwie wibracje i hałas elektroniki przenikały przez ściankę działową. Ambulatorium i kuchnię z mesą umieszczono po drugiej stronie korytarza, przed kabiną komputerową.

Na górnym pokładzie sześć ciasnych klitek służyło za kabiny sypialne. Sąsiadowały z niewiele większą toaletą i dwoma głównymi magazynami. Na dolnym pokładzie były jeszcze dwie kabiny sypialne, druga toaleta, następny magazyn oraz aparatura do odzyskiwania i oczyszczania wody i powietrza. Podręczne schowki rozmieszczono dosłownie wszędzie, zapewne według uznania konstruktora. Wszystkie pokłady łączyły dwie drabinki; jedna tuż za sterownią, druga z tyłu, blisko tunelu.

Zauważyłem, że również tunel i przedział silnikowy narysowano z najdrobniejszymi szczegółami. Natomiast mniejsza kula wyglądała na monolit. Określono ją tylko słowem „Ładownia”.

Nie zaznaczono żadnych luków ani włazów. Cameron miał rację; rzeczywiście była „zaplombowana”. I to na amen.

– Ten statek to najgłupsza konstrukcja, jaką widziałem – stwierdził z niesmakiem Shawn. – Kto go zbudował?

– Powinno być napisane na schemacie – poinformowałem. – Tero, sprawdź to, jak tylko włączysz komputer. Wyszukaj plany, żebyśmy wiedzieli, na czym stoimy. Reszta niech się zainstaluje. W razie czego jestem w sterowni.

Miałem teraz pod górkę. Dosłownie. Pokłady „Icarusa” wznosiły się pod tym samym kątem, co cały statek. Poszedłem korytarzem do końca i dotknąłem przycisku na środku drzwi.

Przy rozmiarach „Icarusa” spodziewałem się większej sterowni, niż w „Burzowej Chmurze”. Tymczasem było odwrotnie. Ale przynajmniej Cameron i jego kumple nie oszczędzali na niezbędnym wyposażeniu. Na prawo od wejścia zobaczyłem stanowisko pilota – pełną konsolę dowodzenia Wurlitz i wojskowy, aktywny fotel, przytrzymujący ciało przy manewrach. Widok na resztę statku zapewniało pół tuzina monitorów Valerian. Imponujący wyświetlacz Hompson RealiTeev był włączony i pokazywał dziób „Icarusa”. Lewą część sterowni zajmował pulpit nawigacyjny Gorsham połączony z systemem gromadzenia danych Kemberly.

Na środku leżała koperta. Obok stała metalowa kasetka.

Podszedłem, przykucnąłem i przyjrzałem się jej uważnie. Nie zauważyłem przewodów, odbarwień ani mechanizmu spustowego. Nie wyglądała na pułapkę. Wzięłem głęboki oddech i uchyliłem wieczko.

Nic nie trzasnęło, nie błysnęło, nie zasyczało, ani nie wybuchło mi w twarz. Może na starość staję się paranoikiem. Wypuściłem powietrze z płuc i otworzyłem kasetkę do końca.

W środku były pieniądze. Nowiutkie banknoty stukommar-kowe. Cała masa.

Postawiłem kasetkę na pulpicie i rozdarłem kopertę. Znalazłem w niej oryginały dokumentów „Icarusa” i odręcznie napisany list.

Do kapitana

Z przyczyn ode mnie niezależnych nie będę mógł towarzyszyć Panu w podróży. Powierzam Panu „Icarusa”. Wierzę, że jest Pan człowiekiem honoru, i mam nadzieję, że doprowadzi go Pan wraz z ładunkiem na Ziemię.

Po wejściu na orbitę okołoziemską proszę skontaktować się ze Stannem Avery. Numer wideotelefonu podaję na dole kartki. Udzieli Panu instrukcji, gdzie dostarczyć ładunek, i wypłaci resztę pieniędzy. Jeśli statek i zawartość ładowni dotrą na miejsce nienaruszone, Pan i załoga otrzymacie dodatkowo bardzo wysoką premię.

Zaliczkę dla wszystkich znajdzie Pan w kasetce. Zostawiam też pieniądze na paliwo i opłaty portowe.

Przepraszam za nagłą zmianę planów. Nie przesadzę, jeśli powiem, że ta podróż to najważniejsza misja w Waszym życiu. Może nawet najdonioślejszy czyn, jakiego ludzkie istoty dokonały do końca tego stulecia.

Powodzenia, i proszę mnie nie zawieść. Być może w Pańskich rękach leży przyszłość ludzkości.

Aleksander Borodin.

Najpierw pomyślałem, że Cameron naprawdę powinien przestać oglądać wieczorami melodramaty i thrillery kosmiczne. Potem, że bez żadnego uprzedzenia podrzucił mi jakieś cholernie śmierdzące jajo.

– McKell? – rozległ się za mną kobiecy głos.

Odwrociłem się. Do sterowni weszła Tera.

– O co chodzi?

Rozejrzała się.

– Chciałam sprawdzić, czy nie wpakowali tu głównego komputera.

Zmarszczyłem brwi.

– O czym ty mówisz? Nie ma go w kabinie komputerowej?

Skrzywiła się.

– Myślałam, że tamten szmelc to tylko rezerwa.

Znów poczułem na plecach znajome, zimne łapki biegających fretek. Komputer to centralny nerw całego statku.

– Szmelc? – zapytałem ostrożnie.

– No jasne. Noe miał lepszy na swojej arce – odparła ponuro. – To stary Worthram T-66. Bez pomocniczego ośrodka decyzyjnego, bez interfejsu głosowego, bez monitoringu nanosekundowego. Takiego oprogramowania nie widziałam od czasów szkolnych. Bez autonomicznych funkcji czy zdolności wydawania poleceń alarmowych... Wymieniać dalej?

– Nie, już mam pełny obraz – westchnąłem ciężko. W porównaniu z normalnym statkiem byliśmy na wpół ślepi, głusi i zamroczeni, jak po ciosie pałą w łeb. Nic dziwnego, że Cameron nie wszedł na pokład. – Poradzisz sobie jakoś?

Uniosła rękę.

– Jak powiedziałam, to echo odległej przeszłości. Ale pewnie coś zdziałam. Muszę sobie przypomnieć, jak się do tego zabrać. To trochę potrwa. – Skinęła głową w kierunku listu w mojej dłoni. – Co to?

Podąłem jej kartkę.

– Wiadomość od kierownika wycieczki. Miałaś rację; sami wyruszymy w podróż.

Przeczytała tekst. Najpierw zmarszczyła czoło, potem skrzywiła się.

– Fajnie. Musiał to zostawić wczoraj wieczorem przed zamknięciem portu. – Oddała mi list.

– Albo udało mu się wejść i wyjść dziś rano – podsunąłem.

– Jeśli tak, to szybko się uwinął – warknęła. – Przyszłam tu najwcześniej jak mogłam. I co teraz?

– Lecimy na Ziemię, rzecz jasna – odparłem. – Zgodziliśmy się. Chyba że masz randkę albo coś innego.

– Nie wygłupiaj się – parsknęła. – A co z forszą? Obiecał mi zaliczkę. Tysiąc kommarek.

Poklepałem kasetkę.

– Pieniądze są tutaj. Jak tylko skończę kontrolę przedstartową, zrobię wypłatę, i zawiadomię resztę, jaka jest sytuacja.

Spojrzała na kasetkę, potem na mnie.

– Myślisz, że wszyscy zostaną?

– A dlaczego nie? Jeśli o mnie chodzi, to dopóki mi płacą, odwalam swoją robotę. Inni chyba też.

– Obejmujesz dowództwo?

Wzruszyłem ramionami.

– Tak mówi Kodeks Handlowy. Najważniejszy jest właściciel statku, potem jego pełnomocnik, kapitan, i pilot. Jestem pilotem.

– Wiem. Chciałam się tylko upewnić. To do akt.

– Więc podaję do akt, że od tej chwili oficjalnie dowodzę „Icarusem”. Zadowolona?

– Wręcz zachwycona – odrzekła z nutą sarkazmu w głosie.

– To świetnie. Wracaj na stanowisko i zacznij walczyć z T-66. Za kilka minut przyniosę ci forszę.

Po raz ostatni zerknęła na kasetkę, potem skinęła głową i wyszła ze sterowni.

Położyłem papiery i kasetkę na kolanach, i zająłem się przygotowaniami do startu. Ścisnęło mnie w żołądku. Może list Camerona był przesadnie dramatyczny, ale potwierdzał moje podejrzenia. Nabrałem ich, jak tylko przysiadł się do mnie w tawernie i zaproponował mi pracę.

Gdzieś na pustkowiu Meimy grupa jego archeologów coś znalazła. Coś dużego i ważnego.

Teraz to „coś” tkwiło czterdzieści metrów za mną, w zaplombowanej ładowni „Icarusa”.

Dałbym wiele, żeby dowiedzieć się, co to jest.

3

Mimo że Cameron zostawił mi kody odprawy celnej i papiery „Icarusa”, spodziewałem się kłopotów. Niepotrzebnie. Ku mojemu zaskoczeniu, wieża dała nam zezwolenie na start. Wyrzutnia na stanowisku lądowniczym wypchnęła nas do góry i znaleźliśmy się w kręgu promieni grawitacyjnych. Kilka minut później wznosiliśmy się o własnych siłach.

Po rewelacjach Tery na temat archaicznego komputera obawiałem się, co będzie z napędem. Mój pesymizm okazał się jednak bezpodstawny, a przynajmniej przedwczesny. Silniki pracowały równo, i spokojnie sunęliśmy przez atmosferę ku granicy szybu grawitacyjnego Meimy. Kilkakrotnie łączyłem się z maszynownią i za każdym razem Nicabar zapewniał mnie, że wszystko gra.

Ale coś mi mówiło, że to nie potrwa długo. Czuję to. Kiedy kondensatory w głowicy wyładowały się do ostrzy dziobowych i wycięły nam otwór do hiperprzestrzeni, uznałem za nieprawdopodobne, by dalej też szło tak gładko.

Sześć godzin po opuszczeniu Meimy zaczęły się pierwsze kłopoty.

Najpierw do sterowni dotarł odległy, upiorny pisk. Wdusiłem duży czerwony przycisk „Stop”, i szybko rzuciłem okiem na monitory. Z kondensatorów znów dobiegł trzask i wróciliśmy do normalnej przestrzeni.

– McKell? – zawołał przez interkom Nicabar. – Obniżyłeś nas?

– Tak. Chyba mamy pęknięcie. Odczytujesz jakiś spadek ciśnienia?

– Nie. Kadłub wewnętrzny musi być w porządku. I nic nie słyszałem. To pewnie w twoim końcu statku.

– Możliwe – zgodziłem się. – Każę Chortowi sprawdzić.

Połączyłem się ze służą ewakuacyjną. Chort już wkładał kombinezon próżniowy do wyjścia na zewnątrz. Poszedłem w kierunku rufy. Jednym z największych problemów podczas podróży w hiperprzestrzeni było działanie „siły parasynbarycznej”, jak to nazywali eksperci. My, nie-eksperci, określaliśmy to po prostu jako „ciśnienie hiperprzestrzenne”. Statki poruszające się w hiperprzestrzeni przez cały czas podlegały jego działaniu. Ciśnienie zależało od masy, szybkości i powierzchni statku, i wyrażała je skomplikowana formuła. Poszycie pierwszych, eksperymentalnych maszyn zazwyczaj ulegało spłaszczeniu. Nawet teraz mniejszym statkom zdarzała się przynajmniej jedna awaria kadłuba podczas lotu, wymagająca bieżącej, specjalistycznej naprawy.

Biorąc pod uwagę wygląd zewnętrzny „Icarusa”, dziwiłem się, że w ogóle dolecieliśmy tak daleko.

Kiedy nadszedłem, Tera i Everett stali na korytarzu przed służą ewakuacyjną. Przyglądali się, jak Jones pomaga sprawdzić ekwipunek Chortowi ubranemu w kombinezon.

– Niedługo to trwało – skomentowała Tera. – Wiecie, gdzie szukać uszkodzenia?

– Zapewne jest gdzieś na większej kuli – odrzekłem. – Komputer nic nie wskazał?

Pokręciła głową.

– Jak mówiał, to stary grat. Tylko makrosensory, żadnych zdolności prognozowania.

– Nie ma obawy – odezwał się Chort. Hełm tłumił jego świszczący głos. – Ten pisk nie brzmiał groźnie. Znajdę uszkodzenie i naprawię.

– Ktoś powinien z nim pójść do tunelu – zauważył Jones. – Sprawdziłem wcześniej, i nie ma tam żadnych złączy czy zaczepów do liny ratowniczej, jak w standardowych komorach powietrznych.

Ja też ich nie widziałem.

– Zgłaszasz się na ochotnika? – zapytałem.

– Jasne – odparł. Był wyraźnie zdziwiony, że w ogóle pytam. – Wiesz, że taka asysta to z reguły przywilej mechanika.

– Nie obchodzą mnie reguły – skontrowałem. – Bardziej to, czy mamy na pokładzie kombinezon, który będzie na ciebie pasował. Tero, sprawdź w komputerze.

– Już sprawdziłam. Są trzy. Schowek numer piętnaście. Ale nie podano rozmiarów.

– Pójdę zobaczyć – zaproponował Jones. Skończył zabezpieczać Chorta i przecisnął się obok niego. – To na dolnym poziomie, Tero?

– Tak. Przed kabiną numer siedem.

– Dobra. – Jones ominął mnie i podszedł do tylnej drabinki.

– Ciekawe jak on to zrobi? – zapytał Everett. – Wejdzie do tunelu i będzie trzymał Chorta na linie ratowniczej?

– W zasadzie tak – przyznałem. – Na zewnątrz, tuż obok wjazdu, jest zaczep do liny pomocniczej. Chort z niej skorzysta, ale Jones będzie napinał główną. Inaczej mogłaby zahaczyć o wyłoty manewrowe albo się poplątać. To strata czasu.

– Słyszałam też, że poplątane liny powodują fałszywe odczyty sensorów – dodała Tera. – Mógłby naprawić nie tę płytę poszycia, co trzeba.

– To się nie zdarzy – uspokoił ją Chort. – Rozpoznam uszkodzenie, kiedy tam dotrę.

– Na pewno – przytaknął Everett i wgramolił się na drabinkę. – Sprawdź, czy Jones nie potrzebuje pomocy.

W schowku istotnie były trzy kombinezony. Jeden pasował na Jonesa. Everett pomógł mu się ubrać, i po kwadransie nasz mechanik mógł zacząć działać. Pięć minut później znalazł się z Chortem w tunelu. Drzwi na obu końcach komory powietrznej zostały zablokowane. Wróciłem do sterowni i skierowałem kamerę na kadłub.

– Jestem gotów – zawołałem przez interkom. – Revs, wyłącz grawitację.

– Dobra – odpowiedział z maszynowni Nicabar.

Generator grawitacji przestał pracować i natychmiast poczułem to w żołądku. Sprawdziłem szczelność komory powietrznej i połączyłem się z kombinezonami.

– Do dzieła, Chort. Uważaj na niego, Jones.

Zważywszy, że za chwilę miała ich rozdzielić długość liny, moje przypomnienie było niepotrzebne, a nawet śmieszne. Zanim wąż otworzył się do końca, Chort już wyładował na powierzchni kadłuba. Zatrzymał się na moment i przyczepił linę pomocniczą. Potem powędrował dalej. Tak zgrabnie używał haków i przylepców, jakby urodził się w stanie nieważkości.

– Mogę popatrzeć? – dobiegło od drzwi.

Obejrzałem się. Za progiem sterowni unosił się Shawn. Wpatrywał się w monitory ze skupioną, ale dziwnie chłodną miną.

– Jasne – odrzekłem.

– Dzięki. – Wmanewrował się do środka i zawisł obok mojego fotela. – W warsztacie elektronicznym nie ma monitorów, a jeszcze nie widziałem, jak Craea spaceruje w kosmosie.

– Widok godny zapamiętania – zgodziłem się. Popatrzyłem na jego profil i uniosłem brwi ze zdumienia. Nerwowy, sarkastyczny chłopak zmienił się w ciągu ostatnich sześciu godzin nie do poznania. – Jak leci? – zagadnąłem.

Uśmiechnął się wstydliwie.

– Chodzi o to, że już nie zachowuję się jak świr?

– Tak bym tego nie ujął, ale skoro już o tym mowa...

Skrzywił się.

– Tak, wiem. To jeszcze jeden powód, dla którego tu jestem. Chciałem przeprosić. Byłem... chyba za nerwowy. Znaleźliśmy się w dość głupiej sytuacji. Nie radzę sobie w takich chwilach. Zwłaszcza wcześniej rano.

– Też mam czasami problemy o tej porze – wyznałem i wróciłem wzrokiem do monitorów. – Nie przejmuj się.

– Dzięki. On jest naprawdę dobry, nie?

Przytaknąłem. Chort poruszał się wolno wzdłuż osłony maskującej połączenie kul. Szybą hełmu niemal dotykał kadłuba i uważnie oglądał powierzchnię. Od czasu do czasu przystawał i badał poszycie długimi palcami. Kilkakrotnie wyciągał jakąś tubę z pojemnika na ramionach. Chciałem go zapytać przez radio, co

robi, ale zrezygnowałem. Z pewnością znał się na rzeczy i nie było sensu zawracać mu teraz głowy. Postanowiłem, że na następnym postoju zdobędę zestaw kamer dających lepsze zbliżenie kadłuba.

W głośniku rozległ się tak nieoczekiwany świst, że obaj z Shawnem podskoczyliśmy. Przy zerowej grawitacji taki ruch natychmiast stwarza pewne kłopoty. Chwyciłem się pasów bezpieczeństwa i przyciągnąłem z powrotem do fotela.

– Mam – oznajmił Chort. – To tylko małe pęknięcie. Łatwe do naprawienia.

Znów wyciągnął jakieś tuby i zabrał się do pracy.

– Nigdy tego nie zrozumiem – odezwał się Shawn. – Jeśli ten uszczelniacz jest taki dobry do napraw, to dlaczego nie smarują nim od razu całych kadłubów?

– Nieźle pytanie – przyznałem i zerknąłem na niego ukradkiem. Spokojny, przyjaźnie nastawiony, i nawet potrafi inteligentnie rozmawiać. Postanowiłem w przyszłości nie odzywać się do niego, dopóki nie wypije porannej kawy, czy czego tam używa.

Jeśli współplemieńcy Chorta potrafili to samo co on, to nic dziwnego, że tak o nich zabiegano. Zakleił pęknięcie w dziesięć minut, zauważył w tym samym miejscu dwie promieniste rysy i też je zalepił.

– Załatwione – powiedział. – Obejrzę jeszcze resztę kuli, chociaż to był chyba jedyny problem.

– W porządku – zgodziłem się. – Ale zanim pójdziesz dalej, może cofniesz się i rzucisz okiem na ładownię i przedział silnikowy?

– Dobrze. – Odwrócił się i skierował ku mniejszej kuli. Zatrzymał się skreślił w dół, w stronę tunelu, i nagle...

Poczułem znajome sensacje w żołądku i ciężko opadłem na fotel. Shawn runął jak kamień na pokład. Wrzasnął z przerażenia i bólu, ale ledwo to zauważyłem. Nie do wiary! Pole grawitacyjne „Icarusa” znów zaczęło działać! Jak to się stało?

Zobaczyłem ze zgrozą, jak Chort uderza o mniejszą kulę i spada. Odbił się od tunelu i zniknął z ekranu monitora.

– Revs! – krzyknąłem do interkomu, pośpiesznie przestawiając kamerę. – Wyłącz to!

– Ja tego nie włączyłem – zaprotestował.

– Gównu mnie obchodzi, kto to zrobił! – wściekłem się. – Masz to wyłączyć!

Chort pojawił się w polu widzenia. Wisiał bezwładnie na linie pomocniczej niczym kukielka na sznurku. Znalazł się na „dnie” sztucznego pola grawitacyjnego, które wytworzył wokół nas generator „Icarusa”.

– Nie mogę tego wyłączyć – zameldował Nicabar. – Przyrządy nie działają.

Zacisnąłem zęby.

– Tera?

– Ja też próbuję – odpowiedziała. – Ale komputer się zawiesił.

– To odetnijcie zasilanie całej części statku – warknąłem. – Ktoś to chyba potrafi?

– Pracuję nad tym – mruknął Nicabar.

– Komputer nadal zawieszony – dodała Tera. – Nie widzę Chorta... Nic mu się nie stało?

– Skąd mam wiedzieć? – parsknąłem. – Nie dowiemy się, dopóki go nie ściągniemy z powrotem i...

Nagle mnie zatkało. Przede wszystkim, dlaczego Chort odleciał tak daleko? Jones nie wybrał od razu liny głównej? To na co jeszcze czeka? Powinien już zacząć ściągać Chorta.

Dopiero teraz spojrzałem na monitor pokazujący zewnętrzny widok wjazdu i wszystko stało się jasne. Z otwartej klapy zwisała luźno lina główna, a obok bezwładna ręka. Ręka Jonesa.

Nie poruszała się.

– Revs, masz tam kombinezon? – zawołałem. Próbowałem tak ustawić kamerę, żeby zajrzeć głębiej do środka, ale bez skutku. Zakląłem pod nosem. Jones wyłączył oświetlenie nad włazem i obiektyw nie mógł przeniknąć mroku.

– Nie – odkrzyknął Nicabar. – A co się... O cholera!

– Właśnie – odburknąłem. Przy otwartym włazie tunel był całkowicie odizolowany od reszty statku przez drzwi uszczelnione na obu krańcach. Mógłbym zamknąć właz ze sterowni, gdyby nie ręka Jonesa; uniemożliwiała uszczelnienie klapy.

Żeby do niego dotrzeć, musielibyśmy znacznie obniżyć ciśnienie po jednej stronie statku, a potem otworzyć drzwi. Ale nie mogliśmy wypuścić powietrza z kuli – mieliśmy tylko dwa kombinezony na cztery osoby. I nie wierzyłem, że drzwi wytrzymają

przeciążenie, gdy powstanie próżnia. Nie mogliśmy również zrobić tego z maszynownią, bo był tam Nicabar bez kombinezonu. Rzuciłem okiem na monitory, szukając jakiegoś wyjścia.

– Rusza się! – zawołał nagle Nicabar. – McKell, Chort się rusza!

Zacisnąłem pięści. Ciało Craei zaczęło podrygiwać jak w niespokojnym śnie.

– Chort? – powiedziałem do mikrofonu. – Tu McKell. Otrząśnij się, jesteś nam potrzebny.

– Słyszę – odrzekł słabym głosem. – O co chodzi?

– Włączyła się grawitacja. Teraz to nieważne. Coś się stało Jonesowi, nie odpowiada. Chyba jest nieprzytomny. Możesz wspiąć się do niego po linie?

Czekałem na odpowiedź dłuższą chwilę. Patrzyłem na monitory i zastanawiałem się, czy Chort znów nie zemdłał. Nagle drgnął. Potem zaczął wciągać się po linie ze zwinnością pająka.

Po trzydziestu sekundach był w tunelu i odsunął Jonesa od włazu. Zamknąłem klapę i przywróciłem normalne ciśnienie wewnętrzne.

Dwie minuty później obaj znaleźli się w środku statku.

Niestety, za późno.

– Przykro mi, McKell – westchnął Everett i zakrył kocem twarz Jonesa. – Nie żyje od co najmniej dziesięciu minut. Nic nie mogę zrobić.

Popatrzyłem na ciało na stole lekarskim. W porcie nazwałem go w duchu zdecydowanie towarzyskim typem. Teraz był zdecydowanie martwy.

– Zawinił aparat tlenowy?

– Z całą pewnością. – Everett wziął urządzenie i otworzył. – Przestał czerpać z powietrza dwutlenek węgla i zaczął podawać tlenek węgla. Bardzo wolno. Jones pewnie nawet nie zauważył, co się dzieje. Po prostu zasnął na zawsze.

Spojrzałem na aparat w jego wielkich dłoniach.

– Wypadek?

Spojrzał na mnie dziwnie.

– Masz z tym do czynienia cały czas. Czy coś takiego może zdarzyć się przypadkiem?

– Myślę, że to możliwe – odparłem. Nagle przypomniałem sobie nocne poszukiwania, które obserwowaliśmy z Ixilem. Nie, to nie wypadek. Nie ma mowy. Ale nie miałem zamiaru się paniki.

– Hm... – mruknął Everett. Obejrzał urządzenie, zamknął i odłożył. – Wiem, że nie jesteś teraz w nastroju, żeby błogosławić los, ale zauważ, jakie mieliśmy szczęście. Chort mógł skrócić kark i stracilibyśmy ich obu.

– Dziękuję za takie „szczęście” – burknąłem. – Oglądałeś już Chorta?

Chrząknął.

– Twierdzi, że nic mu nie jest. Nie chce, żebym go zbadał. Musiałbyś wydać taki rozkaz.

– W porządku, nie trzeba – odparłem. Nie słyszałem, żeby kultura craeańska była wyjątkowo stoicka. Jeśli Chort uważał, że nic mu nie jest, to pewnie miał rację.

Zastanawiałem się, co będzie dalej. Ktoś fałszywie oskarżył Camerona o morderstwo i skutecznie odstraszył od wejścia na pokład „Icarusa”. Mnie prawie posądzono o współudział. Teraz Jones stracił życie, a Chorta o mały włos nie spotkało to samo.

I to wszystko w niespełna osiem godzin od startu. Nad „Icarusem” wisiało jakieś przekleństwo.

– Szkoda... – wyrwał mnie z zamyślenia Everett. – Chodzi mi o to, że Jones był mechanikiem. Chyba tylko on mógłby ustalić, co stało się z generatorem grawitacji. Teraz już się tego nie dowiemy.

– Zapewne – przyznałem z udawaną rezygnacją. Jeśli Everett czy ktokolwiek inny myślał, że uwierzę w nieszczęśliwy wypadek, to nie zamierzałem wyprowadzać go z błędu. – Tak zazwyczaj bywa. Rzadko udaje się znaleźć przyczynę awarii.

Współczująco pokiwał głową.

– I co teraz?

Spojrzałem na ciało Jonesa.

– W najbliższym porcie przekazemy go władzom. Potem polecimy dalej.

Everett zmarszczył brwi.

– Bez mechanika? W statku tej wielkości powinni być wszyscy wymagani specjaliści.

– Nie ma problemu – uspokoiłem go. – Na razie zastąpi go Nicabar. Po wylądowaniu sprowadzę znajomego mechanika. Jest tani.

Zaczął wydawać jakieś odgłosy świadczące o zdumieniu, ale już byłem na korytarzu. Według planu podróży Camerona pierwsze tankowanie mieliśmy na Trottsen, odległej o siedemdziesiąt dwie godziny lotu. Ale wystarczyła lekka zmiana kursu, żeby znaleźć się na Xanthru, o dziewięć godzin stąd. Ixil miał tam dostarczyć nielegalny ładunek Brata Johna. Potrzebowaliśmy nowego mechanika, a Ixil pasował doskonale.

Poza tym, bardzo chciałem mieć go teraz przy sobie. A mówiąc ściślej, za sobą, żeby osłaniał mój tyłek.

4

Łądowisko Parquet na Xathru nie różniło się od tysiąca innych portów średniej wielkości rozrzuconych po całej Spirali. Nie mogło równać się z Qattara Axial, czy podobnymi portami klasy międzyspiralnej, ale było o niebo lepsze od małych, regionalnych lądowisk w stylu Meimy. Nie miało płaskich stanowisk lądowniczych, tylko łagodne zagłębienia, odpowiadające kształtom standardowych statków.

Rzecz jasna, nikt przy zdrowych zmysłach nie przewidziałby, że zawita tu takie dziwadło, jak „Icarus”. Mimo że połowa jego cielska stała poniżej poziomu lądowiska, pokłady sterczały ukośnie do góry. Ale przynajmniej udało się skrócić schodki; miały teraz dwa metry zamiast dziesięciu i tworzyły krótką pochylnię. Nie musieliśmy się wspinać. Postęp.

Do Everetta należał obowiązek przekazania zwłok Jonesa zarządowi portu. Nicabar zgłosił się na ochotnika do pomocy. Procedura wymagała wypełnienia szeregu formularzy. Ja załatwiłem formalności konieczne przy lądowaniu i obiecałem wieży, że przed odlotem złożę protokół wypadku. Potem wskoczyłem na chybił trafił do jednego z samochodzików rozstawionych na lądowisku i podjechałem do budynku StarrCommu. Wznosił się na południowym krańcu portu niczym gigantyczny grzyb.

Jak zwykle w takich miejscach, panował tu tłok. Jednak wysokie koszty połączeń międzygwiazdnych zmuszały klientów do krótkich rozmów. Po pięciu minutach oczekiwania usłyszałem w głośnikach swoje nazwisko. Skierowano mnie do wyznaczonej kabiny w jednym z korytarzy. Zamknąłem szczelnie drzwi i po krótkim wahaniu zdecydowałem się na połączenie wideo. Było dziesięciokrotnie droższe od telefonu bez obrazu, ale dziś mogłem zaszaleć. Miałem w kieszeni tysiąc kommarek od Camerona.

Poza tym, dobrze jest widzieć rozmówcę. Miny i gesty wiele mówią, a spodziewałem się interesujących reakcji. Wsunąłem do szczeliny setkę i wybrałem prywatny numer Brata Johna.

Gdzieś na Xathru anteny StarrCommu o powierzchni pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych wysłały mój sygnał przez lata świetlne. Dotarł do identycznych anten w świetle Brata Johna, gdziekolwiek teraz był. Nie wiedziałem, w którym ze światów jest, i nie miałem pojęcia, czy zawsze tkwi w tym samym, czy też przemieszcza się jak objazdowa trupa cyrkowa.

Nie wiedziały tego również Międzyspiralne Siły Policyjne ani lokalni stróże prawa i porządku w różnych częściach Spirali. Nie potrafili wytropić ani jego, ani transakcji, które przeprowadzał. Pewnie każda istota pracująca w agencjach rządowych dałaby sobie uciąć prawą górną kończynę, byle go namierzyć. Wpływy Brata Johna rozciągały się daleko między gwiazdami. Zniszczył mnóstwo istnień i naraził się wielu osobom.

Jako człowiek związany z nim i jego organizacją, miałem tylko nadzieję, że nieprędko wyśledzi go jakiś gorliwy glina.

Ekran rozjaśnił się i zobaczyłem jakąś skrzywioną, zakazaną gębę. Typ przyjrzał mi się spode łba i warknął.

– Czego?

– Jordan McKell – przedstawiłem się, jakby zabijaki Brata Johna nie znały z widzenia wszystkich jego niewolników. – Chciałbym rozmawiać z panem Rylandem, jeśli można.

Krzaczaste brwi drgnęły.

– Dobra – burknął typ. – Zaczekaj.

Ekran zgasł. Mogłem się założyć, że Brat John każe mi czekać i pocić się przynajmniej przez minutę, zanim raczy się pokazać, mimo że odbieranie telefonów od ludzi w terenie było jednym

z jego głównych zajęć. Nie mówiąc o tym, że płaciłem za każde ćwierć sekundy połączenia wideo.

Ekran ożył zaledwie po dwudziestu sekundach i pomyślałem, że przegrałbym zakład. Ale nie. Brat John zmienił tylko procedurę. Tym razem przywitała mnie nalana twarz jego lokaja. Mimo eleganckiego stroju, facet jeszcze bardziej przypominał oprycha z filmu gangsterskiego, niż jego poprzednik na monitorze. Uśmiechnął się krzywo.

– Kogo ja widzę... – powiedział sarkastycznym tonem. – Jordan McKell we własnej osobie! Co za miła niespodzianka.

– Też cholernie się cieszę, że cię widzę – odparłem. – Ale mam ciekawe wiadomości dla pana Rylanda. Poprosisz go, czy dalej będziesz się ze mną przekomarzał?

Wiedziałem po jego minie, że wysiła mózgownicę. Bez wątpienia nie znał tego słowa i zastanawiał się, czy nie jest obraźliwe.

– Pana Rylanda nie interesują ciekawe wiadomości od ludzi w drodze – odgryzł się. Uśmiech zniknął z jego twarzy, ale sarkazm w głosie pozostał. – Przypominam, że masz dostarczyć ładunek.

– To już załatwione – zapewniłem. – Albo wkrótce będzie, jeśli jeszcze nie jest.

Zmarszczył brwi, ale zanim zdążył coś powiedzieć, zniknął z ekranu.

Wreszcie ujrzałem rozanielone oblicze Brata Johna.

– Cześć, Jordan. Jak leci?

– Witam, panie Ryland. Dziękuję, w porządku. Cieszę się, że wszyscy są dziś tacy zadowoleni.

Rozpromienił się. Johnston Scotto Ryland wyglądał jak filantrop lub ksiądz, albo przynajmniej chłopiec z chóru kościelnego. Dlatego prywatnie nazywaliśmy go Bratem Johnem. Podejrzewałem, że wiele osób w Spirali ciągle daje się nabierać na ten dobroduszny uśmiech, i życzliwy ton głosu. Zwłaszcza na to ostatnie.

– A czym mamy się martwić? – zapytał. Nic nie zdradzało, co naprawdę kryje się w ciemnych, bezlitosnych oczach. – Interes kwitnie, zyski rosną, i wszyscy moi ludzie doskonale współpracują ze sobą.

Uśmiech nie zmienił się, ale nagle powiało chłodem.

– Oprócz ciebie, mój chłopcze. Wygląda na to, Jordan, że z niewiadomych powodów znudziło ci się nasze towarzystwo.

– Nie wiem, skąd taki wniosek, panie Ryland – zaprotestowałem z niewinną miną.

– Nie wiesz? – Temperatura znów spadła o kilka stopni. Widocznie nie wyszło mi dzisiaj odgrywanie naiwnego. – O ile mi wiadomo, „Burzowa Chmura” wylądowała na Xathru niecałe pół godziny temu. Nie widziano cię na pokładzie.

– Zgadza się – przyznałem. – Ale jest tam Ixil i pański towar. A chyba tylko to jest ważne, prawda?

– Wszystkie aspekty moich przedsięwzięć są ważne – odparował. – Jeśli powierzam ładunek tobie, to ty masz go dostarczyć. I oczekuję, że dotrzesz bezpośrednio do celu, bez nieprzewidzianych i zbędnych postojów. Taka jest umowa. Czy znów muszę ci przypominać, że uwolniłem ciebie i twojego współnika od półmilionowego długu?

– Nie, proszę pana – westchnąłem. Wypominał mi to przy każdej okazji, więc jak mógłbym zapomnieć. – Jednak ośmielię się zauważyć, iż oczekuje pan również, że będziemy udawać biednych, ale uczciwych przewoźników.

– A co to ma do rzeczy?

– Zaoferowano mi stanowisko pilota innego statku. Tylko na jeden kurs. Tysiąc kommarek z góry, następne dwa tysiące po przylocie na miejsce. Jak mogłem nie skorzystać z takiej okazji, skoro mam udawać biednego?

Moja argumentacja nie trafiła do przekonania Ixilowi, kiedy jeszcze byliśmy na Meimie. Tym bardziej nie zrobiła wrażenia na Bratu Johnie.

– Chyba nie myślisz, że to kupię? – zirytował się. Kulturalna fasada nieco się zarysowała.

– Mam nadzieję, że tak – odrzekłem. – Bo właśnie dlatego to zrobiłem.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. Przyłapałem się na tym, że wstrzymałem oddech. Macki Brata Johna sięgały wszędzie. Nawet do takiego zabitego deskami świata jak Xathru. Jedno wciśnięcie guzika, krótki rozkaz, i nie wyjdę żywy z budynku Starr-Commu. Moja najbliższa przyszłość na pewno nie wyglądała ciekawie zachęcająco.

I nagle znów się uśmiechnął. Mróz na ekranie zamienił się w słoneczne ciepło.

– Cwaniak z ciebie, Jordan. – Jego ton sugerował, że mam odpuszczone wszystkie grzechy. – No, dobra... Dostarczyłeś mój towar na czas, teraz więc możesz doprowadzić tamten statek na miejsce. Potraktuj to jak rodzaj urlopu. Należy ci się, po trzech latach pracy u mnie.

Ładny mi urlop, pomyślałem. Po tym, co już przeżyłem na „Icarusie”? Ale wolałem nie narzekać. W porównaniu z ewentualną zemstą Brata Johna ta podróż wydawała się miłą wycieczką.

– Dziękuję, panie Ryland – powiedziałem z udawaną wdzięcznością. – Odezwę się, kiedy znów będę do dyspozycji.

– Nie wątpię – odparł. Ciepłe słońce nagle zniknęło i zapadła mroźna noc. – Bo ciągle jesteś nam winien pół miliona. A wiesz, jak pan Antoniewicz nie lubi, kiedy nasi pracownicy odchodzą bez spłacenia długu.

Wzdrygnąłem się mimo woli. Antoniewicz stał na czele całej organizacji. Jego osobę otulała jeszcze gęściejsza mgła tajemnicy, niż Brata Johna. Plotka głosiła, że w całej Spirali wydano już tysiąc nakazów jego aresztowania. Oskarżano go o wszystko, od produkcji narkotyków po masowe morderstwa; prowokował lokalne wojny, żeby móc sprzedawać broń walczącym stronom. Każdy glina dałby sobie uciąć obie górne kończyny, byle wykurzyć go z kryjówki.

– Wiem – odpowiedziałem. – Nie zawiodę panów.

– To dobrze. – Uśmiech Brata Johna przypominał mniej więcej wczesny kwiecień; było w nim już trochę wiosennego ciepła, ale zimowy chłód jeszcze całkiem nie ustąpił. – Pozwalam ci zatem wrócić do nowego statku. Do zobaczenia, Jordan.

– Do widzenia, panie Ryland – pożegnałem się. Brat John zerknął ponad kamerę i skinął głową. Ekran zgasł.

Przez blisko minutę patrzyłem ponuro na ciemny monitor. Rozmyślałem o niuansach tej rozmowy. Coś mi się nie podobało, tylko nie miałem pojęcia co.

Ale wiedziałem jedno. Jeśli Brat John – albo sam Antoniewicz – uzna, że przestałem być przydatny, wykończy mnie dla przykładu. Nie będzie mi groził przez wideotelefon. Wręcz odwrotnie; będzie uśmiechał się uprzejmie, jak przed chwilą. Po tem naciśnie guzik, wyda krótki rozkaz, i zniknę bez śladu.

Z ponurej zadumy wyrwał mnie cichy szelest banknotów i brzęk monet. Automat wydał mi resztę ze stu kommarek. Zasta-

nowilem się, czy nie wrzucić pieniędzy z powrotem. Może powinienem zadzwonić do Wuja Arthura...

Zrezygnowałem. Westchnąłem, wepchnąłem banknoty do portfela i wsypałem monety do kieszeni. Wuj Arthur napracował się, żeby załatwić mnie i Ixilowi robotę u Brata Johna. Był naszym dobroczyńcą. Zajął się nami, gdy z powodu gigantycznego zadłużenia omal nie stanęliśmy przez sądem. Wolałem mu nie wspominać, że podpadłem szefom organizacji.

Nie kiwnąłby palcem, żeby mi pomóc. Do pewnego stopnia przypominał Antoniewicza; trzymał się na uboczu i nie zamierzał tego zmieniać. Dawał to jasno do zrozumienia. Wyświadczyłbym mu przysługę, gdybym dał się zabić i przeczytałby w internecie mój nekrolog.

Nade mną dwukrotnie mignęła lampka. Sygnalizowano mi delikatnie, że mój czas minął i inni czekają na kabinę. Wstałem i wyjąłem pistolet plazmowy z kabury pod lewą pachą. Sprawdziłem zasilanie i bezpiecznik, po czym schowałem broń. Upewniłem się, czy w razie potrzeby łatwo ją wyciągnę, wziąłem głęboki oddech i wyszedłem na korytarz.

Żadna z tuzina czekających osób nie wrzasnęła triumfalnie na mój widok i nie wyszarpnęła broni. Nikt nawet nie obrzucił mnie spojrzeniem. Poszedłem do głównego holu i stanąłem w pustym kącie. Wyjąłem telefon i wystukałem numer Ixila.

Zgłosił się po trzecim sygnale.

– Tak?

– Tu Jordan. Jaka sytuacja?

– Wylądowałem i dopełniłem formalności – odrzekł. Musiałem przyznać, że doskonale nad sobą panuje. Nie okazał najmniejszego zdziwienia, że jestem na Xathru, choć wyobrażałem sobie, jak Pix i Pax wykrzywiają pyszczki. – Nawiązałem już kontakt z miejscowym przedstawicielem – dodał – i zacząłem rozładunek.

– Świetnie. – Nareszcie pozbędziemy się trefnego towaru Brata Johna. To najlepsza wiadomość, jaką dziś usłyszałem. – Jak skończysz, załatw zezwolenie na dłuższy postój statku, zamknij go i przyjdź do doku trzy-dwa-siedem.

– Kłopoty? – zapytał po sekundzie ciszy.

– Można tak powiedzieć – przyznałem. – Podczas lotu zginał nasz mechanik i potrzebuję nowego. Czyli ciebie.

- Wypadek?
Skrzywiłem się.
- Nie jestem pewien. Lepiej się przygotuj.
Znów żadnego zdziwienia.
- Będę za czterdzieści minut – obiecał po prostu.
- Ja będę tam za trzydzieści – powiedziałem. Miałem nadzieję, że nie oceniam swoich szans zbyt optymistycznie. – Do zobaczenia.

Wyłączyłem się i wyszedłem na słońce. Z napięcia i niepewności czułem ciarki na plecach. To, że nic mi się nie stało w budynku StarrCommu nie oznaczało, że będzie tak przez resztę drogi do „Icarusa”.

- Hej, łaskawco – rozległ się ochrypły głos.

Aż podskoczyłem. Odruchowo sięgnąłem pod kurtkę, ale to był tylko Grifser. Miał skórę trędowatego, patrzył na mnie małenkimi ślepkami i prosząco wyciągał wrzecionowate łapy. Brat John korzystał czasami z usług obcych, ale nie posunąłby się do tego, żeby wysłać ich przeciwko swoim ludziom. Nawet przeciw drobnemu przemytnikowi, który popadł w niełaskę. Większość organizacji przestępczych Spirali – ludzkich i obcych – była osobliwie etnocentryczna. Mafia Antoniewicza również.

- Czego chcesz? – zapytałem.

- Masz kofeę? – wyjęczał płaczkliwie. – Zapłacę.

– Niestety... – Pokręciłem głową i ominąłem go. Grifserom zupełnie odbiło na punkcie ziemskich napoi i przekąsek kofeiny. Uzależnili się od nich, jak od narkotyków. W rezultacie w ich enklawach wprowadzono zakaz używania kofeiny. Kręcili się więc w pobliżu portów kosmicznych i tawern w innych częściach Spirali w poszukiwaniu towaru. Większość przyjmowała z godnością odpowiedź przeczącą i nie nalegała. Nawet najbardziej natoczyli mieli przynajmniej tyle rozumu, żeby nie naciśkać istot dwukrotnie większych od siebie.

Ale ten Grifser widocznie był na porządnym głodzie. Wy-skoczył zza moich pleców i zastąpił mi drogę.

- Daj kofeę! – zażądał. – Przecież zapłacę.

– Powiedziałem, że nie mam – warknąłem i odepchnąłem go. Nie zamierzałem tracić czasu na bzdury.

- Nie chciał się odczepić.

– Daj kofe! – nalegał. Chwycił mnie za rękę i przyssał się jak pijawka. – Daj mi kofe!

Zakląłem pod nosem, złapałem jedną łapę Grifsera i oderwałem od siebie. Zabierałem się za drugą, gdy poczułem na plecach długie ramię. Opasało mnie z lewej i sięgnęło pod żebra z prawej strony.

– Sie masz, stary – usłyszałem lewym uchem.

Odrzuciłem głowę. Tuż przed sobą zobaczyłem gębę obcego. Wyglądała jak mapa topograficzna Pirenejów.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, przyjacielu...

– Mam – przerwałem mu. Nie posłuchał. Obmacał mnie z wprawą i nagle poczułem na ciele bardzo ostry przedmiot.

– To nóż – potwierdził. – Nie zmuszaj mnie, żebym go użył.

– Nie ma problemu – zapewniłem. Dałem się załatwić, pomyślałem ze strachem i żalem. Brat John zmylił mnie jak ostatniego frajera.

Z prawej wyrósł drugi obcy tego samego gatunku. Rzucił Griserowi cztery puszki koli, sięgnął mi pod kurtkę i wyłuskał pistolet plazmowy. Grifser uciekł, wydając nieartykułowane dźwięki zachwyty.

– A teraz... – odezwał się pierwszy obcy – pogawędzimy sobie chwilę.

Poszliśmy jak trzej serdeczni przyjaciele; ja w środku, oni po bokach. Przepisnęliśmy się przez tłum i zagłębiliśmy w wyludnione boczne uliczki. W końcu wylądowaliśmy w ślepych zaułku za magazynem doku przeladunkowego. Przeszliśmy kawał drogi, żeby znaleźć ustronne miejsce na zapowiadaną pogawędkę.

Z mojego punktu widzenia dzielni chłopcy popełnili już pierwszy błąd. Dziesięciominutowy spacerek pozwolił mi otrząsnąć się z szoku i spokojnie pomyśleć. Doszedłem do wniosku, że jednak nie nastał ich Brat John. Nie dlatego, że nie lubił obcych. Po prostu jego ludzie położyliby mnie trupem przed budynkiem Starr-Commu. Oszczędziliby sobie tej pieszej wycieczki.

A zatem, cokolwiek z nimi zrobić, nikogo to zbytnio nie wzruszy. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Ustawili mnie pod ścianą i cofnęli się. Pierwszy wysunął przed siebie nóż sprężynowy przymocowany paskiem do przegubu, żeby nikt mu go nie wytrącił lub nie wykopał. Drugi luźno trzymał mój pistolet plazmowy. Nie celował we mnie, ale był w pogotowiu. Dopiero teraz przyjrzałem się im dokładnie. Wzrostem i budową

mniej więcej odpowiadali ludziom. Mieli tylko dłuższe, małpie ręce, i mniejsze klatki piersiowe. Podobnie jak twarze, ich ciała przypominały mapę plastyczną. A przynajmniej te części, których nie osłaniały brązowe, neogreckie tuniki.

– Jeśli chcecie forszę, to nic z tego – uprzedziłem, żeby ich rozdrażnić. – Jestem goły.

Szukałem wzrokiem niesymetrycznych wybrzuszeń pod tunikami, ale niczego nie dostrzegłem. Albo byli na tyle głupi, że nie mieli ukrytej dodatkowej broni, albo nosili ją na plecach.

– Nie chodzi o forszę, tylko o twój ładunek – odparł Guzowaty Pierwszy i pomachał mi nożem przed nosem.

Zamrugałem ze zdumienia.

– Chcecie gwizdnąć pięćdziesiąt skrzyń z częściami do maszyn? Wymienili ukradkowe spojrzenia.

– Nie to przewozisz – warknął Guzowaty Drugi.

Wzruszyłem ramionami.

– Tak stoi napisane w liście przewozowym statku i na skrzyniach. Jeśli jest w nich coś innego, magazyny Barnswella będą się gęsto tłumaczyć.

Guzowaty Pierwszy zaniemógł na dłuższą chwilę. Potem wykrzywił wąską szczelinę w miejscu ust, co zapewne u Guzowatych oznaczało uśmiech.

– Cwaniak – pochwalił mnie. – Ale nas nie wykołujesz. Nazywasz się Jordan McKell, przyleciałeś tu z Meimy i masz na pokładzie cenny ładunek. Chcemy go zabrać.

– Jordan jak? – zapytałem. – Wybaczcie, chłopaki, ale coś wam się pomyliło. Nazywam się Ivo Khachnin, latam statkiem „Śpiewający Bawół”, i obecnie przewożę pięćdziesiąt skrzyń części zamiennych do maszyn rolniczych. Proszę bardzo, mogę to udowodnić... – Sięgnąłem do kieszeni.

– Stop! – warknął Guzowaty Pierwszy i postąpił krok do przodu z nożem gotowym do dźgnięcia. – Ja to wyjmę.

– Jasne, kolego. Nie ma sprawy – uspokoiłem go. Udałem, że jego gwałtowna reakcja zaskoczyła mnie i przestraszyła. W rzeczywistości liczyłem, że tak zrobi.

Podszedł do mnie ostrożnie, uważając, żeby nie znaleźć się na linii ognia kumpla. Przynajmniej pokazał, że techniki walki ulicznej nie nauczył się jedynie z gwiazdnych thrillerów drugiej

kategorii. Przyłożył mi ostrze do gardła i wsunął rękę do mojej wewnętrznej kieszeni. Natrafił na portfel z dokumentem tożsamości i ujął go nieufnie za rożek, jakby spodziewał się pułapki.

Banknoty, które wcisnąłem niedbale w StarrCommie, rozsypały się po ziemi.

Zdekoncentrował się tylko na moment, ale o to mi chodziło. Kiedy zerknął na kolorowe papierki, odrzuciłem do tyłu głowę, byle dalej od ostrza. Lewą ręką chwyciłem go za nadgarstek powyżej paska, dałem nura pod spodem i wykręciłem mu ramię o sto osiemdziesiąt stopni. Stałem za jego plecami, wyginając mu boleśnie łokieć pod takim kątem, że teraz on miał ostrze przy szyi.

– Puść go! – wyrzucił z siebie Guzowaty Drugi. Celował do mnie z mojej broni. Ścisnął kolbę oburącz i trząsał się.

– Zmusz mnie – odparowałem. Otoczyłem prawym ramieniem szyję Guzowatego Pierwszego i przydusiłem go. Musiałem teraz sprawdzić, czy myliłem się, czy nie. Jeśli nie ma z tyłu zapasowej broni, już po mnie.

Ale miał. Kiedy przyciągnąłem go do siebie, twardy przedmiot wbił mi się w brzuch. Wygiąłem mu ramię jeszcze bardziej do góry i dziobnąłem nożem w tunikę. Materiał rozdarł się i ostrze ugrzęzło w dziurze. Nie mógł opuścić ręki, bo nóż był przypasany do przegubu. Lewą dłoń miałem teraz wolną i wyszarpnąłem mu zza paska broń.

Wrzasnął ostrzegawczo do kumpla, ale było już za późno. No, może prawie za późno. Guzowaty Drugi zdążył wypalić z mojej broni. Gorąca plazmowa kula omal nie spaliła mi policzka. Chybił o milimetry. Znow naciśnął spust. Tym razem odstrzeliłby mi ramię i zabił koleżkę, gdybym w porę nie zrobił uniku. Przykucnąłem, pociągając za sobą Guzowatego Pierwszego. Moje kolana uderzyły go z tyłu w nogi i o mało nie upadliśmy. Przy gwałtownym ruchu uwięziony nóż przeciął kawałek tuniki. Sądząc po jęku Guzowatego Pierwszego, również skórę na plecach.

Przyszła kolej na mnie. Wycelowałem ponad jego ramieniem. Pistolet nie przypominał żadnej znanej mi broni, ale nie miałem czasu go oglądać. Liczyłem tylko na to, że wystrzeli. Pstryknąłem kciukiem w coś, co wyglądało na bezpiecznik i ściągnąłem spust.

Kształt i wielkość broni sugerowały, że może to pistolet na strzałki albo na śrut. Nic z tych rzeczy. Poraził mnie prąd i włosy

stały mi dęba. Guzowaty Drugi wił się w konwulsjach w otoczone niebieskawego ognia.

Koronowe wyładowanie elektryczne trwało około dwóch sekund. Guzowaty Drugi nie wytrzymał nawet tyle.

W innych okolicznościach gapiłbym się pewnie na to osobliwe zjawisko. Teraz nie miałem czasu. Guzowaty Pierwszy wyrwał mi się z obscenicznymi przekleństwami na ustach. Obrócił się i stanął przede mną twarzą w twarz. Trzask rozdieranej tuniki ostrzegł mnie, że za moment uwolni rękę z nożem. Odskoczyłem w bok, i gdy oswobodził dłoń, wypaliłem po raz drugi z broni obcych.

Z tym samym skutkiem. Trzy sekundy później patrzyłem na dwa zwęglone ciała. Były nie do rozpoznania.

Przez lata włóczęgi po Spirali widziałem wiele odrażających widoków, ale ten przechodził ludzkie pojęcie. Rozejrzałem się. Nie wyglądało na to, żeby ktoś zauważył naszą małą potyczkę. Przykucnąłem obok zwłok. Musiałem oddychać ustami. Z trudem przezwyciężyłem wstręt i przeszukałem resztki spalonych tunik.

Nic nie znalazłem. Ani dokumentów, ani pieniędzy, ani nawet kart bankowych. Albo po prostu nic się nie uchowało.

Guzowaty Drugi miał taką samą broń, jak jego kolega. Tkwiła w stopionej kaburze poniżej pleców. Udało mi się ją wyciągnąć. Zabrałem obie sztuki, żeby je później zbadać. Pozbierałem z ziemi gotówkę, podniosłem portfel i wetknąłem do kabury pistolet plazmowy. Był osmalony, ale sprawny. Po raz ostatni rozejrzałem się po okolicy i szybko odszedłem.

Ixil czekał przy „Icarusie”.

– Zdaje się, że miałeś tu być w ciągu pół godziny – przywitał mnie.

– Wpadłem w drobne tarapaty – wyjaśniłem. – Dlaczego nie wszedłeś do środka?

– Pomyślałem, że powinienś mnie przedstawić załodze. Poza tym, właz jest chyba zablokowany.

– Wspaniale – warknąłem, i wystukałem na klawiaturze nowy kod. Wprowadziłem go po odlocie z Meimy. Zablokowany właz oznaczał, że załoga albo śpi, albo wyskoczyła do miasta.

– Kazałeś im zostać na miejscu? – zapytał Ixil, kiedy kłapa się otworzyła.

– Nie. Miałem na głowie inne zmartwienia. Musiałem uzgodnić tryb przekazania zwłok Jonesa do zarządu portu. Poza tym zastanawiałem się, co powiedzieć Bratu Johnowi. Teraz żałuję, że nie wydałem takiego rozkazu.

– Śmierdzisz spalenizną – zauważył Ixil. – Wejdzimy do środka i opowiesz mi, co się stało?

– Lepiej pogadajmy tutaj – zaproponowałem, i usiadłem na progu wjazdu. Mogłem stąd obserwować port. – Jeśli pojawią się typy ze spluwami, wołę ich zawczasu zobaczyć.

– Słusznie – zgodził się Ixil. Usadowił się kilka metrów ode mnie, żeby mieć widok na inną część portu. Pix i Pax zeskoczyły z jego ramion. Zbiegły po schodkach i rozdzieliły się, by okrążyć statek. – Więc co się wydarzyło? – zapytał. – Zacznij od początku.

Zrobiłem, jak sobie życzył. Zacząłem od tego, że na Meimie omal mnie nie aresztowali. Skończyłem na tym, że pół godziny temu o mały włos nie straciłem życia. Kiedy mówiłem, wróciły fretki. Przekazały swemu panu wyniki misji wywiadowczej i dostały nowe instrukcje. Potem znów zniknęły. Zastanawiałem się, czego Ixil kazał im szukać. Nie znał żadnego z bohaterów mojej opowieści. Może po prostu odezwał się w nim kalixirski instynkt myśliwego.

– Ominęły mnie spore atrakcje – stwierdził, kiedy zamilkłem. – Szkoda.

– Nic straconego – zapewniłem go. – Do Ziemi jeszcze daleko.

– To fakt – przyznał. – Mówisz, że zabrałeś broń tamtym obcym?

Wzięliśmy mu oba pistolety. Najpierw obejrzał i obwąchał jeden. Skrzywił się, potem zajął się drugim.

– Ciekawostka... – mruknął. – Broń na koronowe wyładowania elektryczne to wprowadzie nic nowego, ale jeszcze nie widziałem takiej małej.

– Ja jeszcze nie widziałem żadnej – odparłem. – Ale jedno ci powiem: te zabawki potrafią tak załatwić ofiarę, że jest nie do rozpoznania.

– Wyobrażam sobie – przyznał ponuro. – Znikają rysy twarzy, oczy, odciski palców... Wszelkie dowody tożsamości też,

jeśli trafiony ma przy sobie dokument albo dyskietkę z danymi osobowymi. W najlepszym razie są poważnie uszkodzone. Dla strzelca to wygodny efekt uboczny.

– Zgrabnie to opisałeś – warknąłem. – Mam tylko nadzieję, że te pukawki nie wpadną w łapy wszystkich rozrabiaków w tawernach.

– Bardzo wątpię – uspokoił mnie. – Broń na wyładowania koronowe jest cholernie droga. Poza tym, dość łatwo ją wykryć, i z natury rzeczy ma mały zasięg. Podejrzewam, że w zamkniętym pomieszczeniu trzy metry, na dworze najwyżej cztery.

Wzdrygnąłem się. Dziękuję bardzo! W większości wypadków cztery metry zupełnie wystarczą.

– Przypomnij mi, żebym to sprawdził – powiedziałem.

– Dobry pomysł – pochwalił. Położył sobie broń na kolana. – Spróbuję ustalić producenta. Na razie jednak bardziej interesuje mnie ten śmiertelny wypadek na pokładzie.

– Niewiele wiem – wyznałem niechętnie. Byłem na siebie zły. Wokół działy się niepokojące rzeczy, a ja nie potrafiłem nic zrobić. – Przejrzałem cały system i nie mam pojęcia, jak generator grawitacji mógł się włączyć.

– Nie jesteś ekspertem – pocieszył mnie. – Generator można włączyć w trzech głównych miejscach: w sterowni, w maszynowni i w kabinie komputerowej.

– Zgadza się – burknąłem. Tyle to sam wiedziałem. – Byłem w sterowni i go nie włączyłem. W maszynowni był Revs Nicabar, a w kabinie komputerowej Tera.

– Jak rozumiem, nikt im nie towarzyszył?

– Nicabarowi na pewno nie – odrzekłem. – Jedyna droga do maszynowni to tunel, a on służył wtedy za komorę powietrzną.

Ixil rozejrzał się.

– Dziwna konstrukcja... – mruknął.

– Ty mi to mówisz? – parsknąłem. – Nie wiem, czy Tera była sama. Ale mógł jej towarzyszyć tylko nasz lekarz, Hayden Everett.

– Który wcześniej pomógł Jonesowi włożyć kombinezon, tak?

– Widzisz jakiś związek?

Ixil w zamyśleniu wzruszył ramionami; podpatrzył to u mnie.

– Niekoniecznie. Po prostu stwierdzam fakt. Jeśli Everett nie towarzyszył Terze, to znaczy, że każdy z członków załogi był sam.

– Niezupełnie – poprawiłem go. – Ja nie. W sterowni zjawił się nasz elektronik, Geoff Shawn. Chciał popatrzeć, jak Chort spaceruje w przestrzeni.

– Naprawdę? – zdziwił się Ixil. – Interesujące...

Uniosłem brew.

– Dlaczego?

Podrapał się w policzek grubymi, krótkimi palcami.

– Powiedziałem ci, że generator można włączyć w trzech głównych miejscach. Ale zapewne nie tylko.

Westchnąłem ciężko.

– Tego się obawiałem. Podejrzywałem, że musi być jakaś możliwość zainstalowania gdzieś wyłącznika czasowego.

– Myślisz, że Shawn odwiedził cię tylko dlatego, żeby zapewnić sobie alibi?

– Coś w tym rodzaju.

Ixil znów wzruszył ramionami.

– Gdyby potrafił dostać się do systemu, mógłby również zainstalować wyłącznik czasowy. Czemu nie? Ale to samo dotyczy Chorta i Jonesa.

Zmarszczyłem czoło.

– Chyba żartujesz?

– Tak uważasz? – odparował. – Przyjrzyj się faktom. Chor-towi nic się nie stało. A jeśli Jones ustawił wyłącznik, to może zaplanował, że ściągnie go, zanim odleci zbyt daleko.

– A jaki miałby motyw?

– Kto? Jones, czy Chort?

– Obaj.

Ixil wzruszył ramionami po raz trzeci.

– Nie wiem, jaki motyw mógłby mieć ktokolwiek na tym statku. Dlatego nie chcę nikogo oskarżać o złe zamiary.

Westchnąłem. Miał rację. Przy partackiej budowie „Icarusa” wydawało się bardzo prawdopodobne, że awarie spowodowane są przez zwykłe niedoróbki.

– A aparat tlenowy Jonesa?

Ixil wypuścił powietrze przez zęby.

– Nie podoba mi się to. Pewnie już go nie masz?

Pokręciłem głową.

– Musieliśmy oddać kombinezon i aparat razem ze zwłokami.

– Tak myślałem. Szkoda, że nie mogę go obejrzeć. Ale mówiąc szczerze, wątpię, by istniała nawet teoretyczna możliwość, żeby taki aparat zawiódł.

– Podejrzewasz więc sabotaż?

– Owszem. Tylko znów pytanie, w jakim celu? Dlaczego ktoś na pokładzie chciałby zabić Jonesa?

– A skąd mam wiedzieć? – odburknąłem poirytowany. – Zupełnie nie znam tych ludzi.

– I o to chodzi – odparł. – Z tego, co mi mówiłeś wynika, że Cameron skompletował załogę z osób, które nie znają się wzajemnie.

Zmarszczyłem brwi. Nie przyszło mi to do głowy.

– Rzeczywiście. Przed odlotem tak to wyglądało. Zebrała się grupka nieznanym.

– Co sugeruje, że jeśli wypadki na pokładzie stanowią celowe działanie, musi być inna motywacja, niż osobiste porachunki – zauważył Ixil. – Ogólny sabotaż na statku albo stopniowe wyeliminowanie członków załogi.

– Może nieobecność Camerona również się z tym wiąże? – podsunąłem.

– Możliwe – zgodził się Ixil. – Nocna obława wokół wykopalisk, którą widzieliśmy, potwierdzałyby tę teorię. Że nie wspomnę o twoich przyjaciółach z elektrycznymi pistoletami.

Zabębniłem palcami o pokład.

– Na czym więc stoimy?

– Na nieznanym gruncie – odrzekł Ixil. – Sporo tu niewiadomych. Moim zdaniem, kluczem do rozwiązania zagadki jest tajemniczy ładunek. Domyślasz się, co to może być?

Zaprzeczyłem.

– Nie mam błędnego pojęcia. W komputerze nic nie figuruje. Na schematach nie zaznaczono żadnego dostępu do ładowni. Nie widzę sposobu, żeby tam zajrzeć. Cameron twierdził, że jest zaplombowana. To mało powiedziane; ona jest chyba zaspawana na amen.

– Trzeba się tam jakoś dostać – nie ustępował Ixil.

Coś zaskrobało w klapę wjazdu. Wróciły fretki.

– No dobra, poddaję się – westchnąłem. Byłem już zmęczony zastanawianiem się, czego szukają. – Za czym one właściwie weszły? Ani ty, ani one nie znacie nikogo z załogi.

– Twoja opowieść o Braciach Guzowatych, jak ich nazwałeś, nasunęła mi podejrzenie, że ktoś może obserwować „Icarusa” – wyjaśnił Ixil, kiedy Pix i Pax weszły mu na ramiona. – Kazałem im się rozejrzeć, czy nie kręci się tu jakiś ciekawski.

– Aha... I co?

– Jeśli się kręci, to zna się na swojej robocie – stwierdził z uznaniem Ixil. – A przy okazji, czy któryś z twoich załogantów nie mierzy przypadkiem metr dziewięćdziesiąt i nie waży sto dziesięć kilo? Krótkie czarne włosy i twarz boksera z kiepskim bilansem wygranych i przegranych walk...

– Opis pasuje do Everetta – powiedziałem i przysunąłem się na siedząco do Ixila. Istotnie, nadchodził nasz lekarz. – Tak, to on – potwierdziłem i wstałem. – Bądź dla niego miły. Pewnie jeszcze nigdy nie widział Kalixa.

Everett był tak zamyślony, że zauważył nas dopiero w połowie schodków. Sądząc po tym, jak wysoko podskoczył, z całą pewnością jeszcze nigdy nie widział Kalixa.

– W porządku, bez obaw – uspokoiłem go szybko, żeby nie uciekł w panice. – To Ixil, nasz nowy mechanik.

– Ach tak... – Everett z trudem odzyskał równowagę ciała i ducha i przyjrzał się dziwnie Ixilowi. – Zatem to jest twój wspólnik... Ixil, tak?

– Tak – wtrącił się Ixil. – Ale skąd o tym wiesz?

Everett zamrugał.

– Powiedział, że sprowadzi swojego wspólnika, żeby zajął miejsce Jonesa. – Popatrz na mnie niepewnie. – Tak mówiłeś, prawda? Zanim wylądowaliśmy.

– Tak – przyznałem. – Były jakieś problemy z ciałem?

– Żadnych. Ustalenie przyczyn zgonu trwało piętnaście minut. Ale zatrzymali kombinezon i aparat tlenowy.

Wzruszyłem ramionami.

– Spodziewałem się tego. Gdzie Nicabar?

– Po badaniu zwłok gdzieś poszedł. A co? Coś się stało?

– Mogło się stać – odparłem. – Widziałeś resztę załogi?

– Kilka minut temu minąłem Shawna. Stał przy jakimś straganie. Poza nim nikogo.

– Może czas ich wezwać? – podsunął Ixil. – Chyba masz ich numery telefonów, Jordan?

Wręczyłem mu mój aparat.

– Wprowadziłem je do spisu numer dwa. Powiedz im, żeby wracali jak najszybciej. Przez ten czas sprawdzę, czy zbiorniki są zatankowane i dokończę papierkową robotę.

– Mogę w czymś pomóc? – spytał Everett.

Miałem ochotę zaproponować, żeby mi wyjawiał, kto ma jakieś pretensje do tego statku i jego załogi, ale zrezygnowałem. Nie było sensu go straszyć, na pewno nie wiedział.

– Upewnij się, czy maszyny są gotowe do startu – odrzekłem. – Jak tylko wszyscy wrócą, wynosimy się stąd.

5

Złazili się na pokład przez następną godzinę. Shawn i Nicabar wyraźnie cieszyli się, że odlatujemy. Tera wręcz przeciwnie; sądząc po ilości toreb, które przyniosła, przerwałem jej zaleśństwo zakupów. Chort zachowywał się obojętnie.

Pociłem się nad papierkami z poczuciem zagrożenia. Jeśli już znaleźli ciała Guzowatych, lada chwila podniosą alarm. Zamkną port i nie zdążymy stąd zniknąć. A ja tu wypełniam protokoły powypadkowe i formularze przedstartowe... Cholerna biurokracja!

O dziwo, wzbiliśmy się w powietrze bez przeszkód. Widocznie nikt jeszcze nie zajrzał w zaułek, gdzie zostawiłem dwa zwęglone trupy. Bracia Guzowaci wybrali naprawdę odludne miejsce do rozprawienia się ze mną. A może zdążył tam posprzątać ktoś, komu zależało, żeby sprawa nie wyszła na jaw?

W drodze z Meimy niewiele rozmawiałem z załogą. Ograniczałem się do spraw służbowych lub krótkich pogawędek. Jednak po ostatnich wydarzeniach postanowiłem lepiej poznać tych ludzi. Jeżeli ktoś siedział nam na karku, musiałem wiedzieć, komu mogę ufać, a komu nie.

Kiedy przebiliśmy się do hiperprzestrzeni, zostawiłem Ixila za sterami i poszedłem w kierunku rufy.

Maszynownia „Icarusa” była bardziej dziwaczna niż reszta statku. Zupełnie jakby zaprojektował ją Salvador Dali. W dodatku pła-

taniny kabli i rurek nie ukryto między wewnętrznym i zewnętrznym kadłubem, jak zazwyczaj. Kolorowe spaghetti wisiało dosłownie wszędzie. Przeszkadzało w poruszaniu się, zawadzało o rękawy i nogawki. Przewody rozciągnięte niczym sznury do bielizny groziły wręcz zgilotynowaniem, jeśli w porę nie schyliło się głowy.

W środku chaosu tkwił przy konsoli kontrolnej Revs Nicabar.

– Aaa... McKell – powitał mnie, gdy przedarłem się szczęśliwie przez różnobarwny gąszcz. – Witaj w Jaskini Meduzy. Uważaj na głowę.

Ominąłem ostatnią parę grubych kabli, które prowadziły do dużej, migoczącej wstęgi Moebiusa. Stanowiła serce gwiazdowego napędu statku.

– Tutaj trzeba uważać na wszystko – odparłem. – Na ręce, nogi i szyję też. – Wyciągnąłem obrotowo wysuwany stołek i usiadłem obok konsoli. – Jak się leci?

Wzruszył ramionami.

– Zdziwiająco dobrze. Aż trudno w to uwierzyć, zważywszy, że ten statek wygląda jak uciekinier z dooliańskiego złomowiska. Ale bez względu na to, kto projektował „Icarusa”, przynajmniej budowniczy zainstalował porządne wyposażenie.

– W sterowni jest tak samo – przytaknąłem. – Dobre wyposażenie, dziwaczne umiejscowienie. Ale mogę się założyć, że nie wymyślił tego tak zwany ekspert, tylko praktyk. Nie miałeś żadnych problemów w porcie?

Odrobinę zmrzył oczy. Jego wzrok powędrował ku lekko osmalonym włosom na mojej skroni, gdzie przeszła plazmowa kula. Myślałem, że tego nie widać, ale musiałem się mylić.

– Żadnych – odrzekł. – Chociaż wyszedłem tylko na pół godziny. Pilnowałem pompiaży, żeby zatankowali nam paliwo jak się należy. Coś mnie ominęło?

– Można tak powiedzieć – przyznałem. – Opowiedz mi o sobie, Revs.

Po nagłej zmianie tematu spodziewałem się jakiejś reakcji. Tymczasem nie doczekałem się żadnej.

– A co chcesz wiedzieć? – padło spokojne pytanie.

– Zacznijmy od twoich kwalifikacji. Gdzie zdobyłeś dyplom specjalisty od napędu, jak długo latasz, dlaczego na Meimie byłeś bezrobotny i jak znalazłeś się tutaj.

– Zawodu nauczyłem się w wojsku. Służyłem w Ziemskiej Piechocie Powietrznej. Stacjonowaliśmy przeważnie w rejonie osiedli w Sektorze Kappa Vega. Zwolniłem się po dziesięciu latach. Sześć lat temu postanowiłem spróbować pracy u prywatnych przewoźników.

– Wybrałeś sobie dziwny okres – stwierdziłem. – W tym czasie na szlakach handlowych Spirali królowali już Patthowie.

– Zaryzykowałem. Miałem dosyć wojska. Chciałem inaczej wykorzystać moje umiejętności. Jakoś poszło. – Wzruszył ramionami. – Co do „Icarusa”, to akurat odszedłem z poprzedniego statku.

– O...?

Stwardniały mu rysy.

– Tak. Odkryłem, że mój frachtowiec to przykrywką dla Patthów.

Zmarszczyłem brwi.

– To coś nowego.

– To ich ostatnia sztuczka, żeby obejść przepisy chroniące lokalnych przewoźników – wyjaśnił. – W niektórych światach dwadzieścia do czterdziestu procent ładunków muszą transportować miejscowi. Patthowie wynajmują więc po cichu tamtejszy statek, upychają tyle towaru, ile się da, i wysyłają w drogę. Statystyka się zgadza, ale zyski trafiają do kieszeni Patthów. Odbierają chleb uczciwym transportowcom. To dla nich typowe.

– Domyślam się, że odszedłeś trochę wkurzony?

Uśmiechnął się szeroko.

– Na tyle, że było mnie słyhać w całej tawernie. Borodin akurat rozmawiał z kimś przy barze. Podszedł i zaproponował mi robotę.

Rozejrzał się.

– Gdybym wiedział, w co się pakuję, poszukałbym czegoś innego.

Nagle przeszył mnie zimnym spojrzeniem.

– Teraz moja kolej na zadawanie pytań. Zawsze nosisz broń na pokładzie swojego statku?

Uniosłem brew.

– Zaskoczyłeś mnie. Nie wiedziałem, że to widać.

– Dziesięć lat w Piechocie Powietrznej – przypomniał. – Doczekam się na odpowiedź?

– Jasne – odparłem. – Po pierwsze, to niezupełnie mój statek. Po drugie, w porcie porwali mnie dwaj obcy. Chcieli zagarnąć nasz ładunek.

– Ciekawe... – mruknął. – I podejrzewasz, że ktoś z załogi był z nimi w zмовіе?

– Nie mam pojęcia, dlaczego miałoby tak być.

Powiedziałem szczerą prawdę, mimo że nie odpowiedziałem mu wprost na pytanie.

– Nie, to niemożliwe – zgodził się ze mną. Jego ton sugerował, że dośpiewał sobie to, czego nie powiedziałem i później wszystko przetrawi. – Jak rozumiem, ta wizyta to próba wybadania, czy stanę obok ciebie w okopach, kiedy zaczną nas ostrzeliwać?

Musiałem przyznać, że jest bystry.

– Zgrabnie to ująłeś – pochwaliłem go. – Cofam niepochebłą opinię o Piechocie Powietrznej, jaką miałem przez lata. Jeśli nie całkiem, to przynajmniej w większej części.

– Wielkie dzięki – odparł kwaśno Nicabar. – A moja odpowiedź brzmi „tak”. Spędziłem kawałek życia na walce z piratami i porywaczami powietrznymi, i nie przepadam za nimi. Możesz na mnie liczyć. Ale...

Wycelował palec w moją pierś.

– ...pod warunkiem, że nasz ładunek jest całkowicie legalny. Jeśli zorientuję się, że przemycamy prochy czy broń albo służymy Patthom za przykrywkę, wysiadam w następnym porcie. Czy to jasne?

– Jasne – odrzekłem zdecydowanie. Miałem nadzieję, że zabrzmiało to szczerze. Gdyby kiedyś odkrył moje powiązania z Bratem Johnem, byłoby wesoło. – Ale bez obaw. Borodin twierdził, że towar przeszedł przez kontrolę celną na Gamm, a oni nie przepuszczą niczego podejrzanego.

– Mnie też to mówił – mruknął ponuro Nicabar. – Ale co z tego, skoro go tu nie ma?

– Fakt – przyznałem. – I zanim zapytasz, nie wiem dlaczego. Przyjrzał mi się uważnie.

– Domyślam się. Przepuszczam, że gdybyś wiedział, powiedziałbyś mi.

– Jasne – zapewniłem, jakby to było oczywiste. Wstałem. – Muszę wracać do sterowni. Na razie.

Przedarłem się z powrotem przez dżungłę kabli, przeklinając w duchu, że nie mam maczety. Schyliłem się i wszedłem przez tylne drzwi ciśnieniowe do tunelu. Sprytny ten Nicabar. Chyba nawet za sprytny. Brak reakcji na wiadomość o moim uprowadzeniu mógł oznaczać, że o tym wiedział.

Ale w takim razie, dlaczego nie próbował opóźnić naszego odlotu z Xathru? Może Bracia Guzowaci byli jednak przypadkowymi oprychami wymuszającymi okup na własną rękę?

Nie, to niemożliwe. Znali mnie z widzenia i z nazwiska. Wiedzieli, że przyleciałem z Meimy. I na pewno nie kupili tych cholernych elektrycznych pistoletów w sklepie z bronią.

Byłem w połowie tunelu, gdy rozległ się metaliczny stuk.

Zatrzymałem się i zacząłem nasłuchiwać. Najpierw pomyślałem, że to nowe pęknięcie kadłuba. Dźwięk brzmiał jednak inaczej; jakby uderzyły o siebie dwa wydrążone kawałki metalu.

Szybko poszedłem dalej i wydostałem się z tunelu przednimi drzwiami. Spodziewałem się kłopotów. Miałem przed sobą pusty korytarz, a po jego prawej stronie trzy zamknięte kabiny i otwartą mesę. Przystanąłem, ale tym razem nie usłyszałem nic podejrzanego.

Pierwszym pomieszczeniem na mojej drodze była kabina komputerowa. Podeszedłem do drzwi i lewą ręką wystukałem na klawiaturze kod wejściowy. Prawą sięgnąłem po pistolet. Drzwi odsunęły się...

Tera siedziała przy komputerze i trzymała się za głowę.

– Czego? – warknęła, i rzuciła mi wściekle spojrzenie.

– Robię obchód – wyjaśniłem i rozejrzałem się. Wszystko wyglądało normalnie. – Usłyszałem jakiś hałas.

– Walnęłam głową w przegrodę – parsknęła. – Upuściłam dyskietkę i schyliłam się po nią. Wystarczy?

– W porządku – zapewniłem pośpiesznie. Popatrzyła na mnie niechętnie. Wycofałem się i zamknąłem drzwi. Wygłupiłem się już drugi raz w ostatnich dniach. Najpierw w hotelu na Meimie, kiedy padłem na podłogę z bronią gotową do strzału, i teraz tutaj.

Różnica polegała na tym, że Ixil znał moje numery. Tera nie. Poczulem, że się czerwienię. Poszedłem dalej.

Gdy wkroczyłem do sterowni, Ixil siedział w moim fotelu. Pix i Pax kręciły się po pokładzie i obwąchiwały, co się dało.

– Jak wypadł Nicabar? – zapytał.

– Bystry, kompetentny i stoi po naszej stronie – odrzekłem. – Natomiast Tera bez wątpienia uważa mnie teraz za idiotę. Słyszałeś metaliczny dźwięk kilka minut temu?

– Nie – odpowiedział i dwukrotnie pstryknął palcami. Fretki natychmiast zareagowały na sygnał. Przestały szukać nie wiadomo czego i wspięły się po jego nogach na ramiona. – One też nic nie słyszały – dodał Ixil. – Nowe pęknięcie w poszyciu?

– Nie, to nie to. Tera powiedziała, że stuknęła głową w ścianę, ale tamten odgłos brzmiał inaczej.

– Może to u Shawna w warsztacie elektronicznym? – podsunął Ixil. – To naprzeciwno Tery. – Fretki zlażyły na pokład i znów zaczęły węszyć. – Mówił, że zamierza rozebrać i wyczyścić jeden z zapasowych regulatorów przechyłu wzdłużnego.

– Przyszedł tutaj, czy rozmawialiście przez interkom?

– Przyszedł. Chciał, żebyś ocenił działanie diagnostyczno-decyzyjne regulatorów, które w tej chwili pracują. Wolał na razie nie rozkładać żadnego zapasowego na wypadek, gdyby wszystkie okazały się potrzebne.

– Niestety, ten statek ma takie możliwości podejmowania decyzji, jak polityk ubiegający się o reelekcję – wyjaśniłem. – Komputer Tery jest pod tym względem kompletnie bezużyteczny.

– Wspominał mi o tym – przytaknął Ixil. – Zrobiłem, co mogłem w twoim zastępstwie. Potem pozwoliłem mu działać.

– W porządku. – Wysunąłem uchylny stołek i usiadłem obok konsoli z twarzą zwróconą do Ixila. Kątem oka mogłem obserwować drzwi. – Domyślam się, że skorzystałeś z okazji, żeby go bliżej poznać?

– Rzecz jasna – zapewnił takim tonem, jakby to było oczywiste. – Ciekawy młody człowiek, chociaż trochę buntownik. Dużo podróżował. W czasach studenckich brał udział w kilku ekspedycjach badawczych. Między innymi szlakiem słynnej wypraw kapitana Dak'ario przez Spirale sprzed trzystu lat.

– To brzmi jak kiepski pretekst, żeby nie chodzić na zajęcia – stwierdziłem. – Jaką uczelnię ukończył?

– Amdrigalski Instytut Techniczny na Nowym Rzymie. Podobno miał piątą lokatę na roku.

– Robi wrażenie – przyznałem. – O ile to prawda. Czego szukał na Meimie?

– Stracił pracę. Ale nie chciał o tym mówić. Powiedział tylko, że siedział w tawernie w kurtce swojej uczelni i zaczepiali go młodzieńcy z konkurencji. Wtedy wpadł w oko Cameronowi.

– Borodinowi – poprawiłem Ixila. – Przynajmniej publicznie. Pod takim nazwiskiem zna go załoga.

– Masz rację, przepraszam. – Zamilkł na moment z dziwną miną. – Jest coś jeszcze. Może to ważne, a może nie, ale czy poczułeś od Shawna osobliwy zapach?

Zmarszczyłem brwi. Czegoś takiego jeszcze nie słyszałem z ust Ixila. Ale w końcu nie był człowiekiem, tylko obcym. Miał co najmniej o dwa zmysły więcej, i wszystkie bardzo wrażliwe.

– Nie – zaprzeczyłem. – Nic nie wyczułem.

– To bardzo delikatny zapach, ale na pewno się nie mylę. Podejrzewam, że jest związany ze stanem zdrowia Shawna. Powoduje go choroba albo lekarstwa.

Coś ścisnęło mnie za gardło.

– Może narkotyki? – podsunąłem podejrzliwie.

– Jeśli tak, to chyba niezbyt popularne, choć wszystkich nie znam. – Ixil wzruszył ramionami. – A może po prostu zjadł w porcie jakąś egzotyczną potrawę.

– Cieszę się, że zawężiliśmy zakres dociekań – mruknąłem. Jednak od lat wiedziałem, że instynkt nigdy nie zawodzi Ixila. Zmiana w zachowaniu Shawna mogła mieć związek z narkotykami. – Dobra, miejmy go na oku. Sprawdź, czy jutro po tutejszym jedzeniu będzie pachniał tak samo.

– Sprawdzę – obiecał. – A skoro mowa o jutrze, zauważyłem, że następne tankowanie zaplanowałeś na Dorscind's World. Nie jest to raczej pięciogwiazdkowy kurort.

– Dlatego go wybrałem – odparłem. Pix i Pax skończyły myszkowanie po sterowni i wyniosły się na korytarz. Pomodliłem się w duchu, żeby nie natknęły się na Everetta. Przy swojej masie mógłby je rozdeptać i nawet by tego nie zauważył. – Nie oglądają tam zbyt dokładnie papierów. Zwłaszcza jeśli sięgniesz głębiej do kieszeni. Mamy osiemdziesiąt dwie godziny. Przez ten czas postaramy się spreparować nową tożsamość dla „Icarusa”.

Przyjrzał mi się uważnie.

– Coś wykombinujemy. Tak cię gnębi tamto spotkanie z Braćmi Guzowatymi?

– Bardziej niż myślisz – wyznałem ponuro. – Widzisz... Cameron zostawił mi tak wytyczoną trasę, że pierwszy postój „Icarusa” wypadła na Trottsen. Domyślałam się, że taki sam wariant podała zarządowi portu na Meimie. Nie mieliśmy lądować na Xathru.

Rysy rozdeptanej twarzy iguany stwardniały.

– A jednak Bracia Guzowaci wiedzieli, że tam będziesz...

– I znali moje nazwisko – przytaknąłem. – Możliwe, że namierzili mnie, kiedy zostałem wywołany przez głośniki w Starr-Commie. Wtedy nie miałem powodu, żeby podawać się za kogoś innego. Tylko dlaczego przyczepili się do mnie?

Ixil w zamyśleniu skinął głową.

– To nie może być nikt z załogi – mruknął jakby do siebie. – Gdyby chciał ukraść ładunek, zrobiłby to sam. Zaczekałby po prostu, aż inni zejść ze statku.

– O ile potrafiłby dostać się do ładowni – zauważyłem. – Ale przynajmniej mógłby uniemożliwić nam start. Wystarczyłby anonimowy telefon do zarządu portu, że w zaułku leżą dwa zwęglone trupy.

Ixil przechylił głowę na bok.

– Innymi słowy, spróbowałby zatrzymać cię w ten sam sposób, co na Meimie.

– Owszem – zgodziłem się. – A fakt, że tak nie stało się na Xathru, nasuwa wniosek, że w aferę na Meimie nie wrobił mnie nikt ze statku. Ale to sugeruje, dlaczego Bracia Guzowaci wybrali właśnie mnie, a nie innego członka załogi.

Ixil przytaknął.

– W zarządzie portu na Meimie mają raport śledczy z twoim nazwiskiem.

– Jestem w nim wymieniony jako człowiek powiązany z Cameronem – dodałem. – Ktoś poznał treść tego prawie nakazu aresztowania i polecił swoim współpracownikom w całej Spirali, żeby na mnie polowali. Poszczyli się akurat Braciom Guzowatym.

– Albo twoje nazwisko doprowadziło tego kogoś do „Burzowej Chmury” i odkrył trasę mojego przelotu – zasugerował Ixil. – Może dlatego kręcili się obok budynku StarrCommu.

– Nie pomyślałem o tym – wyznałem. – Pewnie masz rację.

– Co oznacza, że nasz pracodawca zapewne nadal jest na wolności – ciągnął Ixil, drapiąc się w zamyśleniu w policzek. –

Wyobrażam sobie, że pamięta nazwiska wszystkich członków załogi, więc oni też są zagrożeni.

– Słuszna uwaga – skrzywiłem się. Los Camerona wciąż był dla mnie najbardziej irytującą zagadką. – Chociaż niekoniecznie. Wątpię, czy kogoś z nich wywoływano publicznie przez megafon.

– Zatem pozostaje nam pytanie, kto za tym wszystkim stoi – podsumował Ixil. – I jak wykurzyć go z ukrycia.

– Może dla ciebie to wciąż jedyne pytanie bez odpowiedzi – odparłem. – Ja doszedłem już do strony numer dwa tego spisu. I wcale nie jestem taki pewien, czy chcę wiedzieć, kto pociąga za sznurki. Na razie zależy mi na tym, żeby doprowadzić „Icarusa” na Ziemię. Razem z ładunkiem i nami na pokładzie. Najchętniej w nienaruszonym stanie.

– Być może masz rację. – Zawahał się. – Zdaje się, że rozmawiałeś z Bratem Johnem o tej nagłej zmianie planów. A z Wujem Arthurem?

Skrzywiłem się.

– Nie. Pomyślałem, że moglibyśmy... Sam nie wiem. Zrobić mu niespodziankę, czy coś w tym rodzaju.

Mimo że nie było fretek, które w tym momencie wykrzywiłyby pyszczki, bez trudu odgadłem, co Ixil o tym myśli.

– Nawet nie będę pytał, czy naprawdę uważasz to za dobry pomysł – stwierdził. – Założę się, że nie byłby bardziej zachwycony, że wzięłeś tę robotę, niż Brat John.

– Jeśli spodziewasz się, że przyjmę ten zakład, to lepiej o tym zapomnij – odrzekłem kwaśno. Przypomniało mi się przysłowie, że nie należy służyć dwóm panom na raz. Nie, Wuj Arthur z pewnością nie byłby ze mnie zadowolony. Ale im dłużej będę odkładał ten telefon, tym gorzej. – Dobra, w porządku... – westchnąłem. – Zadzwoń do niego z Dorscind’s World.

– Brawo – ucieszył się. Nie spodobał mi się jego entuzjazm. On będzie spokojnie sprawdzał nity w poszyciu „Icarusa”, a ja będę wił się w kabinie StarrCommu pod miazdzącym spojrzeniem bazyliuszka. – A zanim tam dolecimy? – zapytał.

– Planuję stworzyć nową tożsamość dla „Icarusa”, i przez cały czas oglądać się za siebie – odparłem. W drzwiach pojawiły się fretki. Podbiegły prosto do nóg Ixila. – Jeszcze nie wiemy, co naprawdę przydarzyło się Jonesowi i Chortowi...

Fretki wskoczyły na ramiona Ixila. Dwoma gwałtownymi ruchami przeciągnął czubkami palców po gardle.

– ... i robi się najlepszy jabłecznik w całej Spirali – gładko zmieniłem temat. Wiedziałem, że głos mówiącego słychać z daleka, zanim jeszcze rozróżnia się słowa; podobnie, jak nagłą ciszę. – Nie dorównuje mu ani ten z Taurusa, ani nawet ten z Ziemi...

Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch. W tej samej chwili Ixil odwrócił głowę w tamtą stronę.

– Dobry wieczór, Tero – odezwał się z uprzejmym ukłonem, przerywając moją bezsensowną paplaninę. – Czym możemy służyć?

Spojrzałem w kierunku drzwi. Tera stała w wejściu i patrzyła na nas ze zmarszczonym czołem. Najwyraźniej nie podobało się jej, że siedzimy nie na swoich miejscach.

– Czas, żebyś podniósł tyłek z tego fotela – warknęła do Ixila. – Masz zegar na ścianie i nie widzisz, która godzina? Według regulaminu pora na zmianę. Teraz ja obejmuję dyżur w sterowni.

Zerknąłem na własny zegarek. Na śmierć o tym zapomniałem.

– Słusznie – przyznałem. – Przepraszam. Nie jestem przyzwyczajony do latania statkami, w których tak przestrzega się wszelkich zasad.

– Pewnie dlatego siedzisz na stołku, a twój mechanik w fotelu pilota – parsknęła. – Zastąp Nicabara w maszynowni, Ixil. A ty, McKell, walnij się do wyra. Dobrze ci to robi.

Wstałem.

– Jeszcze wytrzymam. – W tym momencie zdałem sobie jednak sprawę, że ma rację. Brak snu, napięcie, przygoda z Braćmi Guzowatymi i boląca noga dały mi się we znaki. – Choć właściwie przyda mi się krótka drzemka – poddałem się.

– Nie krótka drzemka, tylko osiem godzin porządnego wypoczynku – wskazała kciukiem korytarz. – Jazda spać. Zawiadomię cię, jak będą jakieś problemy. Połóżysz się w którejś z kabin na dole?

– Tak. W „ósemce”.

Usadowiła się w fotelu zwolnionym przez Ixila.

– Świetnie. Kolorowych snów.

Opuściłem sterownię i zszedłem po metalowej drabince na niższy pokład. Korytarz był pusty. Nic dziwnego, oprócz magazynu i urządzeń do przetwarzania odpadków mieściły się tu tylko

dwie kabiny sypialne. Moja i Ixila. Spokojna część statku. Szum maszynerii działał usypiająco.

Ale jeszcze nie zamierzałem iść spać. Doszedłem do tylnej drabinki i wdrapałem się z powrotem na środkowy pokład. Poruszałem się cicho, żeby nikt mnie nie usłyszał.

Nigdzie nie dostrzegłem Ixila. Zapewne już zniknął w tunelu; udał się do maszynowni złuzować Nicabara. W drugim końcu korytarza zobaczyłem zamknięte drzwi sterowni. Tera lubi samotność, pomyślałem. A może po prostu czuje się bezpieczniej, kiedy jest od nas odgradzona? W końcu to jedyna kobieta w tej latającej puszczy; sama wśród czterech nieznanomych facetów i dwóch obcych. Nieważne. W tej chwili ułatwiało mi to zadanie.

Kabina komputerowa też była zamknięta. W porządku. Rozejrzałem się szybko, wszedłem do środka i zasunąłem za sobą drzwi.

Nic się tu nie zmieniło od mojej ostatniej wizyty, jeśli nie liczyć braku Tery, rzecz jasna. Większość pomieszczenia zajmował stary Worthram T-66. Przylegał do tylnej przegrody i zasłaniał spory kawałek prawej ścianki. Do przedniej przegrody przymocowana była dwuczęściowa metalowa szafka. W jednym segmencie stała drukarka, w drugim leżały dyskietki i dokumentacja. Między dwiema częściami szafki tkwiła konsola operacyjna komputera – warsztat pracy Tery.

Tu siedziała, gdy uderzyła głową w przegrodę.

Usiadłem na jej miejscu. Fotel nie był tak wymyślny, jak mój w sterowni. Ale w końcu pilot jest ważniejszy niż komputerowiec; przy gwałtownych manewrach nie może spaść z siedzenia. Wzięłem głęboki oddech, pochyliłem się do przodu i stuknąłem głową w krawędź konsoli.

Odgłos w niczym nie przypominał dźwięku, który wcześniej usłyszałem w tunelu. Tamten brzmiał metalicznie. Ten dokładnie tak, jak zderzenie czaszki z czymś twardym.

W zamyśleniu rozmasowałem bolące czoło i rozejrzałem się. Widziałem dwie możliwości. Albo Tera uderzyła się w tym samym momencie, kiedy rozległ się tamten stuk, albo kłamała. W pierwszym przypadku musiałbym szukać gdzie indziej. W drugim, powinno być tu coś, co wydało taki dźwięk.

Tylko co? To nie warsztat mechaniczny Ixila. Nie leżą tu ani nie wiszą narzędzia. Wokół są jedynie kable i złącza; lekkie, miękk-

kie i pokryte izolacją. Metalowa szafka jest przykręcona do przegrody; nie mogła się przesunąć, przechylić ani przewrócić. A gdyby nawet, na podłogę posypałyby się dokumenty i dyskietki. Tera nie zdążyłaby ich posprzątać.

Chyba, że... jedna z podręcznych instrukcji nie jest tym, na co wygląda.

Spędziłem niemal dziesięć minut na wyciąganiu z półki każdej książki i dokładnych oględzinach. Strata cennego czasu.

Pozostała jeszcze ostatnia możliwość. Jeśli Tera upuściła coś ciężkiego, nosi to przy sobie. Może klucz do nakrętek? Ale po co jej to?

Albo... broń.

Wyszedłem na pusty korytarz i wróciłem do tylnej drabinki. Byłem zmęczony, do bolącej nogi przyłączyła się głowa, i miałem nieprzyjemne uczucie, że gonię za własnym ogonem. Nawet jeśli Tera jest uzbrojona, nie musi nic knuć. Poza tym, tajemniczy odgłos mógł pochodzić z innego miejsca. Wprawdzie nie bardzo w to wierzyłem, ale nie mogłem tego wykluczyć.

Kabina sypialna numer osiem nie różniła się od siedmiu pozostałych: była ciasna i trzyosobowa. Do ściany wewnętrznego kadłuba przylegały piętrowe koje, obok drzwi stała potrójna szafka. Z jednej strony koi zamontowano interkom, z drugiej pozostawiono metr niewykorzystanej przestrzeni. W porządnym statku ustawiono by tu fotel wypoczynkowy albo biurko z komputerem. „Icarusa” najwyraźniej zaprojektowano do transportu większej ilości pasażerów. Dzięki temu każde z nas miało teraz kabinę wyłącznie dla siebie, a jedna na górnym pokładzie stała pusta. Prywatność zapewniała swobodę poruszania się, co bardzo mi odpowiadało. Nie odpowiadało mi natomiast, że z takiej swobody korzystają wszyscy, nie tylko ja.

Przy drzwiach znajdował się włącznik światła z regulacją natężenia. Ustawiłem go w pozycji nocnej i padłem na dolną койę. Zawinałem się w koc, wsunąłem pistolet pod poduszkę i zamknąłem oczy. Zasnąłem, widząc w wyobraźni niezadowoloną minę Wuja Arthura.

Budziłem się wolno i stopniowo wracała mi świadomość. Miałem wrażenie, że coś jest nie w porządku, ale nie wiedziałem

co. Światło było przyciemnione, drzwi zamknięte, a wokół nikogo. Słyszałem przytłumiony szum maszynierii i czułem lekkie wibracje kadłuba. Brakowało tylko...

Brakowało tylko głębokiego tonu napędu gwiazdnego.

„Icarus” nie poruszał się.

W piętnaście sekund wciągnąłem buty i kurtkę. W pośpiechu omal nie zapomniałem pistoletu. Wypadłem na korytarz i wbiegłem na drabinę. Wskoczyłem na górny pokład niczym korek z butelki i wtargnąłem do sterowni.

Tera siedziała spokojnie w fotelu pilota. Popatrzyła na mnie zdziwiona.

– Nie śpisz?

– Dlaczego stoimy? – warknąłem.

Uniosła brwi trochę wyżej.

– Znów mamy pęknięcie kadłuba. Chort szykuje się do wyjścia.

Spojrzałem na monitory. Nowa kamera, którą Ixil i Shawn zainstalowali w tunelu, pokazywała dwie postacie w kombinizonach. Zamykały właśnie drzwi ciśnieniowe. Chort i Ixil.

– Powinnaś była mnie zawiadomić – rzuciłem gniewnie.

– A po co? – parsknęła. – Do tej operacji pilot nie jest potrzebny. Poza tym, to nie twoja zmiana. Wracaj do łóżka.

Odezwało się radio.

– Jesteśmy gotowi, Tero – zameldował Ixil. – Możesz wyłączyć generator grawitacji.

– Przyjęłam – potwierdziła Tera. Podniosła klapkę zabezpieczającą i obróciła pokrętko o dziewięćdziesiąt stopni. – Odcinam generator grawitacji.

Wcisnęła wyłącznik. Natychmiast poczułem znajome sensacje w żołądku.

– Wracaj do łóżka – powtórzyła, nie odrywając wzroku od monitorów. – Zawołam cię, jeśli będzie problem.

– Z pewnością – odparłem krótko. Po raz kolejny wygłupiłem się przed tą kobietą. To już stało się złą tradycją. – Ale zostanie jeszcze chwila.

Zerknęła na mnie ze złością.

– Nie jesteś mi potrzebny. – Powróciła do obserwacji monitorów. – A mówiąc ściślej, nie chcę cię tutaj. Idź sobie.

Zignorowałem ten rozkaz.

- Wiadomo, gdzie jest pęknięcie? – zapytałem.
- Na prawej burcie dużej kuli. Chort uważa, że to nic groźnego.
- Miejmy nadzieję – mruknąłem.

Nie odpowiedziała. Przez kilka minut patrzyliśmy w milczeniu na monitory. Ja z obawą, ona z lodowatym spokojem. Przypuszczałem, że Ixil zrobił wszystko, żeby tym razem generator nie włączył się nagle. Nie miałem jednak pewności, ale nie chciałem go teraz pytać na otwartym kanale radiowym. Próbowałem sobie wyobrazić, jak zablokowałbym generator, gdyby to zależało ode mnie. W końcu dałem spokój; nie znałem się na tym zbyt dobrze.

- Od dawna latacie razem? – przerwała moje rozmyślenia Tera.

Zamrugałem zaskoczony. Towarzyska rozmowa z nią to coś nowego.

– Od sześciu lat – odrzekłem. – Wziąłem go na współnika rok po kupieniu „Burzowej Chmury”. Uważałem, że we dwóch będziemy szybciej przewozić ładunki i więcej zarobimy.

- Domyślam się, że nie wychodzi wam to najlepiej?

– Dlaczego tak sądzisz? – zjeżyłem się. Przywykłem do podobnych pytań i zawsze tak na nie reagowałem.

– Bo jesteście tutaj – odparła. – Przepraszam, jeśli to zabrzmiało nieuprzejmie. Przy obecnej dominacji Patthów to prawdziwy cud, że wszyscy inni jeszcze nie wypadli z interesu.

– Jak tak dalek pójdzie, za kilka lat wypadną – zapewniłem kwaśno.

– Przynajmniej ci uczciwi – dodała i zerknęła na mnie z ukosa. – Ty chyba bierzesz tylko legalne ładunki, McKell?

– Nie przepuszczam żadnej okazji – powiedziałem żartobliwym tonem. Patrzyłem na jej profil i zastanawiałem się, co kryje się za tymi piwnymi oczami. Rozmawiała z kimś, kiedy byliśmy na Xathru? Może coś usłyszała o moich przymusowych powiązaniach z organizacją Brata Johna i Antoniewicza? Wolałem zmienić temat.

- A ty? – zapytałem. – Długo latasz?

– Niedługo. Co robicie, kiedy nie możecie złapać legalnego kursu przez Spiralę?

Próba zmiany tematu nie zakończyła się sukcesem.

– Czasami obsługujemy lokalne trasy. Kiedy indziej pracujemy dorywczo w porcie, w którym akurat utknęliśmy. Czekamy, aż coś się trafi. Nie przelewa się nam.

- Rozumiem, że nie przepadasz za Patthami?
Wzruszyłem ramionami.
- A który uczciwy przewoźnik za nimi przepada? – Nagle przypomniała mi się rozmowa z Nicabarem. – Czy to subtelna sugestia, że w ładowni tego statku może być ich towar?
- Wiedziałem, że dobre aktorki potrafią doskonale panować nad swoim ciałem, głosem i twarzą. Ale Tera do nich nie należała; zaczerwieniła się na moment.
- Mam nadzieję, że nie – odparła, siłąc się na swobodny ton. – Choć wątpię, czy dowiemy się tego po tej stronie Ziemi.
- O ile w ogóle się dowiemy – zauważyłem. – Nie przyjęliśmy na siebie obowiązku pilnowania rozładunku po przylocie na miejsce.
- Nie, oczywiście, że nie – mruknęła jakby do siebie. – Ciekawe, dlaczego skłamał, że z nami poleci?
- Kto? Borodin? Skąd wiesz, że skłamał?
- Wzruszyła ramionami.
- Widziałeś kartkę, którą zostawił. Musiał ją napisać zanim Ihmisici zamknęli port na noc.
- Pomyślałem o dyrektor Aymi-Mastr z zarządu portu na Memie i o oskarżeniu o morderstwo ciężącym na Cameronie.
- Może zostawił tę kartkę tylko na wszelki wypadek? – podsunąłem. – Chciał z nami lecieć, ale okoliczności mu nie pozwoliły.
- Jasne – parsknęła. – Okoliczności. Ciepłe łóżko albo pełna flaszka.
- Albo małe zabójstwo – dodałem.
- Spojrzała na mnie zmrużonymi oczami.
- Zabójstwo?
- Otóż to. Wydano nakaz aresztowania go pod zarzutem morderstwa.
- Pokręciła głową.
- Nie do wiary. Wyglądał na zwykłego, porządnego faceta.
- Powiedziałem dokładnie to samo, kiedy mnie o niego pytali. Miło mi, że zgadzamy się przynajmniej w tej jednej sprawie.
- Zaraz, zaraz... – zastrzegła ostrożnie. – Nie twierdź, że tego nie zrobił. Przecież go nie znam. Uważam tylko, że trudno w to uwierzyć.
- Oczywiście, rozumiem... – zapewniłem. W rzeczywistości rozumiałem znacznie więcej, niż przypuszczała. Podczas roz-

mowy o Patthach zaczerwieniła się po uszy; teraz wcale. To mi coś mówiło o jej stanie emocjonalnym. Właśnie dowiedziała się o morderstwie i ta szokująca wiadomość rzekomo ją zaskoczyła. A jednak nie dostrzegłem, żeby wywarła na niej wrażenie.

Może wyczerpała już cały dzisiejszy zapas reakcji emocjonalnych. Albo po prostu wiedziała o zabójstwie wcześniej.

– Specjalistka komputerowa Tera? – rozległ się przez radio świszczący głos Chorta. – Skończyłem naprawę uszkodzenia. Czy mam zbadać cały kadłub?

Obserwowałem ją, i dlatego zauważyłem, że lekko stężyły jej rysy. Być może pomyślała o tym samym, co ja: wypadek Jonesa zdarzył się w podobnych okolicznościach. Kiedy nagle włączył się generator, Chort też wybrał się na oględziny poszycia ładowni i przedziału silnikowego.

Jeśli to był wypadek. Może ktoś z załogi nie chciał, by ktokolwiek oglądał z bliska kulistą ładownię.

Przez moment miałem ochotę rozkazać Chortowi, żeby kontynuował badanie kadłuba. Mógłbym przynajmniej sprawdzić, czy nasz sabotażysta wciąż ma dostęp do przełączników, złączy, czy z czego tam wtedy skorzystał. Ale nie zdecydowałem się. Za duże ryzyko. Chortowi towarzyszył Ixil. Mógłby zginąć tak, jak Jones.

– Tu McKell – powiedziałem do mikrofonu, zanim Tera zdążyła się odezwać. – Nie fatyguj się, Chort. Szkoda czasu. Wracaj.

– Przyjąłem – zaświstał.

– Nie wyręczaj mnie – przypomniała mi Tera z gniewnym spojrzeniem. Moje wprawne oko dostrzegło jednak, że w tym spojrzeniu czai się mniej gniewu niż oczekiwałem. Może rzeczywistość myśleliśmy tak samo? Albo znudziło jej się grać taką ostrą. – Zapomniałeś, że to nie twoja zmiana?

– Tak – przyznałem. – Ciągłe zapominam. Poradzisz sobie?

Nawet nie raczyła odpowiedzieć. Popatrzyła na mnie wymownie i przeniosła wzrok na monitory. Spławiła mnie całkiem zgrabnie. Wyszedłem ze sterowni, opuściłem się po drabince i wróciłem do mojej kabiny. Zdejmowałem kurtkę, gdy usłyszałem brzęczyk ostrzegawczy. Generator grawitacji znów zaczął pracować.

Długo leżałem na koi i wpatrywałem się w zamknięte drzwi. Rozmyślałem o ostatniej rozmowie. Tera była dla mnie zagadką,

a ja nie lubiłem zagadek. Wiedziałem z doświadczenia, że prawie zawsze oznaczają kłopoty.

Chyba że źle odczytałem jej słowa i reakcje. Albo gorzej: poniosła mnie wyobraźnia. Nie po raz pierwszy zabawa w Sherlocka Holmesa zaprowadziłaby mnie w ślełą uliczkę.

Jednak wypadek z generatorem i śmierć Jonesa nie zrodziły się w mojej wyobraźni. Podobnie, jak zatrzymanie mnie na Meimie, Bracia Guzowaci, czy ich zaawansowana technicznie broń.

Nie przywidziało mi się również spotkanie z Arno Camerodem. Ten archeolog amator i jednocześnie jeden z najpotężniejszych przemysłowców w Spirali naprawdę siedział ze mną w obskurnej, wyssiluyańskiej tawernie i prawie mnie błagał, żebym doprowadził „Icarusa” na Ziemię.

Nie, to nie wyobraźnia, tylko fakty. Ale co oznaczały, nie miałem bladego pojęcia.

Zasnąłem.

6

Łądownisko na Xathru było o niebo lepsze od tego na Meimie. Dla kontrastu port handlowy na Dorscind’s World plasował się co najmniej o pięć kategorii niżej, niż miejsce naszego ostatniego postoju.

Problemu nie stanowiły urządzenia. Wręcz przeciwnie; „Icarus” nie siadał jeszcze na tak dobrze wyposażonym stanowisku lądowniczym. Meima mogła o takich tylko marzyć. Natomiast nie do przyjęcia była klientela portu. Z tego powodu Dorscind’s World nie odpowiadał standardom wyznaczonym przez dyrektorów biur podróży Spirali. Jego budowniczowie planowali, że będzie wysokiej klasy ośrodkiem gier hazardowych, ale niewiele z tego wyszło. Niemal od pierwszego dnia nie cieszył się dobrą sławą. Wielkie pieniądze odpłynęły w siną dal i kolonia szybko podupadła.

Nie zniknęła z mapy tylko dlatego, że stopniowo stała się centrum ciemnych interesów. Tolerowano tu lewe papiery i nie-

legalne ładunki. Przy obecnej dominacji Patthów stale przybywało nieuczciwych przewoźników innych ras. Każdy chciał żyć.

W rezultacie Dorscind's World rozkwitał.

Oczywiście frachtowiec o nazwie „Drugi Banan” nie figurował na miejscowej liście zapowiadanych przylotów, jednak zgodnie z moimi przewidywaniami nikt tu nie zwracał uwagi na takie drobiazgi. Kilka stukommarkowych banknotów załatwiło sprawę i dostaliśmy stanowisko na lądowisku. Zapłaciłem bezpośrednio urzędnikowi portowemu, który pofatygował się do schodków statku. Przy okazji zamówiłem paliwo, prowiant i cudowny klej do kadłubów dla Chorta.

Potem postanowiłem skorzystać z wątpliwych uroków samotnej wycieczki do miasta. Grupową wyprawę uznałem za zbyt ryzykowną.

Załoga nie była zachwycona rozkazem pozostania na pokładzie. Z psychologicznego punktu widzenia, nachylenie „Icarusa” nie ułatwiało mi zadania. Oni stali na górze, a ja na dole, przy przednich drzwiach ciśnieniowych tunelu.

– To bez sensu – parsknął Shawn. – Widziałem już tuzin takich miejsc. Tu jest równie bezpiecznie, jak w centrum Tokio. Trzeba tylko pilnować własnego nosa.

– Świeże powietrze dobrze by nam zrobiło – poparł go Everett. – Nie należy zbyt długo oddychać oczyszczanym. Mówię to jako lekarz. Poza tym, brakuje nam ruchu. Spacer byłby bardzo wskazany.

– Ten spacer mógłby was drogo kosztować – odparowałem. Litościwie przemilczałem fakt, że ze swoim wielkim brzuchem nie wygląda na miłośnika ruchu na świeżym powietrzu. – Już zapomnieliście, co mi się przydarzyło na Xathru?

– Nie zapomnieliśmy, McKell – wtrąciła się Tera. – Ale z powodu tamtej historii to raczej ty powinieneś się ukrywać, nie my.

– Wierzcie mi, że chętnie bym został – powiedziałem z absolutną szczerością. Nie uśmiechało mi się następne spotkanie z Klanem Guzawatych i ich elektrycznymi zabawkami, chociaż istniało małe prawdopodobieństwo, że mogą mnie tu wytropić. Nikt nie znał naszej obecnej trasy. – Niestety, mam pilną sprawę do załatwienia. W dodatku nie mogę jej nikomu zlecić.

Tym razem nie byłem stuprocentowo szczerzy. Telefon do Wuja Arthura mógłby wykonać Ixil, ale dał mi jasno do zrozumienia, żebym na to nie liczył. I nawet wolałem, żeby został na pokładzie i razem z fretkami miał oko na wszystko.

– Ale to mało ważne – ciągnąłem dalej. – Jestem pilotem, a co za tym idzie, waszym kapitanem. Zabraniam wam opuszczać statek.

– Wreszcie wylazła z ciebie świnia – warknął wściekle Shawn. Wykrzywił twarz i przeszywał mnie płonącym wzrokiem. Spod powłoki cywilizowanego młodzieńca znów wyłonił się porywczy prostak, którego poznałem przed odlotem z Meimy. – Dyktator się znalazł. Lubisz rozkazywać, co? Ale nie z nami te numery. Nie zamierzamy tu siedzieć i gapić się na ściany, kiedy ty będziesz się bawił. Nie ma mowy.

– Wystarczy, Shawn – uspokoił go Nicabar. Nie podniósł głosu, ale jego ton zdradzał byłego żołnierza Piechoty Powietrznej. Shawn albo tego nie zauważył, albo miał to gdzieś.

– Nie wpięprzaj się. Nie zostanę tutaj – odszczeknął. Cały się trząśł i gwałtownie zaciskał pięści. Kątem oka zauważyłem, że Ixil przysunął się bliżej niego.

– Posłuchaj, synu – wtrącił się Everett i położył mu dłoń na ramieniu. – Wiem, co czujesz, ale to nasz kapitan...

Shawn strącił jego rękę.

– Nie obchodzi mnie to. Wychodzę.

Znów zacisnął pięści i ruszył na mnie.

Nie uszedł daleko. Z prawej miał Ixila, z lewej Nicabara. Chwycili go za ramiona i zatrzymali. Szarpał się przez chwilę, miotał przekleństwa i rzucał groźby. Dodawał jakieś słowa w nieznany mi języku. Natężał się, ale równie dobrze mógłby próbować ciągnąć „Icarusa”. Ixil i Nicabar mieli mocny chwyt. Nagle Shawn przestał stawiać opór i z cichym skomleniem osunął się na ziemię.

Everett ruszył w kierunku ambulatorium.

– Przeprowadźcie go do mnie – polecił cicho. – Dam mu coś na uspokojenie.

Ixil i Nicabar porozumieli się wzrokiem. Nicabar skinął głową, wziął jęczącego chłopaka pod pachy i pociągnął za Everetem. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Ixil spojrzął na mnie.

– Ciekawe – stwierdził.

– Czy on jest chory? – zapytał Chort z typowym dla obcego nieprzenikniętym wyrazem twarzy. – Może powinniśmy go odstawić do ośrodka pełnej pomocy medycznej?

– Zobaczymy, co zdziała Everett – odrzekłem i zerknąłem na Terę. Z jej twarzy też nie mogłem nic wyczytać. – Muszę już iść. Postaram się wrócić jak najszybciej.

– Idź – powiedział Ixil. – Poradzimy sobie.

Zszedłem po pochylni. Podobnie jak na Xathru, „Icarus” stał częściowo schowany w zagłębieniu i mogliśmy skrócić schodki do minimum. Doszedłem do skraju naszego stanowiska lądowiczego. Za dwoma dalszymi stanowiskami biegł szybki, ruchomy chodnik. Obok sunęły wolno dwa krótkie do przesiadek. Po minuciejechałem szybko ku zachodnim krańcom portu. Według mapy stał tam budynek StarrCommu.

Spoglądałem na towarzyszy podróży; obrzucali mnie obojętnymi spojrzeniami. Z niezadowoleniem stwierdziłem, że w porcie panuje dziś duży tłok. Wprawdzie w tłumie łatwo zachować anonimowość, ale zatłoczone chodniki oznaczały, że to samo będzie zapewne przy kabinach telefonicznych. Nie zamierzałem zostawać tu długo, zwłaszcza po przedstawieniu, które urządził nam Shawn.

Droga do budynku StarrCommu zajęła mi piętnaście minut. Niestety, moje obawy sprawdziły się. Chętnych do dzwonienia było tyłu, że obsługa przewidywała półgodzinne oczekiwanie na kabinę.

Próbowałem wyklócić się o lepsze miejsce w kolejce, ale bez skutku. Telefonistki na Dorscind’s World przywykły do gorszych awantur, niż ja zamierzałem wszczynać. Odebrałem numer – bo nikt tu nie żądał podawania nazwisk – i wycofałem się do tawerny w poczekalni. Tutaj też interes kręcił się znakomicie. Ale miałem szczęście; udało mi się zająć mały stolik przy wejściu, który akurat zwolniła para Mastanni. Zerknąłem na menu i wcisnąłem guzik przy najtańszym alkoholu. Potem odwróciłem głowę i wpatrzyłem się w duży wyświetlacz nad barem. Wskazywał, którzy klienci wchodzą następni do kabin.

Widok nie podniósł mnie na duchu. Numery pięły się w górę tak leniwie, że wiara w półgodzinne oczekiwanie wydawała się przesadnym optymizmem. Nie miałem ochoty dzwonić do Wuja Arthura, a sterczenie tutaj jeszcze bardziej pogarszało mi nastrój. Zastanawiałem się, jak przechytryć obowiązujący tu system. Ale gdybym wcisnął się do kolejki, nie skwitowano by tego pobłażliwymi

uśmiechami. Nie na Dorscind's World. Miałem już w życiu zbyt wiele kłopotów, żeby szukać nowych.

Nade mną przesunął się czyjś cień. Spojrzałem niechętnie na chudego, żylastego faceta o ciemnych włosach i rozwichrzonej brodzie. Klapnął bez zaproszenia na krzesło na wprost mnie, i przywitał się wylewnie.

– Sie masz, stary. Jak leci?

– W porządku – odburknąłem automatycznie i zmarszczyłem brwi. Jego zachowanie wskazywało, że się znamy. Rzeczywiście wydał mi się znajomy, tylko za nic nie mogłem sobie przypomnieć, kto to jest.

Zauważył to.

– Daj spokój, Jordie... – powiedział z urazą. – Nie udawaj, że nie poznajesz dawnego kumpla od kielicha.

W tym momencie wróciła mi pamięć. Nie powiem, żebym się ucieszył. James Fulbright, drobny przemysłowiec i handlarz bronią. Tylko on nazywał mnie „Jordie”. Nienawidziłem tego zdrobnienia, ale był za głupi lub zbyt uparty, żeby przestać. Ubijałem interes z jego bandą, gdy Wuj Arthur skierował mnie do Brata Johna. Z niesmakiem wspominałem popijawę z Fulbrightem, ale bez tego nic bym z nim nie załatwił.

– Cześć, James – westchnąłem. – Mała ta Spirala, co?

– Faktycznie – wyszczerzył krzywe zęby. Plotka głosiła, że kiedyś miał proste, ale ilekroć wybili mu któryś w bójce, wstawał go z powrotem krzywo, żeby podłej wyglądać. – Czekasz, żeby zadzwonić, co?

– Tak. – Przygotowałem się na to, co nieuniknione. – Napijesz się?

– Podejrzewam, że możesz mi zaproponować coś więcej, niż jedną nędzną kolejkę. Ile gotówki masz przy sobie?

Przyglądałem mu się uważnie. W głowie słyszałem spóźnione dzwonki alarmowe. Fulbright wciąż się uśmiechał, ale w tym uśmiechu czaiła się groźba. Z pewnością nie wpadł tu tylko po to, żeby się napić.

– O co ci chodzi? – zapytałem cicho.

– O okup – odrzekł prawie szeptem. – A co myślałeś? Dla twojego własnego dobra, rzecz jasna. Więc jak? Masz dla mnie dziesięć patyków? Tyle to musi kosztować, kapujesz? Co najmniej tyle.

Zaniemówiłem na dobre trzy sekundy. O czym on gada, do cholery? Jest sam. Siedzi przede mną, trzyma obie łapy na stole i ścisza w prawej jakiś zwinięty papier. W lewej nic nie trzyma. Ma za wąskie rękawy, żeby ukryć w nich pistolet czy choćby nóż. Nie wyciągnie broni spod kurtki szybciej niż ja; jego jest zapięta, a moja do połowy odpięta. Chyba że w pobliżu ma współnika, który trzyma mnie na muszce. Mało prawdopodobne. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wyjąłby tu spluwy, a tym bardziej nie otworzyłby ognia. A w ogóle, dlaczego przyczepił się do mnie?

– Może nie wiesz, że już nie jestem niezależnym przewoźnikiem? – odezwałem się w końcu. – Współpracuję z dość potężną organizacją. Nie spodobałaby się im ta sytuacja.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Założę się, że kimkolwiek są, nie kiwną palcem, żeby ci pomóc. Wierz mi, Jordie, jestem twoim jedynym przyjacielem na tej sali. – Płynnym ruchem rozwinął papier i podetknął mi pod nos.

Zobaczyłem własne zdjęcie. Pochodziło z akt Zarządu Federacji Handlowej.

Podniosłem na Fulbrighta zdumiony wzrok.

– Przeczytaj to – zachęcił.

Miałem przed sobą list gończy. Poszukiwano niejakiego Jordana McKella, pilota i kapitana frachtowca klasy Orion o nazwie „Icarus”. Rejestracja i lokalizacja statku nieznane. Nie wyjaśniono, dlaczego jestem poszukiwany, ale podano dwa kontaktowe numery telefoniczne. Jeden miejscowy i drugi wideo do łączności przez Starr-Comm. Nic nie wskazywało, w którym świecie jest właściciel tego ostatniego. Zupełnie, jak z Bratem Johnem, pomyślałem.

Za wskazanie miejsca mojego pobytu obiecywano nagrodę. Okragłe pięć tysięcy.

– Nie wiem, co zrobiłeś, Jordie... – szepnął Fulbright – ale tkwisz po uszy w kłopotach. Każdy w tej sali ma już pewnie taki list. Jakiś facet rozdawał je jak darmowe batony owocowe. To, że jeszcze cię nie przytknęli, zawdzięczasz chyba tylko kiepskiemu zdjęciu. – Wyszczerył zęby. – I temu, że nikt nie spodziewa się ciebie w takim parszywym miejscu, jak to.

– Być może – mruknąłem.

Ktoś jednak przewidział, że mogę się tutaj pojawić. Przynajmniej ten, kto czeka pod tajemniczym numerem wideotelefonu.

Dobrze się przygotował. I w przeciwieństwie do Braci Guzowatych, zna nazwę statku.

– Czy ten rozdawca batonów owocowych był dwunożnym obcym o guzowatej skórze? – spytałem.

Fulbright zmarszczył czoło.

– Nie, człowiekiem. Niski i wymoczkowaty. Wyglądał na księgowego.

– Taki ktoś nie bardzo pasuje do tego miejsca – zauważyłem. – Masz pewność, że to nie jakieś oszustwo?

Fulbright skrzywił się.

– A kogo to obchodzi, jak dostaje stówę do łapy?

Ściągnąłem brwi.

– Jaką stówę? W liście jest mowa o pięciu tysiącach.

– To nagroda. Ale facet wręczał każdemu list gończy i stówę. Pewnie na zachętę, żeby to przeczytać.

Poczułem zimny dreszcz. Pięć tysięcy kommarek nagrody za wskazanie mnie mógł obiecać ktokolwiek i z byle powodu. Ale komuś, kto rozdaje dodatkowe tysiące wyłącznie po to, żeby wzbudzić zainteresowanie, musi chodzić o coś naprawdę dużego.

Na razie uratowało mnie tylko kiepskie zdjęcie oraz chciwość jedyne go osobnika, który mnie rozpoznał.

– Dobra – zgodziłem się. – Dostaniesz dziesięć tysięcy. Ale nie mam ich przy sobie. Będziemy musieli pójść do „Icarusa”.

Fulbright zmrużył oczy. Po drzeniu jego brwi i ust poznałem, o czym myśli. Jeśli zobaczy statek, poda opis „księgowemu” i wywie od niego jeszcze kilka tysięcy.

– W porządku – odparł. Opuścił suwak kurtki i schował list gończy do wewnętrznej kieszeni. Kiedy wstawał, mignął mi szary pistolet w kaburze. Nośli go przy pasku po lewej stronie. Wskazał drzwi. – Idziemy.

Wyszliśmy z tawerny, przecięliśmy salę, i opuściliśmy budynek StarrCommu. W połowie drogi do wyjścia Fulbright dyskretnie przełożył broń do prawej kieszeni kurtki. Dawny kumpel od kieliszka nie bardzo mi ufał.

– Na którym stanowisku stoisz? – zapytał, kiedy skrzyłem do najbliższego ruchomego chodnika. Prowadził na północ.

– Jak dojedziemy na miejsce, sam sobie odczytasz numer – burknąłem i rozejrzałem się ukradkiem, szukając natchnienia.

Nasz chodnik nie był zbyt zatłoczony. Nic dziwnego. Nie wiozł nas w stronę głównego skupiska stanowisk lądowniczych, tylko do części serwisowej portu.

Fulbright natychmiast się w tym połapał. Przysunął się bliżej i wbił mi lufę broni w plecy.

– Nie próbuj mnie wykołować, Jordie – ostrzegł. – Nie uda ci się.

Wydało mi się, że nawet przez kurtkę czuję nieprzyjemny chłód twardej stali.

– Chyba nie myślisz, że ustawiłbym trefny statek na widoku? – odparowałem.

Spojrzałem pod nogi. Chodnik był raczej w dobrym stanie, ale na prawo przed nami zauważyłem kilka dziur i przetarc przy krawędzi ruchomej taśmy. Zainteresowało mnie trójkątne pęknięcie o wymiarach mniej więcej pięć na dziesięć centymetrów. Pod spodem zobaczyłem pracujący mechanizm napędowy osłonięty kratą. Co pół sekundy migało stamtąd jasne, niebieskie światelko. Zapewne w nocy pomagało zorientować się, gdzie jest brzeg chodnika.

– Gdzie w końcu stoisz? – zniecierpliwiał się Fulbright.

– Spokojnie, James, spokojnie... – odrzekłem. Przyglądałem się kracie widocznej w otworze i układałem plan. Powinno się udać.

Wskazałem głową kieszeń kurtki.

– Mój telefon dzwoni – powiedziałem. – Mogę odebrać?

Dostrzegłem kątem oka, że zmarszczył brwi.

– Zostaw to – rozkazał.

– Wolałbym odebrać – nalegałem. – Inaczej mój współnik zacznie mnie szukać. Lepiej nie mieć z nim do czynienia. Nawet dla pięciu tysięcy.

Widziałem, że się zastanawia. Nie znał Ixila. Ilekroć wchodziliśmy w układy z gangami wrogo nastawionymi do obcych, Ixil pozostawał w ukryciu, ale nie raz dawałem Fulbrightowi do zrozumienia, co potrafi mój współnik. Czekałem spokojnie, co postanowi. Wjechaliśmy do strefy serwisowej. Wokół nas nie było żywej duszy. Ludzie pracowali wewnątrz budynków. Hałas naszym mózgom zagłuszył nawet strzał. Im głębiej się zapuszczaliśmy, tym bardziej mi to odpowiadało.

– Dobra – zdecydował w końcu. Przysunął się jeszcze bliżej, chwycił mnie za kołnierz i wbił mi lufę w nerkę. – Wyjmij telefon powoli, dwoma palcami lewej ręki.

Zrobiłem jak kazał.

– W porządku? – zapytałem. Nie czekając na odpowiedź, przyłożyłem telefon do ucha.

A przynajmniej spróbowałem. Po drodze rozluźniłem chwyt i telefon upadł na chodnik.

– Cholera! – zakląłem i zrobiłem długi krok naprzód.

Gdybym dał Fulbrightowi choć pół sekundy na zastanowienie, zapewne zareagowałby inaczej. Ale nie dałem. Natychmiast schyliłem się po telefon, jak zrobiłby każdy na moim miejscu. W naturalnym odruchu uprzejmości puścił mój kołnierz, żeby mi to ułatwić. Telefon leżał tuż przy krawędzi ruchomej taśmy. Przyklęknąłem na jedno kolano i szybko wepchnąłem go do trójkątnego rozdarcia. Utkwił pionowo w kracie.

Chodnik przyhamował tylko na moment; mechanizm natychmiast zmiażdżył kruchy plastik. Ale to wystarczyło. Fulbright stracił równowagę, poleciał do przodu i uderzył we mnie kolanami. Przetoczył się po moich plecach i upadł.

Poderwałem się i skoczyłem na niego. Unieruchomiłem mu prawy nadgarstek, a drugą ręką próbowałem wyrzucić go w szyję lub brzuch. Walczył zaciekle i miotał przekleństwa, ale wiedział, że nie ma szans. Leżał na lewym ramieniu z prawą dłonią uwięzioną w kieszeni. Nawet nie mógł skierować na mnie broni. Poza tym, byłem od niego większy.

Wreszcie nadarzyła mi się okazja zadania czystego ciosu. Zdzieliłem go pięścią za uchem. Skrzywił się i zaskomlał. Po drugim ciosie zamilkł i znieruchomiał.

Przez kilka sekund oddychałem ciężko, potem się rozejrzałem. Nikogo. Wyjąłem mu broń z kieszeni. Nosił półautomatyczny, trzy-milimetrowy kompakt kochran-uzi. Paskudna spluwa podczas burdy w tawernie, ale tylko skończony kretyń mógłby jej użyć w statku gwiazdowym. Gdyby pocisk przebił maszynię lub kadłub, lepiej nie myśleć o konsekwencjach. Schowałem uzi do mojej kieszeni, uniosłem faceta na ile mogłem, i zwlokłem z chodnika.

Dziesięć metrów na prawo ode mnie stała sterta pustych palet. Przylegała do narożnika budynku. Chwyciłem Fulbrighta pod pachy i zataszczyłem tam. Wyciągnąłem mu prawe ramię z rękawa skórzanego kurtki i obciąłem nożem rękaw grubej koszuli. Potem z powrotem założyłem mu kurtkę i pociąłem rękaw koszuli na paski.

Po dwóch minutach miał ręce związane za plecami i knebel w ustach. Po trzech następnych – nogi przygniecione paletą. Ściągnąłem ją ze stosu i ułożyłem tak, że cały ciężar spoczął na sztywnych podszewkach jego butów.

Unieruchomiłem go na długo. Kusiło mnie, żeby stąd odejść, dopóki mogę, ale musiałem się dowiedzieć, kto wyznaczył te cholerne pięć tysięcy nagrody i dlaczego.

Telefon Fulbrighta znalazłem w tej samej kieszeni, co list gończy. Wybrałem miejscowy numer.

Po drugim sygnale usłyszałem głos zdecydowanie pasujący do wymoczkowatego księgowego z jego opisu.

– Thompson.

– Mówi James – przedstawiłem się, próbując naśladować głos Fulbrighta. Wątpiłem, żeby Thompson go zapamiętał, a tym bardziej jego głos. Ale ostrożności nigdy za wiele. – Chodzi o tego poszukiwanego typu, Jordana McKella. Dajecie pięć tysięcy za wskazanie go, tak? A ile za złapanie?

– Dziesięć tysięcy – odparł bez wahania. – Ma go pan?

Poczułem skurcz w gardle. Jeszcze nie spotkałem księgowego, który tak chętnie wydawałby pieniądze. Wyrobiłem sobie fałszywe wyobrażenie o tym facecie. Thompson nie mógł być zwykłym pionkiem w tej grze.

– Zgadza się, mam go – przyznałem. – Czekam w północnej części portu przy warsztacie numer dwanaście. Przynies pan forszę.

– Będziemy za piętnaście minut – obiecał i wyłączył się.

Odłożyłem telefon i skrzywiłem się. Będziemy. To znaczy, że nie zjawi się sam. Na pewno weźmie ze sobą jakichś mięśniaków. Mogłem mu powiedzieć, że nie życzę sobie większego towarzysstwa, ale wyglądałoby to na nieufność. Gość, który rozdaje stu-kommarkowe banknoty na dzień dobry, raczej nie próbuje wykiwać klienta na głupie dziesięć patyków. Mimo wszystko, jeszcze raz zastanowiłem się, czy nie lepiej dać stąd nogę. Ale zostałem.

Zjawił się w niespełna piętnaście minut i rzeczywiście przyprowadził mięśniaków. Niestety, dobrze mi znanych: dwóch kolejnych członków Klanu Guzowatych. Widocznie te stwory lubią chodzić parami.

– Panie James? – zawołał, kiedy razem z Guzowatymi zeskoczył z chodnika.

– Tutaj! – odrzyknąłem. Zerknąłem przez ramię i przywołałem ich gestem. Czekałem przykucnięty tyłem do nich, żeby mnie nie rozpoznali, i patrzyłem na Fulbrighta. Już odzyskał przytomność.

– Szybciej – dodałem. – Chyba się ocknął.

Związany i zakneblowany Fulbright też był odwrócony tyłem do nich. Leżał na lewym boku, wykręcał szyję i rzucał mi wściekłe spojrzenia. Ale nawet bez knebla w ustach miałby niewiele do powiedzenia. Mój pistolet plazmowy ukryty pod kurtką wbijał mu się w żebra. Podejrzewałem, że jeśli obaj wyjdziemy z tego cało, nie ucieszy się na mój widok przy następnym spotkaniu.

Ale na razie miałem inne zmartwienia. Zastanawiałem się, czy przeżyję najbliższe dziesięć sekund.

Niepotrzebnie martwiłem się na zapas. Może Thompson nie był tylko pionkiem, a jego Guzowaci uważali się za zawodowców, ale nie przewidzieli, co ich czeka. Ufnie pobiegli naprzód; mięśniaki dwa kroki przed swoim szefem. Kiedy dzieliły ich ode mnie trzy kroki, gwałtownie spojrzałem w bok i wskazałem palcem między dwa budynki.

– Uwaga!

Okazało się, że Guzowaci jednak są zawodowcami. Wyhamowali jak na komendę, odskoczyli do tyłu i zasłonili sobą Thompsona przed nieznanym niebezpieczeństwem. Wyszarpnęli pistolety zza pleców i wpatrzyli się tam, gdzie wskazałem. Podejrzewałem się, opasałem ramieniem szyję Thompsona i przytknąłem mu łufę do ucha.

– Lepiej się nie odwracajcie – doradziłem tonem towarzyskiej rozmowy. – I rzućcie broń.

Zignorowali moje polecenie i zaczęli odwracać głowy. Uniósłem pistolet i nacisnąłem spust. Strumień plazmy śmignął między nimi i rozprysnął się na ziemi.

– Powiedziałem, nie odwracać się – przypominałem.

Potem znowu przycisnąłem łufę do osmalonej skroni Thompsona. Szarpnął się i spróbował uchylić; metal był gorący. Przycisnąłem pistolet jeszcze mocniej. Wiedziałem, że nic mu nie będzie, a trochę bólu potrafi zdziałać cuda; każdy nagle jest chętny do współpracy. Zwłaszcza ludzie nie przyzwyczajeni do bólu.

Thompson z pewnością do nich należał.

– Nie ruszajcie się – zawołał piskliwie do Guzowatych. – On nie żartuje.

– To prawda – przyznałem. – Nie ma sensu udawać bohaterów. Nie chcę nikogo zranić, chyba że będę musiał. Nie zapominajcie, że przed chwilą mogłem strzelić wam w plecy. Odlóżcie powoli broń i odsuńcie się na dwa kroki. Potem połóżcie się twarzami do ziemi i trzymajcie ręce tak, żebym je widział.

Tym razem bez namysłu wykonali polecenie, a Thompson awansował w moich oczach o kilka szczebli. Może wyglądał na księgowego bez jaj, ale miał posłuch. Mimo piskliwego głosu.

Podniosłem ich broń. Razem z uzi Fulbrighta i pistoletami dwóch poprzednich Guzowatych uzbierałem już niezłą kolekcję. Potem kazałem Thompsonowi zabrać im kajdanki; spodziewałem się, że je przyniosą.

Mieli dwa komplety, czyli o jeden za dużo. Albo planowali wykiwać Fulbrighta, albo chcieli mi skuć ręce i nogi. Wtedy któryś musiałby mnie nieść na ramieniu, jak worek cementu. Bez względu na to, co zamierzali, przypadkiem zrobili mi przysługę. Przykułem Guzowatych razem do dolnej palety po jednej stronie stosu, a Thompsona po drugiej. Sami nie mogli się uwolnić, a nie spodziewałem się, by ktoś zjawił się tutaj przed końcem zmiany w warsztatach. Uziemiłem ich na kilka godzin.

– Nie ujdzie ci to na sucho – ostrzegł Thompson, gdy przeszukiwałem mu kieszenie. – Będziesz spalony w całym wszechświecie. Ale jeżeli puścisz mnie wolno, dopilnuję, żeby nic ci się nie stało.

– Dzięki, nie skorzystam z okazji – odparłem.

– Nie masz żadnych szans, McKell – ciągnął. – Nie chodzi nam o ciebie, tylko o „Icarusa”. Ty i twoja załoga możecie oddać nam statek i odejść. – Przechylił głowę na bok i przyglądał mi się. Teraz jeszcze bardziej przypominał księgowego. – Proponuję układ. Jeśli przekazesz mi „Icarusa”, dobrze zapłacę.

– Obejdzie się, to mi wystarczy – potrząsnąłem grubym plikiem stukommarkowych banknotów, które właśnie wyciągnąłem mu z wewnętrznej kieszeni. – Wiem, że nieładnie jest kraść, ale zapewne czekają nas po drodze niespodziewane wydatki. – Wtknąłem pieniądze do kieszeni. – Podaj mi adres, to zwrócę ci dług.

– Pięćdziesiąt tysięcy, McKell – nie rezygnował Thompson. Wymienił tę sumę bez mrugnięcia okiem. – Wystarczy, że zaprowadzisz mnie do „Icarusa” i znikniesz.

Popatrzyłem na niego z góry i poczułem ucisk w gardle. Co jest w tej naszej ładowni, do diabła?

– Doceniam twoją hojność, ale już mam kontrakt.

Sięgnąłem mu do drugiej wewnętrznej kieszeni. Tym razem znalazłem telefon i dokumenty.

– Sto tysięcy – podbił stawkę Thompson. – Pięćset tysięcy. Powiedz swoją cenę.

Poklepałem go po ramieniu i wstałem.

– Byłbyś zdziwiony, ilu rzeczy nie można kupić za pieniądze. – Wrzuciłem jego telefon na najwyższą paletę, żeby nikt go nie dosięgnął, i wsunąłem dokumenty do kieszeni. – Do zobaczenia.

– Popelniasz wielki błąd, McKell – powiedział tak spokojnie, że przeszły mi ciarki po plecach. – Nie wiesz, z kim masz do czynienia.

– Może dowiem się z tego... – poklepałem się po kieszeni, do której wetknąłem jego dokumenty.

Okrażyłem stos palet i podszedłem do leżącego Fulbrighta. Przeszył mnie wściekłym spojrzeniem.

– Wybacz, James – przeprosiłem. – Wynagrodzę ci to następnym razem, dobra?

Jego wzrok mówił wyraźnie, co planuje na następny raz. Uznałem to za tak odległą przyszłość, że na razie nie było się o co martwić.

Wskoczyłem na ruchomy chodnik i pojechałem na południe, z powrotem do centrum portu. Obserwowałem Guzowatych i Thompsona, dopóki nie zniknęli mi z oczu. Kiedy tylko przestałem ich widzieć, zeskoczyłem z chodnika i pomaszerowałem na wschód, w kierunku „Icarusa”. Szedłem szybko, aż odnalazłem właściwy chodnik, który prowadził w stronę naszego stanowiska.

Nareszcie miałem chwilę spokoju. Wyjąłem dokumenty Thompsona i zacząłem przeglądać. Przerwałem w połowie, schowałem je i wyciągnąłem telefon Fulbrighta.

– Tak? – usłyszałem melodyjny głos Ixila.

– To ja – odezwałem się. – Jak idzie tankowanie?

– Daleko nam do finału. Przyjechali dopiero piętnaście minut temu.

– Sław ich i zamknij statek. Przygotuj wszystko do startu. Jak tylko wejdę na pokład, znikamy.

– Co ci powiedział Wuj Arthur? – zapytał Ixil po sekundzie ciszy.

– Nie rozmawiałem z nim – odparłem. – Pogadamy, jak będę na miejscu. Po prostu przygotuj nas do startu, dobra?

– Załatwione. Czekamy na ciebie.

Statek zastałem zamknięty, a pompierze już odjechali. Wszedłem do środka i zablokowałem właz. Na korytarzu dopadli mnie Tera i Everett; chcieli wiedzieć, skąd ten pośpiech. Kazałem im się wynosić na swoje stanowiska i poszedłem do sterowni.

Ixil czekał w moim fotelu.

– Wszystko gotowe – oznajmił. Wstał i ustąpił mi miejsca. – Nicabar czuwa przy napędzie, paliwo zapłacone, i dostałem z wieny pozwolenie na start.

– Świetnie – odrzekłem, sadowiąc się na siedzeniu. Włączyłem alarm startowy. – Wynosimy się stąd.

Byliśmy niemal na granicy atmosfery Dorscind's World i zmierzaliśmy ku czarnej przestrzeni kosmicznej, gdy Ixil wreszcie przewał milczenie.

– No więc...?

Wyciągnąłem się w fotelu.

– Ktoś chce mieć „Icarusa”. I to bardzo.

Zmarszczył brwi.

– Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. – Wręczyłem mu dokumenty Thompsona. – Ale wiem kto.

Przerzucił papiery i zatrzymał się w tym samym miejscu, co ja. Patrzył ze zdumieniem na prostą legitymację służbową; miała tylko numer identyfikacyjny i ozdobną pieczęć rządową. Zaskoczony fretki na jego ramionach wykrzywiały pyszczki. W końcu podniósł na mnie wzrok.

– Nie do wiary – szepnął.

– Właśnie – przyznałem. – A jednak. Polują na nas Patthowie, przyjacielu.

Przecież to bez sensu – zaprotestował Ixil.

– Wręcz przeciwnie – odparłem. – To musi mieć głęboki sens, tylko na razie po prostu nie wiemy jaki.

Ixil mruknął coś w swoim języku, pocierając czubkiem palca róg szafki. Po dotarciu do hiperprzestrzeni przekazałem stery Terze i przenieśliśmy się do mojej kabiny, żeby swobodnie pogadać. Właściwie dyżur w sterowni powinien teraz pełnić Shawn, ale po jego ostatnim występie nie powierzyłbym mu zrobienia mi kanapki, a co dopiero czuwania nad statkiem.

Wcześniej zdążyłem przemyśleć to i owo, ciągnąłem więc dalej.

– Posłuchaj, w gruncie rzeczy to bardzo proste. Archeolodzy wykopali na Meimie coś dużego. Świadczy o tym przyjazd na miejsce samego Camerona. Sprowadzili „Icarusa”...

– Zaraz, zaraz... – przerwał mi Ixil. – Jak go sprowadzili, skoro w zarządzie portu nie było po tym śladu?

– Prawdopodobnie w kawałkach – odparłem. – Wiesz przecież, jak wygląda. Cameron mógł przywieźć statek w częściach i ekipę montażową. Wziął do pomocy archeologów i złożyli go. Zapewne pod ziemią. Dlatego przyłot statku nie został zarejestrowany.

– Zatem ta eksplozja, o której mówiła ci dyrektor Aymi-Mastr, rozwaliała sklepienie jednej z grot, żeby statek mógł wystartować?

– Otóż to – zgodziłem się. – I jednocześnie skutecznie zakłóciła pracę sensorów w porcie, żeby nie zauważono jego odlotu. Ciekawe, co dodali do materiałów wybuchowych albo do warstwy geologicznej, że osiągnęli taki efekt. Tym też musieli zająć się technicy Camerona.

– Ale dlaczego potem po prostu nie odlecieli?

Pokręciłem głową.

– Nie mam pojęcia. Albo nie zdążyli skompletować załogi, albo chcieli zdobyć stempel zarządu portu, żeby sprawa wyglądała legalnie.

– Albo zamierzali zabrać cały zespół archeologiczny – dodał Ixil. – Na pokładzie jest mnóstwo miejsca.

– Słuszna uwaga – przyznałem i spojrzałem na trzy koje. – Ale nie mogli od razu odlecieć. Wiedzieli, że na miejscu eksplozji zjawią się władze i rozpoczną śledztwo. Gdyby uciekli, byli by podejrzani. Ogłoszono by alarm stąd do Thursday. A tego z pewnością chcieli uniknąć.

– W każdym razie, „Icarus” uniósł się pod osłoną chmury pyłu, może raz okrążył planetę, i ustawił się wśród innych statków w kolejce do lądowania. Usiedli na lądowisku, pokazali sfalszowany dowód kontroli i zaplombowania ładowni na Gamm, i po kłopotach. Załoga zesłała z pokładu i zamierzała odlecieć nazajutrz z kompletem pasażerów. Legalne zezwolenie na start otworzyłyby im drogę na Ziemię. Nie wzbudziłyby niczyich podejrzeń.

– Ale coś poszło nie tak – westchnął ciężko Ixil. – Pytanie tylko, co?

– Ktoś najwidoczniej pokrzyżował im plany. Nie sądzę, żeby to byli Patthowie. A jeśli nawet, to początkowo nie zdawali sobie sprawy ze znaczenia tego, co wykopali ludzie Camerona. Gdyby tak było, kazaliby Ihmisitom zamknąć port.

– Może Bracia Guzowaci albo ich przyjaciele? – podsunął Ixil.

– Możliwe – zgodziłem się. – Choć nie bardzo mi tu pasują. Ale ktokolwiek włączył się do gry, był tym na tyle zainteresowany, że kazał Ihmisitom otoczyć wykopaliska, wyłapać wszystkich, i znaleźć każdego, kto mógłby wymknąć się z okrążenia.

– Jak Cameron?

– Właśnie – przytaknąłem. – I tak oto został na Meimie sam, z władzami na karku i trefnym statkiem zamkniętym w porcie. Gdyby nawet wymyślił sposób, jak stamtąd odlecieć, nie mógł do niego dotrzeć i nie miał załogi.

Ixil pokręcił głową.

– Nie chciałem się znaleźć w takiej sytuacji.

– Jak tak dalej pójdzie, masz na to szansę – ostrzegłem. – Ale Arno Cameron nie zbudowałby swojego imperium przemysłowego wartego tryliony kommarek, gdyby rezygnował w obliczu przeciwności losu. Zaczął krążyć po peryferyjnych tawernach w poszukiwaniu ludzi, z których mógłby skompletować załogę.

– Jak widać, udało mu się – zauważył Ixil. – Dlaczego zatem z wami nie odleciał?

– Też tego nie rozumiem – przyznałem. – Wtedy jeszcze go nie złapali, to pewne. Potwierdził to fakt doprowadzenia mnie do dyrektora Aymi-Mastr przez jej żabiokich pacholców. Może wołał nie kusić losu i nie wchodzić do portu wąską bramą strzeżoną przez czujnych ihmiskich wartowników.

– Mimo że pozostanie na miejscu też groziło mu schwytaniem?

– Widocznie uznał, że wysłanie „Icarusa” w drogę jest warte tego ryzyka. Ale wygląda na to, że przegrał. W przeciwieństwie do Braci Guzowatych, nasz hojny agent Patthów zna nazwę statku.

Ixil pokiwał głową.

– Jeżeli zgarnęli wszystkich archeologów, ktoś z nich mógł w końcu sygnąć. – Zmrużył oczy w zamyśleniu. – Jest jeszcze inne wytłumaczenie nieobecności Camerona w statku. Pomyśl o wypadkach, które zdarzyły się na pokładzie. Być może jeden z wynajętych przez niego członków załogi okazał się nie tylko niewinnym kosmonautą bez pracy. Warto to wziąć pod uwagę, skoro już wiemy, że Patthowie mają swoich agentów innych ras.

– Mnie też od dawna chodzi to po głowie – przyznałem. – Tylko dlaczego ten ktoś nagle przestał działać? Jeśli chce zlikwidować załogę albo spowolnić statek, to dlaczego nic się nie dzieje?

– Uważaj, żebyś nie wykrakał – ostrzegł Ixil.

– Nie chcę niczego wykrakać – zapewniłem go. – Próbuję tylko zrozumieć. W porządku: zabił Jonesa i trochę nastraszył Chorta, ale nic więcej. Nie wetknął nam klucza w tryby, kiedy staliśmy na Xathru, a później na Dorscind’s World.

– I nie zawiadomił władz – zgodził się Ixil. – Widzę jeszcze dwie możliwości. Pierwsza, że atak na Jonesa to były osobiste porachunki. Zabójca zrobił swoje i na tym koniec.

– Członkowie załogi nie znali się przed startem – przypomniałem.

– Tak przypuszczamy – odrzekł Ixil. – Ale nie mamy pewności. Druga możliwość jest bardziej intrygująca. Jones mógł sam dokonać zamachu na siebie.

Zmarszczyłem brwi.

– Po co?

– Żeby mieć pretekst do opuszczenia statku bez wzbudzania podejrzeń. Zastanów się. Gdyby nie zatrul się śmiertelnie tlen-

kiem węgla, zostawilibyście go na Xathru pod opieką medyczną. W tym momencie znał już wasze rysopisy, nazwiska, konstrukcję „Icarusa”, i zapewne trasę na Ziemię wytyczoną przez Camerona. I miałby zupełną swobodę działania.

– Znajomość trasy nic by mu nie dała – zauważyłem mechanicznie. Cholera, że też nie wpadłem na to, co Ixil! – Zmieniliśmy ją i tak zostanie, dopóki starczy nam forsy na łapówki w kolejnych portach. Sugerujesz więc, że się przeliczył?

Ixil wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nie rozważaliśmy jeszcze jednej możliwości. Przeszukałeś ciało Jonesa, zanim je zabrali?

Poczułem skurcz w żołądku.

– Nie. Nie przyszło mi to do głowy.

– Ktoś mógł go zabić po to, żeby wykorzystać zwłoki do przesłania informacji. Ukrył przy nich na przykład dyskietkę, zdjęcia albo schematy. Coś, czego nie można przekazać przez telefon.

– Ale po co tyle fatygi? – zdumiałem się. – Na Xathru cała załoga miała pełną swobodę poruszania się. Można to było dostarczyć osobiście.

– Chyba że zabójca nie chciał być widziany w niewłaściwym towarzystwie.

Zastanowiłem się.

– Co by znaczyło, że mamy do czynienia z prawdziwym zawodowcem.

Ixil przytaknął.

Gwizdnąłem przez zęby. Wiedziałem, że są ludzie zdolni do wszystkiego, byle tylko wypełnić misję. Ale mieć kogoś takiego na pokładzie? To przechodziło moje wyobrażenie.

– Jeśli ktoś tak bardzo chce zdobyć „Icarusa”, że podstawił nam takiego agenta, to dlaczego jeszcze lecimy? – zapytałem.

– To rzeczywiście zagadka – przyznał Ixil. – Obawiam się, Jordan, że w tej układance wciąż brakuje zbyt wielu kawałków.

– A największy tkwi w naszej ładowni – stwierdziłem ponuro. – Chyba nadszedł czas, żebyśmy tam zajrzeli.

Ixil potarł policzek.

– Sam nie wiem... – odrzekł z powątpiewaniem. – Przejrzałem wszystkie schematy, które Tera znalazła w komputerze. Nie zauważyłem żadnego dostępu do ładowni.

– W warsztacie masz palnik, zgadza się? – przypomniałem. – Możemy wyciąć dziurę.

– Wycięcie dziury to nie problem – odparł Ixil. – Gorzej z jej zamaskowaniem. Lepiej, żeby nikt się nie dowiedział, że tam byliśmy. Szczerze mówiąc, wątpię, żeby Jones sam spreparował swój wypadek. Podejrzewam, że zabójca wciąż jest na pokładzie. Jeśli też wybiera się do ładowni, po co ułatwiać mu zadanie?

Musiałem przyznać mu rację.

– W porządku – powiedziałem niechętnie. – Zaczekamy jeszcze trochę, ale na wszelki wypadek trzymaj palnik w pogotowiu. W końcu nadejdzie moment, kiedy nie będziemy mogli sobie pozwolić na dalszy lot w ciemno.

– Możliwe – zgodził się. – Ile zamierzasz ujawnić załodze?

– Jak najmniej. Powiedziałem już Terze, że natknąłem się na kogoś, kto chciał porwać „Icarusa”.

– Co mniej więcej jest prawdą.

– Jak najbardziej – przytaknąłem. – Wspomniałem jej też o oskarżeniu Camerona o morderstwo. Byłem ciekaw, jak zareaguje.

– No i...?

– Udała zaskoczoną, ale nie bardzo jej to wyszło. Właściwie nie wiem, co o tym sądzić. Lepiej na razie zachować w tajemnicy szczegóły i udział Patthów w tej sprawie. Mamy dość kłopotów z wyjaśnianiem, dlaczego podróżujemy pod fałszywą nazwą, i dlaczego na ziemi nie wolno głośno wymawiać słowa „Icarus”. Nie ma potrzeby ich straszyć.

– Racja. – Ixil rozejrzał się i dwukrotnie pstryknął palcami. Pix i Pax wylazły spod mojej koi i wdrapały się na jego ramiona. – Pójdę na górę i...

Urwał z dziwną miną.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Sam nie wiem – odrzekł. – Ale coś mi się nie podoba.

Uklęknałem, wyciągnąłem pistolet i zajrzałem pod koję.

Nic. Żadnego zamachowca ani tajemniczej paczki, która mogłaby nagle wybuchnąć. Żadnej ukrytej pluskwy czy słoika pełnego jadowitych pajaków. Tylko pusty metalowy pokład, a dalej ściana kadłuba.

Wstałem.

– Nic tam nie ma – zameldowałem, otrzepując ręce i kolana.

Ixil skrzywił się.

– Oczywiście, że nie. Przecież zauważylibyśmy, gdyby było. No jasne, pomyślałem. Tyle że to nie jego kabina i nie jego koja.

– Więc o co chodzi?

– Trudno to określić.

– Może jednak spróbujesz?

– Postaram się – obiecał. Zmarszczył brwi, po raz ostatni spojrzął na koję, potem odwrócił się do drzwi. Sięgnął do przycisku na ścianie, gdy odezwał się interkom.

– Kapitanie McKell, tu Chort – zaświstało w głośniku. W tle słychać było szum i rytmiczne odgłosy maszynowni. – Czy mechanik Ixil jest z panem?

Podszedłem do interkomu i wcisnąłem guzik.

– Jest. Jakies kłopoty?

– Nic poważnego, jak sądzę – zapewnił Craea. – Ale potrzebuję jego pomocy. Wskaźniki sygnalizują przerywaną pracę przekaźnika modulatora Darryena. Prawdopodobnie przy gniazdach zasilania.

– To pewnie styki – zagrzmiał Ixil. – Ciągłe wysiadają.

– Też tak uważam – zgodził się Chort. – Ale pomyślałem, że pan i pańscy zwiadowcy moglibyście to potwierdzić lub wykluczyć, zanim obudzę specjalistę od napędu Nicabara i poproszę go, żeby otworzył przejście.

Ixil wcisnął włącznik drzwi.

– Nie ma problemu. Zaraz tam będę.

Wyszedł na korytarz i skierował się do tylnej drabinki.

– Dziękuję – powiedział Chort, kiedy drzwi zasunęły się z powrotem. Interkom zamilkł. Zostałem sam.

Przez kilka minut stałem i słuchałem różnych szumów, brzęków i warkotów. Gapiłem się na moją koję, to znów na ścianę. Niektórzy unikają samotności, bo skłania ich do nieprzyjemnej samooceny. Ja nigdy nie czułem się źle w odosobnieniu. Zwłaszcza ostatnio, kiedy moje kontakty międzyludzkie ograniczały się do utrzymywania stosunków z typami w rodzaju Brata Johna. Wręcz szukałem samotności.

Byłem zmęczony. Od czasu spotkania z Cameronem w tawernie brakowało mi snu i wypoczynku. W normalnych warunkach padłbym na koję i zasnął w ciągu trzech minut.

Ale podróż na pokładzie „Icarusa” trudno było uznać za normalne warunki. Co takiego dziwnego odkryły fretki wokół mojej koi, pod nią albo w jej wnętrzu?

Położyłem się na brzuchu z pistoletem w dłoni i ostrożnie wczołgałem pod spód. Z trudem udało mi się zmieścić w ciasnej przestrzeni, i szczęśliwie nie dostałem ataku klaustrofobii. Żałowałem, że nie zabrałem latarki z kieszeni kurtki, choć lampa na suficie kabiny dawała całkiem niezłe światło.

Problem polegał na tym, że nie miałem na co patrzeć. Leżałem na gołym, metalowym pokładzie, a przede mną wyrastała goła, metalowa ściana. Nad moją głową ciągnął się sprężynowy materac.

Jego konstrukcja dowodziła, że od wieków nikt nie wymyślił lepszego kompromisu między marginalną wygodą i minimalnymi kosztami produkcji.

Wyczołgałem się i wstałem. Przez kilka następnych minut obchodziłem całą kabinę i oglądałem ją milimetr po milimetrze. Podobnie jak pod koją, nic nie znalazłem.

Przynajmniej nic niezwykłego. Ale znałem Ixila. Skoro twierdził, że jego zwiadowcy coś wytropili, to musiało tak być. Nagle odechciało mi się samotności. Wsunąłem pistolet do kabury, włożyłem kurtkę i wyszedłem.

O tej porze nie spodziewałem się ruchu na statku. Miałem rację. Wspiąłem się po tylnej drabinie na środkowy pokład i zobaczyłem zamknięte drzwi sterowni. Nic dziwnego, skoro czuwała tam samotniczka Tera.

Chort i Ixil siedzieli w maszynowni, a Everett, Nicabar i Shawn zapewne spali w swoich kabinach na górnym pokładzie. Myślałem, że może zastanę kogoś w mesie przy posiłku lub wideo, ale pomieszczenie było tak puste, jak korytarz. Albo wszyscy woleli spać niż jeść, albo koleżeńska atmosfera ochłodziła się już do temperatury ciekłego azotu.

Tuż za mesą mieściło się ambulatorium. W nagłym impulsie nacisnąłem przycisk otwierający drzwi. Może Everett jest w środku?

W przyćmionym, nocnym świetle istotnie kogoś dostrzegłem. Tyle, że nie Everetta.

– Kto tam? – zawołał Shawn, podnosząc głowę ze stołu lekarskiego.

– McKell – odpowiedziałem i trochę rozjaśniłem światło. Drzwi zasunęły się za mną. – Przepraszam, że ci przeszkadzam. Szukam Everetta.

Shawn wskazał interkom obok stołu.

– Jest w sterowni. Powiedział, że czas uczciwie zapracować na wypłatę i poszedł zmienić Terę. Wysłał ją spać. Możesz do niego zadzwonić.

– Nie ma potrzeby – odrzekłem z tłumionym niezadowoleniem. Tera powinna uzgadniać takie zamiany ze mną. Pewnie oboje myśleli, że śpię, i nie chcieli mnie budzić. A lekarz pokładowy ma obowiązek być do dyspozycji, gdyby zaszła konieczność zastąpienia regularnego członka załogi. Podszedłem do Shawna.

– Dlaczego ciągle tu jesteś?

Uśmiechnął się słabo.

– Everett uznał, że powinienem jeszcze poleżeć.

– Aha... – powiedziałem inteligentnie. Dopiero teraz zobaczyłem odpowiedź na moje pytanie. W przyćmionym świetle i fałdach jego bielizny nie dostrzegłem wcześniej pasów. Leżał przypięty do stołu za ręce i nogi.

Zauważył moje zmieszanie.

– Nie przejmuj się – pocieszył mnie. – Sam wpadłem na ten pomysł. Tak jest bezpieczniej dla innych. To na wypadek, gdyby środek, który mi dał, przestał działać. Pewnie nie wiedziałeś?

– Nie – przyznałem. Byłem na siebie zły. Niespodziewane odkrycie, że w grze biorą udział Patthowie, całkowicie zaprzętnęło mój umysł. Na śmierć zapomniałem o przedstawieniu, jakie urządził nam Shawn. – Przypuszczałem, że Everett dał ci po prostu coś na uspokojenie i odesłał cię do twojej kabiny.

– Niestety, zwykłe środki uspokajające niewiele by tu pomogły – westchnął. – Nie w moim stanie.

Ręce i nogi drżały mu pod pasami. Wsunąłem stołek na obrotowym ramieniu i usiadłem.

– Ale coś ci dał. Sam mówiłeś – przypominałem.

– Coś mocniejszego na nerwy – wyjaśnił. – Sam nie wiem co.

– A dlaczego twoje nerwy są w takim stanie? – spytałem.

Na jego twarzy odmalowała się mieszanka różnych uczuć. Czekałem cierpliwie, aż zdecyduje się odpowiedzieć.

– Mam mały problem – wyznał w końcu. – Jestem uzależniony od pewnego leku.

– Jakiego?

Usiłowałem sobie przypomnieć znane mi objawy uzależnień od różnych specyfików, ale żadne nie pasowały do zachowań Shawna. Ixil sugerował wcześniej, że problemy emocjonalne chłopaka mogą mieć związek z lekami, ale nie udało mu się nic ustalić.

Odpowiedź Shawna kompletnie mnie zaskoczyła.

– Od borandisu. Czasami nazywają to „śliną szakala”. Wątpię, żebyś o tym słyszał.

– Chyba coś słyszałem... – odrzekłem ostrożnie. Udałem niepewność, ale włosy zjeżyły mi się na głowie. Dobrze znałem borandis i kilku jego czarujących kuzynów. – O ile się nie mylę, to półlegalny lek? Pod ścisłą kontrolą, ale nie całkowicie zakazany?

Przyglądał mi się ze zmarszczonym czołem. Widocznie udawanie niewiniątka nie wychodziło mi zbyt dobrze. Pewnie dziwił się, skąd prosty przewoźnik wie o takich rzeczach.

– Och... w wielu miejscach jest całkowicie zakazany, ale w większości rejonów zamieszkałych przez ludzi można go kupić na receptę. Oczywiście tylko przy pewnych chorobach.

– I...? – zachęciłem.

Na moment zagryzł wargi.

– Złapałem jedną z takich chorób. Ale nie dostałem recepty.

– Dlaczego?

Uśmiechnął się z przymusem.

– Bo miałem pecha i zaraziłem się podczas nielegalnej wyprawy. Kilka lat temu wybrałem się z przyjaciółmi na Ephis.

– Naprawdę? – zdziwiłem się. Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to określenie „karygodna głupota”. – O Ephis na pewno słyszałem. Zakazany świat, zgadza się?

Tym razem uśmiechnął się gorzko.

– Tak. I cokolwiek złego słyszałeś o tym parszywym miejscu, na pewno nie jest przesadą. – Wykrzywił usta. – Ale oczywiście takie przemądrzałe dzieciaki z college’u jak my były za sprytnie, żeby dać się nabrać na naiwne rządowe ostrzeżenia. I naturalnie uważaliśmy, że urzędasy nie mają prawa mówić nam, co wolno, a czego nie wolno robić.

Urwał. Wstrząsnął nim gwałtowny dreszcz. Potem jego ciało powróciło do łagodnego drżenia.

– To się nazywa chorobą Cole’a – wyjaśnił zmęczonym głosem. – Niezbyt przyjemna sprawa.

– Jak większość chorób – stwierdziłem. – Czy przepisy zabraniające wypraw na zakazane planety rzeczywiście są tak surowe, że odmówiono ci wydania recepty?

– Dobre sobie – parsknął cicho. Na moment znów przeistoczył się w dawnego Shawna, który wszystko wie lepiej. W aroganckiego chłopaka, który z pogardą patrzy na takich zwykłych śmiertelników jak ja, bo są mniej inteligentni lub gorzej wykształceni od niego. – Na tyle surowe, że za samo przyznanie się do tamtej wyprawy wylądowałbym na dziesięć lat w pudle. Chyba nawet borandis nie jest tego wart, nie sądzisz?

– Pewnie nie – przyznałem z udawaną skruchą. Wiedziałem, że ludzie pokroju Shawna często dają się nakłonić do zdradzenia najskrytszych, najciemniejszych sekretów tylko po to, żeby pokazać, że je mają. – Więc jak sobie radzisz?

Spróbował wzruszyć ramionami, co nie było łatwe przy skrepowanych rękach.

– Zawsze można znaleźć handlarzy. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać. Zazwyczaj borandis nie jest trudny do zdobycia, i niezbyt drogi.

– A co się dzieje, kiedy go nie bierzesz? – Znałem różne prochy i zakazane światy, ale egzotyczne choroby były dla mnie nowością.

Skrzywił się lekko.

– To zwyrodniająca choroba neurologiczna. Jak widzisz, drżenie mięśni już się zaczęło.

– Więc to nie tylko brak borandisu?

– Częściowo – wyjaśnił. – Trudno powiedzieć, w jakim stopniu. Te objawy to połączenie jego braku i choroby. Potem przychodzi nerwowość, nagłe zmiany nastroju, krótkie utraty pamięci i ogólne rozdrażnienie. – Znów uśmiechnął się gorzko. – Widziałeś to przy naszym pierwszym spotkaniu na Meimie. Wziąłem wtedy dawkę, ale jeszcze nie zaczęła działać.

Skinąłem głową. Pamiętałem, jaki spokojny, a nawet przyjazny, zrobił się kilka godzin później.

– Przypomnij mi, żebym nie wchodził z tobą do portowej tawerny, zanim nie zażyjesz pigułki – powiedziałem. – W ciągu trzech minut połamaliby nam karki.

Wzdrygnął się.

– Czasami myślę, że tak byłoby lepiej – odrzekł cicho. – W każdym razie, jeśli dłużej nie wezmę dawki, robię się hałaśliwy, lekkomyślny, a niekiedy gwałtowny.

– To też mieszanka choroby i braku borandisu?

– Bardziej to drugie. Potem choroba bierze górę i zaczyna niszczyć układ nerwowy. Najpierw zmiany są jeszcze odwracalne, później już nie. W końcu następuje śmierć. Z tego, co wiem, niezbyt przyjemna.

Nie potrafiłbym wymienić od ręki żadnego przyjemnego rodzaju śmierci. Może tylko spokojne odejście w zaświaty podczas snu w podeszłym wieku. Biorąc pod uwagę mój tryb życia, bardzo wątpiłem, bym tego doczekał. Jeśli Shawn zamierzał dalej mieć takie wysoki, jak wyprawy do zakazanych światów, też raczej nie mógł na to liczyć.

Ale nigdy nie należy się poddawać.

– Ile potrzeba czasu, żeby zmiany stały się nieodwracalne? – zapytałem.

Znów spróbował wzruszyć ramionami.

– Niewiele. Dziesięć do dwunastu godzin.

– Od teraz?

Uśmiechnął się.

– Tak. Lepiej, żebyś przy mnie nie siedział. Nie będę zbyt dobrym partnerem do pogawędki. – Nagle przestał się uśmiechać. – Na pewno zdążylibyśmy zdobyć borandis. Słyszałem od Tery, że do następnego postoju zostało nam tylko sześć godzin.

Przytaknąłem.

– Do Mintariusa.

Udałem, że patrzę na zegarek, ale w rzeczywistości gorączkowo myślałem. Celowo wybrałem Mintarius, bo był małą i spokojną planetą niedaleko od Dorscind's World. Nie przypuszczałem, żeby mieli tam urządzenia, które mogłyby wykryć, że podróżujemy pod fałszywą nazwą. Doskonale miejsce do szybkiego uzupełnienia paliwa przed dalszą drogą.

Niestety, w takiej dziurze nie spodziewałem się znaleźć wielu handlarzy prochami. A tych niewielu z pewnością sprzedaje tanią masówkę, a nie rzadziej spotykane środki.

Myślałem o zacieśniającej się obławie Patthów i o tym, że Shawn w końcu dobrowolnie wydał na siebie wyrok śmierci. Po cholere wypuścił się na Ephis? Ale nie miałem wyboru.

– To trochę dalej, niż sześć godzin – powiedziałem i wstałem. – Ale nie martw się, zdążymy. Jeśli nic nam nie przeszkodzi.

Nagle dobiegł mnie ledwo słyszalny, metaliczny stuk. Taki sam tajemniczy odgłos, jaki rozległ się w tunelu zaraz po odlocie z Xathru.

– Co jest? – zapytał podniesionym głosem Shawn. – Jakiś problem?

– Chyba coś słyszałem – odrzekłem tylko, choć miałem wielką ochotę kazać mu się zamknąć. Dźwięk mógł się powtórzyć i może udałoby mi się go zlokalizować. Ale szansa przepadła, Shawn wszystko zagłuszył.

– Mówisz o tym stuku? – ciągnął. – To nic takiego. Ciągłe go słychać.

Natychmiast przeszła mi złość. Zmarszczyłem brwi.

– Słyszałeś przedtem?

– Jasne – odparł z arogancją dawnego Shawna. – Dziś już kilka razy. Moim zdaniem, to po prostu spluczka w toalecie.

– Możliwe – zgodziłem się dyplomatycznie. Mógł sobie mieć własne zdanie, ale ja latałem statkami kosmicznymi pół życia. Żadna instalacja wodna na pokładzie nie wydaje takiego dźwięku. – Mówiłeś, że Tera poszła do siebie?

– Powiedziałem tylko, że Everett ją złuzował – poprawił mnie rozdrażnionym tonem. – Mogła pójść na spacer. – Szarpnęła niecierpliwie skrępowaną rękę. – Ale co to ma wspólnego z moim lekarstwem? Nic. Postarasz się je zdobyć, tak?

– Zrobię, co się da – obiecałem. Schyliłem się i wsunąłem stołek na miejsce. Miałem już dosyć Shawna; zaczynały się znane mi objawy braku borandisu. – Do zobaczenia. Odpoczywaj.

– Jasne – mruknął, kiedy podchodziłem do drzwi. – Łatwo ci mówić. Co za banda...

Drzwi zasunęły się i rozdzieliły nas. Na szczęście. Ruszyłem do sterowni. Nagle poczułem za sobą lekkie drżenie pokładu

i usłyszałem ciężkie kroki. Odwróciłem się. W korytarzu pojawił się Ixil. Wynurzył się z tunelu. Trzymał skrzynkę z narzędziami.

– Kłopoty? – zapytał.

– Nie większe niż zwykle – odparłem. Nie chciałem opowiadać mu tutaj o Shawnie. – Pomyślałem, że zmienię w sterowni Everetta.

Pix i Pax skrzywiły się. Ixil bez wątpienia zastanawiał się, co nasz medyk tam robi, skoro to dyżur Tery. Ale tylko skinął głową. Widocznie, tak samo jak ja, wolał nie rozmawiać na korytarzu.

– Naprawiliśmy uszkodzenie przekaźnika modulatora – oznajmił.

– W porządku – odrzekłem. Uniosłem lekko brwi i wskazałem wzrokiem warsztat mechaniczny. Ixil zrozumiał; mrugnął oczami na znak zgody. Miał teraz doskonałą okazję, żeby dyskretnie sprawdzić, jaki sprzęt do cięcia metalu zostawił nam Cameron.

Szliśmy dalej w milczeniu. Ixil skręcił w lewo do warsztatu, ja minąłem przednią drabinkę i podszedłem do drzwi sterowni. Nacisnąłem przycisk i...

Przez chwilę stałem jak wryty. Zamurowało mnie. Wielkie cielsko Everetta ledwo mieściło się w ciasnej przestrzeni między konsolą dowodzenia i stołem nawigacyjnym. Na mój widok zastygł w pół obrotu z uniesionymi ramionami i wyciągniętą prawą nogą. Wyglądał jak groteskowy baletmistrz.

Patrzyliśmy na siebie bez słowa. Na jego twarzy najpierw odbiło się zakłopotanie, ale szybko zrobił dumną minę. Odwrócił głowę, powoli opuścił prawą nogę i wykonał rękami jakieś skomplikowane gesty. Potem zatoczył łuk lewą nogą, postawił ją obok prawej i znów zamachał rękami.

Nagle zrozumiałem; nie ćwiczy baletu, tylko jakąś odmianę *katy* – wschodniej sztuki walki. Zaczekałem cierpliwie, aż skończy.

– Przepraszam za te popisy – odezwał się, kiedy opadł na fotel po wykonaniu ostatniej figury. – Byłem trochę śpiący, a trochę ruchu zawsze stawia mnie na nogi.

– Nie musisz przeproszać ani nic tłumaczyć – uspokoiłem go. Przeszapiłem próg, ale drzwi zostawiłem otwarte. Przypomniałem sobie nasze pierwsze spotkanie. Pomyślałem wtedy, że jego twarz nosi ślady uprawiania sportów kontaktowych. Nie myliłem się. – Co to było? – spytałem. – Jeszcze nie widziałem takiego stylu.

Otarł czoło rękawem, choć nie zauważyłem, żeby się spocił. Może pot ginał między zmarszczkami.

– Bo to nie na pokaz – odrzekł. – Jesteś praktykiem, czy znawcą sztuk walki?

– Ani jednym, ani drugim – odpowiedziałem. – Przeszedłem tylko podstawowy kurs samoobrony w Ziemskich Siłach Obronnych. Nie nauczyłem się żadnego konkretnego stylu i nigdy nie byłem w tym dobry. Za to kumpel z pokoju miał na tym punkcie zupełnego świra. Podpatrywał wszystko, co mógł. Trochę przeszło na mnie przez czystą osmozę. – Wskazałem głową puste miejsce, gdzie ćwiczył. – Najbardziej przypomina mi to boks w stylu wolnym.

Zaskoczony Everett uniósł brwi.

– Bardzo dobrze. To trening bokerski z wykorzystaniem *katy*. W młodości trochę walczyłem zawodowo. – Parsknął cicho. – Oczywiście wtedy inaczej wyglądałem.

– Jestem pod wrażeniem – przyznałem z absolutną szczerością. Raz czy dwa miałem do czynienia z zawodowymi bokserami w stylu wolnym i wiedziałem, że to prawdziwi twardziele. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety. – Kiedy przestałeś walczyć?

– Och... dobre dwadzieścia lat temu – odparł. – I nie byłbyś pod wrażeniem, gdybyś zobaczył mój bilans zwycięstw i przegranych. – Nagle zmarszczył brwi. – Ale co tu właściwie robisz? Myślałem, że śpisz.

– Robiem obchód i zastałem twojego pacjenta przypiętego do stołu lekarskiego – wyjaśniłem. – Wiesz, co mu jest?

– Powiedział, że to uzależnienie od borandisu i choroba Cole'a.

– Wierzysz mu?

Wzruszył ramionami.

– Diagnoza komputerowa potwierdziła tylko to pierwsze. W drugim wypadku nie otrzymałem wyniku. Baza danych medycznych nie jest kompletna.

Skinąłem głową.

– To wystarczy.

Moje obawy, że Shawn może udawać, rozwiały się ostatecznie. Drżenie mięśni i drażliwość to jedno, ale diagnostycznego komputera medycznego nie da się łatwo oszukać.

– Niestety, będzie problem – ciągnął Everett. – Borandis jest pod kontrolą. Moje uprawnienia lekarza pokładowego to za mało, żeby go dostać na Mintariusie.

– Wiem – przytaknąłem. – Nie przejmuj się, coś wymyślimy.

– Mam nadzieję – westchnął. – Nie leczona choroba Cole’a nie wróży nic dobrego.

– Tak mi powiedział – przyznałem. – Nic dziwnego, że włożył się na Meimie bez pracy. A przy okazji, jak to się stało, że byłeś w takiej samej sytuacji?

Skrzywił się.

– Przypadkiem znalazłem się w środku ostrego sporu kompetencyjnego w moim poprzednim statku. Jeden z członków załogi przeholował podczas kłótni z kapitanem i porządnie oberwał. Typowy rozrabiaka, na pewno znasz takich... W każdym razie, pomogłem mu się dostać do centrum medycznego w porcie. W tym czasie kapitan widocznie uznał, że poradzi sobie bez nas obu, bo odleciał.

– Jeszcze jeden samarytanin został na lodzie – mruknąłem pod nosem.

Wzruszył ramionami.

– Być może. Ale nie zmartwiłem się zbytnio na widok jego dysz wylotowych znikających w oddali. Poszedłem coś zjeść. W restauracji zjawił się Borodin. Szukał lekarza pokładowego, skorzystałem więc z okazji.

– No i dobrze. Pasuje nam twoje towarzystwo – zapewniłem i rozejrzałem się po sterowni. – Wiesz co? I tak nie mogę spać, a do lądowania zostało nam tylko kilka godzin. Walnij się do wyra, a ja przejmę dyżur.

– O... – zdziwił się. – Skoro tak...

– Jasne. Na razie nie możesz zrobić nic więcej dla Shawna, więc po co obaj mamy się męczyć.

– Dobra – zgodził się. Wstał z fotela. – Tylko obudź mnie, gdybyś jednak zmienił zdanie i chciał się trochę zdrzemnąć.

– W porządku.

Wyszedł ze sterowni, skrzywił w prawo i wspął się po drabince na górny pokład. Zaczekałem, aż zniknie, policzyłem do dziesięciu i zamknąłem drzwi. Podeszedłem do stołu nawigacyjnego. Miałem niełatwe zadanie. Musiałem znaleźć duży i zepsuty świat z roz-

winiętą siecią dystrybucji prochów. Planetę, gdzie nie ma zbyt szczegółowej kontroli, i można prześliznąć się na lewych papierach. Ale jednocześnie nie raj dla kryminalistów gotowych sprzedać mnie za kilka setek, kiedy tylko rozpoznają moją twarz na zdjęciu z listu gończego. W dodatku ten port nie mógł być oddalony od naszej obecnej pozycji o więcej niż dziewięć godzin lotu.

Po pięciu minutach studiowania map doszedłem do wniosku, że tylko jedno miejsce odpowiada moim wymaganiom: świat Potosi, skolonizowany przez Najików. Znajdował się w odległości siedmiu godzin. Zamieszkiwała go kosmopolityczna społeczność, spodziewałem się więc, że znają tam wszystkie nałogi. Planetą rządziły tak bystrookie i pewne siebie istoty, że rzadko używały skanerów do sprawdzania papierów statku.

Potosi miała tylko jedną wadę: Patthowie ulokowali tam swoje największe fabryki statków kosmicznych.

Cholera. Przez chwilę wpatrywałem się w dane o planecie z nadzieją, że może ze zmęczenia coś mi się pomyliło. Niestety, nic mi się nie przywidziało. W pewnych rejonach Potosi i w jej atmosferze będzie roilo się od Patthów.

Ale musieliśmy zaryzykować. Nie mogliśmy patrzeć beczynie, jak Shawn umiera.

W ciągu dwóch minut skorygowałem trasę. Skasowałem współrzędne wyznaczające kurs na Mintarius i wprowadziłem nowe dla Potosi. Złowiłem uchem subtelną zmianę w tonie napedu i statek skręcił o dwadzieścia trzy stopnie.

Jestem przekonany, iż tylko dzięki temu, że uważnie nasłuchiwałem, dobiegł mnie przytłumiony huk i zdławiony krzyk. Mimo podwójnych, zamkniętych drzwi.

Pół sekundy później byłem na korytarzu. Pięciometrowy sprint do warsztatu mechanicznego zajął mi dwie dalsze sekundy. Coś złowrogo syczało; im bliżej warsztatu, tym głośniejsze. Walnąłem w przycisk i drzwi odsunęły się.

W tym momencie buchnął na mnie wielki, ryczący płomień, jak ze smoczej paszczy.

Odskokczyłem chyba na trzy metry. Sam nie wiem, jak mi się to udało. Złapałem równowagę i natychmiast natarłem na otwarte wejście. W środku tego piekła został Ixil. Obawa, że splotnie żywcem, odebrała mi całkowicie zdolność myślenia. W nosie

i ustach czułem palący się acetylen. W osłupieniu dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że ściana ognia zgąsta. Zajrzałem do środka, spodziewając się najgorszego.

Nie było aż tak źle, jak myślałem. Na lewo stały dwie butle do palnika acetylenowo-tlenowego. Po pokładzie wiły się dwa połączone węże popychane ciśnieniem sprężonych gazów. Z ich otwartych wylotów tryskał żółty płomień. Zatoczyły kolejny krąg i zionęły na mnie ogniem. Znów musiałem odskoczyć do tyłu. Nareszcie pojąłem, dlaczego wcześniej zobaczyłem płonąca ścianę i przestraszyłem się, że wewnątrz szaleje pożar. Węże minęły wejście i wróciłem na próg warsztatu.

Wtedy dostrzegłem Ixila.

Na wpół siedział, na wpół leżał pod szafkami zajmującymi całą tylną ścianę. Miał zamknięte oczy. Jego prawa nogawka tliła się powyżej niskiego buta. Nie zauważyłem Pixa ani Paxa. Może zaszyły się w jakimś kącie; o ile żyły.

Nie wyglądało na to, by Ixil odniósł jakieś obrażenia. Ale wciąż groziło mu niebezpieczeństwo. Węże zataczały coraz szersze kręgi. Lada chwila mógł go dosięgnąć płomień.

– Jasna cholera... – wysapał mi do ucha czyjś głos.

Odwrociłem się. Tuż za mną stał Nicabar. Wpatrywał się w pojowisko wytrzeszczonymi oczami.

– Usłyszałem zamieszanie i poczułem spaleniznę – powiedział. – Co z tym pieprzonym systemem gaśniczym?

– Nie mamy takiego – warknąłem i pokazałem na sterownię. – Tam jest ręczna gaśnica. Na lewo od wejścia.

Zniknął, zanim skończyłem zdanie. Odwróciłem się twarzą do warsztatu. Tylko refleks uratował mnie przed kolejnym atakiem ognistych węży. Widocznie uparły się, żeby opalić mi brwi. Wiedziałem, że po prawej stronie warsztatu jest jeszcze jedna gaśnica. Pytanie, czy zdążę ją złapać, zanim spłonę żywcem.

A jeśli nawet, to co dalej? Gaśnice pokładowe miały podwójne działanie. Piana dławiła dopływ powietrza do ognia i jednocześnie chłodziła palące się przedmioty. Ale płonący acetylen wytworzył już bardzo wysoką temperaturę i wciąż dostawał tlen z butli. Mała gaśnica ręczna mogła nie wystarczyć.

Obok mnie pojawił się Nicabar. Trzymał półmetrową, pomarańczową gaśnicę.

– Sikać? – zapytał.

– Sikaj – odpowiedziałem. Nacisnął dźwignię. Strumień żółtawego płynu trysnął na węże. Syk zmieszał się z trzaskiem płomienia, ale ogień przygasł tylko na kilka sekund. Węże wygięły się w niespodziewanym kierunku, po czym z triumfalnym rykiem zapłonęły na nowo.

Tych kilka sekund wystarczyło; wskoczyłem do warsztatu. Sięgnąłem w prawo i niemal na ślepo złapałem podłużny, pomarańczowy przedmiot.

Nie spuszczałem z oka węży i Nicabara. Gaśnica tkwiła w uchwycie, który pozwalał na jej szybkie wyciągnięcie. Zadziałała prawidłowo. Ale nawet gdyby była przyśrubowana na stałe, odebrałbym ją od przegrody. Przygotowałem się do akcji, nie przestając skradać się w prawo. Kiedy węże odwróciły się ku mnie, nacisnąłem dźwignię.

Mój strumień połączył się ze strumieniem Nicabara. Wszystko przesłoniła mgła. Tylko ogień był ciągle widoczny. Trochę osłabł, ale wciąż się palił. Ruchy węży utrudniały skuteczne zduszenie go. Piana nie trafiała do celu.

Miałem tylko jedną szansę i musiałem zaryzykować, zanim płomień znów wystrzeli z pełną siłą, a gaśnica będzie pusta. Wcisnąłem dźwignię do oporu, wycelowałem jak najdokładniej i ruszyłem na przeciwnika. Nicabar coś zawołał od drzwi, ale w hałasie nie rozróżniłem słów. Węże skończyły następny wygibas, odwróciły się i zaczęły skręcać w moją stronę. Zostało mi może pół sekundy.

Spreżyłem się i skoczyłem. Taki skok w dal nie udał mi się od czasów college'u, kiedy próbowałem załapać się do drużyny lekkoatletycznej. Przeleciałem w powietrzu nad płomieniem i wylądowałem na końcu węży. Przywoździłem je do pokładu.

Nicabar wykrzyknął triumfalnie, i nagle poczułem na stopach zimną pianę z jego gaśnicy. Dziwny kontrast z gorącym pokładem, który już zaczynał mnie parzyć przez podeszwy. Jeszcze trochę, a miałbym w butach pieczeń zamiast nóg. Ale przez ostatnie dwie sekundy nie dbałem o to. Cisnąłem gaśnicę na ziemię, złapałem zawór butli z acetylenem i z całej siły go zakręciłem.

Węże wydały ostatnie świszczące tchnienie i ogień zgasł.

Mogę powiedzieć tylko jedno: miałeś cholerne szczęście – stwierdził Everett i pokręcił głową. Skończył opatrywać oparzoną nogę Ixila i znów sięgnął po skaner medyczny. – Naprawdę wyjątkowe szczęście. Ja nie mam aż tak dobrych uszu, jak McKell. Nie usłyszałbym takich cichych odgłosów, zwłaszcza przez podwójne, zamknięte drzwi. Gdybym to ja siedział w sterowni zamiast niego, nakrywałbym ci teraz twarz kocem.

– Tak, wiem – odrzekł Ixil tonem winowajcy, który przez własną głupotę naraził siebie na niebezpieczeństwo, a innych na kłopoty. W drzwiach ambulatorium stali Nicabar, Tera i Chort. W milczeniu przyglądali się czynnościom Everetta. Na ich twarzach dostrzegłem wyraz współczucia i zakłopotania. Uprzejmi ludzie tak zazwyczaj reagują, kiedy są świadkami czyjegoś wstydu.

Nie czułem się zażenowany. Ale tylko ja wiedziałem, że Ixil udaje skruchę na pokaz, żeby nikt nie zaczął podejrzewać, kim naprawdę jest.

Zastanawiałem się, czy ktoś z tej trójki w drzwiach też czegoś nie udaje.

– Następnym razem radzę sprawdzić cały sprzęt, zanim zaczniesz coś robić – powiedział surowo Everett. Przesuwał skanem wzdłuż poparzonej nogi Ixila i marszczył brwi. Nic dziwnego. Jeszcze nie widział takich odczytów, a ludzie Camerona nie wstawili do komputera medycznego modułu do badań Kalixów. Na szczęście za punkt odniesienia mogła służyć zdrowa noga Ixila.

– Popieram wniosek – wtrąciłem i zerknąłem w drugi koniec ambulatorium. Shawn ciągle leżał przypięty do stołu. Trząsał się z niecierpliwości i problemy Ixila nic go nie obchodziły. Kiedy wnieśliśmy rannego, zapytał tylko o irytację, co się do cholery dzieje. Potem się zamknął. Może mimo braku borandisu potrafił panować nad sobą lepiej niż mówił. Albo był na etapie zmiany nastrojów i właśnie popadł w milczące przygnębienie. Mógł też zobaczyć minę Ixila i obudził się w nim instynkt samozachowawczy. Odwróciłem się tyłem do Ixila i dodałem dyplomatycznie – Cały statek jest w takim stanie, że chyba tylko cudem reszta sprzętu jeszcze się nie rozleciała.

– Tak, wiem – powtórzył Ixil. – Obiecuję, że następnym razem będę bardziej ostrożny.

– Wszyscy możemy uważać się za szczęściarzy – ciągnął Everett. – To mogło skończyć się o wiele gorzej. – Przeniósł skaner z nogi na czoło Ixila, gdzie rósł imponujący siniak. Kiedy palnik wystrzelił z węży, trafił go w głowę. Siła uderzenia była tak duża, że rzuciła Ixila na szafki i stracił przytomność.

Oczywiście nie pamiętał, co działo się dalej. Na szczęście fretkom nic się nie stało. Gdy znalazłem je ukryte za szafkami, przekazały do jego mózgu wszystko, co widziały. W ten sposób poznał cały przebieg wypadków.

– Na razie nie mogę zrobić nic więcej – oświadczył Everett. Odłożył skaner i po raz ostatni wygładził opatrunki. – Oczywiście dostaniesz środek przeciwbólowy albo uspokajający. To pomoże ci zasnąć.

– Nie trzeba, to aż tak nie boli. I na pewno nie będę miał problemów ze snem – odparł Ixil.

Everett nie wyglądał na przekonanego, ale skinął głową.

– Jak chcesz. – Podeszedł do umywalni i zaczął myć ręce. – Jeżeli zmienisz zdanie, daj mi znać. Powiniennem znaleźć tu coś, co podziała na Kalixa.

– Będę o tym pamiętał – obiecał Ixil i wstał ze stołka.

Przynajmniej spróbował wstać. Chora noga ugięła się pod nim i oparł się o ścianę.

Dał mi wyraźną wskazówkę.

– Pomogę ci – powiedziałem szybko i podeszedłem do niego. Po drodze musiałem zrobić małą żonglerkę fretkami, żeby mieć jedną rękę wolną. Te futerkowe bestie były bardzo cwane. Po wypadku aż się paliły, żeby wleźć mu na ramiona i przekazać własną wersję zdarzeń, ale teraz wcale nie chciały tam siedzieć i dzielić z nim bólu. Jakoś udało mi się je usadzić na jednym ramieniu i podtrzymałem kulejącego Ixila. Minęliśmy grupkę stojącą przy drzwiach.

– Koniec atrakcji na dzisiejszą noc – rzuciłem do nich. – Byłbym wdzięczny, Tero, gdybyś usiadła w sterowni.

– Załatwione – odparła.

Poczłapaliśmy wolno korytarzem. Ixil miał wiele cech, które podziwiałem, ale na pewno nie był smukłą dziewczyną. Na szczęście niedługo udawał rannego wojownika uwieszonego na moim

ramieniu. Kiedy tylko zesliśmy po drabince i zniknęliśmy wszystkim z oczu, powlókł się do swojej kabiny o własnych siłach.

– Interesujący eksperyment – stwierdził, sadowiąc się na środkowej koi. – Co nie znaczy, że zrobiłbym to z własnego wyboru. A przy okazji, dzięki za pomoc. Jestem twoim dłużnikiem.

– Dopiszemy to do twojego konta – zaproponowałem. Miałem ochotę przypomnieć mu, ile razy wyciągał mnie z podobnych tarapatów. Ale już kleiły mu się oczy. Kalixirski sposób leczenia obrażeń polegał na zapadaniu w głęboki, uzdrawiający sen podobny do śpiączki. Ixil prawie osiągnął ten stan. Jeśli jeszcze nie zasnął na dobre, to widocznie dlatego, że zamierzał mi przedtem powiedzieć coś ważnego. I z pewnością nie chodziło mu o licytowanie się, kto z nas ma na koncie więcej zasług czy porażek.

– Uważam, że możemy spokojnie skreślić Jonesa z naszej listy podejrzanych – mruknął spod przymkniętych powiek. Opuszczał je, to znów unosił, co przypominało mi zasuwane drzwi z uszkodzonym mechanizmem. – Nie włączyłem tego palnika bez sprawdzenia. Wypróbowałem go dwa dni temu, jak tylko wszedłem na pokład na Xathru. Działał prawidłowo. Dzisiejszy wypadek to sabotaż.

Gapilem się na niego i czułem ucisk w gardle. Palnik był całkowicie nieszkodliwym urządzeniem pokładowym, dlaczego ktoś miałby go psuć? Skoro to zrobił, musiało mu bardzo zależeć, żebyśmy nie dostali się do ładowni.

Problem w tym, że nikt nie wiedział o naszych zamiarach. Zaplanowaliśmy to niespełna godzinę temu w zaciszu mojej kabiny. Rozmawialiśmy w cztery oczy.

Chyba że ktoś nas podsłuchiwał.

Otworzyłem usta, żeby zapytać Ixila, jakim cudem mogła się komuś udać taka sztuczka. Ale zrezygnowałem; już spał. Nie miałem pojęcia, ile godzin będzie pogrążony w leczniczym śnie. Wiedziałem tylko, że dopóki się nie obudzi, jestem zdany na siebie.

Ixil przygotował na dolnej koi legowisko dla fretek. Wymościł ją kocem i ustawił pojemniki z wodą i pożywieniem. Spędziłem kilka minut na układaniu Pixa i Pixa do snu. Potem ściągnąłem koc z górnej koi. Wetknąłem jeden koniec pod materac Ixila, a środek upchnąłem obok gniazda fretek. Luźny koniec sięgał pokładu. Teraz stworzonka mogły zejść po nim na ziemię lub wdrapać się do Ixila. Zgasilem światło i wyszedłem.

Żadne z wewnętrznych drzwi „Icarusa” nie miały zamków. Dotychczas niewiele mnie to obchodziło, ale teraz mój współnik leżał zupełnie bezbronny, być może po zamachu na jego życie. Rozejrzałem się, czy nikt mnie nie obserwuje, i wyjąłem podręczny przyborek wielonarzędziowy. Zdjąłem osłonę włącznika drzwi i wyciągnąłem elektroniczny mikroukład sterujący. Pod spodem, między stykami kostki, tkwił zegar. Jego ustawienie decydowało o tym, ile sekund drzwi mają być otwarte. Wykasowałem go do zera najcieńszym śrubokrętem i wcisnąłem kostkę do gniazodka.

Na próbę dotknąłem przycisku. Drzwi odsunęły się zaledwie na dziesięć centymetrów, po czym zasunęły się z głośnym stukiem. Dodatkowo nie działał zderzak, który normalnie zapewniał ich ciche zamknięcie. Przez chwilę przypominałem sobie tamten tajemniczy, metaliczny dźwięk. Może to uszkodzony zderzak w jakichś drzwiach? Nie bardzo w to wierzyłem.

Założyłem osłonę włącznika i poszedłem do siebie. Zabezpieczenie Ixila było dalekie od doskonałości. Ktoś mógł zrobić to samo co ja i ustawić zegar z powrotem. Pocieszałem się, że rzadko kto wie o możliwości jego regulacji. Trudno, na razie nie potrafiłem wymyślić nic lepszego. Ale przynajmniej próba wejścia do Ixila wywoła hałas i wibrację. Na pewno usłyszę to z mojej kabiny. Oczywiście Ixil mógł wyjść w każdej chwili; miał wewnątrz oddzielny przycisk do drzwi. Przez moment zastanawiałem się, czy tak samo nie zabezpieczyć swoich. Dałem spokój i wszedłem do środka.

Moja kabina nie zmieniła się, ale teraz spojrzałem na nią innym okiem. Ktoś nas tu podsłuchał. Ciekawe jak?

Metalowa ściana od strony korytarza miała dobre pięć centymetrów grubości. Przegrody nawet więcej – dziewięć do dziesięciu. Na wprost wejścia ciągnął się wewnętrzny kadłub. Między nim, a zewnętrznym kadłubem było nie więcej niż dwadzieścia centymetrów. Dalej oczywiście rozciągała się kosmiczna pustka. Wiedziałem, że są sposoby podsłuchiwania przez litą, metalową płytę. Ale wymagały wyrafinowanych urządzeń i w statku kosmicznym nie gwarantowały sukcesu. Cała konstrukcja nieustannie wibrowała. Rezonans wywoływało wszystko; od silników po kroki na pokładzie. W zwykłych, prostych kojach nie dałoby się ukryć mocnego nadajnika do przesyłania sygnału radiowego przez

taką kupę żelastwa. Tak samo w szafkach. Od czasu incydentu z transponderem na Meimie, regularnie sprawdzaliśmy z Ixilom, czy nikt nie przyczepił nam pluskwy. Nigdy nic nie znaleźliśmy. A gołe ściany też nie mogły niczego takiego zakamuflować.

Chyba że interkom.

Wyjąłem przyborek i zacząłem odkręcać osłonę. Przez cały czas przeklinałem pod nosem własną głupotę. To najstarsza sztuczka na świecie. Kiedy wyszedłem na którymś postoju – zapewne na Dor-scind's World – ktoś zakradł się tutaj, i po prostu tak połączył przewody, że interkom był stale włączony. Dla fachowca to trzy minuty roboty. Czułem się jak idiota. Zdjąłem osłonę i zajrzałem do środka.

Wzruszyłem ramionami. Zwykły, pokładowy interkom. Jak każdy. Można taki kupić za pięć kommarek w pierwszym lepszym sklepie z akcesoriami do statków kosmicznych.

Nikt przy nim nie majstrował.

Oglądałem go dobre trzy minuty. Przynajmniej pięć razy odginałem wszystkie przewody śrubokrętem i sprawdzałem, jak są połączone. Nic. Żadnej pluskwy, żadnych dodatkowych drutów, żadnych podejrzanych elementów. Z puszek też wychodziły tylko trzy kable – dwa zasilające i jeden telekomunikacyjny; dokładnie tyle, ile powinno być. Niknęły w małym otworze w wewnętrznym kadłubie, by dołączyć do płataniny przewodów i rurek biegnących w przestrzeni międzykadłubowej.

Powoli założyłem osłonę. Nic z tego nie rozumiałem. Żadnego podsłuchu? Może więc incydent z palnikiem to jednak zwykły wypadek? A jeśli sabotaż, to nie mający nic wspólnego z naszą rozmową? Może ktoś po prostu używa wszelkich sposobów, by udaremnić komukolwiek dostanie się do ładowni.

Nie wierzyłem w to ani przez chwilę. Ledwo rzuciłem okiem na palnik, który omal nie roztrzaskał Ixilowi czaszki, ale to mi wystarczyło. Śrubowa złączka do węży miała pofałdowany gwint, jakby ktoś zgniół go pneumatycznymi szczypcami. Kiedy wytworzyło się ciśnienie, palnik wystrzelił niczym korek od szampana. Metoda sabotażu była prymitywna, ale skuteczna. Co więcej, prosta i szybka. Komuś się spieszyło, co świadczyło o tym, że podsłuchał naszą rozmowę.

A to z kolei znaczyło, że wróciłem do punktu wyjścia. Jak to zrobić?

Przez następny kwadrans sprawdzałem dokładnie koje i szafki. Zgodnie z przewidywaniami, nic nie znalazłem. Wyciągnąłem się na mojej koi i wpatrzyłem w tę nade mną. Spróbowałem pomyśleć.

Sherlock Holmes zwykł mawiać, że kiedy wyeliminuje się niemożliwe, wszystko co pozostaje musi być prawdą, choćby wyglądało nieprawdopodobnie. Nie podpisałbym się pod tym aforyzmem, bo w prawdziwym życiu wyeliminowanie różnych niemożliwych rzeczy bywa zazwyczaj dużo trudniejsze, niż w fikcyjnym świecie Holmesa. Jednak w tym konkretnym przypadku lista tropów prowadzących do ukrytych odpowiedzi była przygnębiająco krótka. Po głębokim namyśle stwierdziłem, że właściwie pozostało mi tylko jedno z tych słynnych nieprawdopodobieństw Sherlocka.

Ixil wspomniał mi, że przejrzał wszystkie schematy konstrukcji „Icarusa”. Podejrzywałem, że skopiował je dla siebie. Poszedłem do jego kabiny, uruchomiłem drzwi i wśliznąłem się. Bez zmian. Tylko fretki przeprowadziły się na środkową kaję do Ixila. Węszyły wokół sakwy na jego biodrze, gdzie nosił ich przysmaki. Przeniósłem je z powrotem na dolną kaję, żeby Ixil ich nie zgniótł, kiedy we śnie przekręci się na bok. Sięgnąłem do sakwy i wydzieliłem im po dwa smakołyki. Potem zająłem do szafki. Schematy leżały zwinięte w ciasny rulon. Wsunąłem je pod pachę, zabezpieczyłem drzwi jak poprzednio, i wróciłem do siebie.

Najpierw obejrzałem ogólny plan statku. Zwróciłem uwagę na średnicę większej kuli; czterdzieści jeden i trzydzieści sześć setnych metra. Bardzo dziwna liczba, ale wierzyłem w ciemno, że jest prawdziwa. Wymiary statku są niezwykle istotne przy lądowaniu, gdy trzeba siadać na skąpo wydzielonej powierzchni. Nie mogą być błędnie podane, bo pomyłka za drogo kosztuje.

Dwie strony dalej znalazłem to, co mnie najbardziej interesowało: schemat środkowego pokładu. Wyrzebałem długopis z wewnętrznej kieszeni kurtki i odwróciłem pierwszy schemat, żeby mieć czyste miejsce do zapisków. Zacząłem notować liczby.

Podzielenie wnętrza kuli na prostokątne przestrzenie stwarza naturalny problem. Stąd różne pomieszczenia „Icarusa” miały dziwne kształty. Jakby przypadkowe rozlokowanie szafek, modułów wyposażenia, pomp i podstacji oczyszczania powietrza

dodatkowo zwiększało bałagan na planie. Ale nie zrażały mnie nierówne liczby. Zabrałem się do pracy.

Po podliczeniu wszystko się zgadzało.

Tego się nie spodziewałem. Sprawdziłem moje rachunki, potem przez kilka minut patrzyłem ponuro na schematy. A już myślałem, że razem z Sherlockiem rozwiążemy zagadkę. Ale liczby nie kłamią.

A może?

Na następnej stronie znalazłem plan dolnego pokładu, na którym teraz byłem. I tu wszystkie obliczenia się zgadzały.

Ale miałem za sobą dopiero teoretyczną część zadania. Przyszedł czas na eksperymentalną.

Najwygodniej byłoby dokonać pomiarów laserem. Jednak po wypadku Ixila nie paliłem się do wyciągania kolejnego narzędzia z warsztatu. Na szczęście nie musiałem. Widziałem drukarkę w kabine komputerowej Tery i znałem wymiar papieru. Rozłożyłem schematy na podłodze, żeby zmierzyć nimi mojąabinę. Potem przeniosłem się na korytarz.

Kiedy skończyłem, liczby przestały się zgadzać.

Każda płyta wewnętrznego kadłuba miała metr kwadratowy i trzymała się na szesnastu śrubach. Zwykły wielonarzędziowy przyborek kosmiczny nie bardzo nadaje się do demontażu elementów poszycia. Mój był ulepszonym modelem z kilkoma dodatkowymi końcówkami. Przy dwunastej śrubie doszedłem do niełej wprawy. Kiedy zostały mi tylko cztery narożne, zrobiłem sobie przerwę. Wygrzebałem z kieszeni latarkę i położyłem na pokładzie, żeby mieć ją pod ręką. Po krótkim namyśle dodałem do niej pistolet. Odkręciłem ostatnie śruby i zdjąłem płytę.

W świetle sufitowej lampy zamajaczył szary metal zewnętrznego kadłuba. Ale nie dwadzieścia centymetrów ode mnie, jak się spodziewałem, tylko dobre półtora metra.

Wziąłem do jednej ręki pistolet, a drugiej latarkę, i ostrożnie zająłem do otworu. W przestrzeni międzykadłubowej biegły normalnie rury i przewody. Przymocowano je do wewnętrznego kadłuba, jak wszędzie. Poza tym pustka. Oczywiście, jeśli nie liczyć wsporników łączących oba kadłuby. Tworzyły tor przeszkód trudny, ale możliwy do przebycia dla kogoś, kto chciał niepostrzeżenie poruszać się po statku.

Stanowiły także całkiem wygodny pomost roboczy, gdyby jakiś intruz chciał się podłączyć do mojego interkomu. Oświetliłem latarką właściwe przewody na lewo ode mnie. Niestety, były za daleko, żebym mógł dostrzec, czy ktoś się nimi bawił.

Od najbliższego wspornika po lewej dzieliło mnie pół metra. Odłożyłem broń i latarkę, ugiąłem nogi i skoczyłem.

Poczułem nagłe sensacje w żołądku, szarpnęło mną w bok i walnąłem prawym ramieniem w zewnętrzną kadłub.

W pierwszym momencie pomyślałem, że znów nawalił generator grawitacji. Że też musiał wyłączyć się akurat teraz! Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że przecież leżę na powierzchni kadłuba. A skoro leżę, to jestem w polu grawitacyjnym.

Tyle że to pole grawitacyjne znajdowało się niemal pod kątem prostym w stosunku do tego, jakie było w mojej kabynie i w całym statku. A tylko takie jak tamto mógł wytwarzać nasz generator. Inne w ogóle nie miało prawa tu istnieć.

Ostrożnie odwróciłem głowę i spojrzałem na to, co w zależności od mojego obecnego położenia znajdowało się „w górze”. Metr nad sobą zobaczyłem mojąabinę. Na podłodze, która teraz wydawała się pionową ścianą, leżał pistolet i latarka. Bardzo wolno uniosłem się z kadłuba. Obawiałem się, że lada chwila ten magiczny magnes przestanie działać i zsunę się do podbrzusza „Icarusa”.

Niepotrzebnie martwiłem się na zapas. Mimo niewiarygodnego wektora, osobliwe pole grawitacyjne trzymało mnie równie dobrze, jak normalne. Dosięgnąłem kabiny i wtedy wyczułem granicę dwóch pól. Przeciwne wektory ścierały się kilka milimetrów od wewnętrznego kadłuba. Nareszcie dowiedziałem się, co Pix i Pax wywęszyły pod mojąkoją. Nic dziwnego, że Ixil nie potrafił tego określić.

Już wiedziałem, jak nasz tajemniczy podsłuchiowacz-sabotażysta krąży po statku. Nie potrzebował ryzykować karkołomnej przeprawy po wspornikach. Po prostu pełzał po kadłubie niczym pająk po ścianie. Wziąłem pistolet i latarkę. Broń tak niespodziewanie zaciążyła mi w dłoni, że omal jej nie upuściłem. Pomyślałem, że wprawdzie nie trzeba mieć wielkiej sprawności fizycznej, żeby poruszać się tutaj, ale trzeba być do tego przyzwyczajonym. Wsunąłem pistolet do kabury i trochę nieufnie skierowałem

się do kabli interkomu. Wciąż nie do końca wierzyłem w ten fenomen.

Ledwo uniosłem się, żeby obejrzeć przewody, gdy w oddali usłyszałem cichy chrobot.

Przez moment myślałem, że mi się zdawało. Albo może to jakiś typowy dla statku odgłos, tylko dziwnie brzmi w tej komorze rezonansowej. Ale dźwięk powtórzył się.

Zatem miałem towarzystwo.

Zgasilem latarkę i schowałem do kieszeni. Drugą ręką wyciągnąłem broń. Potem zacząłem się posuwać wzdłuż krzywizny kadłuba, starając się nie robić hałasu.

Z perspektywy czasu muszę przyznać, że nie był to najsmardzejszy pomysł. Bez względu na to, jak nasz sabotażysta odkrył te zaciszne kuchenne schody, z pewnością znał je lepiej ode mnie. Wiedział, gdzie są różne kryjówki, i gdzie można urządzić zasadzkę. Ponadto musiał już przywyknąć do panujących tu warunków. Tymczasem ja wciąż czułem się niepewnie. Nie opuszczała mnie obawa, że lada chwila osobliwa grawitacja zniknie i stanę się bilą w gigantycznym, bilardzie. Ale liczyło się tylko to, że nareszcie mam szansę go dopaść. Nie zamierzałem jej zmarnować.

Początkowo czołgałem się na plecach, ale szybko z tego zrezygnowałem. Robiłem za dużo hałasu i byłem odwrócony tyłem do kierunku, w którym się posuwałem. Spróbowałem czołgać się na brzuchu. To też mi nie odpowiadało. Nie mogłem trzymać broni w pogotowiu; w razie potrzeby nie zdążyłbym szybko strzelić. W końcu wymyśliłem, że najlepszy sposób to skradanie się w kucki. Ta kaczka poza uchybiała mojej godności i bolała mnie kolana, ale przy najmniej ja i mój pistolet nareszcie celowaliśmy w tę samą stronę.

Dźwięk zdawał się dochodzić z góry. Termin „z góry” odnosił się do kierunku, w którym znajdował się górny pokład „Icarusa”. Właśnie tam zmierzałem. O wiele wolniej, niż bym sobie życzył. Nie dość, że poruszałem się w niewygodnej pozycji i musiałem być cicho, to jeszcze miałem nieprzyjemne zawroty głowy. Skakała mi na boki, bo na mojej trasie ścierały się z równą siłą dwa pola grawitacyjne. Efekt stawał się coraz wyraźniejszy po minięciu środkowego pokładu. Kąt między wektorami grawitacji rósł powoli od dziewięćdziesięciu aż do stu osiemdziesięciu stopni.

Nie wiem, jak długo trwał ten pościg w zwolnionym tempie. Sądzę, że nie dłużej niż piętnaście, może dwadzieścia minut. Bolały mnie kolana, kręciło mi się w głowie, i samotnie ścigałem w ciemności człowieka, który już raz zabił. Nic dziwnego, że miałem mocno przytępiony zmysł poczucia czasu. Mniej więcej co pół minuty przystawałem i nasłuchiwałem, starając się przeniknąć uchem normalne hałasy i wibracje statku. Gdzie on może być?

Przy piątym lub szóstym postoju zdałem sobie sprawę, że powtarzający się sporadycznie odgłos drapania zmienił się. Rozlegał się dużo częściej, za to ciszej.

Moja ofiara wiedziała, że tu jestem.

Przedtem porównywałem się do pająka na ścianie. Teraz bardziej przypominałem muchę przygwożdżoną snopem jasnego światła do białego muru. Przez kilkanaście uderzeń serca siedziałem nieruchomo w kukki. Pociłem się w ciemności i usiłowałem wyczuć, czy dźwięk oddala się, czy przybliży. To pierwsze oznaczałoby, że tamten próbuje uciec; to drugie, że zamierza mnie załatwić. Jedno było pewne: nie mogłem sobie pozwolić na błąd w ocenie sytuacji.

W końcu nabrałem pewności, że odgłos się oddala. Chyba w dół na prawo ode mnie, choć echo utrudniało dokładne ustalenie kierunku.

Przez głowę przemknęły mi wszystkie powody, z jakich nie powinienem był tu w ogóle włązić. Ale zignorowałem je. Przegrałem z tym facetem już kilka rund i miałem tego cholernie dość. Ruszyłem za nim.

Dotąd przemieszczałem się z szybkością zółwia. Teraz tempo spadło jeszcze bardziej. Zaczęła się spowolniona zabawa „pies tropi zająca”. Przystawałem częściej niż przedtem, ale moja ofiara robiła to samo. Zmieniała kierunek i nabrałem podejrzeń, że wciąga mnie w zasadzkę. Dotychczas nic nie wskazywało na to, że nasz sabotażysta jest uzbrojony. Jednak wszyscy inni, na których natknąłem się podczas tej podróży byli. Należało więc przypuszczać, że jeśli ktoś tak hojnie rozdaje broń, nie zapomni również o swoim przyjacielu na pokładzie „Icarusa”.

Zastanawiałem się, czy nie walnąć kolbą pistoletu w wewnętrzny kadłub, żeby wezwać załogę do pomocy w polowaniu. Ale już straciłem orientację, w której części statku jestem. Nie

miałem pojęcia, czy mnie usłyszą. Za to bez wątpienia usłyszałby to mój towarzysz zabawy. Sygnał alarmowy mógłby go skłonić do zmiany taktyki, i zamiast uciekać, zastrzeliłby mnie.

Nagle w oddali dostrzegłem nikły blask. Tak nikły, że przez moment nie byłem pewien, czy mi się nie przywidziało. Najpierw pomyślałem, że może skomplikowana trasa doprowadziła nas z powrotem w okolice mojej kabiny. Ale zanim uświadomiłem sobie, że wyklucza to kombinacja wektorów grawitacji, światelko zgasło. Jednocześnie rozległ się głuchy, metaliczny stuk, jakby uderzyły o siebie dwa wydrążone kawałki żelaza.

Ten sam dźwięk słyszałem w tunelu po rozmowie z Nicabarem i próbowałem wytropić od dwóch dni.

Posuwałem się dalej, ale nie było już powodu do pośpiechu. Moja ofiara wyprowadziła mnie w pole i bezpiecznie zniknęła w swojej lisiej norze. Pozostała anonimowa. Zanim dotarłbym do tamtego miejsca – o ile bym je znalazł – zdążyłaby przykręcić śruby i zastałbym tylko jedną z siedemnastu tysięcy płyt wewnętrznej kadłuba.

Po kilku minutach dobrnąłem w tamten rejon. Oczywiście wszystkie płyty wokół wyglądały tak samo. Przez krótką chwilę zastanawiałem się, czy nie spróbować wydostać się stąd tą samą drogą, co uciekinier. Ale rzut oka wystarczył, żeby stwierdzić, że płyt nie da się odkręcić z tej strony.

A może jakoś inaczej wykorzystać okazję, że tu jestem?

Oświetliłem latarką wewnętrzny kadłub nad głową, i w gąszczu rur i kabli odnalazłem przewody interkomu. Niknęły w otwórze oddalonym na oko o metr od przypuszczalnej drogi ucieczki mojej ofiary.

Zostawiłem przyborek w kabinie, ale zasilacz w pistolecie miał twardy styk z ostrą krawędzią. Po kilku minutach udało mi się zderzyć kawałki izolacji z dwóch przewodów elektrycznych interkomu. Odłożyłem broń i zetknąłem gołe druty.

Nie błysnęła iskra, bo napięcie było zbyt małe. Ale mimo braku efektów pirotechnicznych, operacja z pewnością dała zadowalający wynik. Wiedziałem, że z powodu zwarcia gdzieś w czeluściach „Icarusa” wyskoczył bezpiecznik. Wystarczyło ustalić który, żeby znaleźć interkom podejrzanego. A wraz z nim lisią norę sabotażysty.

Skreśliłem przewody razem, żeby się nie rozłączyły. W większości statków gwiazdnych program diagnostyczny głównego komputera natychmiast wykryłby usterkę i przekazał sygnał do sterowni i maszynowni. Bardzo wątpiłem, żeby archaiczny system komputerowy „Icarusa” miał takie oprogramowanie. A jeśli nawet, usunięcie zwarcia przez wciśnięcie bezpiecznika nie było możliwe, dopóki nagie druty się stykały.

Pozostało mi odnalezienie drogi powrotnej do mojej kabiny. Musiałem dotrzeć do właściwej puszki z bezpiecznikami, zanim przeciwnik połapie się, w czym rzecz, i naprawi uszkodzenie.

O ile pościąg dostarczał sporych emocji, o tyle zwykła wędrówka po kadłubie wydała mi się wręcz nudna. Trzymając latarkę w dwóch palcach tuż przy powierzchni wewnętrznego kadłuba, sprawdziłem, w którą stronę się wychyla. W ten sposób ustaliłem, gdzie jest dół statku i wyruszyłem w tamtym kierunku. Następny pomiar za pomocą wahadła z latarki wskazał, że dotarłem do bieguna południowego kuli. Wybrałem drogę na chybił trafił i na próbę przebyłem kilka metrów. Szerokość geograficzna okazała się właściwa. Wkrótce zobaczyłem światło mojej kabiny. Po trzech minutach byłem na miejscu.

Przez to wszystko, co się wydarzyło, omal nie zapomniałem o moim interkome. A w końcu z tego powodu rozpocząłem tę wyprawę. Nie spodziewałem się znaleźć podsłuchu na przewodzie telekomunikacyjnym, ale chciałem mieć pewność, że niczego nie zaniedbałem. Krótkie oględziny wystarczyły, by stwierdzić, że jednak ktoś się do mnie podłączył.

Wdrapałem się do kabiny. O dziwo, w tym momencie pole grawitacyjne kadłuba wydało mi się mocniejsze, niż na początku tej wycieczki. Może uległem złudzeniu, ale samo jego istnienie gotów byłem przypisać magii. Jeszcze nie spotkałem tak niewytłumaczalnego zjawiska. Jak na mój gust, ostatnio trochę za często trafiałem na różne nowinki techniczne. Najpierw broń Braci Guzowatych, teraz to...

Umocowanie płyty za pomocą przybornika wymagało zupełnie innych umiejętności, niż jej zdjęcie. Ale na razie postanowiłem przykręcić tylko cztery narożne śruby. Po kilku minutach przerzucania schematów Ixila zlokalizowałem właściwą puszkę bezpiecznikową. Znajdowała się na górnym pokładzie przy kabinach reszty załogi.

Zamieszanie wywołane wypadkiem Ixila dawno się uspokoiło i na statku panowała cisza. Wspiąłem się po tylnej drabince na górny pokład i ostrożnie poszedłem korytarzem. Obawiałem się, że lada chwila drzwi któreś kabiny otworzą się i ktoś do mnie strzeli. Jednak bez przeszkód dotarłem do puszek bezpiecznikowej. Tkwiła obok pięciu innych w przegrodzie na początku korytarza, tuż za przednią drabinką. Była mała, ale tego się spodziewałem; mieściła tylko bezpieczniki dwudziestu sześciu interkomów pokładowych.

Nie zdziwiło mnie, że puszki nie mają zamków; projektant „Icarusa” najwyraźniej ufał ludziom. Zawiasy zaskrzypiały, ale nie na tyle głośno, żeby kogoś obudzić. Z rosnącym podnieceniem oświetliłem wnętrze latarką.

Zgodnie ze schematem Ixila powinienem tu znaleźć dwadzieścia sześć bezpieczników chroniących obwody niskiego napięcia. Tymczasem zobaczyłem dwadzieścia sześć pustych gniazdek.

Gapilem się na nie przez kilka sekund. Już nie czułem podniecenia, tylko kwaśny smak w ustach. Dopóki druty w przestrzeni międzykadłubowej były skręcone razem, sabotażysta nie mógł oczywiście usunąć zwarcia. Weiskanie właściwego bezpiecznika nic nie dało, więc żeby go nie zdradził, wyjął wszystkie.

Wygrał następną rundę. To już stawało się złą tradycją.

Zamknąłem drzwiczki puszek. W normalnym statku może znalazłbym zapasowe bezpieczniki, ale tutaj? A jeśli nawet gdzieś były, mój przeciwnik zapewne już je usunął. Zanim dopasowałbym odpowiednie z innej puszek, zdążyłby naprawić uszkodzenie.

Droga powrotna do mojej kabiny zajęła mi więcej czasu, niż wejście na górny pokład; wstąpiłem do warsztatu po odpowiednie narzędzie do przykręcenia płyty kadłuba. Skończyłem pracę, położyłem się na koi i spróbowałem pomyśleć. Nic nie wymyśliłem, poszedłem więc na środkowy pokład, do sterowni.

Tera spokojnie siedziała na miejscu. Nie ruszała się stąd, czy zdążyła wrócić z przestrzeni międzykadłubowej? Zaproponowałem, że ją zastąpię, żeby mogła pójść do mesy coś przekąsić. Kiedy mnie mijała, starałem się sprawdzić, czy nie ma na ubraniu plam oleju albo czy nie pachnie smarem. Niczego takiego nie wykryłem.

Ale w końcu ja też się nie ubrudziłem i nie przesiąknąłem żadnym zapachem podczas wędrówki między kadłubami. To żaden dowód niewinności.

Gdy tylko zniknęła z pola widzenia, dokładnie obejrzałem całą sterownię, przyrządy i wyposażenie. Tera zajmowała wysoką pozycję na mojej liście podejrzanych. Nawet jeśli to nie ona zaczęła nagle kolekcjonować bezpieczniki, sabotażysta mógł tu coś zmajstrować, skoro bawiło go dłubanie przy interkomach.

Na szczęście wszystko było w porządku. Opadłem na fotel pilota, oparłem łokcie na poręczach i podparłem dłońmi brodę. Wpatrywałem się w hipnotycznie mrugające światełka na ekranie konsoli i czekałem na Terę. Potem życzyliśmy sobie dobrej nocy i wróciłem do siebie. Zrezygnowałem z jałowych rozmyślań i zapadłem w sen.

9

Dotychczas jeszcze nie lądowaliśmy w tak gęsto zaludnionym świecie jak Potosi. Dzięki swej wielkości planeta przestała być kolonią i awansowała do roli pełnoprawnego członka Archipelagu Najiki. Składał się on z około trzydziestu światów rozrzuconych na przestrzeni kilkuset lat świetlnych. Przebiegał przez regiony, do których poza Najikami rościły sobie prawa co najmniej trzy inne gatunki, mające tam sfery wpływów. To, że tolerowały tę sytuację i nie uznawały jej za zabór ich suwerennych terytoriów, Najikowie zawdzięczali tylko swoim zdolnościom dyplomatycznym i handlowym oraz wyjątkowej umiejętności bogacenia się. Bogactwem tym bez sprzeciwu dzielili się z rządami, a te w zamian wspaniałomyślnie przydzielały im korytarze wiodące przez swoją przestrzeń. Oczywiście cynicy twierdzili, że to tylko interes.

Na powierzchni Potosi było pięć dużych portów klasy międzyspiralnej. W największym i najnowocześniejszym dominowała flota handlowa Patthów. Kiedy tylko znaleźliśmy się w zasięgu wieży kontrolnej, poprosiłem o skierowanie mnie na lądowisko oddalone od tego sąsiedztwa. W innych okolicznościach dyżurny Najik bez wątpienia uniósłby brwi, czy co tam oni mają w tym miejscu. Ale monopolistyczne praktyki Patthów w dziedzinie przewozów wyjątkowo ciężko dotknęły ten rejon, co wzbudzało

uczucia dalekie od sympatii. Dlatego liczyłem na to, że moje życzenie zostanie spełnione.

Niestety, powszechna nienawiść sprawiała również, że inni kapitanowie statków mieli taką samą prośbę. A większość z nich lądowała tu regularnie. W rezultacie nie tylko nie wskazano mi miejsca odległego o pół kontynentu od Patthów, ale wyznaczono nam stanowisko lądownicze w samym środku ich zbiorowiska. Przez całą podróż nie opuszczał nas pech, dlatego więc teraz miałyby być inaczej?

Znów kazałem załodze zostać na pokładzie. Wieść, że samotnie wybieram się na zakupy nie zachwycała ich i tym razem.

– Ty chyba nie rozumiesz sytuacji – naskoczył na mnie Everett z wysokości pochyłego pokładu. – Wystarczy odstawić Shawna do portowego centrum medycznego i opowiedzieć o objawach, jakie u niego zaobserwowaliśmy...

– ...żebyśmy wszyscy wylądowali w ustronnej celi – dokończyłem. – Spróbuj sensownie wyjaśnić uprzejmemu Najikowi z wydziału narkotyków, jak to się stało, że Shawn uzależnił się od borandisu. Nie zapominaj, że grozi nam porwanie statku. Tutaj lepiej nie podpadać władzy.

– W samym środku głównego portu nikt nie zaryzykuje porwania – parsknął.

– Żartujesz? – warknąłem. – To najlepsze miejsce. W tym tłoku nikt nikogo nie zna.

Zacisnął usta i nie odezwał się.

– A co z tobą? – spytała Tera. Wskazała na moje ufarbowane włosy, zmieniony kolor oczu i fałszywe blizny na policzku. – Uważasz, że dzięki tej maskaradzie nikt cię nie rozpozna?

– Ktoś musi upolować handlarza i zdobyć prochy – przypomniałem jej cierpliwie. – Masz ochotę się tym zająć?

– Po prostu nie chcę, żeby cię złapali – odszczeknęła. – To byłby koniec dla nas wszystkich.

– Nie ma obawy – uspokoiłem ją. – Nawet mnie nie zauważą. Moje zdjęcie jest stare i kiepskie, i wiem, kogo zatrudniają Patthowie. Możesz mi wierzyć, że ci frajerzy dadzą się nabrać na tę charakteryzację.

– Ciekawe... – mruknął Nicabar. – Zastanawiam się, od kiedy jesteś ekspertem od takich typów.

– Nie zadawaj pytań, na które nie chcesz otrzymać odpowiedzi – ostrzegłem cierpko. Może trochę za cierpko, ale czas płynął. I wcale nie uśmiechała mi się ta wycieczka.

Więcej pytań nie było.

– Zatem załatwione – rzuciłem w lodowatej ciszy. – Revs, sprowadź cysternę i dopilnuj, żebyśmy tym razem mieli pełne zbiorniki. I nie zapomnij, że teraz nazywamy się „Śpiąca Królowna”. Everett, uważaj na Shawna. Czuwaj nad nim, dopóki nie wrócę.

Znów zacisnęła usta.

– Zrobię, co będę mógł – obiecał.

– A co z mechanikiem Ixilem? – zapytał Chort. – Nic mu nie jest?

– Odpoczywa w swojej kabinie – odpowiedziałem. Celowo trochę skłamałem. Jeśli nasz sabotażysta jeszcze nie wiedział o uzdrawiającej kalixirskiej śpiączce, to nie zamierzałem go oświecać. – Nie martw się, niedługo wyjdzie. Wrócę za dwie godziny.

Kiedy schodziłem po pochylni, ciągle stali w tunelu. Przypominali porzucone dzieci, którym właśnie uciekł ostatni autobus do sierocińca. Miałem nadzieję, że nie będą tak stać do przyjazdu pompiaarzy. Wyglądałoby to trochę dziwnie.

Tutejsze ruchome chodniki były podobne do tych na Dorscind's World, tylko lepiej utrzymane. Ponadto ciągnęły się nad nimi półcyldryczne, przezroczyste daszki chroniące przed kapryśnymi pogody. Chwilowo nie miały przed czym chronić, ale wkrótce mogły okazać się potrzebne; na horyzoncie zbierały się ciemne chmury.

Port sprawiał przyjemne wrażenie. Panował tu wzorowy porządek, dobra organizacja i wyjątkowa czystość. Nic dziwnego, skoro w trzech czwartych należał do Patthów, a w pozostałej części też oni mieli najwięcej do powiedzenia. Nie dbali natomiast o to, co leżało tuż za ogrodzeniem. Okolice portu nie różniły się od innych ponurych i niebezpiecznych dzielnic występku w całej Spirali. Liczyłem na to, że wśród tutejszych handlarzy oferujących wszelkie prochy kręci się choć jeden z borandisem na składzie.

Oczywiście problem polegał na tym, jak trafić pod właściwy adres. Normalnie zajęłoby to mnóstwo czasu, a w tej chwili nie miałem go ani ja, ani Shawn, ani reszta załogi. Musiałem dotrzeć na skróty prosto do źródła.

Na szczęście, a może na nieszczęście, miałem pewien numer telefonu.

Ekran rozjaśnił się i zobaczyłem tego samego typu ze złamanym nosem, który łączył mnie poprzednio z Bratem Johnem.

– Czego? – warknął.

– Tu Jordan McKell. Potrzebuję informacji.

Łypnął na mnie spode łba.

– McKell?

– Tak, McKell – odparłem zniecierpliwiony. Straciłem już dwadzieścia minut z dwóch godzin przeznaczonych na tę wyprawę; dziesięć na podróż do budynku StarrCommu i drugie dziesięć w kolejce do kabiny. Nie zamierzałem marnować następnych na odstawianie greckiego chóru przed ochroniarzem Brata Johna. – Jestem zamaskowany dla niepoznaki, w porządku? Potrzebuję informacji o...

– Zaraz – przerwał mi. – Zaczekaj.

Ekran zgasł. Zerknąłem wściekle na zegarek. Miałem już powyżej uszu Brata Johna i jego złośliwych matolów. Jako następny pojawi się zapewne nalany typ w garniturku lokaja. Pewnie już się dowiedział, co to jest przekomarzanie się, i będzie chciał mi pokazać, że wie.

Ale ku memu zdumieniu na ekran wyplęnęła twarz Brata Johna.

– Cześć, Jordan – przywitał mnie zwykłym, uprzejmym tonem. Tylko uśmiech cherubina gdzieś się tym razem zapodział. – Masz pojęcie, jakiego zamieszania narobiłeś na tym końcu Spirali?

– Czyżby?

Wyraźnie wyczuwalny chłód zamienił się w mróz.

– Nie udawaj naiwniaka, McKell – parsknął. Skorupa dobrych manier rozpadła się niczym tania skrzynka. – Chodzi o statek z Meimy, fałszywy frachtowiec. Patthowie dyszą jak wściekłe psy, żeby go dostać w swoje łapy. Chcesz mi wmówić, że to nie ty narozrabiałeś?

– Ja – przyznałem pośpiesznie. W kabynie StarrCommu nie mogłem się przed nim czołgać, ale przynajmniej próbowałem nadać mojemu głosowi uniżone brzmienie. – Bardzo przepraszam, nie chciałem, żeby tak wyszło. Nie zdawałem sobie sprawy, że narobię takiego zamieszania.

Temperatura pozostała poniżej zera.

– Nie lubię szumu, McKell – ostrzegł. – Bardzo nie lubię. Szum wzbudza zainteresowanie, a ja nie chcę, żeby ktoś się mną interesował. Tobie też to niepotrzebne.

– Wiem – zgodziłem się potulnie. – Proszę mi wierzyć, że staram się jak mogę, żeby nie rzucać się w oczy.

– Nie staraj się, tylko po prostu odpuść to sobie – warknął. – To nie twój statek i nie twój problem. Gdzie teraz jesteś? Przyślę kogoś po ciebie.

Miał rację. Przynajmniej w połowie. W porządku, to nie mój statek. Ale mój problem.

– Nie mogę się wycofać – odpowiedziałem, i przygotowałem się na następny wybuch gniewu.

– Podpisałem umowę, że doprowadzę ten pojazd do celu. Biedny, ale uczciwy przewoźnik nie może tak po prostu zerwać umowy. To by wyglądało podejrzanie.

– A kto się o tym dowie? – skontrował. Wciąż mówił zimnym, surowym tonem. Dobrze, że nie wrzeszczał. Może skłoniłem go do myślenia.

– Wielu ludzi – odpowiedziałem. – Zbyt wielu. Na przykład władze portowe. Widzieli moje papiery. Wiedzą, że pilotuję ten statek. Zaczną się zastanawiać, jak niezależny przewoźnik może sobie pozwolić na zerwanie umowy. Pomyślą, że widocznie mam inne źródła dochodów. – Wzruszyłem ramionami. – A jeśli stanę się podejrzany, nie na wiele się panu przydam.

Przez chwilę przyglądał mi się z nieodgadnionym wyrazem twarzy i oddychał ciężko. Patrzyłem na niego i płaszczyłem się, jak mogłem. Zastanawiałem się, czy trochę nie przesadzam. Gdyby mnie wywalił, nie spłaciłbym mu do końca półmilionowego długu. Przypuszczam, że organizacja Antoniewicza pewnie tyle wydawała miesięcznie na spinacze biurowe. Ale jeśli uzna, że nie może mi bezkarnie darować takiej forsy, załatwi mnie.

I jeszcze wyjdzie na to, że sam go do tego namówiłem. Szczyt ironii losu.

– Ciągłe próbujesz wymusić na mnie taką decyzję, Jordan – odezwał się tonem zwiastującym odwilż. – Stawiasz mnie przed faktami dokonanymi. Ale nic z tego.

– Nie próbuję. Po prostu wszystko dzieje się tak szybko, że stale muszę improwizować.

- Nic z tego, Jordan – powtórzył. – Jasne?
- Tak jest.
- To dobrze. A teraz mów, jaką masz sprawę?
Wzięłem głęboki oddech.
- Potrzebny mi handlarz narkotyków – wyjąłem ostrożnie.
Zamrugał, potem zmarszczył brwi.
- Po co? – zapytał tonem, który znów przywodził mi na myśl koło podbiegunowe. Brat John sprzedawał hurtem prochy na prawo i lewo, ale w stosunku do swoich ludzi był wręcz purytański pod tym względem.
- Muszę kupić borandis – wyjaśniłem szybko. – Jeden z członków mojej załogi ma chorobę Cole’a. Borandis to dla niego lekarstwo. Nazywają to również „śliną szakala”.
- Wiem. – Przez kilka sekund bezlitosne oczy wpatrywały się we mnie bez wyrazu. Zapewne Brat John próbował odgadnąć, czy mówię prawdę. Wstrzymałem oddech i czekałem z najbardziej niewinną miną, na jaką było mnie stać.
- Nagle, ku mojej uldze, wzruszył ramionami.
- Czemu nie? Gdzie jesteś?
Wypuściłem powietrze z płuc.
- Na Potosi. W porcie Kacclint.
Chrząknął.
- W świecie Najików, tych poczciwych zjadaczy robaków.
- Zgadza się – przytaknąłem. Zdziwiłem się, że przy swojej ksenofobii Brat John wyraził się tak uprzejmie o innym gatunku. Albo z jakiegoś powodu darzył Najików niechętnym szacunkiem, albo prowadził z nimi udane interesy. Stawiałem raczej na to drugie. – Chciałbym wiedzieć, czy organizacja ma tu swojego członka, który mógłby nam pomóc. A jeśli tak, to jak go znaleźć.
- Brat John zerknął w lewo.
- Zaczekaj.
- Ekran zgasł. Znów wzięłem głęboki oddech. Pistolet nagle zaciążył mi pod pachą. Na razie wszystko szło dobrze, ale jeszcze nie mogłem się odprężyć; na to było za wcześnie. Brat John szybko zmieniał humor. Nie podobała mu się moja podróż „Icarusem”, może więc teraz doszedł do wniosku, że śmierć chorego członka załogi byłaby korzystna? Dałby mi nauczkę albo

nowy bodziec do opuszczenia statku. Zamierzałem mu jednak przypomnieć, że śmierć Shawna tylko wzmogłaby zainteresowanie „Icarusem”.

Czekanie przedłużało się. Może sprawa jest trudniejsza do załatwienia, niż myślałem, i Brat John uzna, że nie warta zachodu? Zastanawiałem się, czy w międzyczasie nie zadzwonić do Ixila, czy Shawn już wyszedł ze śpiączki. W końcu ekran zablysnął na nowo.

– W porządku – oświadczył rażno Brat John. – Nasz handlarz to Drilie. Nazywa się Emendo Torsk. Prowadzi uliczny stragan muzyczny na Gystr'n Corner. Mam nadzieję, że twój chory załogant zapłaci?

– Tak, oczywiście – zapewniłem. – Dziękuję panu.

– Nie dzwoń tu więcej, Jordan – uprzedził mnie – dopóki cała sprawa nie przycichnie. Jasne?

– Tak jest, naturalnie – odpowiedziałem. Zrozumiałe, że nie chciał mieć nic wspólnego ani ze mną, ani z „Icarusem”. – Jeszcze raz dziękuję.

– Odezwę się do ciebie, kiedy będzie po wszystkim.

Sięgnął w prawo i wyłączył się.

Przełknąłem z trudem; zaschło mi w ustach. Coraz gorzej znosiłem współpracę z Bratem Johnem. Z powodu jego samego i tego, co reprezentował. Stwierdzenie, że ten układ kiedykolwiek mi odpowiadał, byłoby grubą przesadą. Ale ostatnio wręcz robiło mi się niedobrze.

A to mogło okazać się niebezpieczne. Źle działało na moją psychikę, nie wspominając o żołądku. Ludzie pokroju Brata Johna doskonale wyczuwają niezadowolenie, zwłaszcza w swoim bliskim otoczeniu. Ja nie należałem do tego kręgu; byłem tylko jednym z tysięcy mało znaczących pionków. Ale organizacja Antoniewicza nie zaszłaby tak daleko, gdyby tolerowała niezadowolonych nawet na najniższych szczeblach. Tacy mogą sprzeniewierzyć pieniądze, robić własne interesy albo sprzedawać sekrety.

Brat John za pewnością nie miał złudzeń, dlaczego dla niego pracuję. Bardzo sprytnie starał się, żeby półmilionowy dług wisiał nade mną jeszcze przez lata. Jeśli równie sprytnie potrafił mnie przejrzeć na wylot, musiał dojść do wniosku, że jestem chodzącą bombą zegarową, którą trzeba rozbroić.

Na razie nie pozostawało mi nic innego, jak tylko ciągnąć to dalej. Powiadają, że jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Mogłem się jedynie postarać, żeby było mi jak najwygodniej.

Niestety, żadna wygoda nie wchodziła w tej chwili w rachubę. Odcierpiałem już kolejną rozmowę z Bratem Johnem. Teraz musiałem jeszcze załatwić to, co odkładałem od przynajmniej trzech światów.

Nadszedł czas na miłą, długą pogawędkę z Wujem Arthurem.

Powitała mnie uśmiechnięta twarz może nie pięknej, ale przystojnej kobiety. Stanowiła przyjemny kontrast z kwaśną miną ochroniarza Brata Johna, który przywodził na myśl ofiarę niedanej operacji plastycznej.

Sekretarka Wuja Arthura sprawiała sympatyczne wrażenie, dopóki nie spojrzało się jej prosto w oczy. Ani uroda, ani przyjazny uśmiech nie mogły ukryć ich zimnego okrucieństwa. Od dawna podejrzewałem, że ta kobieta potrafiłaby zabić równie łatwo, jak bezlitosne zbiry Brata Johna.

Ale w końcu pracowała dla Wuja Arthura.

– Cześć, Shannon – przywitałem ją. – Tu Jordan. – Starałem się nie myśleć o jej morderczych skłonnościach. Doszedłem do wniosku, że naprawdę jest niebrzydka. – Zastałem szefa?

– Jak się masz, Jordan. – Jej uśmiech tylko nieznacznie osłabł. W przeciwieństwie do przygłupa u Brata Johna przyjęła moją charakterystykę bez mrugnięcia okiem. – Zaraz sprawdzę, czy jest.

Mogła to sobie darować; dała sygnał Wujowi Arthurowi, jak tylko mnie rozpoznała. Sądząc po jej przygaśniętym uśmiechu, Wuj Arthur powinien odebrać telefon natychmiast. Albo z ciekawości, albo ze złości na mnie.

Miałem rację. Twarz Shannon zastąpiło nagle dużo mniej fotogeniczne oblicze. Było poprzecinane zmarszczkami, okolone siwą czupryną i ozdobione równie siwą kozią bródką z zaskakująco czarnym pasmem na środku. Znad okularów do czytania patrzyły na mnie bładoniebieskie oczy.

Wiedziałem z doświadczenia, że Wuj Arthur odezwie się pierwszy. Nie zawiodłem się.

– Zakładam, że potrafisz to wszystko wyjaśnić – powiedział. Jego grzmiący głos doskonale pasował do brody i okularów.

– Oczywiście – odrzekłem. – Tylko nie wiem, jak pan to oceni.

Przez chwilę przyglądał mi się z groźną miną i ledwo dostrzegalnie kiwał głową. Od dawna przypuszczałem, że okulary są tylko w dwóch trzecich koniecznością; miał nieoperowalną wadę oka. W jednej trzeciej ich noszenie było zwykłym pozerstwem i celowym denerwowaniem ludzi. Kiedy nieznacznie ruszał głową, w szklach odbijało się światło i rozpraszało rozmówcę. Robił to właśnie teraz, ale przez wideotelefon nie mógł osiągnąć pożądanego efektu. Uznałem to za podświadome przyzwyczajenie.

Przestał wpatrywać się we mnie wzrokiem bazyliuszka i lekko wyciągnął się w fotelu.

– Słucham – zachęcił.

– W tawernie na Meimie natknąłem się na Arno Camerona – zacząłem. Wiedziałem, że Wuj Arthur jak zwykle zażąda szczegółów, ale teraz nie miałem na to czasu. – Znalazł się w paskudnym położeniu, bo chciał polecieć na Ziemię, a został mu statek bez załogi. Zapytał, czy mógłby mnie wynająć jako pilota, i zgodziłem się.

– Wpadłeś na niego przypadkiem, tak? – zagrmiał złowrogo Wuj Arthur. – Czyżbym jakimś cudem zapomniał ci powiedzieć, że masz go tylko obserwować?

– To on mnie zaczepił, nie odwrotnie. Powiniennem być go za to wyzwąć na pojedynek? Nie uważałem tego za dobry pomysł.

Wuj Arthur przeszył mnie najgroźniejszym ze swych morderczych spojrzeń, ale po rozmowie z Bratem Johnem nie wywarło to na mnie wrażenia.

– Zostawmy to na chwilę – zaproponował. – Zdajesz sobie sprawę, jakie zainteresowanie wzbudzasz teraz ty i ten statek?

Mniej więcej to samo pytanie i podobnym tonem zadał mi Brat John.

– Nie – odrzekłem. – Wiem tylko, że agenci Patthów rozdają szumowinom w całej Spirali po sto kommarek i obiecują pięć tysięcy nagrody za wskazanie mnie.

Wuj Arthur uniósł brew.

– Pięć tysięcy?

– Tak słyszałem kilka godzin temu na Dorscind's World – odparłem ostrożnie. Wuj Arthur miał ukryty talent dramatyczny. To, że teraz go ujawnił, nie wróżyło nic dobrego. – Czyżby sytuacja zmieniła się na gorsze? – zapytałem z obawą.

– I to znacznie. – Wziął jakiś papier i przysunął do kamery, żeby udowodnić, że nie zmyśla. – W ciągu ostatnich dwunastu godzin Dyrektor Generalny Patthów skontaktował się co najmniej z piętnastoma rządami na twojej planowanej trasie – oznajmił wyraźnym, oficjalnym tonem, którym zawsze obwieszczał złe wiadomości. – Wszyscy zostali poinformowani, że statek o nazwie „Icarus” dowodzony przez mężczyznę rasy ludzkiej nazwiskiem Jordan McKell ma być zatrzymany natychmiast po zidentyfikowaniu. Następnie należy poczekać na przedstawiciela Dyrektora Generalnego i przekazać mu statek.

Po plecach przeszedł mi dreszcz.

– Albo?

– Albo Patthowie nałożą poważne sankcje handlowe na oporne państwa, do całkowitego embarga na ich ładunki włącznie.

Odłożył papier.

– Co ludzie Camerona tam wykopali, na Boga?

– Nie wiem. Ale cokolwiek to jest, znajduje się w ładowni „Icarusa”.

W dramacie powinna teraz nastąpić długa, przygnębiająca cisza. Jednak zmysł dramatyczny Wuja Arthura nie dopuszczał takiej straty czasu.

– Lepiej więc znajdź sposób, żeby się dowiedzieć – warknął.

– Chyba już znalazłem – pochwaliłem się. – Czy może pan zdobyć listę archeologów Camerona?

– Mam ją tutaj. Do czego jest ci potrzebna?

– Podejrzewam, że jeden z nich jest na pokładzie „Icarusa”.
Udaje członka załogi.

Kozia bródka skrzywiła się lekko.

– Mało prawdopodobne. Wszyscy siedzą w więzieniu na Meimie.

Poczułem, że ziemia usuwa mi się spod nóg.

– Wszyscy? Jest pan pewien?

– Całkiem pewien. – Wuj Arthur uniósł następny papier. – Tamtej nocy wyłapano wszystkich bez wyjątku. Łącznie z załogą prywatnego statku Camerona, którym przyleciał na miejsce kilka dni wcześniej. Jedynie Cameronowi udało się uciec. Ale władze Meimy twierdzą, że złapanie go, to tylko kwestia czasu. Podobno zauważono go ostatniej nocy w wyssiluyańskiej tawernie, ale wymknął się.

Zmarszczyłem brwi.

– Zaraz, zaraz... Skoro mają cały zespół, to dlaczego nie wiedzą, co jest w ładowni i jak wygląda statek? Gdyby wiedzieli, dawno by nas zatrzymali. Nie pomogłyby nam fałszywe papiery, które ciągle przygotowujemy z Ixilem.

– Podróżujecie na fałszywych papierach? Bardzo dobrze. Miałem nadzieję, że jesteś przynajmniej na tyle sprytny.

– Owszem, tylko dlaczego nam się udaje? – nie ustępowałem. Obrażliwą uwagę pomiąłem milczeniem. – Chyba nie powie mi pan, że takie typy jak Patthowie gardzą klasycznymi metodami wyciskania z więźniów informacji?

– Archeolodzy są jeszcze w rękach Ihmisitów – wyjaśnił Wuj Arthur. – Patthowie domagają się ich wydania, ale jak na razie Ihmisici nie ulegają naciskom. – Skrzywił się. – Choć to akurat nieważne, w czyich są rękach. Cameron przezornie zablokował im pamięć za pomocą hipnozy; nie mogą zdradzić szczegółów jego operacji. W tym oczywiście wyglądu statku i zawartości ładowni.

Przytaknąłem. Stało się to oczywiście dopiero teraz, kiedy mi o tym powiedział. Niezbyt etyczna sztuczka i zapewne zabroniona na Meimie. Ale po Cameronie mogłem się tego spodziewać.

– W takim razie nic z nich nie wycisną, choćby tłukli ich głowami o ścianę.

– Co niewątpliwie już robią – przyznał ponuro Wuj Arthur. – Nie podoba mi się to, ale przynajmniej zyskasz na czasie.

– Ma pan rację. – Tak rozwiła się moja teoria o człowieku Camerona, który potajemnie podróżuje z nami i broni dostępu do ładowni „Icarusa”. – Niestety, nie tylko ja zyskam na czasie.

– Co masz na myśli?

Opowiedziałem szybko o pechowych wydarzeniach towarzyszących nam od startu z Meimy.

– Śmierć Jonesa można by ostatecznie uznać za wypadek – podsumowałem. – Ale awaria palnika i podsłuch w interkomie to co innego. I na dodatek Patthowie na karku.

– W istocie – przyznał Wuj Arthur. – Oczywiście masz jakąś teorię?

– Mam. Ale nie spodoba się panu. Mówił pan, że Ihmisici podobno widzieli wczoraj Camerona. Na ile są tego pewni?

– Na tyle co zwykle, czyli nie za bardzo. A dlaczego? Wiesz, gdzie on jest?

- Przypuszczam, że nie żyje.
- Bródka znów się wykrzywiła. Miałem rację; moja teoria nie przypadła mu do gustu.
- Wyjaśnij to.
- Jest oczywiste, że ktoś nie chce, żebyśmy zajrzeli do ładowni – powiedziałem. – Myślałem, że to któryś z archeologów, ale twierdzi pan, że to niemożliwe. A zatem to ktoś inny. Wie, co się tam kryje, i chce tę cenną wiedzę zachować dla siebie.
- A może to sam Cameron?
- Jakim cudem? Przed startem właz statku był zablokowany. Włącznik czasowy zadziałał dopiero wtedy, gdy zebrała się cała załoga. Obejrzałem zegar. Z pewnością ktoś ustawił go poprzedniego wieczora. Na długo przed zamknięciem portu przez Ihmisitów. Cameron nie mógłby się dostać na pokład przed otwarciem bramy, i nie pojawił się również później.
- Dlatego, że już nie żył?
- Tak. Ktoś z wynajętych przez niego członków załogi wiedział na pewno o ładunku albo na tyle go to intrygowało, że wciągnął Camerona w ciemny zaułek i wyduślił z niego, co jest w ładowni.
- Musiałby użyć mocnych środków perswazji – mruknął Wuj Arthur.
- Dlatego podejrzewam, że Cameron nie żyje – wyjaśniłem. – Został zmuszony do mówienia i zabity albo naszprycowany narkotykami i pozostawiony własnemu losowi. W obu przypadkach Patthowie czy Ihmisici już by go znaleźli. W pierwszym przypadku... – Nie musiałem kończyć.
- Wuj Arthur westchnął ciężko.
- Możliwe. Rzecz jasna, znajdziesz podejrzanego?
- Spróbuję. Przydałoby mi się więcej informacji o załodze.
- Niewątpliwie. Podaj mi ich nazwiska.
- Almont Nicabar, specjalista od napędu, były żołnierz Ziemskiej Piechoty Powietrznej. Geoff Shawn, elektronik z chorobą Cole'a, uzależniony od borandisu. A przy okazji, nie mógłby pan zdobyć trochę tego środka?
- Możliwe. Kto następny?
- Hayden Everett, lekarz. Były bokser zawodowy. Zakończył karierę jakieś dwadzieścia lat temu. Możliwe, że walczył

pod przybranym nazwiskiem. Chort, Craea, specjalista od napraw kadłuba. Nic więcej nie wiem.

– I nie potrzeba. W wypadku tego gatunku tyle wystarczy – zauważył Wuj Arthur.

– Mimo to chciałbym go sprawdzić. Wreszcie Tera, nazwisko nieznane. Być może należy do sekty, której członkowie nie podają nazwisk nieznanym, choć nie odprawia żadnych obrzędów religijnych.

– Nie każdy obnosi się ze swoją wiarą – przypomniał mi Wuj Arthur. – Spróbuj rzucić okiem na jej kabinę. Może znajdziesz tam jakieś przedmioty kultu.

– Zamierzam zajrzeć dyskretnie do wszystkich kabin – zapewniłem go. – Przy najbliższej okazji. Teraz rysopisy...

Szybko opisałem wygląd każdego członka załogi. Wiedziałem, że to nagrywa.

– Kiedy mogę się spodziewać informacji? – zapytałem.

– Za kilka godzin. Gdzie teraz jesteś?

– Na Potosi. Ale zamierzam wynieść się stąd jak najprędzej. Jeszcze nie wiem, dokąd polecimy. Potrzebne nam jakieś ciche, ustronne miejsce.

– Słusznie. Zaraz poszukamy – Zerknął w bok i lekko poruszył ramionami, jakby pisał na klawiaturze. – Coś jeszcze?

– Tak. Zdaje się, że mamy nowych zawodników w tej grze. – Opisałem mu incydent z Braćmi Guzowatymi i ich elektryczne pistolety. – Wie pan coś o tym gatunku i takiej broni?

– Owszem – odparł, wciąż nie patrząc w kamerę. – Przypomnij sobie pogłoski sprzed paru lat o nieudanej tajnej operacji Ziemskich Sił Obronnych, kiedy to elitarna jednostka specjalna próbowała wykraść dane napędu Merkury. Użyto przeciwko niej podobnej broni, a ochrona składała się z istot tego gatunku, który opisałeś.

Westchnąłem.

– To znaczy, że Klan Guzowatych jest na usługach Patthów.

– Prawdopodobnie – przyznał. – I nic dziwnego. Zapewne najpierw próbowali znaleźć „Icarusa” po cichu. Sami i przez swoich agentów. Nie udało się, więc sięgnęli po kryminalistów. A teraz zaprzęgli do roboty inne rządy.

Pomyślałem o trzech Patthach, których widzieliśmy z Cameronem w tawernie na Meimie. Dlatego tam byli...

– A jednak dziwi mnie, że tak szybko zrezygnowali z dyskretnych poszukiwań – powiedziałem. – Tak nimi wstrząsnęło to, że usmażyłem Braci Guzowatych?

– Wątpię – odparł ponuro Wuj Arthur. – Raczej zdobyli nowe informacje o tym, kogo i co ścigają.

I to natychmiast skłoniło ich do rozpoczęcia oficjalnej obławy. Pięknie.

– Niech pan lepiej znajdzie naprawdę ustronne miejsce – poprosiłem.

– Chyba już mam. Dolecisz bez lądowania na Morsh Pon? Zmrużyłem oczy.

– Tak. O ile uda nam się wystartować z Potosi. – Zastanawiałem się, czy myśli o tym samym, co ja.

Okazało się, że tak.

– W porządku – ożywił się. – Zatem ustalamy, że punkt kontaktowy to tawerna „Pod trzynastką” w Błękitnym Okręgu na Morsh Pon. Tam dostaniesz informacje.

– Aaa... Dobrze – zgodziłem się posłusznie. Planeta Morsh Pon była kolonią Ulkomaalów. A ci, podobnie jak Najikowie, potrafili się bogacić. Tyle że w inny sposób. Robili świetny interes na gościnności. Zwłaszcza na przybyszach, którzy byli na bakier z prawem. Morsh Pon służyła za cichą przystań dla przemytników i wszelkich innych przestępców. Miała daleko gorszą reputację niż Dorscind's World, a Błękitny Okręg uważano za najbardziej zakazany rejon.

Biorąc pod uwagę moje powiązania z Bratem Johnem i organizacją Antoniewicza, miejsce idealnie nadawało się do lądowania. W normalnych okolicznościach. Niestety, okoliczności bardzo różniły się od normalnych.

– Mam nadzieję, że nie zapomniał pan, jaka jest sytuacja – zacząłem dyplomatycznie. – Patthowie postawili na nogi całe przestępcze podziemie Spirali.

– Zdamę sobie z tego sprawę – odparł spokojnie. – Zajmę się tym. No, ale czas ucieka. Chyba powinieneś ruszać.

Zabrzmiało to jak „odmaszerować”. Nie miałem jeszcze ochoty robić w tył zwrot; pozostało kilka rzeczy do omówienia. Ale kiedy Wuj Arthur mówił „do widzenia”, należało odejść. I rzeczywiście czas uciekał.

- Tak jest – westchnąłem. – Będę z panem w kontakcie.
- Liczę na to – odparł. Ekran zgasł.

Wziąłem resztę i wyszedłem z kabiny. Znów obawiałem się, że za chwilę wyskoczy na mnie któryś z zabójców Brata Johna. I znów nic się nie stało. Wyciągnąłem plan miasta ze stojaka przy drzwiach i sprawdziłem, gdzie jest skrzyżowanie ulic o nazwie Gystr'n Corner. Opuściłem budynek.

Od dawna zanosilo się na deszcz i właśnie zaczęło padać. Wielkie krople niemal odbijały się jak piłki przy zetknięciu z ziemią. Do Gystr'n Corner było kawał drogi. Od początku nie zamierzałem drałować tam na piechotę ani czekać na publiczny transport. Zwłaszcza w ulewie. Złapałem taksówkę. Brat John nie byłby zachwycony. Zawsze zalecał nam korzystanie ze środków komunikacji zbiorowej, żeby trudniej nas było wytropić. Ale to nie Brat John musiał tutaj moknąć. Podałem kierowcy adres i obiecałem sto kommarek ekstra, jeśli się pospieszy. Wcisnęło mnie w siedzenie, kiedy wystartował niczym rakieta bojowa na kołach.

Forsa szła mi ostatnio jak woda. Najpierw połączenia przez wideotelefon, teraz taksówka. Dobrze, że zgarnąłem plik banknotów tamtemu agentowi Patthów na Dorscind's World. Patrzyłem przez szybę na zaskoczonych kierowców i przerażonych przechodniów, i zastanawiałem się, czy przy najbliższej okazji nie ubezpieczyć się od nieszczęśliwych wypadków. Z mapy wynikało, że dojazd ze StarrCommu na Gystr'n Corner zajmuje około dwudziestu trzech minut. Mój taksjarsz pokonał tę trasę w piętnaście. Zapewne ustanowił nowy lądowy rekord prędkości w tym mieście, a może nawet na całej planecie.

Emendo Torsk stał pod zadaszeniem swojego straganu i grał obiema rękami na multiinstrumencie. Ledwo wystawał zza wielkiego pudła. Był przysadzisty, jak każdy Drilie, a podstawę jego szyi otaczały krótkie macki służące do chwytania pokarmu. Na wprost niego mokoło na deszczu mniej więcej dwudziestu fanów muzyki.

Poleciłem kierowcy, żeby pojechał kawałek dalej i zatrzymał się na końcu ulicy. Zapłaciłem, kazałem zaczekać, i wróciłem w ulewie do grupki słuchaczy. Nawet nie przypuszczałem, że na całej planecie jest tylu miłośników smętnego zawodzenia w wykonaniu Drilie. Ale z drugiej strony wątpiłem, by któryś z gapiów przyszedł tu dla rozrywki.

Na szczęście utwór Torska był krótki. W duchu podziękowałem ulewie, że tak szybko przerwała koncert. Wśród oklasków udawanego aplauzu artysta zaczął obchodzić zgromadzonych z dużym kapeluszem, żeby uzbierać co łaska. Kiedy wyciągnął go w moją stronę, wrzuciłem przygotowane w taksówce trzy stukomarkowe banknoty zawinięte w kartkę z napisem „borandis”. Zauważyłem, że większość zebranych zrobiła podobnie. Torsk skończył zbieranie datków i wydał kilka gardłowych warknięć, co w jego języku oznaczało zapewne podziękowania albo pożegania. Potem zniknął za zasłoną na zapleczu straganu. Publika rozeszła się po okolicznych zaułkach i bramach.

Nie wycofałem się, jak inni – podszedłem do sfatygowanego instrumentu. Stałem i czekałem, nie zważając na zimne krople deszczu wpadające mi za kołnierz i spływające po plecach. Nie miałem wątpliwości, że Torsk widzi mnie przez zasłonę, choć ja nie widzę jego. Osobnicy w tej branży musieli przez cały czas wiedzieć, co się dzieje wokół nich. Miałem tylko nadzieję, że doczekam się jakiejś reakcji, zanim całkiem przemoknę.

Muzyk okazał się bardziej zaciekawiony lub zirytowany, niż się spodziewałem. Po niecałych trzech minutach zasłona odsunęła się i spojrzały na mnie wielkie, czarne oczy.

– Czego chcieć? – padło w całkiem zrozumiałym angielskim.

– Borandis – odparłem. – Już zapłacić.

– Czekać na swoją kolejka – warknął Torsk i wskazał palcem niewidocznych teraz fanów muzyki.

– Nie czekać – zaprzeczyłem spokojnie. Naciskanie go było ryzykowne, ale nie miałem wyboru. Po zachowaniu klientów domyśliłem się, że najpierw składa się tu zamówienie, a potem przychodzi po odbiór; może dopiero w czasie następnego występu. Nie mogłem włożyć się tutaj tak długo. Zwłaszcza że nie wytrzymałbym jeszcze jednego koncertu.

– Chcieć borandis. Już zapłacić – przypomniałem.

– Czekać na swoją kolejka – powtórzył bardziej gniewnie. – Albo ja być zły!

– Ja też być zły – odpowiedziałem.

Najwidoczniej pomyliłem się, sądząc, że wszyscy słuchacze zniknęli. Właśnie otwierałem usta, by ponowić żądanie, gdy czyjaś wielka łapa spadła mi na ramię. Druga chwyciła mnie za kurt-

kę i obróciła. Zamrugalem, żeby strząsnąć z powiek deszcz. Piętnaście centymetrów nad sobą zobaczyłem najbardziej koszmarną gębę ludzką, jaką kiedykolwiek miałem pecha oglądać.

– Głuchy jesteś, palancie? – warknął osobnik. Jego oddech doskonale pasował do twarzy. – Powiedział, że masz zaczekać na swoją kolejkę!

Ton nie pozostawiał złudzeń, co stanie się ze mną, jeśli zaraz nie odejdę. Być może „przystojniak” chciał coś dodać, ale po moim ciosie w splot słoneczny zatkało go. Zgiął się wpół i musiałem zrobić unik przed jego opadającą głową. Na twarzy poczułem tylko podwójną dawkę śmierdzącego oddechu. Kiedy odsłonił mi widok, zobaczyłem trzech następnych, równie pięknych kolesiów. Maszerowali przez ulicę prosto na mnie.

Przyłożyłem Cuchnącemu Oddechowi drugi raz w to samo miejsce; zgiął się jeszcze bardziej. Potem błyskawicznie wyciągnąłem pistolet i wycelowałem ponad jego ramieniem w trzech nowych. Stanęli jak wryci. Nie spuszczałem z nich oka ani lufy, okładając pierwszego wolną ręką w czułe miejsca. Liczyłem na to, że gdy wreszcie zwali się z nóg, długo nie wstanie.

W końcu padł, ale kosztowało mnie to więcej wysiłku, niż się spodziewałem. Miałem nadzieję, że już mnie tu nie będzie, kiedy odzyska dawną formę. Przez chwilę przyglądałem się trzem na środku ulicy, potem odwróciłem głowę do Torska.

– Chciéć borandis. Już zapłacić – powiedziałem łagodnie.

Popatrzył na typa u moich stóp i jego twarz przybrała odcień spopielałej purpury. Pewnie nigdy nie widział nikogo tak pobitego jedną ręką.

– Ty zaczekać krótka chwila...

Znów zniknął w głębi straganu, ale przedtem zdążyłem dostrzec błysk w jego oczach. Odwróciłem się szybko. Trzech osiłków chciało wykorzystać chwilę mojej nieuwagi i podejść bliżej. Teraz przystanęli jeszcze gwałtowniej, niż za pierwszym razem. Mierzyliśmy się wzrokiem ponad łufą mojej broni, dopóki nie usłyszałem za sobą szelestu zasłony.

– Brać... – syknął Torsk i dźgnął mnie w ramię czymś twardym. Obejrzałem się. Nie zdziwiłbym się zbytnio na widok spluwy, ale była to tylko kasetka magnetofonowa. Na wierzchu widniało oblicze muzyka i tytuł: *Emendo Torsk – Największe Przeboje*.

Zapewne zawierała borandis. – Ty iść... – przynaglił Torsk – i nie wracać tutaj.

– Nie wracać tutaj – zgodziłem się i wsunąłem kasetę do wewnętrznej kieszeni. – Chyba że borandis nie być dobry. Wtedy ty mocno oberwać. Bardzo boleć.

Przeszył mnie wzrokiem typu „gdyby spojrzenia mogły zabijać”.

– Borandis dobry – zapewnił.

Wierzyłem mu. Ostatnia rzecz, jakiej pragnąłby uliczny handlarz prochów, to zwrócenie na siebie uwagi. Moje małe przedstawienie już wystarczająco zakłóciło jego bezpieczną egzystencję. Z pewnością wołał, żebym nie pojawił się tutaj z reklamacją.

Nie wiedział, że nie mógłbym tu wrócić nawet gdybym bardzo chciał, i że unikam spotkań z władzą bardziej niż on. Najważniejsze, że się mnie pozbył; tylko to się dla niego liczyło. Może przy okazji przekonał się też, że nie warto szukać mięśniaków do ochrony na parkowych ławkach.

Taksówka cierpliwie czekała. Wsiadłem i kazałem kierowcy jechać do bramy numer dwa portu kosmicznego. Stamtąd miałem najbliżej do „Icarusa”. Taksiarz spodziewał się widocznie kolejnego absurdalnie wysokiego napiwku, bo wystartował niczym oparzony nietoperz. Znów modliłem się o przeżycie tej jazdy i widziałem w wyobraźni swój przedwczesny pogrzeb. Na prostych udało mi się jakoś otworzyć kasetę. W środku znalazłem piętnaście kapsułek z niebieskim proszkiem. Wyglądał jak rozgniecione, normalne tabletki borandisu, którego opis był na pokładowej liście leków. Zadowolony schowałem kasetę, wyciągnąłem telefon, i wystukałem numer Everetta.

Po piątym sygnale poczułem dobrze znaną obawę, że coś jest nie tak. Po ósmym obawa zamieniła się w pewność, bo odezwał się nieprzytomnym głosem człowieka wyrwanego ze snu.

– Tak...? – wymruczał niewyraźnie.

– Tu McKell – przedstawiłem się. – Co jest grane?

Rozległ się cichy świst, jakby ciężko westchnął.

– Chodzi o Shawna. Zwiął.

Ścisnąłem mocniej telefon. W jednej chwili zapomniałem o wariackim slalomie taksówkarza.

– Dokąd?

– Nie wiem, jak to się stało – wyjęczał płacząco Everett. – Musiał jakoś poluzować pasy...

– Nieważne, jak to zrobił – przerwałem mu. – Potem będziesz się obwiniał. Dokąd poszedł?

– Nie wiem – wyznał Everett. – Nie widziałem. Wszyscy go teraz szukamy.

– Wszyscy?!

– Oprócz Ixila. Waliliśmy do niego, ale nie odpowiadał. Jego drzwi nawalają. Ale zamknęliśmy włącz, wszystko gra.

Usłyszałem ciche pstryknięcie; ktoś włączył się na linię.

– Everett, tu Tera! – zabrzmiało z podnieceniem. – Znalazłam go!

– Gdzie? – warknąłem. Wyjąłem plan miasta i spróbowałem go rozłożyć jedną ręką.

– McKell? – zdziwiła się.

– Tak. Gdzie on jest?

– Przed sklepem ze sprzętem kosmicznym na Ude'n Corner. Zaczepia wchodzących ludzi.

– Tylko tego brakowało – mruknąłem i zerknąłem na plan. Miejsce było o jedną przecznicę od bramy numer dwa. – Miej go na oku, ale żeby cię nie zobaczył – poleciłem. – Będę tam za kilka minut. Zabierzemy go z powrotem. Everett, wezwij Nicabara i Chorta, i wracajcie do statku. Przygotujcie wszystko do startu.

– Teraz? – zapytał zdumiony. – A co z borandisem?

– Załatwione – odrzekłem. – Upewnij się...

– Dostałeś go? Tak szybko?

– Zawsze jestem dobry w tym, co robię – odparłem ze zniecierpliwieniem. – Upewnij się, czy mamy pełne zbiorniki. Startujemy, jak tylko Tera i ja sprowadzimy Shawna na pokład.

Znów cichy świst.

– Dobra. Do zobaczenia.

Wyłączył się.

– Tera? – zawołałem.

– Jestem – zgłosiła się. – Ludzie chyba mają dosyć zaczeppek Shawna. Lepiej się pospiesz.

– Robię, co mogę – zapewniłem, i z powrotem skupiłem część uwagi na wyczynach szalonego taksówkarza. – Musiał się mocno starać, żeby tak szybko oddalić się od portu. Kiedy zszedł z pokładu?

– Jakąś godzinę temu. Zaraz po tobie.
– Godzinę?! – wykrzyknąłem wściekły. – I nie przyszło wam do głowy, żeby mnie zawiadomić?

– Nie chcieliśmy ci przeszkadzać – wytłumaczyła z przestraszonym głosem. – Wyszedłeś zdobyć lekarstwo, więc...

– Nieważne, czy wyszedłem po lekarstwo, czy ukraść klejnoty korony – parsknąłem. – Jak zdarza się coś takiego, bierzecie za telefon i dzwonicie do mnie. To ja zadecyduję, co jest pilniejsze. Jasne?

– Jasne – odpowiedziała potulnie. Jeszcze nie słyszałem u niej takiego tonu. Przez moment zastanawiałem się, czy jej nie dobić, ale dałem spokój. To pewnie nie jej wina. Chyba zresztą niczyja. Ixil wiedziałyby, co robić. Tyle że był w śpiączce. A nikt poza nami dwoma nie miał doświadczenia w takich sprawach.

Wyładowałem złość na planie miasta. Złożyłem go kilkoma gwałtownymi ruchami i wcisnąłem do kieszeni.

– McKell? – odezwała się Tera alarmującym głosem. – Chyba widzę wóz policyjny. Jedzie w moim kierunku. Czerwononiebieski z migającym niebieskim światłem na dachu. Zbliża się bardzo szybko.

– Bez obaw, to tylko moja taksówka – uspokoiłem ją. – Pokaż się, żebym wiedział, gdzie wysiąść.

Zobaczyłem ją jedną przecznicę dalej. Stała przy krawężniku z uniesioną ręką. W ulewie wyglądała jak zmokły szczur. Kazałem kierowcy stanąć, rzuciłem dwie stówy na przednie siedzenie i wyskoczyłem z taryfy. Ledwo zdążyłem odciągnąć Terę w głąb chodnika, żeby nie opryskały nas fontanny wody spod kół ostro startującego samochodu. Może niepotrzebnie straciłem forszę na napiwki; facet pewnie zawsze tak jeździł.

Tera pokazała drugą stronę ulicy.

– Tam.

– Widzę go – przytaknąłem. Trudno było przeoczyć Shawna. Kręcił się przed wejściem do sklepu i gestykulował. Ująłem Terę pod ramię i przeszliśmy przez jezdnię, lawirując między pojazdami.

Po tym wszystkim, co zdarzyło się wcześniej, samo złapanie Shawna nie było trudne. Pochłaniało go nagabywanie, błaganie i przeklinanie przechodniów. Poza tym nie bardzo widział, co dzieje się wokół, bo mokre włosy zalepiały mu pół twarzy. Nie zauważyłby nas, nawet gdybyśmy podjechali do niego transpor-

terem opancerzonym. Podeszliśmy z dwóch stron i po prostu chwyciliśmy go za ręce. Chciał się wyrwać, ale był tak słaby, że po pierwszej próbie zrezygnował. Stał posłusznie i dygotał.

Zaprowadziliśmy go w pobliski zaułek między sklepem i sąsiednim budynkiem. Przez całą drogę Tera uspokajająco mruzczała mu do ucha. Kiedy wystarczająco oddaliliśmy się od przechodniów, wyjąłem z kasety jedną kapsułkę borandisu. Miał trudności z połknięciem, Tera nabrała więc w dłonie wodę deszczową, żeby popił.

Efekt okazał się zadziwiający. Niemal natychmiast przestał się trząść i po kilku minutach wrócił do prawie normalnego stanu. Przynajmniej fizycznie.

– Mieliście fajną zabawę, co? – warknął, i niecierpliwie odgarnął z czoła mokre włosy. – Gdzie my właściwie jesteśmy, do cholery? Mieliśmy lecieć na Mintariusa, ale to nie ta planeta. Wiem, bo tam byłem.

– Zmiana planów – odparłem krótko i spojrzałem mu prosto w oczy. Mocno rozszerzone źrenice zmalały już do zwykłych rozmiarów.

– Ta twoja zmiana planów mogła mnie zabić – parsknął. – Pomyślałeś o tym? To miejsce musi być co najmniej trzy godziny lotu dalej niż Mintarius.

– Tylko dwie – uściśliłem. Uznałem, że nadaje się do wyruszenia w drogę powrotną. Zresztą zabralibyśmy go, nawet gdyby się nie nadawał. Chciałem, żeby jak najszybciej znalazł się pod kluczem i przestał mnie wkurzać. Pociągnąłem go za ramię w stronę głównej ulicy.

– Zaraz, nie pali się! – zaprotestował i wyrwał się. Siłą też już odzyskał. – Dopiero tu przylecieliśmy. Może w końcu zostalibyśmy na którejś planecie dłużej, niż pięć minut, co?

– Zamknij się i chodź! – wsiadła na niego Tera i złapała go za drugą rękę. Po jego minie wywnioskowałem, że wbiła mu paznokcie w skórę. Widocznie miała tego dosyć o wiele bardziej niż ja. No, ale ja dowiedziałem się o wszystkim zaledwie pięć minut temu; ona włączyła się po deszczu od godziny.

Shawn najwyraźniej zrozumiał, że żarty się skończyły. Bez sprzeciwu poszedł z nami. Weszliśmy na teren portu i wskoczyliśmy na ruchomy chodnik.

Rozglądałem się czujnie, ale nie zauważyłem ogona. Na szczęście; bałem się, czy Torsk nie uznał po namyśle, że zbyt łatwo pozwolił mi odejść. Wyglądało jednak na to, że moje obawy były bezpodstawne.

Dotarliśmy do ostatniego frachtowca oddzielającego nas od „Icarusa”. Wszystko skończyło się dobrze. Mieliśmy borandis, mieliśmy Shawna, nikt nie pokazał mnie palcem i nie wezwał Patthów. Jeśli zbiorniki są pełne, niedługo wystartujemy. Miałem nadzieję, że za chwilę nie zobaczę pompiaarzy, którzy wciąż bezskutecznie próbują znaleźć wlew paliwa w naszym statku. Wyszliśmy z za frachtowca.

Rzeczywiście nie zobaczyłem pompiaarzy. Zamiast nich przywitał mnie widok Najików w czarnoczerwonych tunikach straży celnej.

Stali przy pochylni wejściowej i czekali.

10

Ojezu... – jęknął Shawn. – Już po nas.
– Ciszey! – warknąłem i przyjrzałem się całej scenie. Może nie jest tak źle jak się wydaje?

Niestety było. Mieliśmy przed sobą dziesięciu rosnących Najików. Ich owłosione ręce i nogi sprawiały, że zawsze przypominali mi gigantyczne, czworonożne tarantule o wielu oczach. Sterczeli w deszczu i wpatrywali się w nas zniecierpliwionym wzrokiem.

Jednak mogło być gorzej. Zazwyczaj celnicy nie przejmują się zamkami, jeśli dostają cynk, że statek jest trefny. Nie czekają na kapitana, tylko wyważają włazy, a dopiero potem przeproszą za zniszczenia, o ile sytuacja wymaga przeprosin. Po chwili rozumiałem, dlaczego tym razem tak się stało.

Drogę zagradzał im Chort. Stał na pochylni niczym pierzasto-luskowaty Horacy broniący mostu. Sądząc po wodzie ściekającej mu po palcach, trwał na posterunku dość długo. Jego poza wskazywała, że gotów był trwać o wiele dłużej, gdyby zaszła potrzeba.

Normalnie taka przeszkoda nie powstrzymałaby celników bardziej niż zamknięty właz. Ale Chort nie stanowił normalnej

przeszkody; był Craea, a umiejętności jego rasy ceniono w całej Spirali tak wysoko, że Najikowie woleli go nie obrazić, przepychając się obok i wdzierając do statku bez załogi.

Wbrew pozorom, statek oczywiście nie był całkiem wyludniony. Przez moment zastanawiałem się, jak to wykorzystać. Moglibyśmy udać, że nie jesteśmy z „Icarusa” i obojętnie pójść dalej. Potem połączyłbym się telefonicznie z Ixilem...

Zanim zrobiłem dwa następne kroki, straciłem wpływ na dalszy rozwój wypadków.

– Oto kapitan – zawołał Chort i wycelował we mnie palec. – On wam wszystko wyjaśni.

Westchnąłem.

– Trzymajcie się z tyłu – mruknąłem do Tery i Shawna. Pociągnęła go za ramię i stanęli. Poszedłem w kierunku pochylni. Najik w środku grupki wyszedł mi naprzeciw. Dostrzegłem na jego kołnierzu insygnia *gokry*, czyli starszego porucznika. Widocznie dowództwo tutejszej straży celnej potraktowało sprawę bardzo poważnie.

– Witam, *gokra* – pozdrowiłem oficera, gdy obaj przebrnęliśmy przez kałuże i zatrzymaliśmy się kilka kroków od siebie. – W czym problem?

– Jest pan kapitanem „Śpiącej Królowy”? – zapytał służbowym tonem.

– Zgadza się. – Przez chwilę zastanawiałem się, czy Chort podał im moje prawdziwe nazwisko. Niemożliwe. Gdyby wiedzieli, z kim mają do czynienia, nie przysłaliby tu celników, tylko batalion wojska. Może nawet z orkiestrą dętą. A z pewnością z ambasadorem Patthów i jego świtą. – W czym problem?

Wskazał „Icarusa”.

– Niech pan odblokuje wjazd, każe odsunąć się swojemu załogantowi, i wpuści nas do środka.

– Proszę bardzo – zgodziłem się, ale ani drgnąłem. – Mogę wiedzieć, o co chodzi?

Zawahał się, lecz widocznie uznał, że lepiej postępować zgodnie z przepisami Kodeksu Handlowego.

– Dostaliśmy meldunek, że na tym statku dokonuje się przemytu.

Przemokłem już doszczętnie. Tylko w ustach nagle zrobiło mi się całkiem sucho.

– Przemytu?! – zapytałem z nadzieją, że dobrze udaję zaskoczenie.

– Tak – potwierdził *gokra*. – Mówiąc konkretnie, podobno ukrywa pan na pokładzie nie zadeklarowane klejnoty.

Gapilem się na niego jak na wariata. Tym razem nie musiałem udawać zaskoczenia.

– Klejnoty? – powtórzyłem jak echo. – To jakiś nonsens! Nie przewozimy takich rzeczy.

– Proszę powiedzieć pańskiemu Craei, żeby się odsunął – polecił Najik, ignorując mój protest. Nie miałem do niego pretensji. Pewnie dostawał taki cynk dwa razy dziennie. – Potem proszę odblokować właz i wpuścić nas do środka. I chciałbym zobaczyć pańskie dokumenty.

– Oczywiście – odrzekłem i starłem deszcz z oczu. Co tu jest grane? Rzecz jasna, historyjka z drogimi kamieniami była kompletną bzdurą. Można by wypchać dritarskimi opalami pięćdziesiąt statków i Patthowie nie kiwnęliby palcem. A jeśli podejrzewają, że to „Icarus”, po co ta sztuczka?

Zatem nie podejrzewają. Nic nie wiedzą.

Stąd wniosek, że to nie robota Patthów, tylko wyłącznie afera Najików. Albo jakaś idiotyczna, biurokratyczna pomyłka, albo pechowy zbieg okoliczności. Wybrałem dla „Icarusa” nazwę „Śpiąca Królowna” w nadziei, że mało komu w Spirali przyjdzie do głowy tak ochrzcić statek. Byłoby szczytem ironii losu, gdyby okazało się, że przypadkiem zdublowałem nazwę jakiegoś przemytniczego frachtowca.

Niestety, za pięć minut sprawa niefortunnej, fałszywej tożsamości mogła już nie mieć znaczenia. Na silnikach i konsolach statku widniało tyle różnych numerów, że musiały figurować w jakichś spisach Spirali. Jeśli Cameron stworzył wiarygodną historię swojego frachtowca-widma, te numery powinny być na listach Zarządu Federacji Handlowej przy nazwie „Icarus”. Jak tylko Najikowie to odkryją, jesteśmy skończeni. Jeśli nawet Cameron nie bardzo się starał, to tylko opóźni wpadkę.

Najik ciągle czekał.

– Oczywiście – powtórzyłem. Odwróciłem się do niego plecami i podszedłem do Tery. Wciąż wisiała u lewego ramienia Shawna. Zaświtała mi słaba nadzieja. Miała związek z niedaw-

nym komentarzem Brata Johna na temat Najików i moją własną, niezbyt cyniczną interpretacją tej uwagi. – Chciałbym najpierw wpuścić moich ludzi, żeby nie stali na deszczu. Zwłaszcza tego młodzieńca, Geoffa. Jest chory.

Kiedy wziąłem Shawna pod ramię, któryś z Najików wydał basowy, dudniący dźwięk, oznaczający u nich rubaszny śmiech. Nic dziwnego; Shawn bardziej wyglądał na pijanego, niż na chorego. Uznałem to za dobry znak. Może dowództwo straży celnej traktowało naszą sprawę śmiertelnie poważnie, ale widocznie nie wszyscy funkcjonariusze podzielali zdanie przełożonych. Razem z Terą przeprowadziliśmy Shawna przez kordon Najików do pochylni. Wystukałem kod na klawiaturze i za plecami Chorta otworzył się właz. Nie czekałem na pozwolenie Najików. Skierowałem wszystkich do wejścia.

– Nie zatrzymujcie się – mruknąłem do Tery. Puściłem ramię Shawna i wsunąłem lewą rękę pod jego prawą pachę, żeby wyglądało, że nadal go trzymam. Wyciągnąłem lewą dłoń jak najdalej mogłem i sięgnąłem do kieszeni po plan miasta. Drugą ręką dyskretnie wyjąłem długopis. Gdy przekraczaliśmy próg włazu, ukradkiem nabazgrałem na planie kilka słów.

– Ciekawa konstrukcja statku – zauważył *gokra* zza mojego prawego ramienia. Mógł być na tyle uprzejmy, żeby pozwolić mi wejść pierwszemu na własny statek, ale to nie oznaczało, że zamierza pozostać w tyle. – Yipeańska, jak się domyślam?

– Nie mam bladego pojęcia – odrzekłem. Dzięki tej uwadze po raz pierwszy dostrzegłem w kształcie „Icarusa” wpływ yipeańskiego zamiłowania do francuskich krzywizn. Czy o to chodziło Cameronowi? Nieważne, choć warte zapamiętania. – Jestem tylko pilotem, nie właścicielem. Nie znam historii statku.

– Rozumiem...

Doszliśmy tunelem do głównej kuli. Za *gokrą* maszerowała reszta Najików. Pochód zamykał Chort.

– Ale nie przyszłście tu na lekcję historii – dodałem. Wyciągnąłem dokument z wewnętrznej kieszeni i niepostrzeżenie wsunąłem do niego plan miasta. – Oto mój dowód tożsamości...

W duchu skrzyżowałem palce. Jeśli nie się uda, będę w tarapatkach, zanim Najikowie zaczną sprawdzać numery identyfikacyjne statku.

Oficer otworzył dokument i na widok planu miasta zamrugał wszystkimi oczami na raz. Dostrzegł moją notatkę i zamrugał jeszcze bardziej. Przez chwilę wpatrywał się w nią. Pistolet nagle zaciążył mi pod pachą. Doskonale wiedziałem, że otwarcie ognia do tyłu uzbrojonych przeciwników to samobójstwo. Wydało mi się, że Shawn przestał oddychać. Czulem, jak Tera tężeje u jego drugiego boku.

Gokra zamknął dokument. Nawet nie sprawdził danych zasłoniętych planem miasta. Oddał mi papiery.

– Dziękuję – powiedział niemal z kurtuazją. – Nie zabawimy tu długo.

Istotnie; przeszli się po korytarzach, rozejrzeli po maszynowni i sterowni, niedbale obejrzelili ścianę kulistej ładowni. Stwierdzili, że nie ma tam wejścia, i zrobili kopię fałszywego zaświadczenia z Gamm o jej zaplombowaniu. W międzyczasie wrócił Nica-bar. Kazałem mu wysuszyć się i przygotować silniki do startu. W pewnej chwili, jakby po namyśle, *gokra* wręczył mi rachunek za tankowanie. Wyjaśnił, że wziął go od obsługi naziemnej, która czekała na mój powrót. Nie zdziwił się, kiedy zapłaciłem gotówką i jeszcze dorzuciłem pięć setek.

Wynieśli się po dziesięciu minutach. Pomaszzerowali żwawo przez ulewę do najbliższego ruchomego chodnika i odjechali.

Staliśmy z Terą w tunelu i patrzyliśmy za nimi.

– No dobra, poddaję się – mruknęła. – Kto to jest pan Antoniewicz, i dlaczego nie byłby zadowolony, gdyby coś znaleźli?

Skrzywiłem się. Nie myślałem, że zdoła odczytać moje koślawe pismo, i to pod niewygodnym kątem.

– Po prostu ktoś, kogo znam – odparłem wymijająco. – Ma pewne wpływy w Spirali.

– Powiedziałabym, że całkiem duże – stwierdziła i przyjrzała mi się badawczo. Nie podobał mi się jej wzrok. – To znajomość na gruncie zawodowym czy towarzyskim?

– Prowadzę interesy z jego ludźmi.

Na zewnątrz dostrzegłem jakiś ruch. Zza dziobu jednego ze statków wyłonił się Everett. Biegł przez kałuże, wzbijając wielkimi stopami imponujące fontanny wody. Wyglądał na wykończzonego. Bez wątplenia stawał na głowie, żeby znaleźć Shawna. Nic dziwnego; z pewnością winił się za ucieczkę chłopaka.

– Wraca Everett – poinformowałem Terę. Miałem nadzieję, że to odwróci jej uwagę od mojej osoby. Wyciągnąłem fałszywą kasetę. – Niech zbada Shawna i sprawdzi, czy nie potrzebuje następnej dawki. Tu jest borandis. Jak tylko wejdzie na pokład, zamknij właz i siadaj przy komputerze.

Zostawiłem ją samą i poszedłem do sterowni. Czuję ulgę i byłem z siebie zadowolony. Nie pomyliłem się: pozytywny stosunek Brata Johna do Najików brał się stąd, że Antoniewicz prowadził z nimi interesy. Nasz *gokra* też musiał w tym siedzieć, skoro moja notka poskutkowała. Wciąż nie miałem bladego pojęcia, dlaczego trwa oblawa na „Icarusa”, ale po wydostaniu się z przestrzeni kosmicznej Potosi przestałoby mnie to obchodzić.

Rzecz jasna, o ile uda nam się stąd wydostać. Jeśli *gokra* zgarznął łapówkę tylko po to, żeby dodać do zarzutów przeciwko mnie próbę przekupstwa celnika, lada chwila zza rogu wyłoni się batalion wojska, którego spodziewałem się wcześniej.

Ale nie po raz pierwszy mój pesymizm okazał się nieuzasadniony. Bez problemu dostaliśmy pozwolenie na start, promienie grawitacyjne wyniosły nas poza przestrzeń powietrzną portu, i po paru minutach szybowaliśmy spokojnie w kosmosie. Właśnie przebiełem się do hiperprzestrzeni i sprawdzałem działanie systemów, gdy do sterowni wszedł Everett.

– Jesteśmy bezpieczni? – zapytał z niepokojem.

– Dopóki kadłub wytrzymuje, tak – odparłem.

Skrzywił się.

– Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, to wcale nie jest śmieszne.

– Być może – przyznałem. – Przepraszam za ten żart. Jak tam Shawn?

– Zdrowieje. Na szczęście odwracalne objawy choroby Cole’a zaczynają się dużo wcześniej, niż nieodwracalne zmiany. A samo uzależnienie od borandisu jest mniej lub bardziej odwracalne. To coś jak szkorbut.

– Cieszę się – zapewniłem. – A z czego właściwie biorą się jego obecne problemy? Z uzależnienia, czy z choroby?

Spojrzał na wskaźniki i pokręcił głową.

– Nie wiem. Obie sprawy są tak przemieszane ze sobą, że tylko specjalista potrafiłby je oddzielić. Lecimy na Morsh Pon?

– Tak. Pomyślałem, że po ostatniej przygodzie przydałby się nam postój w miejscu, gdzie można zatankować do pełna bez zbędnych formalności celnych.

– Pod warunkiem, że dożyjemy odlotu stamtąd – zauważył z powątpiewaniem Everett. – Słyszałem różne historie o tym świecie. Podobno roi się tam od piratów i przemytników, którzy szukają kłopotów.

– Będzie dobrze – uspokoilem go, choć wcale nie byłem tego pewien. – Założę się, że lepiej niż myślisz.

Everett nie wyglądał na przekonanego.

– No cóż... Ty jesteś kapitanem; panem życia i śmierci swojej załogi, i tak dalej. A skoro już mowa o załodze, to dawno nie widziałem Ixila.

– Ja też nie. Ale na pewno wszystko jest w porządku.

– Mam nadzieję. – Zawahał się. – Zamierzałem do niego zajrzeć, ale nie mogłem dostać się do jego kabiny. Drzwi nie działają.

– Nie przejmuj się, to ja je tak ustawiłem, żeby nikt mu nie przeszkadzał. Chyba nie przycięły ci palców?

Everett wybałuszył oczy.

– Jak to? Przecież są zamknięte.

Popatrzyłem na niego zaskoczony i ciarki przeszły mi po plecach.

– Nie odsuwają się na kilka centymetrów i nie zasuważą z powrotem?

– Ani drgną! Myślałem, że się zepsuły i...

Nie czekałem, aż skończy. Zerwałem się z fotela pilota i wypadłem ze sterowni. Serce podchodziło mi do gardła. Zjechałem po drabince, nie dotykając szczebli. Dobiegłem do kabiny Ixila i wdusiłem przycisk drzwi.

Everett mówił prawdę; ani drgnęły.

Zanim mnie dogonił, zdążyłem wyciągnąć przyborek i zdejmowałem osłonę właznika.

– Coś się stało? – wysapał.

– W każdym razie z drzwiami – odparłem. Starałem się zapanować nad głosem, żeby nie zdradzić, jaki jestem zaniepokojony i wściekły. Jeśli sabotażysta dostał się do bezbronnego Ixila... Ale może tylko przepalił się mikroukład. Trzęsły mi się ręce, gdy usuwałem osłonę.

Kostka nie przepaliła się; w ogóle jej nie było. Wnętrze włącznika wyglądało jak po ataku goryla uzbrojonego w mały młot kowalski.

Everetta zatkało.

– Co to jest, do cholery? – wykrztusił po chwili.

– Robota naszego przyjaciela, który zabawiał się nie tylko palnikiem – wrzuciłem. Cisnąłem osłonę na pokład i pobiegłem do mojej kabiny. Musiałem zamienić włączniki, bo Ixila nadawał się już tylko na śmietnik. – Idź do kabiny komputerowej... – rzuciłem przez ramię. – Niech Tera zastąpi mnie w sterowni. – Zabrałem się do odkręcania śrub.

Wymontowałem mój włącznik i zaczynałem pracować przy włączniku Ixila, gdy wrócił Everett. Przyniósł apteczkę.

– Pomyślałem, że może się przydać – wyjaśnił ponuro. – Trzeba w czymś pomóc?

– Potrzyj to! – wcisnąłem mu do rąk zmiażdżony włącznik. Apteczka była mi teraz potrzebna, jak umarłemu kadzidło. Nasz sabotażysta miał dość czasu, by popełnić morderstwo. – Co dokładnie wydarzyło się po ucieczce Shawna?

Everett podrapał się w brodzie.

– Zaraz... Wybiegł ze statku... Obawiam się, że minął mnie...

– A reszta? – przerwałem mu. – Gdzie byli wtedy inni?

Zastanowił się.

– Nie jestem pewien. Interkom ciągle nie działa, musiałem więc chodzić i ich szukać. Chorta znalazłem w jego kabinie, Nicabara w maszynowni, Terę w warsztacie mechanicznym...

– A potem?

– Wyszliśmy na zewnątrz, żeby zobaczyć, czy Shawna nie ma gdzieś w pobliżu statku. Może schował się, w każdym razie nie zauważyliśmy go. Rozdzieliliśmy się i poszliśmy go szukać.

– Zeszlście z pokładu wszyscy razem?

– Z wyjątkiem Nicabara. Przyjechali pompiarze i został na chwilę, dopóki nie zaczęli tankowania.

Jeden z kabli poplątał się tak, że nie mogłem go prawidłowo podłączyć. Uciąłem końcówkę, ściągnąłem kawałek izolacji, i owinałem drut wokół złącza.

– Kto wpadł na ten genialny pomysł, żeby mnie nie zawiadamiać?

– Niestety ja – wyznał Everett. – Nie chciałem odrywać cię od ważniejszej sprawy.

Chrząknąłem.

– Podczas poszukiwań widziałeś pozostałych?

– Oczywiście, że nie! Przecież poszliśmy w różnych kierunkach. Naturalnie kontaktowaliśmy się telefonicznie.

Co oznaczało, że każdy z nich mógł wrócić do „Icarusa” z zamiarem popełnienia morderstwa. Nie zauważyliby go nawet pompkarze zajęci po drugiej stronie statku.

Ostatni styk trafił na swoje miejsce i usłyszałem cichy, krótki szum; system zaczął działać. Dotknąłem przycisku. Drzwi odsunęły się.

W kabinie panowały egipskie ciemności. Przygotowałem się na najgorsze. Sięgnąłem do wewnątrz i zapaliłem światło.

Ixil leżał na koi. Zaspäne fretki podniosły łebki i zmrużyły ślepkę przed blaskiem. Wszedłem ostrożnie do środka. Nie zauważyłem śladów przemocy.

Nagle Ixil westchnął głęboko i otworzył oczy.

– Cześć – odezwał się i zamrugał.

Stałem jak wryty.

– Ty żyjesz! – powiedziałem bez sensu.

Popatrzył na mnie jak na wariata.

– Spodziewałeś się zastać mnie martwego? – Rozejrzał się, spojrzął na Everetta stojącego w progu, potem na podłogę. Wyciągnął palec. – A to co?

Odwróciłem głowę. Obok drzwi leżały trzy przedmioty: brakujący mikroukład i dwie buteleczki lekarstw z naszego ambulatorium.

Podszedłem i podniosłem je. Jedną wypełniał brązowy płyn, drugą białawy proszek. Obie były zapieczętowane. Wręczyłem je Everettowi.

– Co to jest?

Zmarszczył brwi i przyjrzał się etykietkom.

– Płyn to prindeclorian, inhibitor wirusowy o szerokim zasięgu działania. Proszek to qohumet, środek przeciw pasożytom. Używają go takie opierzone lub łuskowate istoty, jak nasz przyjaciel Chort. Nie mam pojęcia, co tu robią te specyfiki.

– Ale ja mam – wtrącił się w zamyśleniu Ixil. Wstał z koi i podszedł do Everetta. – Po ich zmieszaniu i podpaleniu uzyskuje się ciekawy efekt.

Znałem ten ton Ixila i po plecach przeszły mi ciarki.
– To znaczy...?
Wziął buteleczki od Everetta i popatrzył na etykietyki.
– Gaz cyjankowy.

– Spójrz na to w ten sposób... – podsunąłem i łypnąłem spoде łba na wskaźniki w sterowni. Nie miałem powodu, by na nie zerkać, bo wyglądały w porządku. Ale czułem taką potrzebę. – Podłożyli to jako ostrzeżenie dla nas.

– Dla nas? – wymamrotał Ixil. Siedział naprzeciw mnie na wysuwającym stołku i próbował wepchnąć do ust gigantyczną kanapkę. Kalixirska śpiączka uzdrawiająca była z pewnością pożyteczna, ale nic za darmo. Ixil wsuwał już drugą taką kanapkę i podejrzewałem, że na tym nie skończy.

– No dobra, dla ciebie – skapitułowałem i znów zerknąłem. – Pytanie tylko, dlaczego? Po co nasz sabotażysta wymachuje nam przed nosem czerwoną flagą? O przepraszam... Nie nam, tobie.

– O ile to sabotażysta. – Ixil ułamał mały kawałek chleba i dał Paxowi. Fretka przycupnęła na pokładzie i obserwowała korytarz przez otwarte drzwi sterowni. Pix krążył wzdłuż wewnętrznego kadłuba i węszył, czy ktoś nas nie podsłuchuje. Interkomy zostały naprawione podczas mojej wyprawy po borandis albo tuż po niej. Już sprawdziliśmy z Ixilem, że z tej strony nic nam nie grozi. – Może ktoś inny chce nas ostrzec właśnie przed nim?

– To powinien nauczyć się pisać – zauważyłem kwaśno. – Przyjrzyjmy się temu z drugiej strony. Kto z załogi może znać sztuczkę z mieszaniem qohumetu i tego... jak mu tam...?

– Prindeclorianu – oświecił mnie Ixil między dwoma kęsami. – Niestety, trudno powiedzieć. Dwadzieścia lat temu tę miksturę upodobali sobie kanapowi rewolucjoniści. Wymyślali też mnóstwo innych kombinacji popularnych środków chemicznych. Robili wokół tego sporo szumu, ale zawsze kończyło się na gadaniu. Żeby skazać dużą powierzchnię, potrzeba całej fury tych chemikaliów.

– A konieczność użycia ognia dodatkowo ogranicza skuteczność tej broni?

– Zdecydowanie – zgodził się Ixil. – Kiedy ludzie widzą płomie-
nie i zielonkawy dym, dają nogę i nie czekają, co z tego wyniknie.

Skrzywiłem się.

– Chyba, że ktoś jest Kalixem w śpiączce i leży zamknięty
w kabinie wielkości pudełka do butów. Sądzisz, że na pokładzie
są jeszcze inne podobne zestawy małego chemika?

Ixil przeżuł jedzenie.

– Przypuszczam, że prawie wszystko w ambulatorium może
być zabójcze. To tylko kwestia dawki. Ale nic na to nie poradzi-
my. Musielibyśmy wywalić wszystkie leki za burzę.

– Może to nie taki zły pomysł – mruknąłem. – Zastanawiam
się, czy nie zawdzięczasz życia tylko temu, że ucieczka Shawna
przeszkodziła zabójcy.

Ixil zamarł w trakcie odgryzania następnego kęsa kanapki.

– Że co proszę? Myślałem, że masz zupełnie odwrotną teo-
rię: sabotażysta celowo uwolnił Shawna, żeby pozbyć się wszyst-
kich ze statku i spokojnie wykonać swoją brudną robotę.

– To stara teoria. Teraz mam nową: otworzył twoją kabinę,
ale usłyszał zamieszanie na środkowym pokładzie i prysnął. Za-
nim zwiął, wrzucił chemikalia do środka, bo wołał nie nosić ich
przy sobie. Pojawił się w jakimś niewinnym miejscu i stracił szan-
sę dokończenia dzieła.

– I wrzucił do kabiny mikroukład, żeby potem nie móc otwo-
rzyć drzwi?

Przeszyłem Ixila morderczym spojrzeniem.

– Zgadza się. Bierz pod uwagę fakty. Nie zwracaj uwagi na
uroczą prostotę tej teorii.

– Przepraszam... – Ixil zrobił dziwną minę i odłożył reszkę
kanapki na stół nawigacyjny. – Mam pomysł. Zaraz wrócę.

Wyszedł. Dla zabicia czasu zająłem się kontrolą systemów.
I znów popatrzyłem wilkiem na instrumenty. Niestety, miał rację:
jeśli sabotażysta planował powrót do jego kabiny, po co wyjmował
kostkę z włącznika drzwi? Nie mówiąc już o rozwaleniu reszty.

Chyba że stało się to po naszym przyjsciu. Może próbował
wrócić wcześniej i zobaczył statek otoczony przez Najików? Póź-
niej nie miał już okazji do działania; wszyscy byliśmy zajęci przy-
gotowaniami do startu.

Ale po co zniszczył włącznik? Co mu to dało?

A może zdążył wejść do kabiny i zabezpieczył się, żeby nikt mu nie przeszkodził? Nie uszkodził wewnętrznego włącznika, mógł więc wyjść w każdej chwili.

Tylko co tam robił?

Rozległy się ciężkie kroki. Do sterowni wszedł Ixil. Dźwigał jakiś duży przedmiot zawinięty w szmatę.

– Czy po przebudzeniu pytałeś Pixa i Paxa, co działo się, kiedy spałeś? – zagadnąłem. – Jestem ciekaw, czy nie widziały kogoś w twojej kabinie.

– Pytałem. Nie widziały nikogo. – Usiadł, położył przedmiot na kolanach i zaczął odwijać. – Z wyjątkiem ciebie, rzecz jasna. Wpadłeś przecież po schematy. Ale one też spały. Nie mam całkowitej pewności, czy kogoś nie przeoczyły.

Znaleźliśmy się w punkcie wyjścia.

– Powinieneś je nauczyć czuwania na zmianę.

– Gdybym przewidział taką potrzebę, spróbowałbym. Chociaż nie wiem, z jakim skutkiem. Jeśli przez kilka godzin nie mam z nimi kontaktu umysłowego, zapominają wcześniejsze rozkazy.

Wskazałem przedmiot na jego kolanach.

– Co to?

– Dowód rzeczowy numer jeden. – Usunął ostatni kawałek szmaty i zobaczyłem największy klucz uniwersalny, jaki był na pokładzie statku. Służył do odkręcania osłon dysz wylotowych.

– Aha... – powiedziałem. – To znaczy...?

– Przyjrzyj się uważnie – pokazał palcem ślad w połowie rękojeści. – Widzisz czarną pionową smugę?

Pochyliłem się. Rzeczywiście. Przypominała niewyraźną kresekę pociągniętą węglem. Wyprostowałem się z powrotem.

– Niech zgadnę. To odcisk gumowej krawędzi twoich drzwi.

– Bardzo dobrze – pochwalił i jeszcze raz obejrzał narzędzie. – Kiedy zderzak nie włącza się, te drzwi walą całkiem mocno. Po-dejrzewam, że wcisnął przycisk, a potem wsunął to w szparę.

Na to wyglądało. Drzwi kilka razy uderzyły w klucz i zostały czarna smuga.

– Szpara była wystarczająco szeroka, żeby wrzucić buteleczki, ale za wąska, żeby wsunąć ramię – zauważyłem. – Pewnie dlatego leżały tak blisko wejścia. A może liczył na to, że ktoś przypadkiem kopnie je w głąb kabiny albo na korytarz?

Ixil pokręcił głową.

– Wątpię. Zapomniałeś, że miał zrobić i podpalić mieszankę?
– Rzeczywiście – mruknąłem. Nadal czegoś nie dostrzegaliśmy, byłem tego pewien. Ciągłe błądziliśmy po omacku.

Najwyraźniej Ixil doszedł do tego samego wniosku.

– Jak wspomniałeś wcześniej, to wszystko ma głęboki sens – powiedział i zaczął zawiązać klucz. – Tylko na razie nie wiemy jaki.

Pokazałem głową narzędzie.

– Chcesz sprawdzić odciski palców?

– Myślałem o tym – przyznał. – Chociaż znając wady „Icarusa”, z pewnością będziemy musieli użyć tego klucza, zanim znajdziemy odpowiedniego eksperta od daktyloskopii.

– Zapewne masz rację – zgodziłem się. – Zatem co dalej?

– Zamierzam naprawić moje drzwi. – Ixil wetknął narzędzie pod pachę, sięgnął po resztkę kanapki i pstryknął palcami. Fretki natychmiast przybiegły na wezwanie i wdrapały się na jego ramię. – A raczej twoje, bo moje już działają. Wymontuję włącznik z wolnej kabiny numer dwa na górnym pokładzie i zainstaluję u ciebie.

– A jeśli będziemy musieli tam wejść?

– Po co? – zapytał całkiem rozsądnie. – Zresztą, zawsze możemy przełożyć włącznik z innej kabiny.

– Fakt – poddałem się. – Dobra, rób swoje.

– Do zobaczenia.

Włożył do ust wielki kawał kanapki i poszedł.

Wbrew własnemu postanowieniu, że nie będę na próżno tracił czasu, jeszcze przez kilka minut analizowałem sytuację. Oczywiście nic nie wymyśliłem.

Potem usłyszałem kroki na korytarzu. Zbliżały się dwie osoby i żadna nie mogła być Ixilem.

Zapewne nie istniały powody do obaw, ale jak na jeden dzień miałem dość niemiłych niespodzianek. Dyskretnie wsunąłem dłoń pod kurtkę i zacisnąłem palce na kolbie pistoletu. Obróciłem się z fotelem twarzą do otwartych drzwi.

Pierwsza weszła Tera. A raczej wmaszerowała w taki sposób, jakby sterownia należała do niej.

– Musimy z tobą pogadać, McKell – rzuciła oschłym tonem.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zjawiała się druga połowa delegacji. Nicabar wyglądał jeszcze mniej przyjaźnie, niż dziewczyna. Zły znak.

– Wejdźcie – powiedziałem bez sensu, bo już to zrobili. – Revs, nie powinienes mieć dyżuru w maszynowni?

– Owszem – przyznał i zerknął na moje ręce. Jeśli podejrzewał, że trzymam broń, to nie dał nic po sobie poznać. – Poprosiłem Chorta, żeby mnie zastąpił przez kilka minut.

Prawdę mówiąc, dopuścił się naruszenia Kodeksu Handlowego. Takie rzeczy należy zgłaszać kapitanowi przed faktem. Ale od początku podróży niezbyt pilnowałem dyscypliny, więc czepianie się go nie miało teraz sensu.

– W porządku. Czym mogę wam służyć?

Tera spojrzała na Nicabara, a ten z kolei na drzwi. Odblokował włącznik i poczekał, aż się zasuną. Oboje popatrzyli na mnie.

– Możesz zacząć od chwili szczerości – odezwała się Tera. – Kim właściwie jest ten Antoniewicz, że jego nazwisko takstraszyło celników?

Pułapka, rzecz jasna. Może ta sztuczka udałaby się komuś innemu, ale Tera albo nie potrafiła panować nad swoją twarzą albo brakowało jej tupetu.

– Znasz odpowiedź – odparłem. Przeniosłem wzrok na Nicabara. – A raczej ty ją znasz. Jak widzę, przedstawiłeś już Terze swoją wersję. Może mnie też oświecisz?

– To handlarz śmiercią i wszelkim złem. – Grobowy ton Nicabara idealnie pasował do jego miny. – Kupuje i sprzedaje broń i narkotyki. Opłaca celników i władze. Ludzkie życie to dla niego towar. – Świdrował mnie oczami. – Chcemy wiedzieć, co cię łączy z jego organizacją.

– Ładna mowa – pochwaliłem, żeby zyskać na czasie. Od początku zdawałem sobie sprawę, że łatwość, z jaką zdobyłem borandis, wzbudzi podejrzania. Nie spodziewałem się jednak tak szybkiego i otwartego wystąpienia. Niewygodna sytuacja. – Ułożyłeś ją specjalnie na tę okazję, czy już na pokładzie poprzedniego statku, który przewoził towary dla Antoniewicza? A może jeszcze wcześniej?

– Co ty sugerujesz? – zjeżył się Nicabar. W sterowni wyrażnie zbierało się na burzę.

– Każdy z załogi „Icarusa” kiedyś dla niego pracował – wyjaśniłem. – I nic się na to nie poradzi. Wpływy Antoniewicza są tak rozległe, że praktycznie nie istnieje interes bez jego udziału.

– To nie to samo – zaprotestowała Tera.

– A niby dlaczego? – warknąłem. – Jeśli robisz coś nieświadomie, to się nie liczy? Dość wątpliwa postawa moralna.

– Skoro już mowa o wątpliwościach, to jeszcze nie odpowiedziałeś nam na pytanie – wtrącił się Nicabar.

– Właśnie do tego zmierzam – zapewniłem. – Chciałem tylko przedstawić moje racje we właściwym kontekście. Antoniewicz ciągnie zyski z tak wielu źródeł między innymi dlatego, że kupuje legalne firmy. Z powodu monopolu Patthów na przewozy wpadłem w poważne tarapaty finansowe. Antoniewicz mnie wykupił i to wszystko.

– I to wszystko?! – naskoczył na mnie Nicabar. – On nie kupił twojej firmy, tylko ciebie!

– Oczywiście – przyznałem kwaśno. – Bo Ixil i ja to właśnie firma.

– Sprzedałeś swoją duszę – stwierdził pogardliwie Nicabar. – Dla pieniędzy.

– Ja to widzę inaczej: przehandlowałem moją dumę za możliwość wywiązania się ze zobowiązań – odparowałem. – Uważasz, że bardziej honorowe byłoby ogłoszenie upadłości i zostawienie moich kredytodawców z pustą kasą?

– Ile miałeś długu? – zapytała Tera.

– Pół miliona. I możesz mi wierzyć, że próbowałem wszystkich uczciwych sposobów, żeby zdobyć forszę. W końcu musiałem się poddać i skorzystać z pomocy Antoniewicza. – Nie całkiem odpowiadało to prawdzie, ale nie zamierzałem teraz mącić wody.

– I co teraz? – spytała.

– A co ma być? – zirytowałem się. – Myślisz, że nie chciałbym spłacić zobowiązań i mieć go z głowy? Ale nic z tego. Antoniewicz wie, co robi. Tak ustawił sprawę, że będziemy mu służyć do połowy przyszłego wieku.

– Musi być jakieś wyjście – nie ustępowała.

Zmarszczyłem czoło. Jak na kogoś, kto przyszedł mi wygarnąć, że jestem najgorszą szumowiną w Spirali, strasznie przejęła się moją sytuacją. Bardzo podejrzana troska.

– Na przykład jakie?

– Mógłbyś go sypanąć; zgłosić się na policję albo do biura narkotyków. Czy nawet do wywiadu wojskowego Ziemi Skrajnej. Skoro handluje bronią, oni na pewno też się nim interesują. Mógłbyś zeznawać przeciwko niemu.

Westchnąłem.

– Ty chyba nic nie rozumiesz. Posłuchaj: wszystkie policje w całej Spirali chcą dopaść Antoniewicza od co najmniej dwudziestu lat. O ile wiem, ziemski wywiad też. Nie chodzi o to, że nie można zdobyć dowodów przeciwko niemu lub namówić jakichś stukniętych samobójców do zeznań. Problem w tym, że nie można go znaleźć. Nikt nie ma pojęcia, gdzie jest. I na razie nic nie wskazuje na to, żeby ktoś prędko się dowiedział.

– Ale...

– Co więcej... – nie dałem jej dojść do słowa – ...jeśli mu podpadnę, będę skończony. Obsługę mojego zadłużenia zlecił bankowi na Onikki. Tamtejsze uroczę prawo nakazuje wsadzać niewypłacalnego klienta za kratki. Wystarczy, że wycofa depozyt i spędzę następnych trzydzieści lat na odpracowywaniu należności po pięćdziesiąt kommarek dziennie. Wybacz, ale mam inne plany.

– Wolisz pracować następne trzydzieści lat dla Antoniewicza? – wtrącił się Nicabar.

– Kiepska alternatywa – przyznałem. – Ale przynajmniej nie grożą mi ciężkie roboty i mogę latać.

– Jako służący Antoniewicza.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mam wyboru. Jeśli masz inne propozycje, chętnie posłucham.

– A gdyby ktoś spłacił twój dług? – podsunęła Tera.

– Na przykład kto? – parsknąłem. – Skoro wcześniej żaden bank nie chciał ze mną gadać, to teraz też nie będzie inaczej. Chyba, że któregoś z was ma luźne pół miliona.

Jej usta zadrgały.

– Wygląda na to, że już się poddałeś.

– Po prostu pogodziłem się z rzeczywistością. Pytanie, czy wy też potraficie?

Oboje zmarszczyli brwi.

– O co ci chodzi? – zapytała Tera.

– O to, czy zamierzacie wyzbyć się głupich skrupułów i dalej lecieć ze mną.

Wiedziałem, że takie postawienie sprawy to ryzyko. Ale nie większe, niż ich próba konfrontacji ze mną. Skoro powiedzieli mi szczerze, co myślą, ja też mogłem.

Przynajmniej Tera rzeczywiście mówiła bez ogródek.

– Powinieneś raczej zapytać, czy to my pozwolimy ci lecieć dalej z nami?

Pokręciłem głową.

– Obawiam się, że nic z tego. To ja jestem pilotem wynajętym przez Borodina. Żadne z was nie ma odpowiednio wysokiego stopnia ani kwalifikacji, żeby mnie zastąpić.

– Wątpię, żebyś w tych okolicznościach odważył się składać zażalenie – zauważył Nicabar.

– To mnie jeszcze nie znasz – odparłem. – Ale nie zrobię tego. Głównie dlatego, że nic bym nie zyskał. Wy i „Icarus” byliście już wtedy w rękach porywaczy, o których wam mówiłem.

– Jeżeli ta historyjka była prawdziwa – skrzywiła się Tera.

– A po co miałbym zmyślać?

– Może chciałeś nas nastraszyć w nadziei, że opuścimy statek? – odrzekła. – Może masz swoją załogę gotową zająć nasze miejsca, tak jak Ixil zastąpił Jonesa? Może to ty jesteś porywaczem?

– Więc dlaczego nie wezwałem tej mojej załogi na Dorscind’s World, kiedy wyszłście podziwiać widoki? Mogłem to zrobić, zamiast zwracać sobie głowę wymyślaniem opowieści o porywaczach.

– I nie wiesz, kim oni są? – natarł Nicabar.

– Wiem tyle, że są dobrze zorganizowani i z jakiejś przyczyny sądzą, że warto zdobyć „Icarusa”.

– Jak to, „sądzą”, że warto go zdobyć?

– Ja nie widzę żadnego powodu, dla którego ktoś miałby na nas aż tak polować – odparłem. – Nie wyobrażam sobie, kogo może kusić nasz ładunek, jeśli tak łatwo przeszedł kontrolę na Gamm i został zaplombowany. Może chodzi im o sam statek, chociaż osobiście nie uważam tego za prawdopodobne.

Spojrzałem na Terę.

– Ale bez względu na przyczynę tej obławy, jesteście skazani na mnie. Jeśli znajdziecie nowego pilota, nie będziecie mieć

pewności, czy nie został podstawiony przez porywaczy. A kiedy się zorientujecie, może być za późno. Zauważyliście, że w waszych kabinach brakuje zamków?

Wymienili ponure spojrzenia. Byli wyraźnie przybici. Ale wiedzieli, że mam rację. Mogli teraz ufać jedynie załodze „Icarusa”. I zdawali sobie sprawę, że żadne z nich nie potrafi pilotować tego koszmarnego monstrum.

– Jeśli zamierzałeś nas przekonać, że jesteś godny zaufania, to ci się nie udało – oświadczył Nicabar. – Skąd mamy wiedzieć, że nie tkwisz tu w nadziei na lepszą propozycję?

– A czy ja mogę mieć pewność, że ty nas nie sprzedasz? – skontrowałem. – Albo Tera, czy ktokolwiek? Odpowiedź brzmi: nie mogę. Gdybym gdziekolwiek miał większe szanse, skorzystałbym. Ale wiem, że nie mam. Nie tu i nie teraz.

– Dlaczego więc obchodzi cię los „Icarusa” i załogi? – nie ustępował Nicabar.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

– Bo podpisałem kontrakt na doprowadzenie tego statku na Ziemię. I zamierzam to zrobić.

– A my możemy w to wierzyć lub nie, tak?

Westchnąłem. Nagle poczułem się zmęczony tą głupią grą.

– Wiercie, w co chcecie. Ale jeśli dotrzemy na Ziemię, zażdam przeprosin.

Przesadziłbym, gdybym powiedział, że się uśmiechnął. Ale rysy trochę mu złagodniały. Pomyślałem o jego służbie wojskowej. Nie nauczyła go znajomości ludzi.

– Zapamiętam to – obiecał.

– Może nawet będę oczekiwał nadskakiwania – ostrzegłem i zwróciłem się do Tery. – A ty? Wytrzymasz jeszcze wśród służących szefa mafii, czy wysiadasz na następnym przystanku?

Myślałem, że żartobliwe słowa i ton wywołają jakąś zmianę na jej pochmurnej twarzy. Ale nie. Piwne oczy wpatrywały się teraz we mnie bardziej z litością, niż z nienawiścią.

– Zostanę. Ja też podpisałam kontrakt.

– Doskonale – ożywiłem się. – Znów więc znów jesteśmy jedną wielką, szczęśliwą rodziną. Jak to miło. Zdaje się, Revs, że jeszcze masz służbę?

– Na razie nie opuszczę statku, McKell – uprzedził spokojnie. – Ale pamiętaj, co ci mówiłem wcześniej. Jeśli odkryję, że szmuglujemy broń czy narkotyki, odchodzę.

Skinąłem głową.

– Zapamiętam to – obiecałem.

Przyglądał mi się przez chwilę, potem wcisnął włącznik drzwi. Wyszedł na korytarz.

Tera ruszyła za nim. Nagle stanęła w progu.

– Nie jesteś w sytuacji bez wyjścia, Jordan – powiedziała z przekonaniem. Cichy głos, powaga i idealizm. Nie znoszę takiej kombinacji. O dziwo, u niej to nie raziło. – Tylko musisz bardzo chcieć je znaleźć.

– Kiedyś ja też myślałem, że każdy problem można rozwiązać szybko i łatwo.

Zniecierpliwiła się.

– Nie twierdzę, że tak jest. – Poziom idealizmu obniżył się znacznie, za to powaga wzrosła. – Uważam tylko, że wyjście istnieje, jeśli naprawdę chce się je znaleźć.

– Wezmę pod uwagę – przyrzekłem. – A ty staraj się nie zapominać, że lepiej pracować niż głodować. W mojej branży bezrobocie nie grozi dziś tylko Patthom. Ty masz łatwiej, bo jesteś komputerowcem. Nie musisz latać statkami kosmicznymi, komputery są wszędzie. Ale ja raczej nie przydałbym się za biurkiem w księgowości, nie sądzisz?

– Cała kwestia sprowadza się do tego, czy bardziej zależy ci na zapewnieniu sobie bezpiecznego bytu, czy na szacunku dla samego siebie. – Odwróciła się i odeszła.

– Jeszcze chwilkę, Tero! – zawołałem za nią.

Zatrzymała się niechętnie. Pewnie była zła, że zepsułem jej efektowne wyjście.

– Tak?

– Everett mówił mi, że znalazł cię w warsztacie mechanicznym, kiedy zawiadamiał wszystkich o ucieczce Shawna. Co tam robiłaś?

Obrzuciła mnie lodowatym spojrzeniem.

– Szukałam zestawu śrubokrętów jubilerskich. Jeden z nich wyświetlałczy wariował i chciałam go wyregulować.

– Aha... Dziękuję.

Patrzyła na mnie jeszcze przez jedno uderzenie serca.

– Proszę bardzo.

Wyszła.

Poczekalem, aż zasuną się drzwi. Po minucie otworzyłem je z powrotem i zablokowałem. Lubię prywatność, jak każdy, ale gdyby ktoś kręcił się po środkowym pokładzie, wołałem go słyszeć.

Wróciłem na fotel i zerknąłem na wskaźniki. Tera i Nicabar przynajmniej wyłożyli kawę na ławę. A inni? Podejrzewają mnie o to samo, co tych dwoje, tylko wolą unikać konfrontacji?

Nie zależało mi na popularności. No... może trochę. Tyle, co każdemu. Ale już dawno przywykłem do tego, że niewielu mnie lubi. Teraz jednak nie chodziło o popularność, tylko o zaufanie i posłuszeństwo. Jeśli chcieliśmy wymknąć się Patthom, musieliśmy działać razem.

Wszyscy. Nie wyłączając naszego tajemniczego sabotażysty.

Bardzo by mi pomogła wiedza, do czego on właściwie zmierz. Jeżeli nawet mogłem dorobić teorię do każdego z trzech czy czterech incydentów, po zestawieniu razem nic nie trzymało się kupy. Jeśli ktoś wie, co znajduje się w ładowni, i rzeczywiście jest to tak cenne, jak podejrzewamy, to dlaczego nie wydał nas Patthom na Potosi i nie zażądał nagrody? A może donos do Najików, że szmuglujemy klejnoty, był właśnie taką nieudaną próbą? I jak do tego pasują zamachy na Jonesa i na Ixila?

Nagle wyprostowałem się w fotelu. Przypomniałem sobie, co dziesięć minut temu powiedziałem Nicabarowi o możliwości przedstawienia pilota przez porywaczy. Patthowie mogliby tak zrobić; z pewnością stać ich na znalezienie odpowiedniego człowieka. I wiedzą, że jestem na pokładzie. Jeden celny strzał i po mnie. Wtedy załoga będzie zmuszona poszukać kogoś na moje miejsce.

A gdyby forsa Patthów skusiła jakiegoś pilota, to mechanika również. Bez względu na ilość certyfikatów i ukrytych zdolności, nasz sabotażysta zapewne nie poradziłby sobie sam ze statkiem tej wielkości i o takiej konstrukcji. Ale dwóch dobrych specjalistów to co innego.

Zatem drugim podstawionym załogantem musiałby być mechanik. A najprostszym sposobem wprowadzenia go do akcji byłoby wyeliminowanie poprzedniego. Nasz sabotażysta usunął Jonesa, ale ja ściągnąłem na to miejsce Ixila. Czy incydent z gazem miał go wypłoszyć?

Jeśli tak, to zamachowiec się rozczaruje. Kalixów niełatwo zastraszyć, a Ixil to wyjątkowo trudny przypadek.

Niestety, wciąż pozostawało pytanie, dlaczego „Icarus” nie jest jeszcze w rękach Patthów. I może właśnie znalazłem odpowiedź. Wuj Arthur twierdził, że ich dyrektor generalny dzwonił osobiście do różnych rządów na naszej trasie. A jeśli nie porozumiał się z własnym? Zawsze uważałem Patthów za bardzo jedno-myślnych, przynajmniej w sprawach stosunków z innymi rasami. Ale może tym razem jest inaczej.

W takim wypadku nasz sabotażysta nie przekazał nas jeszcze w ręce Patthów po prostu dlatego, że dotychczas nie spotkał się z tymi właściwymi. Może afera z celnikami na Potosi rzeczywiście miała kogoś zaalarmować, ale ten ktoś dostał sygnał z opóźnieniem. Albo dzięki mojej sztuczce z nazwiskiem Antoniewicza wygrzebaliśmy się z kłopotów i odlecieliśmy szybciej, niż ktokolwiek się spodziewał.

Nie przypuszczałem, że uda mi się prędko rozwikłać tę zagadkę, bo musiałbym wiedzieć więcej o Patthach, a na razie nie mogłem liczyć na nowe informacje. Coś jednak przyszło mi do głowy. Wydawało się mało prawdopodobne, by nasz sabotażysta został zwerbowany przez Patthów w porcie kosmicznym na Meimie. Zatem współpracował z nimi już wcześniej. Gdyby dopisało mi szczęście, może dowiedziałbym się czegoś z raportu, który Wuj Arthur obiecał dostarczyć na następnym postoju.

Znów popatrzyłem na wskaźniki i instrumenty, i mimo niechęci do marnowania paliwa, trochę zwiększyłem szybkość. Nagle zaczęło mi się bardzo spieszyć na Morsh Pon.

1 1

Morsh Pon dzieliły od Potosi osiemdziesiąt cztery godziny lotu. Podróż minęła wprawdzie gładko, ale jednocześnie bardziej denerwująco, niż oczekiwałem. Zatrzymywaliśmy się tylko dwa razy, żeby Chort naprawił kadłub. Biorąc pod uwagę chaotyczną konstrukcję „Icarusa”, całkiem nieźle. Widocznie jego

kulisty kształt lepiej zdawał egzamin w hiperprzestrzeni, niż smukłe sylwetki statków gwiazdnych, do których przywykłem. A może po prostu mieliśmy szczęście.

Nie powtórzyły się próby sabotażu, a przynajmniej nie wyszły na jaw. Za to prześladowały nas inne problemy. Kolejne dawki borandisu postawiły Shawna na nogi. Nie groziły mu już nieodwracalne uszkodzenia systemu nerwowego. W każdym razie, nie w najbliższej przyszłości. Niestety, wymagało to zużycia większej ilości leku niż normalnie. Everett twierdził, że do Morsh Pon i następnego postoju wszystko powinno być w porządku, ale potem należy zdobyć nową porcję specyfiku. Szybciej, niż przypuszczałem.

Dał o sobie znać nasz archaiczny komputer. Regulacja wyświetlacza, który sprawiał kłopoty Terze niewiele pomogła. Kiedy otworzyła pokrywę, wszystko stało się jasne. Wnętrze urządzenia pokrywała cieniutka warstwa mikroskopijnego pyłu. Wiatraczki chłodzące nawiewały go przypadkowo na różne zespoły. Widocznie na tyle dobrze przewodził prąd, że powodował sporadyczne zwarcia, co zniekształcało odczyty.

Ja i Ixil nie mieliśmy wątpliwości, skąd pochodzi: z podziemnej jaskini na Meimie, gdzie ekipa Camerona montowała „Icarusa”. Oczywiście reszta załogi nie znała historii statku, przez chwilę więc snuto domysły. Potem wszyscy rozeszli się, żeby nie słuchać utyskiwań i przekleństw Shawna; lek nie wywarł zbawionego wpływu na jego zachowanie. Ixil znosił to przez blisko siedemdziesiąt godzin, bo razem z nim i Terą rozkładał, czyścił i ponownie składał aparaturę.

Miało to swoją złą i dobrą stronę. Złą, gdyż przez ten czas nie mogłem liczyć na pomoc Ixila, gdybym jej potrzebował. Dobrą, ponieważ nie musiałem się obawiać, że Shawn lub Tera wytną jakiś numer, dopóki pilnuje ich Ixil.

Kiedy skończył, wysłaliśmy Pixa i Paxa na zwiady do przestrzeni międzykadłubowej. Nie znalazły ani odcisków stóp, ani zgubionego narzędzia, ani śladów majstrowania przy interkomach. Jediną ciekawostką było to, że zewnętrzny kadłub nie pachniał, nie smakował i nie przypominał w dotyku niczego, z czym zetknęły się do tej pory. Z pewnością nie zrobiono go ze zwykłego metalu. Pomyślałem nawet, że może celnicy na Potosi wcale nie przyszli na darmo. Czyżby Cameron po prostu przemycił złoto

lub iryd i pokrył nimi wewnętrzną powierzchnię poszycia? Ale wyglądało to mało prawdopodobnie; byłoby zbyt skomplikowane i zupełnie nieopłacalne dla człowieka z jego reputacją i majątkiem. Poza tym nie tłumaczyło obsesyjnego zainteresowania Patthów „Icarusem”.

Wcześniej, kiedy Tera i Shawn byli zajęci komputerem, skozystałem z okazji i przeszukałem ich kabiny. Bez rezultatu. Żadne nie miało ukrytej broni, tajnej książki kodowej Patthów, czy podręcznika *Kosmiczny sabotażysta*. Rewizja nie potwierdziła również, by Tera należała do którejś z sekt, podających nieznanym tylko imię. Może po prostu unikała zdradzania swego nazwiska przez ostrożność.

Morale załogi pozostawiało wiele do życzenia. Everett szybko podzielił się z innymi swoimi uprzedzeniami do Morsh Pon. Dwie godziny po starcie rozpoczął wraz z Terą i Shawnem kampanię na rzecz zmiany trasy. Chort i Nicabar nie przyłączyli się do nich, ale czułem, że ten drugi podejrzewa mnie o celowy wybór takiej zakazanej dziury, żeby on i Tera nie mogli tam znaleźć nikogo godnego zaufania na moje miejsce.

Słowem, wszyscy przeżyliśmy ponad trzy stresujące doby. I nie spodziewałem się poprawy nastrojów na Morsh Pon.

Kiedy znaleźliśmy się nad planetą, na jednym krańcu głównego obszaru kolonii było późne popołudnie, na drugim wczesny wieczór. Linia zachodzącego słońca widniała jakąś godzinę drogi za Błękitnym Kręgiem, dokąd zmierzaliśmy. Okazało się, że jesteśmy jedynym lądującym statkiem, chociaż zauważyłem kilka odlatujących. Zapewne miały fałszywe papiery, jak my. Podałem ośrodkowi kontroli lotów nasz port docelowy, skierowano mnie do właściwego prostokąta, i opuściłem „Icarusa” w ciemność.

Wszyscy czekali w tunelu, aż sprawdzę systemy zabezpieczające statku, wezwę ekipę paliwową i ruszę w kierunku rufy. Nikt nie otworzył władu. Widocznie załoga uznała, że mnie pierwszemu powinien przyspaść zaszczyt wyjścia na zewnątrz, gdyby miały nas przywitać strzały. Tylko Nicabar wiedział, że jestem uzbrojony. Nie zamierzałem oświecać nikogo więcej. Odblokowałem kłapę i czekałem niecierpliwie, aż raczy się mozołnie odsunąć. Ten port nie miał tak wygodnych stanowisk, jak kilka poprzednich. W rezultacie spojrzałem na świat z wysokości dziesięciu metrów.

Nigdy przedtem nie byłem na Morsh Pon, ale nie oczekiwałem lepszego widoku po zejściu na dół. W kiepskim świetle ulicznych latarni zobaczyłem tawerny, domy noclegowe, burdele i inne speluny stłoczone między zgrupowaniami stanowisk lądowniczych. Wyglądały nędznie i niezbyt zachęcająco. W większości okien i wejść było ciemno, co dopełniało ponurego obrazu. Naprzeciw nas ciągnął się rząd domów, a dalej widniała pusta plama paru lądowisk otoczona nierównym kręgiem budynków. Na ciemniejszym niebie mrugało kilka gwiazd. Świeciły dziwnie słabo, jakby nie chciały patrzeć na ten krajobraz.

– Ciekawe, gdzie się wszyscy podziali? – mruknął Ixil.

Zmarszczyłem brwi. Rzeczywiście. Wychyliłem się z włazu i rozejrzałem. Nikogo. W oddali dostrzegłem jakieś kształty przypominające statki, a kilkaset metrów na prawo jedną oświetloną tawernę. Poza tym głucha pustka. Żadnego ruchu, lokale pozamykane; ani ludzi, ani pojazdów. W naszym kierunku jechała tylko cysterna z paliwem. Wymarłe miasto.

– Hej, Everett! Podobno miało się tu roić od morderców i bandytów! – zawołał oskarżycielsko Shawn. – No i gdzie oni są?

– Nie wiem – burknął Everett. – Coś tu nie gra.

– Czy kontrola lotów coś mówiła? – zapytał Nicabar. – O jakiejś epidemii, pladze, kwarantannie? Nic z tych rzeczy?

– Ani słowa – zaprzeczyłem, wpatrując się w oświetloną tawernę. Z tej odległości nie mogłem odczytać nazwy, ale byłem gotów się założyć, że to knajpa „Pod Trzynastką”, o której wspominał Wuj Arthur. – Może tam się czegoś dowiemy – wskazałem lokal. – Czy ktoś ma ochotę wybrać się ze mną na spacer?

– Ja nie – zastrzegł się Everett. – Jeśli panuje tu jakaś zaraza, to wolę niczego nie złapać.

– Istnieje obowiązek uprzedzenia przylatujących statków o zagrożeniach dla zdrowia – przypomniałem mu.

– To jest Morsh Pon i przepisami można się tu podetrzeć – odparował. – Nie, dzięki. Wolę zostać.

– Ja też – zawtórował mu Shawn.

– Ja pójdę – zgłosiła się Tera. – Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

– Na mnie też możesz liczyć – przyłączył się Nicabar.

Wzruszyłem ramionami.

– W porządku. – Wcale mnie to nie zdziwiło. Terę i Nicabara o wiele mniej obchodziły zarazki, niż to, że mógłbym się wyknać i zrobić coś za ich plecami. – Chort? Ixil?

– Idę – odrzekł Chort. – Może w tamtej tawernie dostanę butelkę *kompri* na wynos.

– Możliwe – przytaknąłem, zastanawiając się, co to jest *kompri*. Pewnie jakiś craeański drink. – A ty, Ixil?

– Najpierw chciałbym dopilnować, żeby zaczęli tankowanie. Później do was dołączę.

– Dobra. – Udałem, że mu wierzę, i zszedłem po schodkach. Wiedziałem, że się stąd nie ruszy. Będzie tu sterczał i obserwował Everetta i Shawna, niczym jastrzęb o twarzy iguany. – Niedługo wrócimy.

Wędrówka zupełnie pustym chodnikiem nie należała do przyjemnych. Nasze kroki odbijały się głośnie echem w upiornej ciszy. Zerkałem w każdą mijaną bramę i zaułek, czy nie czają się tam podejrzane typy ludzkiego lub obcego gatunku. Ale okolica była tak wyludniona, jak całe miasto.

Dotarliśmy do tawerny bez przeszkód. Okazało się, że to istotnie „Pod Trzynastką”. Pociągnąłem drzwi i zajrzałem do środka.

Całkiem spora, trochę ciemna sala wyglądała zadziwiająco przytulnie. Stały tu ciężkie drewniane stoliki i krzesła. Wzdłuż lewej ściany ciągnął się drewniany bar w tradycyjnym ziemskim stylu. Środek zajmował wygasły kominek. Nie zauważyłem tłoku. Trzy stoliki obok baru okupowało około dwunastu obszarpanych obcych, którzy skojarzyli mi się z bandą piratów. Pod prawą ścianą siedziały dwie młode kobiety, a w najdalszym kącie trzy zakapturzone postacie. Nikogo więcej. Za barem tkwił Ulkomaal z owłosioną twarzą. Opierał się o kontuar i patrzył ponuro na wygasły kominek. Na mój widok wyprostował się, a koścista fałda w miejscu brwi przybrała ze zdumienia jasnopurpurowy kolor.

– Zatem dobrze mi się zdawało, że przyleciał nowy statek. Witam i zapraszam.

– Dzięki – odrzekłem i rozejrzałem się. Piraci podnieśli wzrok, ale szybko wrócili do swoich drinków. Kobiety przyglądały się nam. Tamci trzej w rogu nawet nie odwrócili głów. Może już za dużo wypili, by ich cokolwiek obchodziło, choć nie dostrzegłem baterii opróżnionych szklanek. Zauważyłem jednak, że

stoliki nie miały selektorów menu, a więc barman był również kelnerem. Nie narzekał na nadmiar pracy, powinien już zebrać puste szkło. – Jeszcze czynne?

Westchnął.

– Owszem, choć nie wiadomo po co. Wszyscy już stąd przysnęli.

– Przed czym? – wtrąciła się Tera.

Barman znów westchnął.

– Przed Balthee – odparł z mieszaniną złości i rezygnacji. – Późnym popołudniem dostaliśmy cynk, że lecą tutaj na kolejny oprysk.

– Na co?! – nie zrozumiała Tera.

– Balthee uznają odpowiedzialność zbiorową – wyjaśnił Chort, gdy wybrałem stolik przy drzwiach, z dała od reszty gości. Usiadłem plecami do ściany, żeby widzieć wejście i przynajmniej kątem oka obserwować wszystkich klientów. Nicabar zajął krzesło po mojej lewej, na wprost piratów. Tera usadowiła się z prawej i widziała tylko mnie i drzwi. Jeśli ta para chciała mnie osaczyć, to udało się im. – Według ich prawa... – ciągnął Chort, siadając na ostatnim wolnym krześle – ...samo przebywanie w towarzystwie znanych przestępców jest wykroczeniem.

– Dużo pan wie – stwierdził z podziwem barman. – Zapewniam, że Morsh Pon zupełnie niezasłużenie cieszy się złą sławą. Ale jak przekonać o tym Balthee? Wpadają tu regularnie i opryskują wszystkie statki na naszych lądowiskach niezmywalną farbą molekularną. Jeśli taki naznaczony statek wyląduje potem w którymś z portów pod ich zarządem, zostaje natychmiast zajęty i przeszukany, a załoga trafia na przesłuchanie.

– Rozumiem, dlaczego pańska klientela woli tego unikać – wskazałem głową piratów. – Oni nie dostali cynku?

Barman ściszył głos i zerknął na nich.

– Ich kapitan powiedział, że nie boją się Balthee. Ale jeden z członków załogi wyznał, że i tak niedługo planują wymianę wszystkich płyt kadłuba.

Pokazał gestem dwa inne zajęte stoliki.

– Co do tych dam, to pracują w jednym z domów gościnnych, „Shick Place”. A tamci dżentelmeni troszkę za dużo wypili, by w porę odlecieć.

Wyprostował się i uniósł głowę w moim kierunku.

– A wy?

Zmarszczyłem brwi.

– Co my?

Zatoczył ręką krąg.

– Siedzicie tutaj mimo ostrzeżenia o nalocie.

Wzruszyłem ramionami.

– Przecież o tym nie wiedzieliśmy.

– A nie widzieliście odlatujących statków? – skontrował barman. – Musieliście minąć co najmniej kilka. Nikt was nie ostrzegł przez radio?

– Owszem, widzieliśmy odlatujące statki – przyznałem z lekkim znicierpliwieniem, a w uszach zadźwięczał mi dzwoneczek alarmowy. Wprawdzie nie byłem tutaj nigdy przedtem, ale dobrze znałem podobne miejsca. I w żadnej przestępczej spelunie nie spotkałem tak ciekawskiego barmana. Coś mi tu nie grało. Fakt, że facet pewnie umierał z nudów, nie usprawiedliwiał wtykania nosa w cudze sprawy. – I nikt nas nie ostrzegł. Ale to chyba nie pański interes?

– Nie przejmuj się nim – usłyszałem kobiecy głos.

Odwrociłem się. W naszą stronę szła jedna z dwóch młodych dziewczyn. Była niewysoka, szczupła i miała trochę niepewny krok. Przez moment pomyślałem, że może to kurierka od Wuja Arthura. Ale pod kombinezonem opinającym jej ciało niczym skóra nie ukryłaby żadnej przesyłki. Broni tym bardziej, na szczęście. Przynajmniej nie musieliśmy się obawiać, że za chwilę nas wystrzela. – Słucham? – zapytałem.

– Powiedziała, żebyś się nim nie przejmował – powtórzyła i odprawiła Ulkomaala niedbałym gestem. W przyćmionym świetle zamigotały pretensjonalne pierścionki. Kiedy podeszła, zauważyłem na jej szyi charakterystyczną apaszkę. Kraciaste wzory wskazywały, jakie usługi świadczy i ile za to bierze. Byłem ciekaw, czy Tera wie, o co chodzi. Miałem nadzieję, że nie. – Nazywają go Nurptric Wścibski – ciągnęła kobieta. – Mogę się przysiąc?

– Interes kiepsko idzie? – zagadnęła Tera lodowatym tonem. Widocznie wiedziała, z kim mamy do czynienia.

Kobieta obdarzyła ją ironicznym uśmiechem.

– Tobie też, złotko? – spytała słodkim tonem. Przynęła krzesło od sąsiedniego stolika, ku zaskoczeniu Tery odepchnęła ją biodrem, i usiadła między nami. – Widzę, że nie jesteście stąd,

więc staram się być towarzyska. – Popatrzyła na mnie, potem na Tere. – Prawo chyba tego nie zabrania?

– Tutaj prawo najwyraźniej niczego nie zabrania – zauważyła sztywno Tera.

– Zgadłaś, że interes kiepsko idzie. – Kobieta rozepchnęła się łokciami i biodrami, żeby zrobić sobie więcej miejsca. – Nawet nie ma z kim kulturalnie pogadać. Mam na imię Jennifer. Może postawicie mi drinka?

Tera zaczęła być wściekła.

– A może przeniesiesz się gdzie indziej, co? Chcemy spokojnie porozmawiać.

Jennifer uśmiechnęła się z rozbawieniem.

– Ale niesympatyczna. I jaka zła. Często tu bywasz, złotko?

Tera podniosła się. Chort delikatnie przytrzymał ją za ramię i niechętnie usiadła z powrotem.

– Niestety, cienko u nas z forszą, Jennifer – wyjaśniłem dyplomatycznie. – Ledwo starczy nam na paliwo. O ekstra wydatkach można zapomnieć.

Przyjrzała mi się uważnie.

– O, kurczę. To kiepsko. – Zerknęła na Ulkomaala, który wciąż kręcił się za plecami Chorta w nadziei, że coś zamówimy. – Daj mi jedną wódkę, Nurp.

Koścista brew przybrała lekko karmazynowy kolor, ale skinął głową.

– Proszę bardzo. A co dla państwa?

– Nie ma pan przypadkiem *kompri*? – zapytał Chort.

– Nie, nic z tych rzeczy. Nie prowadzimy craeańskich napojów.

– Chyba coś się znajdzie u nas, w „Shick Place” – podsunęła Jennifer. – Spełniamy wszystkie zachcianki klientów – dodała i posłała Chortowi zabójczy uśmiech. – To niedaleko. Chcesz się przejść?

Chort popatrzył na mnie z wahaniem.

– Jeżeli mamy trochę czasu...?

– Nie – uciął sprawę Nicabar. – Jak tylko zatankują statek, wynosimy się stąd.

– Ma rację – przyznałem. Nie miałem ochoty sterczeć tu dłużej, niż to konieczne. I nie zamierzałem pozwolić nikomu z załogi

na samotny spacer po tej dziurze. – Weźmiemy trzy kole kofeino-
we i czystą wodę – rzuciłem do barmana.

Koścista brew pokryła się barwnymi plamkami. Albo z rezy-
gnacji, albo z pogardy dla takich klientów.

– Służę państwu. – Odwrócił się i począł za bar, mrużąc
coś pod nosem.

Jennifer pokręciła głową.

– Trzy kole i woda... Ale zaszałeliście.

– Mówiliśmy ci, że krucho u nas z forszą – warknęła Tera. –
Tracisz czas.

Jennifer wzruszyła ramionami.

– W porządku. Ale jest łatwy sposób, żeby szybko zarobić.

Pochyliła się konspiracyjnie nad stolikiem i skinęła, żebyśmy
zrobili to samo.

– Jest jeden statek. Nikt nie wie, gdzie – szepnęła. – Za zna-
lezenie go płacą sto tysięcy. Żywą gotówką.

Na plecach poczułem zimne łapki kalixirskich fretek.

– Naprawdę? – spytałem obojętnie. – Jakim cudem jest wart
aż tyle? I dla kogo?

– Nie wiem, dlaczego chcą go dorwać. – Odwróciła się i ścia-
gnęła z sąsiedniego stolika złożony kawałek papieru. Zapewne
ktoś zostawił go w momencie masowej ucieczki. – Ale wszystko
jest tutaj. – Wręczyła mi kartkę.

Rozwinąłem ją. Bez najmniejszego zdziwienia popatrzyłem
na list gończy. Taki sam jak tamten, który pokazał mi James Ful-
bright na Dorscind's World.

Dostrzegłem jednak dwie nieprzyjemne różnice. Po pierw-
sze, nagroda rzeczywiście podskoczyła z pięciu do stu tysięcy.
Po drugie, moje stare zdjęcie zastąpiono aktualnym. W dodatku
bardzo wyraźnym.

– To jakiś lewy numer – stwierdziłem niedbale. Złożyłem
papier i rzuciłem na blat. Poczułem, jak pod fałszywymi blizna-
mi na twarzy ściga mi się skóra. To dlatego agent Patthów na
Dorscind's World poddał się bez stawiania oporu. Uznał, że waż-
niejsze jest zdobycie mojego dokładnego rysopisu i przekazanie
go szefom, niż ryzykowna próba zatrzymania mnie. Nagle prze-
stałem wierzyć, że sztuczne szramy zapewniają mi bezpieczeń-
stwo. – Po co nam to pokazałaś?

Zatoczyła ręką krąg.

– Widzicie, jak tu jest. – Jej wzrok i głos stały się uwodzicielskie. – Ja tutaj utknęłam, ale wy możecie poszukać „Icarusa”.

Chort wydał dziwny, gardłowy dźwięk.

– Jak nazywa się ten statek? „Icarus”?

Zignorowała go.

– Chyba nikt nie wie, jak wygląda – ciągnęła, wpatrując się we mnie coraz bardziej uwodzicielsko. – Ale podobno na pokładzie jest ten gość ze zdjęcia. Może gdzieś wypatrzycie statek i jego.

– A potem? – odpowiedziałem.

Przysunęła się tak blisko, że poczułem tanie perfumy i oddech przesycony alkoholem.

– Zadzwońcie do mnie. Wiem, kogo zawiadomić i od kogo zainkasować wypłatę.

– Mówisz, że chcą tylko statek? – odezwała się Tera. Trzymała list gończy i patrzyła na zdjęcie. W kiepskim świetle wydawało mi się, że trochę zbladła.

– Statek i załogę – odrzekła Jennifer, nie odrywając ode mnie oczu. – Nie umiesz czytać?

– Ale dlaczego? – nie ustępowała Tera. Podała kartkę Nicabarowi. – Po co im załoga?

Jennifer wyprostowała się niechętnie i spojrzała na nią przez ramię.

– Skąd mam wiedzieć? – warknęła, wyraźnie zła, że Tera psuje jej interes. – I co mnie to obchodzi? Ważne, że możemy zarobić.

– A jaki podział proponujesz? – zainteresowałem się.

Uśmiechnęła się i znów przysunęła do mnie. Najwidoczniej potrafiła grać tylko uwodzicielkę.

– Wystarczy mi bilet na Ziemię i kilka tysięcy na start – szepnęła mi prosto w twarz. – Reszta dla was. Pomyślcie, tyle forsy za jeden telefon. Mogę wam nawet zwrócić za połączenie.

– Właściwie nie jesteś nam potrzebna – wtrącił Nicabar. – Sami możemy zadzwonić pod tamten numer.

– Wtedy stracilibyście dodatkowe pięćdziesiąt patyków – chuchnęła mi w nos Jennifer. – Wiem, jak je załatwić. Ktoś płaci prywatnie. Chodzi o zemstę. Widzicie tamtych w rogu?

Odróciłem głowę. Trzej goście w kapturach nadal pochylali się smętnie nad stolikiem. Nagle jeden otrząsnął się i poruszył

ramionami, jakby poprawiał się we śnie. Kaptur zsunął mu się trochę i wtedy go poznałem.

Typ należał do Klanu Guzowatych.

Na lewo ode mnie Nicabar gwałtownie wciągnął powietrze. Nie zdążyłem dostrzec żadnej zmiany na jego twarzy, ale byłem pewien, że już musiał natknąć się na tych chłopaczków.

– Obiecali nagrodę – ciągnęła Jennifer. Zignorowała reakcję Nicabara, jak przedtem pytanie Chorta. Albo była bardziej wstawiona, niż myślałem, albo tak ją pochłaniało uwodzenie mnie, że na nic innego nie zwracała uwagi. – Podobno facet z listu gończego usmażył ich dwóch kumpli.

– Nie zachował się zbyt przyjaźnie – stwierdziłem. Z trudem patrzyłem na jej twarz. Nie dlatego, że mi się nie podobała, tylko że znów zbliżyła się o kilka centymetrów. Może liczyła na to, że perfumy skłonią mnie do ubicia z nią interesu.

W mojej kieszeni zapiszczał telefon.

– Przepraszam na chwilę...

Odwrociłem się bokiem i sięgnąłem za pazuchę. Odetchnąłem z ulgą, choć na krótko uwalniając się od tych zalotów.

Dzwonił Ixil. Spodziewałem się tego.

– Wszystko gra? – zapytał.

– Tak. – W tym momencie Nurptric postawił na stoliku nasze napoje. – Już wiemy, dlaczego wszyscy stąd zniknęli.

– To dobrze. Ale bez względu na przyczynę, właśnie wracają.

– Zdaje się... Co?!

– Widzę na radarze z piętnaście statków. Schodzą do lądowania. Co najmniej pięć kieruje się do naszego portu.

Podniosłem wzrok na Ulkomaala.

– Czy Balthee kiedykolwiek lądują i biorą więźniów?

Obruszył się.

– A skąd! Nie odważyliby się. Przecież to suwerenne terytorium Ulko.

Wróciłem do rozmowy z Ixilem.

– Masz rację. – Staralem się zachować spokój, co nie było łatwe. Niedługo zwali się tu tłum piratów, przemytników i morderców. I zapewne każdy ma w kieszeni list gończy z moją podobizną. Tylko tego mi potrzeba. – Co z tankowaniem?

– Pompiarze są mniej więcej w połowie. Powinni skończyć, zanim nadleci pierwsza fala. Domyślam się, że chcesz stąd natychmiast zniknąć?

– Albo jeszcze prędzej – przyznałem. Cokolwiek wymyślił Wuj Arthur, mógłby się pospieszyć. – Już idziemy.

Wyłączyłem się i schowałem telefon.

– Kłopoty? – zapytała Jennifer.

– Wręcz odwrotnie – zapewniłem. Podniosłem szklankę do ust, ale nie wypilem nawet łyka. Barman mógł mnie rozpoznać i dosypać coś do napoju. Wolałem nie ryzykować. Gdyby nie moja wcześniejsza obłąkańcza obsesja, ta podróż pewnie już dawno by się skończyła. – Statek prawie zatankowany i chyba zdążymy wystartować, zanim w powietrzu zrobi się tłok.

Zrzedła jej mina. Tyle zachodu i wszystko na nic.

– Przemysł moją propozycję, dobrze? – poprosiła niemal błagalnie. – Wynagrodzę ci to. Mam na myśli nie tylko pieniądze.

– Nie tylko? – Oparłem się pokusie obejrzenia jej smukłego ciała od góry do dołu. Nie chciałem wykorzystywać sytuacji. Na pewno każdy klient tawerny „Pod Trzynastką” oglądał ją jak towar. Mogła mieć tego dosyć. – A co jeszcze?

Widocznie wykorzystywanie sytuacji było jej specjalnością. Objęła mnie za szyję, zahaczając ostrą krawędzią pierścionka o moje włosy, przyciągnęła do siebie i mocno pocałowała.

Niczego nie udawała. Zrobiła to namiętnie i z pełnym zaangażowaniem. Przywarła do mnie, jakby chwytła się ostatniej deski ratunku. Pomyślałem, jak bardzo chce wyrwać się stąd, i ogarnęło mnie współczucie. Z nas wszystkich przy stoliku ja najlepiej wiedziałem, co to znaczy być osaczonym.

Nagle zaczęła wyprawiać językiem takie sztuczki, że ze zdumienia i podniecenia zapomniałem o współczuciu.

Wydawało mi się, że pocałunek trwał długo, choć w rzeczywistości minęło zaledwie kilka sekund. Wreszcie odsunęła się i zobaczyłem surową minę Tery. Ciekawe, co wyrażała jej twarz, kiedy nie patrzyłem. Zaskoczenie, niesmak? Zapewne. Nawet taki kundel jak ja nie powinien zachowywać się tak w obecności damy.

Jennifer podniosła się leniwie.

– Pamiętaj, że możesz dostać dużo więcej, jeśli interes wypali – powiedziała kuszącym tonem. Wyglądała na bardzo zadowoloną

z siebie. – Jeżeli zobaczysz „Icarusa”, zadzwoń do tutejszej centrali StarrCommu i zostaw wiadomość dla Jennifer z „Shick Place”. – Uśmiechnęła się do mnie zalotnie, obrzuciła Terę ironicznym spojrzaniem i odeszła.

Reszta towarzystwa gapiała się na mnie, jakby na coś czekali.

– Co tak siedzicie? – zdenerwowałem się. – Dopijcie, co macie, i zjeżdżamy stąd.

Posłuchali bez słowa. Zostawiłem moją koleżankę nietkniętą i odliczyłem drobne. Kątem oka obserwowałem Jennifer. Wróciła do swojego stolika i zaczęła rozmawiać z koleżanką. Kiedy wstaliśmy, ruszyła w kierunku trzech Guzowatych.

– Chodźmy – przynagliłem i delikatnie dotknąłem pleców Tery. Przeszyła mnie takim wzrokiem, że natychmiast pożałowałem tego przyjacielskiego gestu.

W drzwiach obejrzałem się po raz ostatni. Piraci patrzyli na nas podejrzliwie, jak wszyscy, którzy ciągle muszą uciekać. Nurptric miotał się za barem. Fałda brwiowa jarzyła mu się w nadziei na rychły najazd klientów. Koleżanka Jennifer poprawiała w lusterku makijaż. Liczyła na to samo, co barman.

Jennifer pochylała się nad Guzowatymi. Klepała jednego w kark i mówiła mu coś do ucha, jakby chciała go obudzić. W przyćmionym świetle połyskiwał jej pierścionek. Nasze oczy spotkały się. Nie uśmiechnęła się, ale wiedziałem, że się rozumiemy.

Wracaliśmy w milczeniu. Po tym, co zaszło w tawernie, nikt się do mnie nie odzywał. Ja też nie miałem ochoty na rozmowę.

Ixil akurat płacił za paliwo. Kazałem wszystkim zająć stanowiska i czekałem w tunelu na odjazd cysterny. Osobiście podniosłem schodki i zamknąłem właz. Poszedłem przez pusty pokład do sterowni, zasunąłem drzwi i usiadłem w fotelu pilota.

Dopiero teraz wyciągnąłem z ust miniaturowy pojemnik, który Jennifer przykleiła mi językiem między dziąsłami i policzkiem. Odkręciłem pokrywkę i wyjąłem mikrokopię dokumentu oraz sześć maleńkich pastylek borandisu.

Wuj Arthur nie zawiódł.

Dokument był po kalixirsku. Zirytowało mnie to, ale nie zaskoczyło.

– Nie cierpię tych jego sztuczek – westchnąłem. Wręczyłem Ixilowi czytnik i rozwalilem się na koi. – Ty się z tym pobaw. Nie jestem teraz w nastroju do rozszyfrowywania twojej mowy ojczystej.

– Nie ma sprawy – zgodził się i rozsiadł na podłodze przy drzwiach kabiny. Na szczęście darował sobie wykład, dlaczego Wuj Arthur stosuje takie chwytły. Kalixirski należał do najmniej znanych języków w Spirali, co gwarantowało, że nikt przypadkowy nie odczyta wiadomości. Jednocześnie był zadziwiająco łatwy. W dodatku słowa zawierały mniej liter, niż ich angielskie odpowiedniki, zatem na centymetrze kwadratowym mieściło się więcej tekstu.

Zauważyłem, że informacja jest dość obszerna.

– Zaczniemy od Almonta Nicabara – zapowiedział Ixil. – Jest nawet zdjęcie, chociaż trochę stare... Ale tak, to on. Uprawnienia specjalisty w dziedzinie napędu statków gwiazdnych i nieoficjalne przeszkolenie w zakresie mechaniki. Są tu daty i szczegóły, gdybyś potem chciał na nie zerknąć. Dziesięć lat w Ziemskiej Piechocie Powietrznej, jak mówił. Dosłużył się starszego sierżanta. Ciekawe... Słyszałeś o próbie wykradzenia Patthom napędu Merkury sześć lat temu?

– Nie słyszałem, dopóki nie oświecił mnie Wuj Arthur – odparłem. Zastanawiałem się, dlaczego te sześć lat brzmi znajomo. – A co? Nicabar brał w tym udział?

– Na to wygląda. Służył w oddziale komandosów, który przeniknął do fabryki Patthaaunutthańskich Zakładów Przemysłowych Transportu Gwiazdowego na Oigren.

Odwrociłem głowę i spojrzałem na Ixila.

– Żartujesz! Nasz Almont Nicabar?

– Tak tu jest napisane – zapewnił mnie. – Co więcej, z jego papierów wynika, że odszedł z wojska zaledwie trzy miesiące po tej nieudanej akcji.

Poczułem dziwne sensacje w żołądku. To dlatego te sześć lat coś mi mówiło: Nicabar wspominał, że właśnie tyle lat temu odszedł do cywila.

– Jest jakaś wzmianka, dlaczego operacja się nie powiodła? Ixil popatrzył na mnie podejrzliwie.

– Podobno wykryto przeciek do Patthów. Widzisz jakiś związek?

– Trzy miesiące pasują – odrzekłem ponuro. – Tyle trwa tajny proces przed sądem wojskowym.

– Jesteś pewien?
– Możesz mi wierzyć – zapewniłem. – Nie zapominaj, że sam przez to przeszedłem. Coś jeszcze. Mówiłem ci o trzech Guzowatych w tamtej tawernie. Tylko nie dodałem, jakie wrażenie wywarł ich widok na Nicabarze. Zatkanęło go.

Ixil zastanawiał się przez chwilę.

– Jednak nie został skazany. Inaczej nie pozwoliliby mu odejść spokojnie ze służby.

– Musieli mieć coś do niego, skoro zatrzymali go na rozprawę – zauważyłem.

– Skąd wiesz, czy w ogóle doszło do jakiegoś procesu? – wytknął mi Ixil. – Może przez te trzy miesiące tylko przesłuchiwano członków oddziału.

– A potem sierżant Nicabar nagle rzucił w cholerę obiecującą karierę wojskową? Po dziesięciu latach nienaganej służby? – Wzruszyłem ramionami. – Chyba że coś mu się nie spodobało. Z takiego powodu opuścił ostatni statek. Zrozumiał, że to przykrywką dla Patthów. Co dalej?

– Jest tu kilka szczegółów z jego życia... – Ixil przyjrzał się tekstowi. – Nic ciekawego. Na to też możesz sam rzucić okiem, kiedy już będziesz w nastroju do rozszyfrowywania mojego języka. Głównie urzędowe papierki... Widać Wuj Arthur nie miał czasu, żeby wszystko dogłębnie zbadać.

– Założę się, że najsmaczniejsze kąski wygrzebie później – powiedziałem. Wuj Arthur słynął z umiejętności docierania do najbardziej tajnych akt. – Pytanie, jak je nam przekaże. Kto następny?

– Hayden Everett. Rzeczywiście walczył dwa lata jako zawodowy bokser. Zakończył karierę dwadzieścia dwa lata temu.

– Był dobry?

Ixil wzruszył ramionami.

– Stosunek walk wygranych do przegranych na to nie wskazuje. Ale skoro wytrzymał dwa lata na ringu, musiał być twardzielem.

– Albo typem męczennika. Ciekawe, czy występował u Patthów?

– Nic tu nie ma. Ale może zainteresuje cię jego ostatnia walka, której wynik wzbudził duże kontrowersje. Przegrał wtedy z Donsonem DiHammerem. Znasz to nazwisko?

– Jasne. – Zmarszczyłem brwi. Dwadzieścia lat temu DiHammer zasłynął jako bohater jednego z największych skandali w historii zawodowego boksu. – Wystawiał go pewien współwłaściciel spółki przewozowej Tr’darmish Spiracia, zgadza się?

– Masz dobrą pamięć – pochwalił Ixil. – Interesujące, że firma zbankrutowała w pierwszej kolejności, kiedy pojawił się napęd Merkury.

– Interesujące – przytaknąłem. – Jesteś pewien, że nie z winy złego zarządzania albo przeinwestowania?

– Wcale nie jestem. Dyrektorzy Spiracji lubili ryzykowne posunięcia. I nie zapominaj, że Merkury pojawił się dopiero sześć lat po tej walce, a cztery po wybuchu skandalu z DiHammerem. Jeśli Everettem rzeczywiście opiekowali się Patthowie i potraktowali jego porażkę osobiście, to nic dziwnego, że zrazili się do niego na tak długo.

– Sześćioletnia obraza to żaden rekord – zauważyłem. – Wyjaśnienie tej kwestii to kolejna pozycja na naszej nowej liście żądań do Wuja Arthura. Kogo teraz mamy?

Ixil zerknął w czytnik.

– Chorta. Pełne nazwisko... Darujmy to sobie, jest nie do wymówienia. Zajmuje się spacerami w przestrzeni kosmicznej dopiero od czterech lat, co nie zapewnia mu statusu pełnowartościowego fachowca. Może dlatego Cameronowi udało się wynająć go na Meimie.

– Moim zdaniem jest wystarczająco dobry – odparłem. – Mieszkańcy Crooei to śmietanka wędrowców kosmicznych. Chort nie powinien był utknąć w tamtej dziurze jako bezrobotny tylko dlatego, że brak mu dwudziestoletniego doświadczenia.

– Pytałeś go, dlaczego tak się stało?

– Jeszcze nie. Przypomniałeś mi, że nie znam również losów Tery. Muszę to szybko nadrobić. Mamy o nim coś jeszcze?

– Jeśli chodzi ci o jakiś ślad powiązań z Patthami, to nie. – Ixil nagle zmarszczył czoło. – Hm... Ciekawe. Wiedziałeś, że od dwunastu lat wskaźnik wzrostu gospodarczego Crooei wynosi szesnaście procent rocznie?

– Nie. – Biorąc pod uwagę przeciętną w całej Spirali, wynik robił wrażenie. – A jak było przed pojawieniem się Merkurego? Jest tam coś?

Ixil poszukał danych.

– Tak. Wzrost wahał się od jednego do dwóch procent. W najlepszych latach.

Pokręciłem głową.

– Wuj Arthur spisał się całkiem nieźle. Może jeszcze dołączył wyjaśnienie, skąd ten niespotykany boom ekonomiczny?

– Owszem. Crooea to producent i eksporter bardzo poszukiwanej, ale łatwo psującej się żywności, która nie może być przechowywana przy użyciu normalnych metod. Większa szybkość statków z napędem Merkury rozwiązała ten problem.

Skrzywiłem się.

– Sukces zawdzięczają więc Patthom. Pierwsi ugną się pod ich presją.

– Niestety. Ale wątpię, by Patthowie wiedzieli, że na pokładzie „Icarusa” podróżuje Craea.

– Chyba że dopadli Camerona i zmusili go do mówienia. Pewnie on jeden zna całą listę załogi.

Ixil znów zmarszczył czoło.

– Zdawało mi się, że według twojej aktualnej teorii Cameron spoczywa w płytkim grobie gdzieś na Meimie.

– Nie mam żadnych aktualnych teorii – odrzekłem kwaśno. – Wszystkie są nieaktualne i bezużyteczne, bo nie trzymają się kupy.

Ixil nie powiedział: „już dobrze, dobrze...”, ale mówiła to jego mina. Wrócił do dokumentu.

– Następny na liście jest Geoff Shawn. Jak na dwudziestotrzylatka ma imponujący dorobek: bogatą kolekcję nagród i odznaczeń akademickich oraz równie okazałe konto konfliktów z prawem.

– Jakież poważne sprawy?

– Niezbyt. Wykroczenia drogowe, wandalizm, drobna kradzież sprzętu elektronicznego z uniwersytetu... Takie rzeczy.

Chrząknąłem.

– Typowy uczelniany geniusz i rozrabiaka. Wybitnie zdolny i dlatego pewny siebie. Uważa, że nie dotyczą go żadne przepisy. Jest jakaś wzmianka o jego wypadzie na Ephīs?

– Ani słowa. Ale mówił, że nikt o tym nie wie, tak?

– Podobno – odrzekłem z powątpiewaniem. – Choć nie chce mi się wierzyć, żeby jemu i jego kumplom udało się zrobić to w tajemnicy.

Ixil zamyślił się.

– W takim razie... – powiedział wolno – ...z pewnością kwestionowano jego twierdzenie, że uzależnienie od borandisu ma podłoże medyczne.

– Oczywiście – zgodziłem się. – Rzecz jasna, Everett potwierdził tę diagnozę. Pamiętajmy jednak, że nie rozpoznał ani symptomów uzależnienia, ani choroby Cole'a, dopóki Shawn nie dostał ataku. Mamy coś o kwalifikacjach medycznych Everetta?

Ixil poprawił dokument w czytniku.

– Wygląda na to, że ukończył tylko podstawowy kurs dla lekarzy pokładowych i otrzymał certyfikat.

– Kiedy?

– Dwa lata temu.

– Zatem jego karierę bokserską i medyczną dzieli dwadzieścia lat. Ciekawe, czym zajmował się w międzyczasie?

Ixil spojrzął na tekst.

– Zobaczmy... Różnymi rzeczami. Pięć lat był instruktorem boksu, dwa lata sędzią ringowym, a sześć lat ochroniarzem w kasynie. Potem zmieniał pracę co rok. Najpierw został barmanem na liniowcu, później pomocnikiem mechanika, wreszcie pilotem wycieczek na walki bokserskie. W końcu poszedł na kurs medyczny.

– Jeśli dobrze liczę, brakuje nam dwóch lat z jego życiorysu.

– Tyle zajęły mu różne szkolenia w związku ze zmianami zawodu. Każde trwało od miesiąca do ośmiu.

– Ciekaw jestem, kim chce być, kiedy dorośnie – mruknąłem. Chociaż, szczerze mówiąc, kariera zawodowa Everetta nie wyglądała od wiele gorzej od mojej. – No dobra, wracajmy do Shawna. Wiemy, czy stykał się z innymi prochami oprócz borandisu?

– Nie. Ale też nic tego nie wyklucza. Jeszcze jedna pozycja na naszej liście żądań?

– Właśnie – przytaknąłem. – Została nam Tera.

– Tera... – powtórzył jak echo Ixil, patrząc w czytnik. – Zaczniemy od złej wiadomości: nie ustalono, by kiedykolwiek należała do jakiegś znanej sekty. Poza tym...

Ixil nagle podniósł głowę. Rysy mu stężały.

– Czy uważasz, że Wuj Arthur ma skłonności do dramatyzowania?

– A czy mech jest śliski? – skontrolowałem. Włosy zjeżyły mi się na karku. Przerzuciłem nogi nad krawędzią koi i usiadłem. – Co tam znalazłeś?

Ixil bez słowa wręczył mi czytnik. Spojrzałem na niewyraźne zdjęcie: Tera czy nie Tera? W przeczuciu nadciągającego nieśczęścia przebiegłem wzrokiem kalixirski tekst.

Poczułem się tak, jakbym dostał mokrą ścięgą w twarz. Przeczytałem wszystko po raz drugi w nadziei, że coś źle zrozumiałem. Niestety, o pomyłce nie mogło być mowy.

– Gdzie ona teraz jest? – zapytałem.

– Pewnie u siebie. Skończyła dyżur i nie zauważyłem, żeby tęskniła za towarzystwem.

– Poszukamy jej – zarządziłem i sprawdziłem, czy pistolet łatwo wysuwa się z kabury.

Wstałem i ruszyłem do drzwi. Ixil był szybszy. Poderwał się z podłogi i zastąpił mi drogę.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

– Nie. Ale muszę poznać prawdę i to zaraz. Nie widzę lepszego sposobu, niż bezpośrednia konfrontacja.

– Zapyta, skąd mamy informacje – ostrzegł. – A to może być dla nas niewygodne.

– Nie będzie – zaprzeczyłem. – Już wie, że pracujemy dla Antoniewicza. Wie również, że on macza palce we wszystkim. Zwalimy to na niego, żaden problem.

Ixil nie wyglądał na przekonanego, ale ustąpił. Wcisnąłem włącznik drzwi, wyjrzałem ostrożnie na korytarz i skierowałem się do tylnej drabinki. Ixil zabrał z podłogi fretki i poszedł za mną.

Na górnym pokładzie nie spotkaliśmy żywej duszy. W „Icarusie” nadal panowała niekoleżeńska atmosfera. Nie małyły jej żadne próby nawiązania stosunków towarzyskich. Kabina Tery była zamknięta. Wcisnąłem włącznik. Drzwi odsunęły się i dałem nura do środka.

Podczas poprzedniej, potajemnej wizyty upewniłem się, że Tera zajmuje najniższą z trzech koi. Teraz przez tę pewność o mało nie straciłem życia. Kiedy podkradłem się do posłania, w nikłym świetle z korytarza zobaczyłem, że jest puste. Zerknąłem w górę i dostrzegłem jakiś ruch. Widocznie przeniosła się celowo.

Gwałtownie zmieniłem kierunek i omal nie skręciłem sobie karku. Sięgnąłem do jej ust, żeby nie krzyknęła, ale w tym mo-

mencie ujrzałem błysk metalu. Uchyliłem się i złapałem ją za rękę. Zdążyłem w ostatniej chwili. Wykręciłem jej nadgarstek i rozbroiłem. Wolną dłonią znów spróbowałem zakryć jej usta, ale Ixil mnie ubiegł. Delikatnie unieruchomił głowę Tery i skutecznie ją uciszył.

– Bez obaw – uspokoiłem ją szybko. – Chcemy tylko pogadać.

Zignorowała mnie. Usiłowała wyrwać się Ixilowi, ale przy jego sile nie miała szans. Po ruchach jej głowy poznałem, że próbuje go również ugryźć. Strata czasu. Drzwi zasunęły się i w kabinie zapadła ciemność. Podszedłem do ściany i zapaliłem światło.

– Naprawdę chcemy tylko pogadać – zapewniłem. – I wolelibyśmy, żeby na razie nikt nie wiedział, o czym.

Tera coś warknęła. Dłoń Ixila stłumiła jej słowa, ale zapewne zakłęła. Przeszywała mnie takim wzrokiem, że gdyby spojrzenia mogły zabijać, już bym nie żył.

– Cieszę się, że jesteś uzbrojona – dodałem i obejrzałem jej broń. Był to krótkolufowy pistolet na ładunki śrutowe do strzelby. Całkiem sprytna zabawka, przydatna zwłaszcza w statku kosmicznym. Z małej odległości mogła podziurawić napastnika bez ryzyka przebicia kadłuba. Dziwne, że nie znalazłem jej podczas przeszukiwania kabiny. Widocznie Tera nosiła broń przy sobie. – Rzecz jasna, strzał zaalarmowałby całą załogę. Na szczęście nie zdążyłaś nacisnąć spustu. Obiecasz, że będziesz cicho i wysłuchasz nas, jeśli Ixil odsłoni ci usta?

Zerknęła na swoją broń i skinęła głową.

– W porządku – powiedziałem i dałem Ixilowi znak.

Puścił ją powoli i nieufnie. Był gotów natychmiast znów zadziałać, gdyby nie dotzymała słowa.

– Czego chcecie? – parsknęła. Na jej twarzy malowało się napięcie, ale nie zauważyłem strachu. Jeśli wcześniej wpadła w panikę, to już doszła do siebie.

– Tak, jak mówiłem: pogadać. Co wiesz o tym statku, Tero? – Uniosłem brwi. – A może wolisz imię Elaina?

Kąciki jej ust zadrgały. Ledwo widocznie, ale wiedziałem, że trafiłem w dziesiątkę. Wuj Arthur odwalił kawał dobrej roboty.

– Elaina? – zapytała ostrożnie.

– Tak, Elaino Tero Cameron, córko człowieka, który zwerbował nas wszystkich na pokład tego statku.

Przez dwanaście uderzeń serca myślałem, że zamierza odstawić jakąś komedię. Leżała na koi podparta na łokciu i przyglądała mi się. Przez jej twarz przemknęło mnóstwo uczuć, w końcu zacisnęła pięść i poddała się.

– Co mnie zdradziło? – zapytała spokojnie.

– Nic, co powiedziałaś czy zrobiłaś – zapewniłem. – Chociaż teraz dostrzegam drobiazgi, które powinny były mi podpowiedzieć, kim jesteś. Na przykład, to niby przypadkowe wejście do sterowni akurat wtedy, kiedy liczyłem pieniądze od twojego ojca. Chciałaś sprawdzić, czy nie schowam ich do kieszeni i nie zniknę. Nie, po prostu dostaliśmy pewne dodatkowe informacje. Między innymi interesującą wiadomość, że od jakiegoś czasu nikt nie widział najmłodszej córki Camerona. Nasz informator był na tyle uprzejmy, że nawet dołączył kiepskie zdjęcie.

– Rozumiem... A skąd dostaliście te informacje?

– Znasz nasze powiązania – odrzekłem znacząco. – To chyba wystarczy.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Powiedzmy. Co dalej?

– Wyjaśnisz nam, co tu się, do cholery, dzieje. A zaczniesz od tego, gdzie jest twój ojciec.

– Został na Meimie, to chyba oczywiste. Przecież wystartowaliśmy bez niego.

Pokręciłem głową.

– Wybacz, ale nie kupuję tej bajeczki. Cała planeta poszukuje go za morderstwo, a nie ma tam zbyt wielu miejsc, gdzie człowiek mógłby się ukryć.

– Co oznacza, Jordanie... – wtrącił się Ixil – ...że przed waszym odlotem zdążył się zadekować na pokładzie. Założę się, że to jego ścigałeś w przestrzeni międzykadłubowej.

Tera skrzywiła się. Ja też. Poczułem się jak kompletny idiota. Przez całą drogę z dolnego pokładu wiedziałem, że to córka Camerona, a to nie przyszło mi do głowy.

– Zatem to on podłączył się do mojego interkomu i uszkodził palnik, żeby zabić Ixila.

Poczerwieniała.

– Tata nikomu nie chciał zrobić krzywdy – parsknęła i przeniosła wściekle spojrzenie na Ixila. – Myślał, że taki fachowiec jak ty nie włączy palnika bez sprawdzenia.

– Sprawdziłem go – odrzekł spokojnie Ixil. – Ale w tych okolicznościach powinienem był to zrobić jeszcze raz.

– Przepraszam w jego imieniu – burknęła. Jej mina wyrażała jednocześnie złość i skruchę. – Możecie mi wierzyć, że czułem się potem fatalnie.

Ixil skinął głową.

– Przyjmuję jego przeprosiny.

– Powiedz mu to osobiście – podsunąłem. – Musimy natychmiast porozmawiać z twoim ojcem, Elaino.

– Tero – poprawiła mnie. – A taty już tu nie ma. Opuścił statek na Potosi.

Zerknąłem na Ixila. Największy port kosmiczny Patthów w całym regionie i Cameron musiał zejść z pokładu akurat tam?

– Dlaczego? – spytałem.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Nie uprzedził mnie. Kiedy wróciliśmy z poszukiwań Shawna, jego rzeczy zniknęły.

Ixil wydał głęboki, gardłowy pomruk.

– Wybacz, Tero, ale to bez sensu.

– Jak chcesz, to sam przeszukaj statek – zjeżyła się. – Mówię wam, że już go nie ma.

– Zacznijmy od początku – zaproponowałem. Chciałem to wszystko uporządkować. – Opowiedz, jak znalazłaś się na Meimie i dlaczego na pokładzie „Icarusa” nie zdradziłaś swojej tożsamości.

Tera popatrzyła na nas podejrzliwie.

– Dlaczego mam wam cokolwiek mówić? – zapytała zaczepnie. – Sami przyznaliście, że pracujecie dla szefa mafii. Dlaczego mam wam zaufać?

– Bo komuś musisz ufać – odrzekłem z całym spokojem i powagą, na jakie było mnie stać. – A wśród załogi tego statku nie znajdziesz nikogo bardziej godnego zaufania niż my. Wiesz, że polują na nas Patthowie?

Przełknęła z trudem.

– Tak. Wszystko na to wskazywało jeszcze przed odlotem z Meimy. Tata podsłuchał również waszą rozmowę w twojej kabinie.

Skinałem głową.

– W porządku. Teraz przypomnij sobie Potosi. Ktoś z załogi nastąpił na nas najickich celników.

– Skąd wiesz, że to jedno z nas?

– Bo nikt poza naszą siódemką nie wiedział, że podróżujemy pod fałszywą nazwą „Śpiąca Królowna”. Gdyby nie ja, „Icarus” wpadłby wtedy w ręce Patthów. To cię powinno przekonać, że jestem po twojej stronie.

– To znaczy?

– Chcę doprowadzić na Ziemię nietknięty statek wraz z ładunkiem. Mogłem cię zdradzić już na Dorscind’s World. Nie zrobiłem tego mimo ryzyka, że mnie zastrzelą.

Wskazałem gestem Ixila.

– A co do niego, to ktoś próbuje zmusić go do zejścia z pokładu. Uważam, że wszystko robi ta sama osoba. Kiedy na Potosi poszłicie szukać Shawna, ten ktoś podłożył w kabinie Ixila składniki trującego gazu, a potem rozwalił włącznik drzwi, żeby nikt się tam nie dostał.

Tera utkwiała we mnie wzrok.

– Nie wierzę ci.

Wzruszyłem ramionami.

– Zapytaj Everetta. Był wtedy ze mną.

– Ktoś działa w ukryciu – wtrącił się Ixil. – Jak ty i twój ojciec. Bez względu na to, jakie macie ku temu powody.

– I jest tylko jeden sposób... – dodałem – żeby dowiedzieć się, kim jest ta osoba. Musisz nam powiedzieć, które z tych brzydkich kawałów są dziełem spółki Cameron i córka, a które nie. – Uznałem, że bez wątpienia ja i Ixil potrafimy wyciągać właściwe wnioski, jeśli tylko chcemy. – Zatem wróćmy do początku. Jak znalazłaś się na pokładzie „Icarusa”?

Jeżeli nawet nasza argumentacja wywarła na Terze wrażenie, to nie dała tego po sobie poznać. Ale chyba, przynajmniej częściowo, dała się przekonać.

– Tata finansował wykopaliska archeologiczne na Meimie – zaczęła. Odrzuciła koc i przełożyła nogi nad krawędzią koi. Była kompletnie ubrana. Tak zazwyczaj robią ludzie przygotowani na kłopoty. A nie musieliśmy jej mówić, że na pokładzie statku są kłopoty. – Mniej więcej trzy miesiące temu nadeszła wiadomość

od jego ludzi, że znaleźli coś dużego. Coś, co może zmienić bieg historii.

– Archeolodzy lubią czasem wyolbrzymiać swoje sukcesy – mruknąłem. – Zwłaszcza, gdy ktoś ich finansuje.

Tera zeskoczyła na podłogę i usiadła na środkowej koi.

– Tym razem chyba nawet nie docenili tego, co odkryli. Tata zdecydował, że trzeba to jak najszybciej i w jak największej tajemnicy przetransportować na Ziemię. Przygotowania zajęły mu miesiąc. Potem wysłał na Meimę ekipą montażową z „Icarusem” w częściach. Technicy złożyli go pod ziemią, bo tylko tam mogli to zrobić w sekrecie. Tydzień temu tata i ja też poleciliśmy na Meimę, żeby dopilnować ostatniego etapu pracy. On skorzystał ze swojego prywatnego statku „Mensana”. Ja wsiadłam pod fałszywym nazwiskiem na pokład liniowca handlowego.

– Dlaczego nie polecieście razem statkiem ojca? – spytał Ixil.

Tera uśmiechnęła się lekko.

– Byłam jego asem w rękawie; przynajmniej tak twierdził. Nikt o mnie nie wiedział. Dla bezpieczeństwa. Nie można sprzedać informacji, której się nie ma. Obserwowałam Ihmisitów i czuwałam, żeby nas nie zaskoczyli. Miałam zaalarmować ojca, gdyby zaczęli się nami interesować.

– Pojawienie się statku znikąd w samym środku pustkowiec musiało do tego doprowadzić – zauważyłem.

Tera przeszyła mnie wzrokiem.

– Miej do nas trochę zaufania. Nie tak to zaplanowaliśmy. Inna ekipa budowała na Rachnie kopię „Icarusa”. Wpadliśmy na pomysł, że ten drugi statek wylądaje oficjalnie na Meimie i mogą go skontrolować. Potem poleci na wykopaliska, dokonamy zamiany i odlecimy oryginałem. Zanim ktoś znalazłby kopię ukrytą w grocie, byłibyśmy na Ziemi.

– A co poszło nie tak? – zapytał Ixil.

Tera skrzywiła się.

– Jakimś cudem na wykopaliska zakradli się dwaj obcy. Należeli do rasy tamtych, których w tawernie na Morsh Pon budziła ta szmata Jennifer. Zanim ktokolwiek zdołał ich zatrzymać, zabili doktora Chou. Podobno wyglądało to przerażająco. Nie byłam przy tym, ale tata mówił, że po strzałach z ich broni spłonął żywceem.

– Widziałem, co potrafi taka broń – powiedziałem. Na samo wspomnienie zrobiło mi się niedobrze. – To istotnie niezbyt przyjemny widok.

Zmarszczyła brwi.

– Zgadza się. Jennifer mówiła, że usmażyłeś dwóch takich typów.

– Zapewniam cię, że tylko w obronie własnej. – Zastanawiałem się, jak zareagowałaby Tera, gdybym zdradził jej prawdę o Jennifer. W rzeczywistości wcale nie budziła Guzowatych. Kiedy klepała ich po plecach, aplikowała im środek nasenny z ostrego dozownika ukrytego w pierścionku. Dała nam czas na zniknięcie z Morsh Pon. – Mam nadzieję, że rozprawiliście się z nimi?

Wzdrygnęła się.

– Tak, nasi ich zabili – wyznała cicho. – Też w samoobronie.

– Ale wiedzieliście, że mają przyjaciół? – podpowiedział Ixil.

– Tak. – Tera wyraźnie starała się otrząsnąć z rozmyślań o śmierci. – „Icarus” musiał natychmiast zniknąć. Nasi ludzie przygotowali specjalną mieszankę, żeby wybuch zakłócił działanie sensorów w porcie kosmicznym. Wyszadzili w powietrze sklepienie grotu i statek wystartował. Tata i pilot „Mensany” wymknęli się z planety.

– Po co więc wrócili? – spytałem. – Dlaczego od razu nie zabrali wszystkich na pokład i nie wynieśli się na dobre?

Westchnęła.

– Bo nie wszyscy mogli od razu odlecieć. Kilka najważniejszych osób było wtedy poza terenem wykopalisk. Nie chcieliśmy ich zostawiać. Poza tym spodziewaliśmy się wizyty Ihmisitów i śledztwa. Uważaliśmy, że obecność całej grupy na miejscu wybuchu odwróci od nas podejrzenia. – Pokręciła głową. – Nie przewidzieliśmy tak gwałtownej reakcji władz.

– Paththowie maczali w tym palce – wyjaśniłem ponuro. – Tylko skąd mieliście wiedzieć. Guzowaci to mięśniaki wynajęte do brudnej roboty.

– Domyślam się – odrzekła. – W każdym razie Ihmisici wpadli na teren wykopalisk jak stado szakali. Znaleźli zwłoki doktora Chou i ciała dwóch obcych, i zaarrestowali wszystkich w zasięgu wzroku. Jeden z techników zdołał uciec w ostatniej chwili i dotarł do miasta. Ostrzegł tatę, ale po godzinie został złapany. Pilot taty też.

– Czy Ihmisici wiedzieli, że twój ojciec jest na Meimie? – zapytał Ixil.

– Początkowo nie. Z pewnością to go uratowało. Zanim przesłuchali pilota i znaleźli jego statek, zdążył skompletować załogę. Na szczęście nasza grupa używała do analiz tego komputera, który teraz mamy na pokładzie; to jeden z niewielu, jakie potrafię obsługiwać. Dlatego tata zdecydował, że będę udawała wynajętą specjalistkę komputerową.

– Pomagałaś mu werbować członków załogi? – spytałem.
Zaprzeczyła.

– Chciał, żebym trzymała się od tego z daleka. Wciąż uważał mnie za swojego asa w rękawie. Wolał, żeby nawet nie widziano nas w tej samej tawernie.

– Szkoda – zmartwił się Ixil. – Moglibyśmy porównać z niezależnym źródłem ich życiorysy przedstawione przy rekrutacji.

Tera rozłożyła ręce.

– W tej sprawie się wam nie przydam. W każdym razie, kiedy już wszystko załatwił, poszedł gdzieś przenocować, a rano dostał się na pokład.

– Jak? – zdziwiłem się. – Sprawdziłem włącznik czasowy przy schodkach; właz nie był otwierany.

– Na szczycie przedziału silnikowego jest drugi. Tuż przy mniejszej kuli. Wspiął się po drabince opuszczanej z prawej burty, a potem wciągnął ją do środka. Płatamina kabli i rur zasłania klapę i drabinkę.

Zatem dwa rzędy wpustów, które odkryłem na powierzchni kadłuba, służyły do mocowania drabinki.

– A ponieważ plakietki naprowadzające kierowały nas na lewą stronę statku, nie obawiał się, że ktoś go zobaczy, tak? Nawet gdyby któryś członek załogi przyszedł za wcześniej, a on nie zdążyłby się schować?

– Tak. Tylko ty stanowiłeś dla mnie znak zapytania. Za-uważałam cię przy południowej bramie. Wyglądałeś, jakbyś chciał jak najszybciej wejść do portu. Tata wchodził zachodnią bramą, czyli trochę dłuższą drogą. Bałam się, że dotrzesz do celu pierwszy.

– Dlatego złożyłaś na mnie anonimowy donos – dokończyłem kwaśno. – Zrobiłaś ze mnie współnika twojego ojca, żeby

mieć pewność, że potraktują to serio i doprowadzą mnie na przesłuchanie.

– Zgadza się – przyznała. – Po kilku minutach wszystko odwołałam, żeby cię zwolnili.

– Genialne posunięcie – pochwaliłem. – Naprawdę genialne. Nie przyszło ci do głowy, że jeśli wskażesz mnie jako człowieka powiązanego z Cameronem, będą mieli dwa zdjęcia do puszczenia w obieg, zamiast jednego? I że ja nie będę miał o niczym pojęcia?

Spuściła wzrok.

– Przepraszam. Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że nie wiedziałam o tak wielkim zaangażowaniu Patthów w tę sprawę. Gdybym...

Podniosła na mnie oczy i znów zrobiła podejrzliwą minę.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, jak bym postąpiła. Nie byłam pewna, czy można ci ufać. I nadal nie jestem.

Zastanowiłem się, czy jeszcze raz nie użyć naszego logicznego argumentu. Ale zrezygnowałem. Skoro wcześniej nie odniósł skutku, nie warto próbować. Zamiast tego powiedziałem:

– Chyba będziemy musieli nad tym popracować. – Oddałem jej broń. – Wygląda na to, że Patthowie też prowadzą własną, potajemną grę. Na przykład dyrektorka portu Aymi-Mastr nie wiedziała, o co naprawdę chodzi. Inaczej nie pozwoliłaby mi odejść.

– A statkowi wystartować – dodał Ixil.

– Właśnie – przytaknąłem. – To tyle, jeśli chodzi o tło całej sprawy. Przejdźmy do listy podejrzanych wypadków. Domyślam się, że to ty włączyłaś generator grawitacji podczas pierwszej naprawy kadłuba. Przez ciebie Chort uderzył w bok statku. Kazałem mu sprawdzić płyty poszycia na przedziale silnikowym i bałaś się, że odkryje dodatkowy właz.

– Tak – przyznała z miną winowajczyni. – Jest zakamuflowany, ale z bliska łatwo go dostrzec.

– A śmierć Jonesa?

– Nie – zaprzeczyła z przejęciem. – Ani tata, ani ja nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

– Zatem zapisujemy to na konto naszego tajemniczego pana X. Podobnie jak anonimowy cynk do najickich celników, że przemycamy drogie kamienie, prawda?

– To też nie moja sprawka – zapewniła Tera. – Myślisz, że chciałabym ściągnąć na nas uwagę władz w porcie kosmicznym Patthów?

– Po prostu się upewniam – zastrzegłem. – Już ustaliliśmy, że palnikiem i interkomem bawił się twój ojciec. Bezpiecznikami zapewne też?

– To ja – westchnęła. – Wyszedł z przestrzeni międzykadłubowej i właśnie mnie uprzedzał, że chyba został wykryty, gdy nagle wysiadł interkom. Byłam u siebie na górze, więc potajemnie sprawdziłam puszkę z bezpiecznikami. Nie udało mi się wcisnąć tego właściwego i domyśliłam się, co zaplanowałaś. Nie zdążyłabym usunąć zwarcia, dlatego wyjęłam i schowałam wszystkie bezpieczniki.

– Sprytne – przyznałem. – Irytujące, ale sprytne. Domyślam się, że wyłączyłem twój interkom w kabinie komputerowej?

Potwierdziła.

– Prowizoryczna kłapa wejściowa w ścianie nie była idealnie kwadratowa i czasami musiałam wbijać ją na miejsce. To ten dźwięk usłyszałeś, zanim do mnie wtargnąłeś.

– Usłyszałem go również w ambulatorium, gdy rozmawiałem z Shawnem. On też to wcześniej słyszał; nawet kilka razy. A przy okazji, możemy przypisać panu X jeszcze jedno: poluzowanie pasów Shawna, co umożliwiło chłopakowi ucieczkę.

Tera zmarszczyła czoło.

– Myślisz, że ktoś zrobił to celowo?

– Oczywiście. Nasz pan X nie mógł kręcić się obok kabiny Ixila ze skrzynką narzędzi i zestawem „Mały truciciel”, dopóki wszyscy byliście na pokładzie. Nie chciał ryzykować, że zostanie przyłapany. Zabroniłem wam wychodzić, musiał więc wymyślić naprawdę ważny powód do opuszczenia statku przez załogę.

Ixil delikatnie odchrząknął.

– Obawiam się, że oboje nie dostrzegacie czegoś ważniejszego. Zauważcie, że kiedy wszyscy wyszli, Arno Cameron zniknął. Może niekoniecznie z własnej woli.

Tera zbladła.

– Jak to? – wyszeptwała. – Przecież nikt nie wiedział, że tu jest.

– Ktoś wydedukował to w taki sam sposób, jak ja – odrzekłem ponuro. Porwanie Camerona nie wróżyło nam niczego dobrego. –

Albo usłyszał jeden z tych dźwięków i odkrył, że rozmawiacie ze sobą.

– Może to był prawdziwy powód wizyty celników? – podsunął Ixil. – Chcieli opóźnić moment, w którym zorientujemy się, że go nie ma. Wiedzieli, że po donosie szybko wyniesiemy się z Potosi, i zanim ktoś się połapie, będziemy daleko.

– Ale po co porywacze zabrali jego rzeczy? – naciskała Tera. Z pewnością nie mogła się pogodzić z takim scenariuszem. – Miał pełne wyposażenie turystyczne: paczkowane jedzenie, pojemniki z wodą, składane materace, nawet małe urządzenie do likwidacji odpadków.

– Skąd to wszystko wziął? – zapytałem.

– Większość kupiłam na Xathru. Zamierzał wyjść po pierwszym postoju, ale po śmierci Jonesa uznaliśmy, że powinien czekać.

– Aha... – Przypomniałem sobie pakunki, z którymi wróciła wtedy na pokład i jej niezadowolenie, że przeze mnie nie dokończyła zakupów.

– Po co to zabrali? – powtórzyła.

– Może chcieli zatrzeć wszelkie ślady jego obecności tutaj? – zasugerował Ixil. – Pewnie wiedzieli od swojego informatora, że twój ojciec siedzi w ukryciu. Potem byłoby na to tylko twoje słowo.

– O ile doszłoby do konfrontacji – dodałem. – Może wobec ciebie też mieli jakieś plany. I nie wiadomo, czy z nich zrezygnowali.

Próbowała zabić mnie wzrokiem, ale jej nie wyszło.

– To prawdziwa pociecha mieć cię pod ręką, McKell – warknęła. – Was obu zresztą.

– No cóż... Szczerze mówiąc, my też nie dostaliśmy dokładnie tego, co było w umowie – odparowałem. – Interesuje mnie, jakim cudem ten statek w ogóle jeszcze leci. Mieli nas w zasięgu ręki co najmniej dwa razy. Dlaczego nas nie zatrzymali?

Westchnęła.

– Nie wiem.

– Może łatwiej byłoby nam zrozumieć... – zaczął wolno Ixil – ...gdybyśmy znali tajemniczą zawartość ładowni?

Tera milczała przez dłuższą chwilę. Popatrzyła na nas, jakby nie mogła się zdecydować, czy może nam zaufać. Albo wymyślała jakieś przekonujące kłamstwo.

– W porządku – powiedziała w końcu. – Na pokładzie nie ma żadnego ładunku. To sam „Icarus” jest ładunkiem.

Zatoczyła ręką łuk.

– Właśnie to odkryli archeolodzy na Meimie: dwie kule połączone ze sobą. W większej znaleźli tylko generator grawitacji promieniowej, w mniejszej pełno obcej elektroniki.

– Na ile obcej? – spytał Ixil.

– Zupełnie obcej – odparła ponuro. – Czegoś takiego jeszcze nie widzieli. Podobnie jak kompletnie nieznanymi symboli i oznaczeń. Nie wiemy, czy pochodzą z okresu poprzedzającego powstanie cywilizacji w Spirali, czy tylko z zewnętrznego, znanego terytorium. Dlatego na pokładzie jest ten stary Worthram T-66; archeolodzy używali go do badania małej kuli. Kiedy składali „Icarusa”, po prostu zbudowali wokół kabiny komputerową.

– Teraz wiem, skąd to dodatkowe przyciąganie w przestrzeni międzykadłubowej – powiedziałem. – Zamierzałem cię zapytać, jak i po co stworzyliście coś takiego.

– To nie my – odparła Tera. – Nie mamy pojęcia, do czego służy. Wiemy tylko, że działa z siłą około osiemdziesięciu pięciu procent przyciągania ziemskiego. Powstaje samodzielnie i dlatego nie zakłóca go generator grawitacyjny „Icarusa”.

Uśmiechnęła się słabo.

– Tak samo działało na Meimie. Nawet tam, w środku pełnego pola grawitacyjnego planety, można było chodzić dookoła wnętrza kuli i nie spaść.

– To musiało być ciekawe przeżycie – mruknąłem.

– Połowa naszych ludzi to uwielbiała, druga połowa nie znośiła. Dlatego zbudowali wewnętrzny kadłub tak daleko od zewnętrznego. Metal hamował działanie pola grawitacyjnego kuli, ale kiedy przysuwali kadłuby bliżej siebie, na przecięciu się dwóch pól doznawało się całkowitej dezorientacji.

– Dlatego Patthowie tak się pałą, żeby mieć „Icarusa”? – zapytałem. – Chcą zdobyć generator grawitacyjny nowego typu? Nie wydaje mi się to warte zabijania.

Pokręciła głową.

– Wątpię, czy w ogóle wiedzą o jego istnieniu. – Jej ton przypisał mi nagle o zimny dreszcz. – Jak mówiłam, nasi ludzie nie potrafili rozszyfrować symboli w dwóch kulach. Ale nie tylko

generator ciągle działał. Mnóstwo urządzeń elektronicznych w małej kuli czekało w gotowości do pracy. Technicy zanotowali różne odczyty: analizy falowe, operacje wzorcowe... takie rzeczy.

Wzięła głęboki oddech.

– Nie są pewni – powiedziała cicho. – Wielu rzeczy jeszcze nie rozumieją. Właściwie większości. Ale na podstawie kilku rozszyfrowanych wzorów i poziomów mocy, a nawet kształtów geometrycznych niektórych komponentów sądzą, że to... napęd gwiazdny.

Spojrzałem na Ixila.

– Jakiego rodzaju? – spytałem ostrożnie.

– Szybki – odparła. – Bardzo szybki. Z odczytów wynika, że może nawet dwadzieścia razy szybszy od Merkurego Patthów.

– A to już jest warte zabijania – powiedział wolno Ixil.

1 3

Daliśmy Terze trochę czasu na odpoczynek, choć wątpiliśmy, czy potrafi zasnąć po tak uroczej konwersacji. Przenieśliśmy naszą prywatną naradę wojenną do sterowni. Shawn nie zgłaszał sprzeciwów, kiedy zwolniliśmy go z dyżuru. Poszedł do siebie, powłócząc nieco nogami; jeszcze nie wrócił do zdrowia po ostatnim nawrocie choroby Cole'a. Albo po borandisie.

Chociaż sterownia zapewniała pożądaną poufność, nic nie wymyślił. Nie znaleźliśmy odpowiedzi na palące pytania.

Przyglądałem się, jak fretki złażą po nogach Ixila i zajmują swoje stanowiska na korytarzu i przy przegrodzie.

– Może trudno w to uwierzyć... – zacząłem – ...ale teraz mam większy zamęt w głowie, niż przed rozmową z Terą.

– Nie rozumiem dlaczego – zdziwił się Ixil. – Zamiast tajemniczego sabotażysty-zabójcy mamy teraz w „Icarusie” tylko tajemniczego zabójcę.

– A tak, to duża różnica – przyznałem sarkastycznie.

– I wyeliminowaliśmy Terę z grona podejrzanych – ciągnął, ignorując mój sarkazm. – Zostaje nam jedynie Chort, Nicabar, Shawn i Everett. A to już coś.

– O ile mówiła prawdę – ostrzegłem go. – Nie zapominaj, że zdjęcie przysłane przez Wujka Arthura niczego ostatecznie nie rozstrzyga. Tera może być po prostu bardzo przekonującą kłamczuszką z dużym darem improwizacji.

– Czyżby? – W uprzejmym tonie Ixila zabrzmiało tyle sarkazmu, na ile może zdobyć się Kalix. – Pole grawitacyjne w dużej kuli to kłamstwo wymyślone na poczekaniu?

– W porządku – odburknąłem. – Poddaję się. Tera jest czysta jak świeży śnieg. Tylko pamiętaj, że jeśli nawet jest tą, za którą się podaje, może mieć trochę inne cele niż my.

– Racja – przyznał. – A skąd u ciebie ten zamęt w głowie?

– Stał, że nie wiem, co myśleć o zniknięciu Camerona. Z całym szacunkiem, ale twoja teoria o jego uprowadzeniu nie trafia mi do przekonania. Skoro porywacze dostali się tutaj, to dlaczego nie zabrali „Icarusa”?

– Może jeszcze nie znali jego wartości. Może nadal uważają, że tylko ładunek jest cenny. A podczas porwania nie zdążyli dostać się do ładowni.

– Dlaczego więc pozwolili nam opuścić planetę? – skontrowałem. – Tak czy inaczej, muszą mieć choćby mgliste pojęcie, na co polują. Nikt nie proponuje stu tysięcy nagrody w ciemno.

– Niekoniecznie muszą coś wiedzieć – nie zgodził się Ixil. – Może wystarczy im fakt, że Cameron usiłuje za wszelką cenę doprowadzić „Icarusa” na Ziemię. A to wzbudza zrozumiałe podejrzenia, że warto przyjrzeć się bliżej statkowi. Cynk o przemyśle drogiego kamieni był dobrym pretekstem do przeszukania ładowni.

Analizowałem to już kilka razy i doszedłem do wniosku, że nie.

– Jeśli tak, to mają cholerne problemy z koordynacją działań – zauważyłem. – Najikowie puścili nas bez mrugnienia okiem.

– Tak samo jak pani dyrektor Aymi-Mastr na Meimie – przyznał Ixil. – Sądzę, że Patthowie nie mogą się zdecydować, na ile ujawnić swoje zaangażowanie w tę sprawę.

– Na wysokim szczeblu ujawnili to już wystarczająco – przypomniałem ponuro. – Połowie rządów w regionie zagrozili sankcjami za odmowę współpracy przy poszukiwaniach i zatrzymaniu nas.

– Zgoda, ale to nie to samo, co bezpośrednia współpraca z lokalnymi władzami i agentami celnymi – wytknął mi Ixil. – Urzędnicy państwowi wysokiej rangi są bardziej godni zaufania; ryzyko

przecieku jest mniejsze. Zwłaszcza jeśli tajna informacja może wywołać wśród ludności panikę na tle ekonomicznym.

Łypnąłem spode łba na wskaźniki.

– Na czym więc stoimy?

Wzruszył ramionami.

– Na pewno wiemy więcej, niż ci, którzy nas szukają. A cokolwiek wiedzą Patthowie, nie zdradzili tego innym. Gdyby jakikolwiek rząd w Spirali dowiedział się, o co naprawdę chodzi, nie wydałby nas w ich ręce.

– Zdaje się, że powinienem być komuś wdzięczny za drobne przysługi – stwierdziłem. Zastanawiałem się, jaką przewagę daje nam większa wiedza. Nic nie przychodziło mi do głowy. – Może trzeba będzie zrobić listę rządów, którym bylibyśmy gotowi przekazać „Icarusa”, żeby nie dostali go Patthowie?

– To jest jakiś pomysł – odrzekł z powątpiewaniem Ixil. – Problem jednak polega na znalezieniu kogoś mniej groźnego od Patthów.

Uniosłem brwi.

– Chyba żartujesz?

– Mówię śmiertelnie poważnie – zapewnił. – Jak wiadomo, Patthowie nie są potęgą militarną, prawda? Dysponują tylko siłami obronnymi.

– Zgadza się. Do działań zaczepnych wynajmują mięśniaków z plemienia Guzowatych – odparłem kwaśno.

– Być może – przyznał Ixil. – Chodzi mi o to, że Patthowie wykorzystaliby napęd gwiazdny „Icarusa” do umocnienia pozycji swojej floty handlowej. Ktoś inny mógłby go użyć do celów wojskowych.

Zagryzłem wargi. Szybszy napęd gwiazdny wcale nie ułatwiłby walki w zwykłej przestrzeni kosmicznej, a walka w hiperprzestrzeni nie była oczywiście możliwa. Owszem, usprawiłby transport żołnierzy, zaopatrzenia, czy nawet maszyn bojowych, ale nie zapewniłby nikomu przewagi w drobnych, lokalnych konfliktach zbrojnych, które wciąż wybuchały to tu, to tam. Chyba, że zostałyby użyte w wielkiej wojnie regionalnej, choć wszyscy mieliśmy nadzieję, że to już przeszłość.

A może jakiś potencjalny agresor tylko czekał na pojawienie się takiego szybkiego napędu gwiazdowego, jak w „Icarusie”? Niezbyt przyjemna myśl.

– Mimo to powinniśmy zrobić listę – zdecydowałem. Wstałem i podszedłem do stołu nawigacyjnego. – Możemy wybrać grupę rządów, żeby nikt nie miał monopolu na „Icarusa”.

– Zwłaszcza takich rządów, które pozwolą załodze przeżyć – zauważył Ixil. – I nie wpakują nas na resztę życia do ciasnych cel.

– Ja też o tym nie marzę – zapewniłem i włączyłem pulpit.

– Jak to miło mieć wspólny cel. A właściwie dokąd teraz lecimy?

– Nie wiem. – Przyjrzałem się mapie, żeby sprawdzić możliwości. – Jesteśmy na kursie do Utheno. Legalnie udokumentowane opuszczenie Potosi powinno nam ułatwić lądowanie w kolejnym świecie Archipelagu Najiki i odlot stamtąd.

– Do Utheno jest... ile? Siedemdziesiąt pięć godzin?

– Siedemdziesiąt trzy. A ponieważ to tylko połowa zasięgu „Icarusa”, zrobienie tam postoju mogłoby zmylić przeciwnika. Ale myślę, że chyba lepiej nie siadać drugi raz w strefie wpływów tego samego rządu.

– Być może – przyznał wolno Ixil. – Choć nie wiem, czy w tej chwili ma to jakieś znaczenie. Patthowie na pewno zaalarmowali wszystkich na naszej trasie, zatem to nieważne, u kogo wylądujemy.

– Sugerujesz zmianę kursu? – zapytałem. – Powinniśmy odbić w bok, zatoczyć krąg i spróbować potajemnie podejść do Ziemi od tyłu?

– Nie, nie – zaprzeczył zdecydowanie. – Takim łatwym sposobem nie wykiwamy Patthów. Wytropią nas wszędzie. Ten manewr nic by nam nie dał. Zmusiłby nas tylko do częstszego tankowania. A im więcej lądowań, tym większe ryzyko. Każdy postój to stwarzanie Patthom okazji do poznania wyglądu „Icarusa”.

– No tak – zgodziłem się. – A jeśli naprawdę uprowadzili Camedrona, zapewne mają też listę załogi. Dobrze, niech będzie Utheno.

– Niech będzie Utheno – zawtórował Ixil i strzelił palcami, żeby przywołać fretki. – Idę się przespać. Chciałbym do końca wyzdrowieć, zanim tam dotrzemy.

– Uważaj na siebie – ostrzegłem. – Nasz zabójca następnym razem może nie zadowolili się podłożeniem nie zmieszanych składników trującego gazu.

– Pix i Pax będą czuwać – uspokoił mnie. – I znam kilka sztuczek z zabezpieczeniem drzwi. Lepiej ty na siebie uważaj.

– Ja?! – parsknąłem. – Jedyny, który potrafi pilotować to monstrum? Jestem najbardziej bezpieczny z całej załogi.

– Miejmy nadzieję, że nasz zabójca o tym pamięta. – Ixil wstał i ruszył do wyjścia. – I nie przecenia swoich umiejętności pilotażu. Później pogadamy.

Wyszedł i zostawił otwarte drzwi. Zatwierdziłem współrzędne dla Utheno, wyłączyłem pulpit stołu i wróciłem na fotel pilota. Spróbowałem pomyśleć.

Nasza rozmowa z Terą okazała się pożyteczna. Wiele się dowiedzieliśmy. Jeżeli mówiła prawdę.

Problem polegał na tym, że nowe informacje zburzyły misterny domek z zapalek, który mozolnie budowałem od śmierci Jonesa. Przedtem miałem układankę i jej kawałki nie chciały do siebie pasować. Teraz zniknęły nie tylko kawałki, ale cała cholerna układanka. Zamachy na Jonesa i Chorta, sabotaż z palnikiem, anonimowe donosy do celników i władz portowych – wszystkie szczegóły starannie dodawałem do reszty mieszaniny, nie zapominając również o tym, gdzie byli wtedy poszczególni podejrzani. Nie oszukiwałem się, że coś mi z tego wychodzi, ale przynajmniej pracowałem nad tym.

Nagle wszystko się zmieniło. Połowa aktów sabotażu okazała się dziełem Tery i jej ojca, a tej postaci w ogóle nie brałem pod uwagę na tym etapie naszego małego dramatu. W dodatku oboje działali z dużo bardziej błahych powodów, niż sugerowały groźne skutki ich poczynań. Po wyznaniach Tery mogłem wyrzucić do kosza pieczołowicie sporządzoną listę, gdzie kto był, kiedy... Właściwie pozostały mi do wyjaśnienia tylko dwie sprawy: donos do najickich celników oraz składniki trującego gazu i rozwalony włącznik drzwi w kabinie Ixila.

I oczywiście zabójstwo Jonesa.

Najgorsze, że w żadnej z tych spraw nikt nie miał alibi. Każdy mógł w dowolnym momencie uszkodzić aparat tlenowy Jonesa i każdy przebywał samotnie w innym miejscu, kiedy ktoś przygotowywał zamach w kabinie Ixila.

Każdy. Nie wyłączając Tery.

Mimo opinii Ixila, wcale nie wykluczyłem jej z grona podejrzanych. Byłem wręcz daleki od tego. Zdjęcie przysłane przez Wuja Arthura nie potwierdzało jej tożsamości w zadowalającym stopniu,

i gdyby prawdziwa Elaina Tera Cameron znajdowała się teraz gdzie indziej, z pewnością nie dowiedzielibyśmy się o tym na pokładzie „Icarusa”. Owszem, Tera wiedziała o obcym generatorze grawitacji, ale jeśli w rzeczywistości była jednym z archeologów lub techników, to nic dziwnego. Wuj Arthur twierdził, że Ihmisiści złapali całą grupę. Nie znałem jego źródła informacji, musiałem więc traktować tę wiadomość jako niepewną. Co do reszty historii Tery, to prawdę mówiąc, nie widziałem Camerona w „Icarusie” i nie mógłbym przysiąc, że to jego ścigałem w przestrzeni międzykadłubowej.

Nie dawało mi też spokoju dziwne pojawienie się Guzowatych na terenie wykopalisk akurat wtedy, gdy „Icarus” był gotowy do startu. Mógł sprawić to przypadek albo czujność wywiadu Patthów, ale równie dobrze ich agent w grupie Camerona. Mieliśmy tylko słowo Tery na to, że nim nie jest.

Zresztą wszystkim mogliśmy wierzyć tylko na słowo. Tera twierdziła, że Cameron trzymał w sekrecie jej obecność na Memie. A może nie tylko jej. Może ukrywał również istnienie agenta. Nawet przed córką, dla jej własnego bezpieczeństwa. Sama powiedziała, że nie można wyjawić tego, czego się nie wie. Niewykluczone, że któryś z ludzi Camerona od dawna pracował dla Patthów. Albo po prostu ktoś miał już dość posady i zarobków technika i nagle dostrzegł szansę zgarnięcia dużych pieniędzy i przejścia na emeryturę.

Jeśli taka była prawda, może wreszcie zbliżyłem się do rozwiązania zagadki, dlaczego wciąż jesteśmy wolni. Albo nasz zdrajca nie przekazał nas jeszcze Patthom, bo czekał na podwyższenie nagrody, albo podejrzewał obecność innego człowieka Camerona na pokładzie i nie chciał zdemaskować się, dopóki go nie zidentyfikuje.

Dlaczego więc zginął Jones?

Zagrażał zabójcy, bo coś wiedział, lub mógł odkryć? To coś musiało wiązać się z obowiązkami mechanika pokładowego, inaczej późniejszy zamach na Ixila nie miałby sensu.

Chyba że trujący gaz był jedynie zasłoną dymną. Może pan X chciał pozbyć się tylko Jonesa, a potem zamierzał wywołać wrażenie, że nie cierpi każdego, kto próbuje zająć stanowisko mechanika na pokładzie „Icarusa”. W końcu Ixilowi nic się nie stało.

Znów zerknąłem na wskaźniki. Moje rozważania prowadziły donikąd; zwykle zawracanie głowy. Co takiego mógł wiedzieć

Jones, który nie znał nikogo z załogi, że aż przyplącił to życiem? Może na przykład to, że choć Nicabar podaje się za wykwalifikowanego mechanika, w rzeczywistości nie odróżnia jednego końca klucza francuskiego od drugiego? Ale nawet obawa przed ujawnieniem tak poważnego oszustwa nie powinna doprowadzić do zbrodni. Zresztą śledztwo Wuja Arthura potwierdziło, że Nicabar istotnie posiada wymagane kwalifikacje. Czyżby zatem Jones znał jakąś tajemnicę Chorta, Everetta, lub Shawna?

Głośne burczenie w żołądku przypomniało mi, że od dawna nic nie jadłem. Po raz ostatni sprawdziłem wskaźniki i poszedłem do mesy. Niech statek sam popilnuje się przez chwilę. Szybka kanapka oraz litr kawy lub dwa, i może będzie mi się lepiej myślało. Choć biorąc pod uwagę ostatnie doświadczenia, raczej w to wątpiłem.

Asortyment produktów w naszej kuchni niezbyt działał na wyobraźnię. Przygotowałem sobie skromną przekąskę i właśnie nalewałem kawę do hermetycznego kubka, gdy usłyszałem ciche kroki na korytarzu. Odwróciłem się. W drzwiach stał Chort. Nie byłem zaskoczony.

– Przepraszam, kapitanie McKell – zaświstał. – Nie chciałem przeszkadzać.

– Wcale mi nie przeszkadzasz – uspokoiłem go i skinąłem, żeby wszedł. – To pomieszczenie ogólnego użytku, przecież wiesz. Wchodź śmiało.

Ruszył naprzód z lekkim wahaniem.

– Dziękuję. Wiem, że mesa zwykle służy wszystkim. Ale tutaj to wygląda inaczej.

– Bo „Icarus” jest inny niż zwykłe statki – przypomniałem mu. Wziąłem kubek i talerz, i usiadłem przy stole. Dotychczas właściwie nie miałem okazji pogadać z Chortem. Teraz się nadażyła. – I nie podróżujemy w zwykłych warunkach – dodałem. – Członkowie załogi nie są zżyci ze sobą, jak gdzie indziej. – Przyjrzałem mu się badawczo. – Chociaż może dla ciebie to bez różnicy. Niezbyt długo latasz, prawda?

Pierzaste łuski poruszyły się niespokojnie.

– Czy to aż tak widać?

Wzruszyłem ramionami.

– Może trochę. Na twoim miejscu nie przejmowałbym się tym. Jesteś Craea. Macie we krwi podróże kosmiczne.

– Słyszałem taką opinię. – Cicho zaklekotał dziobem. Pierwszy raz słyszałem, jak wydaje taki dźwięk. – Ale może to tylko mit.

– Jeśli nawet, to mnóstwo ludzi w niego wierzy – zapewniłem i ugryzłem kanapkę. – Jesteście bardzo poszukiwanymi specjalistami.

Popatrzył na mnie uważnie.

– Może to uzasadnione. Ale czy prawdziwe? Proszę mi powiedzieć, co właściciel statku, pan Borodin, mówił panu o tej misji?

Zmarszczyłem brwi.

– Co masz na myśli? – Użył słowa „misja”. Nie „podróż” czy „rejs”, tylko „misja”. – Wynajął mnie do doprowadzenia tego statku z Meimy na Ziemię. A co? Tobie powiedział coś innego?

– Właściwie nie coś innego. – Chort świdrował mnie białymi oczami. Poczuję się nieswojo. – Ale powiedział, że chodzi o coś jeszcze.

Urwał.

– Mów – zachęciłem i znów ugryzłem kanapkę, żeby zamaskować podniecenie.

Musiałem poczekać przez kilka uderzeń serca, zanim się odezwał.

– W craeańskim biurze zatrudnienia na Meimie próbowało mnie wynająć dwunastu innych pracodawców – wyjaśnił. – Pan Borodin wziął mnie na bok i uprzedził, że nie może zapłacić tyle, co tamci. Zaproponował, że zamiast tego da mi szansę zrobienia dla mojego ludu czegoś, co nigdy nie zostanie zapomniane.

– Naprawdę? – zapytałem, siląc się na całkowitą obojętność. Musiałem pomóc sobie kęsem kanapki, żeby nie zauważył, że zadrżałem. Ale ze mnie idiota! Do tej pory nie skojarzyłem rewelacji Tery o „Icarusie” z informacją od Wuja Arthura o craeańskim cudzie gospodarczym po pojawieniu się Merkurego. – A co ci obiecał?

Zapomniałem, że mam przed sobą nie człowieka, tylko obcego, i stanowczo przesadziłem z udawaniem obojętności.

– Nie wierzy mi pan – zaświstał Chort i skierował się do wyjścia. – Proszę wybaczyć, że przeszkodziłem w posiłku.

– Ależ nic podobnego, zaczekaj! – zawołałem i poderwałem się, żeby go zatrzymać. Nagle pojawiła się niespodziewana szansa dowiedzenia się zupełnie nowych rzeczy. Nie mogłem jej zmarnować. – Wierzę ci. Naprawdę. Co powiedział?

Przystanął na moment, potem wolno zawrócił.

– Wy, ludzie, nic nie rozumiecie. Nie znosicie Patthów; sły-
szałem wasze rozmowy. Ale nic nie rozumiecie.

– Pomóż więc mi zrozumieć – zachęciłem i wskazałem ge-
stem miejsce po drugiej stronie stołu. – Dlaczego nie powinni-
śmy ich nie znosić?

Zawahał się, wreszcie usiadł.

– Powiedział pan, że mamy podróże kosmiczne we krwi.
Możliwe. Uwielbiamy swobodne opadanie i dobrze czujemy się
w mieszkalnych środowiskach kosmicznych. W naszym systemie
mamy ich pięć. Wiedział pan o tym?

Skinąłem głową.

– Słyszałem, że wewnątrz są piękne. Szkoda, że wasz rząd
nie pozwala innym gatunkom na ich odwiedzanie.

– Istotnie są piękne – przyznał. Jego białe oczy zamglily się
dziwnie. – I większość z nas wolałaby żyć tam, albo w naszym
ojczystym świecie. Gdyby było to możliwe.

Odzyskał ostrość widzenia i utkwiał we mnie wzrok.

– Ale nie jest. Zdobyć naszą naukę czy technologii nie
mogą rywalizować z produktami z Ziemi, Basni, czy J'kayru.
Mimo to musimy się bogacić, jeśli chcemy mieć pożytek z tej
technologii, lub stworzyć więcej kosmicznych środowisk miesz-
kalnych dla naszego ludu.

– Eksportujecie dużo żywności – przypomniałem mu. – O ile
wiem, jest bardzo poszukiwana.

– Ale nie wytrzyma długiego transportu. Łatwo się psuje.
I co Crooea ma robić w obliczu takiego problemu?

Westchnąłem. Już wiedziałem do czego zmierza.

– Pracujecie w całej Spirali jako najemna siła robocza, rzecz
jasna. Jaką część zarobków oddajecie rządowi?

Głośno kłapnął dziobem.

– Siedemdziesiąt procent.

Niezły podatek od dochodów, pomyślałem. To raczej haracz
na rzecz własnego rządu i współobywateli.

– Nigdy o tym nie słyzałem. Dlaczego trzymacie to w ta-
kiej tajemnicy?

Pióra lekko zafalowały.

– A po co rozpowiadać? – odciął się. – Nie jesteśmy z tego
dumni. Sprzedawanie się w służbę obcym to nic przyjemnego.

– Wszyscy to robimy – zauważyłem. – Może nie tyle sprzedajemy się, jak to określiłeś, ile wynajmujemy innym nasze usługi i wiedzę. To się nazywa praca.

– To nigdy nie było zwyczajem Craean – odparł zdecydowanie. – Ale niestety teraz się stało.

Przechylił głowę na bok szybkim, ptasim ruchem.

– Chociaż jeszcze możemy to zmienić. Patthowie dali nam szansę dostarczania naszej żywności na tak wiele rynków, jak nigdy dotąd. Być może już za kilkadziesiąt lat zgromadzimy środki, by stworzyć tyle kosmicznych środowisk mieszkalnych, ile chcemy. Wtedy wrócimy do naszych domów i rodzin. Do swoich.

Pokręciłem głową.

– Będzie nam was brakować. – Moje słowa zabrzmiały tak banalnie, że aż się skrzywiłem. Ale naprawdę tak uważałem. – Dlaczego mi to mówisz?

Oparł delikatne dłonie na stole i lekko potarł koniuszki palców.

– Kiedyś sądziliśmy, że nasza przyszła wolność zależy tylko od Patthów i ich napędu gwiazdowego. – Spuścił wzrok. – Teraz wielu z nas obawia się, że całkowicie mają nas w ręku. Od chwili pojawienia się Merkurego, z roku na rok przeznaczamy coraz większe środki na produkcję eksportowej żywności. Gdyby Patthowie nagle odmówili jej transportowania, nasza gospodarka zawaliłaby się z dnia na dzień.

Poczułem ucisk w żołądku. Ostrzegałem Ixila, że Crooea pierwsza ugnie się pod presją Patthów. Ale nie zdawałem sobie sprawy, że ich sankcje ekonomiczne oznaczałyby dla niej zupełną katastrofę.

– Rozumiem waszą sytuację. Czego ode mnie oczekujesz?

Wyprostował się.

– Chciałbym, żeby pan nie drażnił Patthów.

Stłumiłem grymas. Bóg jeden wiedział, jak bardzo tego unikałem. Nie zamierzałem zadzierać ani z Patthami, ani z ich guzowatymi przyjaciółmi uzbrojonymi w kieszonkowe krematoria. Niestety, chyba przeszkadzało im nawet to, że oddycham.

– Dlaczego miałbym to robić?

– Nie znosicie ich – powtórzył swoje. – A to oni szukają was i tego statku.

Ucisk w moim żołądku nasilił się.

– Kto ci to powiedział?

Pióra zafalowały.

– Nikt. Tamte trzy istoty, które wskazała nam młoda kobieta ludzkiego gatunku w tawernie „Pod Trzynastką”, należały do rasy służącej Patthom.

– Skąd wiesz?

– Każdy Craea o tym wie. – Był wyraźnie zdziwiony, że w ogóle pytam. – We wszystkich handlowych statkach gwiazdnych Patthów latają nasi kosmiczni wędrowcy. A Iykamowie towarzyszą im jako ochrona. W przeciwieństwie do Patthów są prymitywni i niezbyt uprzejmi.

Skinąłem głową.

– I czasem gwałtowni – dodałem. Nareszcie poznałem prawdziwą nazwę Klanu Guzowatych. Wuj Arthur będzie zadowolony. – Jednak to, że Iykamowie są na mnie wściekli, nie oznacza udziału Patthów w obławie na nas.

Nastroszył pióra.

– Niech pan mnie nie okłamuje, kapitanie. Iykamowie nie działają na własną rękę. Poruszają się po tych rejonach kosmosu wyłącznie w obecności i pod przewodnictwem Patthów.

– Nie okłamuję cię, Chort – zapewniłem szybko. Ciarki przeszły mi po plecach. Jeśli miał rację, to dwóm Iykamom, których zabiłem na Xathru, musiał towarzyszyć Patth. Był gdzieś w pobliżu i nadzorował ich. Uciekliśmy mu sprzed nosa.

Przypomniałem sobie trzech Patthów z tawerny na Meimie, gdzie siedziałem z Cameronem. Zatem wokół zapewne czaili się Iykamowie. Postanowiłem być czujny, jeśli następnym razem zauważę Pattha w publicznym miejscu.

– Może nie kłamał pan wprost – odrzekł Chort. – Ale próbował pan odwrócić moją uwagę, odciągnąć mnie od prawdy. – Przechylił głowę. – A jaka jest prawda, kapitanie?

– Masz rację, Chort – westchnąłem i przyjrzałem się jego twarzy. Za cholere nie mogłem rozszyfrować, co wyraża. – Patthowie istotnie chcą zdobyć ten statek. Uważają, że na pokładzie jest coś, co może zagrozić ich potędze ekonomicznej, którą budują od piętnastu lat.

– A jest?

Pokręciłem głową.

– Nie wiem. Możliwe.

Przez dłuższą chwilę siedział pochylony nad stołem i mocno przyciskał koniuszki palców jednej dłoni do drugiej. To przynajmniej znałem: taka poza wyrażała u Craei głęboką zadumę. Ani drgnąłem. Każdy ruch mógł go rozproszyć. Milczenie przedłużało się. Coraz bardziej żalowałem, że nie potrafię nic wyczytać z jego miny. Nicabar zagroził, że opuści statek, jeśli odkryje kontrabandę. Czy Chort zamierzał zrobić to samo, żeby nie ściągnąć gniewu Patthów na Crooeę?

Podniósł na mnie wzrok tak nagle, że się przestraszyłem.

– Czy to zagrożenie dla Patthów mogłoby przynieść korzyść Crooei? – zapytał.

– Nie jestem pewien, czy ono rzeczywiście istnieje. Ale jeśli istnieje, to tak.

– A można na to liczyć?

Zawahałem się.

– Nie wiem. Gdyby to zależało ode mnie, ty na pewno odniósłbyś jakąś korzyść. W końcu uczestniczysz w tej podróży. Ale nawet w przybliżeniu nie mogę nic obiecać.

– Właściciel statku, pan Borodin, sugerował, że tak będzie – przypomniał mi. – Można mu ufać?

– Naturalnie – zapewniłem. – Tylko nie wiemy, gdzie on teraz jest, i decyzja może nie należeć do niego. Zwłaszcza gdy ktoś zagarnie „Icarusa”, zanim dotrzemy na Ziemię.

Zastanowił się.

– A jeśli dotrzemy?

– Powtarzam, że nie mogę nic obiecać. – Poczulem, że pot występuje mi na czoło. W obliczu niepewnej przyszłości swojej rasy, Chort najwyraźniej badał grunt i rozważał własne możliwości.

Niestety, moim zdaniem, miał tylko trzy: opuszczenie statku, kontynuowanie z nami podróży na Ziemię, albo wydanie nas w ręce Patthów, by zapewnić swemu ludowi bezpieczeństwo ekonomiczne. Na krótko, rzecz jasna. Patthowie nie potrafili być długo wdzięczni, podobnie jak inne gatunki. Ale pewnie lepsza byłaby krótka wdzięczność Patthów, niż ich długotrwała wrogość. Na miejscu Chorta tak bym chyba rozumował.

Ale gdyby doszedł do takiego wniosku...

Pistolet nagle zaciążył mi pod pachą. Nie mogliśmy pozwolić Chortowi na opuszczenie statku. Bez względu na to,

czy zamierzałby nas zdradzić, czy po prostu odejść. Za dużo wiedział o „Icarusie” i załodze. Musieliśmy go zatrzymać za wszelką cenę. Zamknąć pod kluczem, czy nawet związać, jeśli zajdzie potrzeba. Dopóki nie skończy się ta makabryczna gra w chowanego.

Chort obejrzał się gwałtownie na tylną ścianę mesy.

– Kadłub znów pęka. Lepiej niech pan zatrzyma statek, kapitanie.

Nic nie usłyszałem ani nie poczułem, ale nie wątpiłem w jego fachowość. Zerwałem się i pobiegłem do sterowni. W połowie drogi zdałem sobie sprawę, że nawet nie zakwestionowałem jego diagnozy. Sięgałem do czerwonego przycisku „Stop”, gdy rozległo się charakterystyczne skrzypienie metalu.

Dopiero po naprawie przypomniałem sobie, że nie skończyliśmy rozmowy. Ale Chort nie pojawił się u mnie.

Może uznał ją za skończoną, tylko o tym nie wiedziałem. I nie miałem teraz pojęcia, co zamierza.

Przez moment zastanawiałem się, czy wezwać go przez interkom albo nawet odwiedzić w kabinie. Po namyśle zrezygnowałem. Nie mogłem mu niczego obiecać, a najwyraźniej tego oczekiwał. I nie widziałem sposobu, by zachęcić go do pozostania. Nie chciałem go też dalej naciskać. Uznałem to za krępujące dla nas obu.

Od Utheno dzieliły nas niecałe trzy dni lotu. Spodziewałem się, że w ciągu pierwszej godziny po wylądowaniu stanie się jasne, którą z trzech możliwości wybrał.

1 4

Na Utheno nie dowiedziałem się niczego. Z tej prostej przyczyny, że nigdy tam nie wylądowaliśmy. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, ale miało się okazać, że upłynie dużo czasu, zanim gdzieś wylądujemy.

Pierwszym zwiastunem kłopotów powinna być dla mnie kafonia rozmów radiowych na oficjalnych częstotliwościach. Usłyszałem ten jazgot, kiedy tylko ostrza dziobowe utorowały nam drogę z hiperprzestrzeni do zwykłej przestrzeni kosmicznej. Oczywiście

nie zrozumiałem żadnego tekstu, bo były zaszyfrowane. Ale taki ruch w interesie oznaczał, że dzieje się coś ważnego.

Jednocześnie monitory pokazywały niespotykany tłok wokół planety. Statki krążyły po stu różnych orbitach, oczekując na możliwość wylądowania. Głos nagrany na głównym kanale nawigacyjno-informacyjnym przepraszał za opóźnienia z powodu kilku kolizji i awarii sensora stacji naziemnej. Obiecywał szybkie rozładowanie zatoru.

Sam nie wiem, dlaczego uwierzyłem w te zapewnienia. Uznałem, że takie zamieszanie jest nam na rękę i skierowałem się do wskazanej luki na jednej z orbit.

„Tłok” to oczywiście pojęcie względne, gdy mowa o orbitach wokółplanetarnych dla oczekujących statków. W pobliżu nas były tylko dwa statki. Pięćdziesiąt kilometrów na lewo znajdował się najicki frachtowiec, a w takiej samej odległości na prawo pękaty tlekański transportowiec. Bardziej z nawyku niż z potrzeby przyjrzałem się obu sąsiadom w powiększeniu średniej skali.

Kiedy patrzyłem na pękatego Tlekańczyka, nagle zadzwieczał mi w głowie dzwonek alarmowy.

Połączyłem się interkomem z maszynownią.

– Revs, jaki jest status napędu gwiazdowego?

– Dolny zielony – odrzekł. – A dlaczego?

– Daj górny zielony – rozkazałem. – Szybko.

Zawahał się tylko na moment.

– Faza rozruchowa rozpoczęta – zameldował. – Jakies kłopoty?

– Skierowali nas w lukę o pięćdziesiąt kilometrów od tlekańskiego transportowca – wyjaśniłem, patrząc na ekran. – Nie jestem pewien, ale chyba coś się za nim czai.

– Krążownik najickiej straży celnej?

– Albo nawet coś większego.

– Nie podchodźmy tam. W tył zwrot i wynośmy się stąd.

– Żeby zorientowali się, że ich odkryliśmy? – zaprotestowałem. – I że mamy nieczyste sumienie?

– Masz rację – przyznał niechętnie. – Udajemy zatem niewiniątka?

– Czyste jak świeży śnieg – przytaknąłem. – Przynajmniej dopóki nie podciągniesz napędu gwiazdowego na pełne obroty. Miejmy nadzieję, że ich sensory niczego nie wyłapią.

– Dysze wylotowe silników są dość głośne i przecinają spory kawał widma optycznego – zauważył. – Powinny zamaskować działanie napędu gwiazdowego; przynajmniej z takiej odległości. Dobra, mam odczyt, że do pełnego zielonego brakuje trzynastu minut. Zobaczę, czy nie uda mi się tego przyspieszyć.

– Dobra, spróbuj.

Bez pośpiechu kontynuowałem lot do wyznaczonego miejsca. Udało mi się zużyć na to pięć z trzynastu minut Nicabara. Obserwowałem na monitorach obu sąsiadów i czekałem, kto zrobi pierwszy ruch.

Ten zaszczyt przypadł w udziale najickiemu frachtowcowi. Włączyłem ciąg przednich wylotów manewrowych, żeby wytracić szybkość. Wtedy w jego burcie otworzyła się wielka kłapa i pojawiły się trzy ciemnoszare myśliwce gwiazdne. Wisiały przez chwilę nieruchomo, jakby chciały zorientować się w sytuacji. Potem uformowały szyk i wystartowały prosto na nas.

Włączyłem interkom na cały statek.

– Tu McKell – oznajmiłem. – Przypnijcie się i mocno trzymajcie. Mamy nieprzyjazne towarzystwo. Revs?

– Jeszcze co najmniej sześć minut – zameldował. – Może nawet bliżej siedmiu. Za ile tu będą?

– To zależy, jak bardzo im się spieszy. – Przyglądałem się uważnie myśliwcom i wciąż miałem nadzieję, że może to fałszywy alarm i nie chodzi im o nas. Ale zbliżały się. Nie wyglądało na to, by zamierzały nagle zmienić kurs. – Grzej dysze do oporu. Jak się zorientują, że odpalamy napęd gwiazdny, to po nas.

Ledwo skończyłem mówić, w głośniku odezwał się Najik.

– Frachtowiec „Icarus”, tu Dowództwo Wojskowe Planety Utheno – zabrzmiał spokojny głos. – Wyłączcie silniki i przygotujcie się do wpuszczenia nas na pokład.

– Huk dysz pewnie szkodzi im na uszy – mruknął Nicabar. – I co teraz?

– Olejemy ich – odparłem. – Nadali to polecenie na otwartej częstotliwości. Skąd mamy wiedzieć, że chodzi o nas, skoro nazywamy się teraz „Salceson Brunszwicki”? Może nie są pewni, kim jesteśmy, i liczą na to, że się sypniemy. Tak czy owak, nie wyłączaj silników.

– Mogą otworzyć do nas ogień – uprzedził.

– Jeszcze nie – odparłem i popatrzyłem na tlekański transportowiec. Stara, sprawdzona sztuczka. Przez pole pędzi sfera ujadających psów i spycha ofiarę wprost w ramiona myśliwego zaczajonego w krzakach. Albo, jak w tym wypadku, za cielskiem Tlekańczyka.

Jednak w tym wypadku myśliwy już się nie czał – wylazł z kryjówki. Zza kadłuba transportowca wyłoniła się jego lewa burta najeżona lufami. Najicki kieszonkowy niszczyciel wyglądał niemal niewinnie w barwach ochronnych przypominających zebkę. Ale było to mało pocieszające, bo z daleka miał mniej więcej wielkość Paryża.

– Obserwuj, czy wycelują w nas wiązki jonowe – doradził z tyłu Ixil.

Odwróciłem się szybko.

– Dzięki. – Starałem się, żeby nie zabrzmiało to zbyt sarkastycznie. Wszedł do sterowni ze swą zwykłą, kamienną miną i utkwiał wzrok w ekranach. Fretki na jego ramionach też zachowywały się spokojnie, choć w przeciwieństwie do niego trochę wykrzywiały pyszczki. – Masz jeszcze jakąś świątłą radę? – dodałem.

– Chodziło mi o to, czy użyją ich zamiast laserów lub pocisków – wyjaśnił i podszedł do stołu nawigacyjnego. – Jeśli na własną rękę polują na przemytników, nie będzie ich obchodziło, jakie zniszczenia spowodują. Co innego, gdyby działali na zlecenie Patthów.

Właśnie zamierzałem go poinformować, że już nas zidentyfikowali jako „Icarusa”, kiedy mnie wyręczyli.

– Frachtowiec „Icarus”, to ostatnie ostrzeżenie. Wyłącznie silniki albo otworzymy ogień.

Tym razem polecenie niestety nie zostało nadane na otwartej częstotliwości. Było skierowane tylko do nas na zamkniętym kanale. Wiedzieli, kim jesteśmy i nie wybrali się na połów przemytników.

Udawanie niewinnych przestało mieć sens.

– Trzymaj się – rzuciłem do Ixila.

Dałem pełną moc silników i skierowałem wydech do przednich wylotów manewrowych. Statek gwałtownie wyhamował, ostro wystartował do tyłu i stracił stabilność orbitalną. Zaczęliśmy uciekać nadlatującym myśliwcom, ale jednocześnie opadać ku powierzchni planety pięć tysięcy kilometrów pod nami.

Niestety, „ostro wystartował” to pojęcie względne. Taki manewr może choć trochę zaskoczyłby przeciwnika, gdyby wykonał go pilot myśliwca, lub nawet frachtowca z tak korzystnym stosunkiem

ciągu silników do masy, jaki udało mi się uzyskać w wypadku „Burzowej Chmury”. Latający worek cementu o nazwie „Icarus” nie śmignął z szybkością jaguara, lecz raczej skoczył niczym hipopotam, cofający się przed przeszkodą w głębokim błocie. Wyobrażałem sobie, jaki ubaw mają Najikowie z naszego słoniowatego odwrotu.

Ale mogli rechotać ile chcieli. Z pewnością zakładali, że nie zdążymy uaktywnić napędu gwiazdowego. A co za tym idzie, że za dziesięć do dwunastu minut wpadniemy w ich sidła. Takie rozumowanie byłoby całkiem logiczne i liczyłem, że tak właśnie myślał. Rzecz jasna, nie wiedzieli, że będziemy gotowi za niecałe cztery minuty. Musiałem tylko do tego momentu trzymać ich na dystans.

Na nasze nieszczęście Najik dowodzący operacją wyraźnie nie lubił marnować czasu. Myśliwce dostosowały manewry do mojego, zanim go dokończyłem. Zwarły szyk i zaczęły się zbliżać. Z otworów pod ich nosami wystrzeliły cieniutkie, zielone smugi wiązek jonowych.

Przerzuciłem moc do bocznych wylotów manewrowych z lewej strony „Icarusa”. Miałem nadzieję, że unik uratuje nasze ostrza dziobowe. Skręcaliśmy jednak równie ociężale, jak hamowaliśmy. Zakładłem bezsilnie, gdy wiązki jonów zbiegły się na naszym dziobie.

Stało się. Zacisnąłem lewą pięść i kontynuowałem bezcelowy manewr. Czekałem z rezygnacją na zgromadzenie się ładunku wysokiego napięcia i trzask silnego wyładowania elektrycznego, które za chwilę zniszczy elektronikę dziobową i zniweczy wysiłki Nicabara.

Opuściłem nas niżej w szyb grawitacyjny Utheno i wiązki na moment zgubiły cel. Ale zaraz pojawiły się znowu, gdy najiccy strzelcy skorygowali celowniki. Lada chwila błysnie iskra i to duża. Przy tym potencjale zgromadzonego ładunku... Zastanowiłem się, czy nie będzie aż tak silna, że przeskoczy na bezpieczniki, zniszczy je, i spali wskaźniki w sterowni.

Zmarszczyłem brwi. W głowie zadźwięczał mi nowy dzwonek alarmowy. Coś tu nie tak. Wiedziałem, jak działają wiązki jonowe; byłem w ich zasięgu częściej niż chciałbym pamiętać. A te jakoś długo nie pokazują pazurów. Skierowałem kamery monitorujące kadłub na ostrza dziobowe.

I zaparło mi dech. Owszem, wiązki jonowe zbiegały się na „Icarusie”, dokładnie tak, jak pokazywał wyświetlacz sensora.

Ale metr od ich celu, czyli wieńca ostrzy dziobowych, działo się coś dziwnego. Zamiast tworzyć ogniskową, wiązki rozszczepiały się, jony rozpraszały się i znikwały. Nie gromadził się potężny ładunek elektryczny i nie mogło nastąpić skoncentrowane wyładowanie z iskrą o niszczącej sile. Wiązki bombardowały jonami jedynie płyty kadłuba, którym wyładowania nie szkodziły.

– To z powodu promieniowego pola grawitacyjnego – odezwał się nagle Ixil. W jego głosie usłyszałem zgrozę.

No jasne! Wszystko się zgadzało. Kosmiczne wędrówki Chor-ta udowodniły, że obce pole grawitacyjne wewnątrz głównego kadłuba jest zbyt słabe, żeby wyczuć je na zewnątrz statku, jednak działało wystarczająco silnie, by rozproszyć wiązkę cząsteczek mniejszych od atomu. Chyba że generator pola grawitacyjnego potrafił jeszcze coś, o czym nie wiedzieliśmy.

Znów mieliśmy szansę. Rzuciłem się na tablicę przyrządów i zwiększyłem przechył statku.

– McKell? – zawołał przez interkom Nicabar. – Co ty wyrabiasz?

– Wiązki jonowe myśliwców nie dosięgają ostrzy dziobowych! – odkrzyknąłem i skupiłem uwagę na niszczycielu. Znudziło go bezczynne czekanie, aż sami wpadniemy mu w łapska, i wszedł do akcji. Sunął w naszą stronę i błyskał własnymi wyrzutniami wiązek jonowych, choć byliśmy jeszcze poza ich zasięgiem. – Podejrzewam, że wiązki niszczyciela też nam nic nie zrobią. Ale prawie na pewno mogą przedziurawić kadłub przedziału silnikowego i spieszyć ci wszystkie systemy. Dlatego odwracam „Icarusa”, żeby główny kadłub zasłonił cię przed nimi.

– Co odsłoni przedział silnikowy myśliwcom – mruknął Ixil znad stołu nawigacyjnego – A one są bliżej niż niszczyciel.

– Ale mają też słabsze wiązki niż on – przypomniałem mu. – Jest również szansa, że grubszy metal z tyłu ochroni nas przed nimi. Zresztą nie mamy teraz wielkiego wyboru. Revs, jak tam odliczanie?

– Minuta dwadzieścia – odparł. – Przy tej szybkości niszczyciela nie wiem, czy zdążymy.

– Właśnie – mruknąłem.

„Icarus” odwrócił się rufą do nadlatujących myśliwców i spowolnił nasz ruch obrotowy. Pot wystąpił mi na czoło. Myśliwce nie miały chyba tak powiększających sensorów, by dostrzec,

jak zachowują się ich wiązki. Niestety, niszczyciel miał je z pewnością. Prędzej czy później dowódca zauważy, że nasz nietknięty dziób to nie wina braku celności jego strzelców. W końcu wytoczy ciężką artylerię i po nas.

Chyba że ktoś da mu do zrozumienia, że to nie najlepszy pomysł.

Wszedłem na częstotliwość, na której Najikowie wydawali rozkazy.

– Tu „Icarus” do Najickich Sił Specjalnych – odezwałem się. – Na waszym miejscu byłbym ostrożny z tymi wiązkami jonowymi. Mamy na pokładzie kupę czulej elektroniki. Mogę się założyć, że Patthowie nie będą zachwyceni, jeśli ją zniszczycie.

– Dowództwo Wojskowe Planety Utheno do frachtowca „Icarus” – nadeszła odpowiedź. Nawet w przybliżeniu nie brzmiała tak spokojnie, jak poprzednia. – To ostatnie ostrzeżenie. Wyłączcie silniki, albo my to za was zrobimy.

– Oczywiście zdajecie sobie sprawę, że coś, na czym tak bardzo zależy Patthom, musi być równie cenne dla każdego – ciągnąłem jakby nigdy nic. – Na przykład dla mieszkańców Archipelagu Najiki. Może wasi przełożeni zechcą zastanowić się nad tym dłużej, zanim wydadzą nas Patthom?

– Frachtowiec „Icarus”, natychmiast wyłączcie silniki – odrzekł Najik. Widocznie miał umysł zaprogramowany na jednotorowe myślenie i dyskusja o polityce przekraczała jego możliwości.

Ale na razie nie wycelował w nas laserów. Jeśli wstrzyma się jeszcze czterdzieści sekund, nazwę to zwycięstwem, pomyślałem. Wyłączyłem radio.

– Revs?

– Odliczanie trwa – zameldował. – Wiązki jonowe myśliwców robią trochę bałaganu, ale jak dotąd iskrzą tylko urządzenia peryferyjne. Co jest, do cholery, z tym niszczycielem, że nie może nam odstrzelić ostrzy dziobowych?

– Później ci powiem – obiecałem. Jednym okiem patrzyłem na ciemną sekcję napędu gwiazdowego na tablicy przyrządów, drugim na resztę wskaźników. Wciąż wykonywałem uniki, o ile można tak nazwać pozbawione wdzięku manewry, jakie wykonywał ociężały „Icarus”. Niszczyciel wciąż jeszcze zachowywał się powściągliwie, myśliwce wręcz przeciwnie. Zwiększyły prędkość i rozdzieliły się. Nadal ostrzeliwały przedział silnikowy wiązkami

jonowymi, ale przesuwały się do tyłu statku. Wyraźnie zamierzały zająć nas od rufy i zaatakować ostrza dziobowe z trzech stron.

To ich ostatnia szansa, pomyślałem. Kiedy przekonają się, że nic nie osiągną, natychmiast przejdą na lasery. Z tej odległości będą mieć dziecinnie łatwe zadanie. Kilka czystych, chirurgicznych cięć i po sprawie.

– Revs? – warknąłem.

– Trzydzieści sekund! – zawołał.

– Nie mamy trzydziestu sekund – parsknąłem. Myśliwce właśnie mijały przedział silnikowy. Trzymały się blisko kadłuba na wypadek, gdybyśmy mieli jakąś artylerię ukrytą wśród wylotów manewrowych. – Najwyżej dziesięć.

– Szybciej nie da rady – zaprotestował. – Spróbuj im uciec. Zacisnąłem zęby.

– To trzymaj się.

Rozpostarłem dłonie i wałęnałem w cały rząd przycisków, kierując wydech do wszystkich wylotów manewrowych na raz.

„Icarus” stanął dęba niczym oszalały koń, który nagle stracił orientację. Mimo to nasza sytuacja nie była aż tak dramatyczna, jak trzech myśliwców; trafiły w nie strumienie gorących gazów i musiały odskoczyć. Zostały kompletnie zepchnięte z kursu i zgubiły cel. Po chwili z ich dysz buchnęła para i próbowały skorygować tor lotu. Zamknąłem wszystkie wyloty manewrowe oprócz głównego na prawej burcie i „Icarus” leniwie wykonał skręt. Płetwa ogonowa jednego z przeciwników drasnęła nasz kadłub i znów cała trójka musiała skorygować kurs. Dostrzegłem jak przez mgłę, że w myśliwcu odsuwa się pancerna płyta chroniąca dziobowe wyrzutnie laserowe.

W tym samym momencie na tablicy przyrządów rozbłysła sekcja napędu gwiazdowego.

– Górny zielony! – wrzasnął Nicabar.

Nie odpowiedziałem. Gorączkowo przebiegałem palcami po przyciskach, żeby uaktywnić system i przeprogramować kurs. W głośniku zasumiało. Bez wątplenia dowódca Najików kłnął na czym świat stoi. Chwilę później wieniec ostrzy dziobowych doznał swej elektonicznej sztuczki magicznej i gwiazdy wokół nas zniknęły.

– Dobra robota – mruknął Ixil.

Odezwał się za wcześnie. Ledwo odetchnąłem, pokład zaczął się gwałtownie.

– Revs?

– Zwarcia elektryczne! – odrzyknął. – Połowa przyrządów rozregulowana. Musimy przystopować.

– Trudno – westchnąłem i wyłączyłem swoją część systemu.

Gwiazdy pojawiły się z powrotem. W polu widzenia nie było jednak żadnej planety czy pobliskiego słońca. Szybko obejrzałem okolicę, ale odbicie na skanerze pozostało czyste: krótki lot przeniósł nas donikąd, o lata świetlne od czegokolwiek. Przynajmniej na moment pozbyliśmy się wszelkich zewnętrznych kłopotów.

– W porządku, wszystko wyłączone – zameldował Nicabar.

– Są uszkodzenia?

– Chyba nic poważnego. Wskoczyło kilka bezpieczników i może trzeba będzie wymienić przewód lub dwa. Żaden problem, mamy zapasowe. Rzecz jasna, czeka mnie kupa roboty z wyskalowaniem wszystkiego od nowa. To czasochłonne, ale dość proste.

– Ixil ci pomoże – obiecałem i przełączyłem resztę przyrządów na tablicy w stan spoczynku. Nie było sensu, żeby pozostały uaktywnione. Na razie nigdzie się nie wybieraliśmy.

– To może zaczekać – odparł Nicabar. – Miałeś mi powiedzieć, jakim cudem strząsaliśmy z siebie te wiązki jonowe. No więc...?

Skrzywiłem się. Istotnie, nadszedł czas, żeby uświadomić wszystkim, na czym stoimy.

– Zaraz się dowiesz. – Włączyłem interkom na cały statek. – Odłóżcie swoje zabawki i zbierzcie się w mesie. Mam wam coś do powiedzenia.

Siedzieli w milczeniu i słuchali. Wyglądali na trochę oszołomionych.

Nie powiedziałem im wszystkiego. Nie zdradziłem prawdziwej tożsamości Tery ani tego, że Cameron towarzyszył nam potajemnie przez pierwszą część podróży. Pomiąłem również udział dziewczyny w kilku incydentach spośród tych, które się wydarzyły.

Ani słowem nie wspomniałem, że nie uważam śmierci Jone-sa za wypadek. Wprawdzie reakcja podejrzanych być może pomogłaby w ustaleniu winnego, ale teraz najbardziej zależało mi

na doprowadzeniu „Icarusa” na Ziemię i potrzebowalem ich współpracy. Szukanie zabójcy odłożyłem na później.

Tera przeszycwała mnie morderczym spojrzaniem. Była wyraźnie wściekła, że wyjawiam wielki sekret bez jej zgody. Ale gdybym poprosił ją o pozwolenie, zapewne nie dostałbym go. Wtedy musiałbym postąpić wbrew jej woli i byłaby jeszcze bardziej wściekła.

Stwierdzenie, że ich zaskoczyłem, to za mało. Moje rewelacje wzbudziły niedowierzenie i podejrzliwość.

– Chyba macz nas za idiotów, McKell – zaatakował mnie Shawn, kiedy skończyłem. – Tajemnicza obca technologia? Nie wygłupiaj się!

– I cała rasa Patthów chce nam skoczyć do gardeł, żeby to zdobyć? – dodał Everett i pokręcił głową. – Nie mogłeś wymyślić nic mądrzejszego, McKell?

– Spodziewałem się takiej reakcji – odrzekłem i spojrzalem na Ixila. – Macz to, co potrzeba?

Bez słowa wyjął narzędzie zabrane z warsztatu. Wstał, podszedł do tylnej ściany mesy i odkręcił płytę wewnętrznego kadłuba.

Kolejno wchodzili do otworu, żeby przekonać się, jak działają obce pole grawitacyjne. Teraz uwierzyli.

I wystraszyli się nie na żarty.

– To jakieś wariactwo – wymamrotał Everett i klapnął ciężko nad dużą szklanką whisky. O dziwo, każdy nagle musiał się napić. – Szaleństwo. To robota dla zawodowców, a nie bandy luzaków pozbieranych z ulic Meimy.

– Wierczcie mi, też bym wołał, żeby zastąpił nas oddział Ziemskiej Piechoty Powietrznej – zapewniłem. – Ale niestety nic się nie da zrobić.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że jeśli Patthowie nas dopadną, to jesteśmy martwi – powiedział Nicabar, wpatrując się ponuro w swojego drinka. – Nie ma szans, żeby nas puścili. Za dużo wiemy.

– A co my takiego wiemy? – zapytał Shawn i nerwowo zabębnił palcami w blat stołu. – No powiedczcie sami: co my właściwie wiemy? McKell twierdzi, że to obcy napęd gwiezdny. A od kiedy taki z niego ekspert?

– Może mieć rację – odezwał się Chort, zanim zdążyłem odpowiedzieć. – Wczesne craeańskie napędy gwiezdne były bardzo podobne, choć oczywiście dużo mniejsze. Też wykorzystywały dwie kule. Jedna z nich służyła za otwartą komorę rezonansową.

– Dobra, ale czy to działało? – zainteresował się Shawn. – Osobiście nigdy nie słyszałem o takich konstrukcjach.

– Skoro ty o nich nie słyszałeś, to pewnie w ogóle nie istniały – mruknęła Tera.

Shawn przeszył ją wściekłym spojrzeniem.

– Dwie kule spisują się doskonale – wtrącił się Nicabar aurytatywnym tonem, jakby chciał uciąć wszelką dyskusję. – Nie stosuje się ich wyłącznie dlatego, że przy wstędze Moebiusa układ jest bardziej stabilny.

– Wspaniale – parsknął Shawn. – Niestabilny napęd gwiazdny. Tylko tego nam potrzeba. Nam i całej Spirali.

Nicabar zniecierpliwiał się.

– Chodzi jedynie o to, że teoretycznie w warunkach dużych obciążeń mogą powstawać oscylacje, nic więcej.

Shawn prychnął.

– Jasne, ale...

– Słuchajcie, jeśli zamierzacie dyskutować o teorii napędu gwiazdowego, to kiedy indziej – zaprotestowała Tera. – Mnie interesuje to, jak przebrniemy przez tę ścieżkę zdrowia, żeby wrócić na Ziemię.

– Dlaczego akurat na Ziemię? – przyczepił się Shawn. Najwyraźniej chciał dziś zirytować całą załogę. Zastanawiałem się z niepokojem, czy wystarczy nam leku dla niego. – Tylko dlatego, że większość z nas to ludzie?

– Ja nie – słusznie zauważył Ixil. – Ale statek jest własnością Borodina, a to chyba dostatecznie określa nasz punkt docelowy i miejsce dostarczenia ładunku.

– Jaką własnością Borodina? – zjeżył się Shawn. – Wykopał to na cudzej planecie. Co mu daje większe prawo do tego, niż Ihmisitom, którzy tam mieszkają?

– Uchwała Federacji Handlowej zezwalająca cudzoziemcom na odzyskiwanie i ratowanie wykopalisk archeologicznych – odparła Tera. – Sprawa nie podlega dyskusji.

– Proszę, proszę... – zadrwił Shawn. – Od kiedy jesteś naszym doradcą prawnym?

– Odbiegamy od tematu – wtrąciłem szybko. Nie wątpiłem, że Tera potrafi zacytować mu odpowiednie przepisy linijka po linijce, ale nie zamierzałem dopuścić do marnowania czasu. –

Tera ma rację, co do praw Borodina. Myli się jednak, że funkcjonowanie tego napędu gwiazdowego...

– Tego rzekomego napędu gwiazdowego – poprawił mnie cierpko Shawn.

– W porządku, tego rzekomego napędu gwiazdowego... – zgodziłem się – ...nic nas nie obchodzi. Od tej kupy żelastwa może zależeć, czy dotrzemy na Ziemię, czy też skończymy podróż na dnie jakiegoś głębokiego dołu u Patthów.

Przez kilka uderzeń serca patrzyli na mnie w milczeniu. Everett widocznie pierwszy pojął, o co mi chodzi, bo szczęka opadła mu aż do ziemi.

– Chyba nie chcesz powiedzieć... Nie proponujesz chyba...?

– To nasza jedyna szansa – odparłem. – Patthowie doskonale wiedzą, jak szybko potrafi podróżować „Icarus”; zakres prędkości napędu gwiazdowego to żadna tajemnica. I chcą, żeby jak najmniej osób wiedziało o ich małej obławie. Dlatego z pewnością dopiero w ostatniej chwili dają łapówki i naciskają rządy na naszej przewidywanej trasie, żeby sprawa nie nabrała rozgłosu.

– Rozumiem, o co ci chodzi – odezwał się Nicabar, pocierając w zamyśleniu podbródek. – Jeśli ich wyprzedzimy, to może zdążymy gdzieś wylądować i zatankować, zanim oni tam dotrą.

– Zgadza się – przytaknąłem. – Wprawdzie możemy natknąć się na jakichś pojedynczych zwiadowców Patthów, ale poradzimy sobie z nimi dużo łatwiej, niż z całą armią i strażą celną.

– A co z elementem przestępczym, który Patthowie przekupują? – zapytał Everett. – Nawet jeśli nie robią tego osobiście, to wiadomość o nas już krąży.

– Owszem, ale pamiętaj, że nikomu nie mówią całej prawdy. Świat przestępczy Spirali szuka tylko mnie, nie wie o „Icarusie”. Nazwa statku nic im nie da, bo w każdym porcie lądujemy pod inną.

– Chyba, że go rozpoznają – mruknął Shawn. – Zupełnie nie rzucamy się w oczy – dodał ironicznie.

– Najkowie już mieli z nami kontakt – zauważył Nicabar. – Co ich powstrzyma przed donosem do Patthów i roztrąbieniem o nas po całej Spirali?

– To samo, co Patthów – odparłem. – Też będą woleli rozegrać to potajemnie, bo tak jest korzystniej. Pobudki Patthów są

oczywiste. Najikowie dostrzegą teraz szansę dla siebie. Jeśli oni nas złapią, przysłużą się Patthom, ale nie za darmo.

– Oto podstawowa wada posługiwania się przekupstwem – stwierdziła Tera. W jej głosie wyczułem niechętnie uznanie dla mojego rozumowania. A może po prostu rezygnację. – Wszyscy twoi przypuszczalni sprzymierzeńcy próbują wymanewrować się wzajemnie z takim samym zapałem, z jakim na nas polują.

– Możemy liczyć tylko na to i na nowy napęd gwiazdny – powiedziałem. – O ile zdołamy go uruchomić.

Everett pokręcił głową.

– To szaleństwo. Co my wiemy o obcej technologii?

– Niewiele – przyznałem. – Ale też nie zaczniemy od zera. Tera znalazła w komputerze komplet raportów z przebiegu ekspedycji.

Everett zamrugał.

– Żartujesz! Wpakowali na pokład pełną dokumentację?

Nicabar wzruszył ramionami.

– A dlaczego nie? To też chcą przekazać na Ziemię. Po co się rozpraszać?

Shawn parsknął.

– Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś tak głupio stawiał wszystko na jedną kartę.

– Podejrzewam, że wszystko musiało być razem – odparłem. – I że nasz komputer pokładowy jest kiepsko przystosowany do obsługi statku gwiazdowego, ponieważ wcale nie miał do tego służyć. Zapewne wykorzystywano go jako zwykły roboczy komputer podczas ekspedycji. Był już połączony z obcą elektroniką w mniejszej kuli, i po prostu zostawili go na swoim miejscu, kiedy wokół niego budowali „Icarusa”.

– Może – zgodził się Shawn. – Założmy, że to nie są tylko urojenia i pobożne życzenia. Od czego chcesz zacząć? Jeśli wierzyć Chortowi, siedzimy teraz w komorze rezonansowej.

Przytaknąłem.

– I skoro ma rezonować, musi być pusta. No, prawie pusta.

– Rezonans oznacza zupełnie pustą komorę, McKell – uświadomił mnie zaczepnie Shawn. – Powie ci to byle student pierwszego roku fizyki. Gdzie chcesz przenieść cały statek? Do tunelu?

– Nie musi być zupełnie pusta – wtrącił się Chort. – W tym wypadku do wywołania rezonansu wystarczy tylko pusty środek.

- Zgadza się – zawtórował mu Nicabar.
- Obecność wewnętrznego pola grawitacyjnego dowodzi, że konstruktorom nie zależało na całej pustej komorze – dodałem. – Pole wyraźnie służy do tego, by usuwać wszystko ze środka na boki.
- Chyba że grawitacja jest częścią mechanizmu rezonansowego – podsunęła Tera.
- Teoretycznie nic takiego nie istnieje – zaprzeczył Nicabar. – W każdym razie nie przypominam sobie.
- Chort pokręcił głową.
- Ani ja.
- Shawn machnął ręką.
- Dobra, poddaję się.
- Zatem jaki jest plan? – zapytał Nicabar. – Rozmontujemy wewnętrzne korytarze i przegrody, i poukładamy wszystko pod ścianami kuli?
- Mniej więcej – przytaknąłem. – Jednak nie wszystko będzie nam potrzebne i nie wystarczy miejsca. Większość płyt ścian wewnętrznych i kadłuba ma metr kwadratowy powierzchni. Możemy je wyrzucić przez właz. Resztę niepotrzebnych rzeczy też.
- A jeżeli się okaże, że to nie jest napęd gwiazdny? – zaniepokoił się Shawn. – Jak odzyskamy to, co wywalimy?
- Wzruszyłem ramionami.
- Nie odzyskamy. Dlatego usuniemy tylko to, bez czego można się obejść.
- A jeśli cała sprawa nie wypali? – nie ustępował. – Stracimy kupę czasu i nic nam to nie pomoże.
- Ale i nie zaszkodzi – przypomniał mu Nicabar.
- Lepiej pomyśl, co będzie, jeśli wypali – dodał w zamyśleniu Everett.
- Shawn prychnął.
- Borodin zarobi masę forsy, a my będziemy się cieszyć, jeżeli dostaniemy dwa nędzne patyki na głowę.
- Dostaniemy – zapewniłem. – Plus premię, którą obiecał.
- Shawn parsknął.
- Tak? Zobaczymy.
- Właściwie możemy urządzić się dużo lepiej – zauważył Everett. – Wszystko zależy od tego, kto wyłoży pieniądze.

– Chyba już ustaliliśmy, że „Icarus” należy do Borodina – wtrąciła się Tera. Z pewnością nie wszyscy dosłyszeli subtelną groźbę w jej głosie. Ale ja tak. I byłem pewien, że Ixil także.

– Owszem – przyznał Everett i zerknął na Nicabara. – Zpracowaliśmy już jednak na dużo więcej niż to, co nam obiecał na Meimie.

– Uczciwe wynagrodzenie za wykonane usługi – dodał Shawn. – Widzisz? Ja też potrafię mówić prawniczym językiem. Podpowiem ci jeszcze jeden termin prawny: „wymuszenie”.

– A gdzie „bo inaczej”? – zapytała kpiąco. – Każde żądanie musi zawierać groźbę „bo inaczej”. Komu masz zamiar zaferować „Icarusa”, jeśli z Borodina nie da się wydusić więcej? Patthom?

– Im? Po moim trupie – włączył się Nicabar.

– Patthowie nie są jedynymi w tej grze – przypomniał mu Everett. – Przynajmniej teoretycznie. Jeśli Borodin nie zechce porządnie zapłacić, znajdziemy innych kupców.

– Może nawet Crooę – dodał Shawn i uśmiechnął się chytrze do Chorta. – Pasowałby wam taki zakup, Chort?

Pióra Chorta zafalowały i mruknął coś nieśmiało, ale go nie słuchałem. Uwaga Everetta sprawiła, że nagle części układanki trafiły na swoje miejsca. Nielogiczna i przypadkowa podróż „Icarusa” zaczęła mieć sens. Fakty i pozornie dziwne komentarze dały się teraz z łatwością dopasować jak dziecinne klocki.

Już wiedziałem, dlaczego Jones został zamordowany. Choć jeszcze nie znałem sprawcy.

– McKell?

Zamrugalem i wróciłem do rzeczywistości. Nicabar gapił się na mnie ze zdziwieniem.

– Przepraszam, zamyśliłem się – powiedziałem. – Co mówiłeś?

– Pytałem, czy to koniec zebrania? – powtórzył. – Czeka nas kupa roboty.

– Z mojej strony to wszystko – odrzekłem. Przynajmniej na razie, pomyślałem. Następnym razem ujawnię zabójcę. – Chyba że ktoś chce coś dodać?

Chort z wahaniem podniósł rękę.

– Mam pomysł – wyznał niemal przepraszająco. – Ale to może oznaczać dla nas więcej pracy.

– Mamy jej całą tonę – odparł Ixil. – Następne pół tony nie zrobi wielkiej różnicy. Mów śmiało.

– Specjalista elektronik Shawn zauważył wcześniej, że „Icarus” rzuca się w oczy – zaczął niepewnie Chort. – Nad Utheno już nas rozpoznano. Chciałbym zaproponować zmianę wyglądu statku.

– Stawiasz sprawę jasno – przyznałem. – Jak to sobie wyobrażasz?

– „Icarus” składa się z dwóch kul – Chort nakreślił w powietrzu kształt. – Po demontażu wnętrza moglibyśmy wykorzystać zbędne płyty do budowy cylindra, który połączyłby je w najszerszych miejscach. Statek wyglądałby z zewnątrz jak cygaro o zaokrąglonych końcach.

– Z jednej strony wystawałby tylko stożkowy dziób, z drugiej przedział silnikowy – uzupełniłem z podnieceniem i spojrzałem na Ixila. – Możliwe do wykonania?

– Nie widzę problemu – odparł spokojnie, choć fretki wykrzywiły pyszczki. – Przynajmniej teoretycznie. Mamy sprzęt do spawania punktowego. W ten sposób przymocowalibyśmy płyty do kul, a płyty skręcilibyśmy ze sobą tymi samymi śrubami, które trzymają je teraz.

– Myślałem, że palnik nie działa – przypomniał mu Shawn.

– Ale została jeszcze spawarka łukowa – odparł Ixil.

– A co ze wspornikami? – zapytał Nicabar. – Bez nich konstrukcja będzie za słaba.

– Damy kilka od spodu, materiału jest dosyć. O ile elektrody wytrzymają.

– I jeśli nie zabraknie nam mocy do zasilania spawarki – dodała Tera. – Jak stoimy z paliwem, McKell?

– Mamy więcej niż potrzeba – uspokoiłem ją. – Generatory będą mogły pracować, jak długo okaże się to konieczne. Martwi mnie co innego: na ile wystarczy zapas lekarstwa dla Shawna.

Zapadła chwila krępującej ciszy. Widocznie nikt o tym nie pomyślał.

– Trochę z tym krucho – przyznał Everett. – Wystarczy pewnie na osiem do dziewięciu dni. I to przy oszczędnym dawkowaniu.

– Nie zostało nam dużo czasu – powiedziała Tera. – Zwłaszcza że po skończeniu przeróbek statku musimy jeszcze poszukać bezpiecznego portu.

– To prawda – przytaknąłem i popatrzyłem na Shawna. – No jak? Wytrzymasz tydzień na małych dawkach?

Parsknął.

– Wytrzymałbym nawet bez żadnych dawek, gdybym musiał. Pewnie o tym nie wiesz, ale Patthowie mieli na Ephīs najlepsze żniwa. Dostali szał, kiedy Wspólnota zakazała odwiedzania planety. Wątpię, żeby mi współczuli, jeśli wpadniemy w ich łapy. A o borandisie mógłbym zapomnieć.

– Zapewne uznaliby, że wyświadczyłeś im małą przysługę – powiedział cicho Chort. – Może przynajmniej tobie pozwoliliby umrzeć śmiercią naturalną.

Tera wzdygnęła się.

– Głosuję za tym, żeby brać się do roboty.

Wstałem.

– Popieram wniosek. Ixil, przygotuj narzędzia.

1 5

Pzekonałem się, że łatwiej zaproponować demontaż wnętrza statku kosmicznego, niż się do tego zabrać.

Jednak szybko okazało się, że dziwaczna budowa „Icarusa” działa na naszą korzyść. W normalnym statku wszystkie przegrody i pokłady to kształtowane odlewy, solidnie przynitowane lub przyspawane. Tutaj były przyśrubowane tak, jak płyty wewnętrznego kadłuba, co bardzo ułatwiało pracę. Co więcej, zbudowano je z takich samych metrowych płyt, jak poszycie wewnętrzne. Ściany miały również tę samą grubość, a pokłady i przegrody podwójną lub potrójną. Wykorzystałem jeden z rzadkich momentów, kiedy zostałem sam na sam z Terą, by ją o to zapytać. Potwierdziła moje przypuszczenia, że ekipa Camerona zaplanowała taką konstrukcję w określonym celu. Kształtowane odlewy wywołałyby zdumienie celników na Meimie; proste, metrowe płyty nie zwracały niczyjej uwagi.

Ixil miał do dyspozycji tylko trzy narzędzia, ale to wystarczyło. Więcej było przeciągania płyt, niż odkręcania. Błogosła-

wilem Camerona za użycie wytrzymałych, lecz lekkich materiałów. Nawet Shawn i Chort mogli bez wielkiego wysiłku wlec metalowe płyty do tunelu. Zmienialiśmy się co dwadzieścia minut, żeby nikt się za bardzo nie przemęczał. Jak słusznie zauważył Ixil, siła mięśni musiała nam wystarczyć na długo.

Przez pierwszych sześć godzin koncentrowaliśmy się na prostym demontażu. Zaczęliśmy od ścian, potem zabraliśmy się za przegrody. Przenosiliśmy płyty do tunelu i układaliśmy na stosie przy włączu. W końcu uznałem, że wystarczy nam materiału do modyfikacji zaproponowanych przez Chorta. Mieliśmy dwa pokładowe kombinezony kosmiczne – trzeci został na Xathru wraz z ciałem Jonesa. Oczywiście Chort posiadał swój własny. Mniejszy kombinezon pasował na Terę, większy na Nicabara. Wysłałem oboje na zewnątrz razem z Chortem, spawarką i dwoma kluczami, i skrzyżowałem palce.

Wszystko poszło lepiej, niż się spodziewałem. Chort okazał się tak doświadczonym spawaczem jak Ixil, może nawet nieco lepszym. Obawiałem się o właściwe rozmieszczenie płyt, ale Tera rozwiązała ten problem. Cała trójka najpierw skręcała je ze sobą wzdłuż, potem Chort umocowywał gotowy pas do kul. Z braku narzędzi czterej z nas zaprzestali demontażu. Zajęliśmy się przenoszeniem sprzętu ze zlikwidowanych pomieszczeń na nowe miejsca w głębi kadłuba. Osiemdziesięciopięcioprocentowy poziom grawitacji dużej kuli nieco ułatwiał dźwiganie, nie powodując jeszcze kłopotów z poruszaniem się.

Dni mijały według ustalonego, trochę nerwowego rytmu. Chort spędzał większość czasu na zewnątrz, co sprawiało mu wyraźną frajdę. Wchodził do środka tylko po to, żeby naładować aparat tlenowy. Towarzyszyliśmy mu w przestrzeni na zmianę, choć nikt z nas specjalnie za tym nie przepadał. Uchował się jedynie Everett, bo nie mieścił się w kombinezonie. Rozmontowywaliśmy kolejne fragmenty konstrukcji wewnętrznej, przenosiliśmy niezbędny sprzęt, resztę wyrzucaliśmy za burtę. Potem padaliśmy na koje i pogrążyliśmy się w stanie bardziej bliskim śpiączki, niż normalnego snu.

Na pokładzie nigdy nie panowała przyjazna atmosfera; podejrzewałem, że ta niespodziewana przygoda spowoduje dalszy wzrost napięcia. Ku mojemu zaskoczeniu stosunki nie pogorszyły się. Od czasu do czasu ktoś na kogoś warknął lub zaklął pod

nosem, ale to wszystko. Moi współtowarzysze podróży nagle zaczęły się zachowywać jak zżyta ze sobą załoga, a nie jak przypadkowa zbieranina nieznajomych.

Kiedy teraz to wspominam, dochodzę do wniosku, że ta przemiana nie powinna była mnie zaskoczyć. Przed spotkaniem z Najnikami nad Utheno niewiele różniliśmy się od zwykłych kierowców międzygwiazdnej ciężarówki, którzy wykonują niewdzięczną robotę za psie pieniądze. Czego tacy mogą się spodziewać w swoim nudnym życiu? Na końcu trasy nie czeka ich nic ciekawego, a w drodze może zdarzyć się najwyżej porwanie, a i to niezbyt często. Ale potem staliśmy się kimś zupełnie innym. Mogliśmy przejść do historii. Mieliśmy szansę dołożyć Patthom i ich znieprawidzonemu imperium ekonomicznemu. Być może czekało nas bogactwo i nieśmiertelność. To wszystko trzymało grupę razem.

Rzecz jasna, tworzenie historii ma swoją cenę. Istniało niebezpieczeństwo, że jeśli Patthowie nas dopadną, nasza własna historia będzie bardzo krótka. Bez wątpienia ta świadomość również ułatwiała wzajemną współpracę.

Bez względu na przyczyny, przez pierwsze cztery dni odwaliliśmy kawał roboty. Prace były tak zaawansowane, że w połowie piętego odesłałem Everetta i Ixila do skalowania przyrządów, które rozregulował atak jonowy Najików. Chort, Nicabar i Shawn pracowali akurat na zewnątrz. Zabrałem Terę do komputera, żeby wreszcie zaliczyć przyspieszony kurs obsługi obcego napędu gwiazdnego.

Ku mojemu rozczarowaniu lekcja trwała krócej, niż się spodziewałem.

– Tylko tyle? – zapytałem zawiedziony, gdy ostatnia strona danych zniknęła w górze ekranu monitora. – Nie mogli się lepiej postarać?

– Ciesz się, że jest chociaż to – odparła ostro. Ale na jej czole zauważyłem zmarszczki niepokoju. Być może, podobnie jak ja, uświadomiła sobie, że ta cała sprawa to zgadywanie w ciemno. – Nie zaplanowali pobytu na Meimie, dopóki nie rozszyfrują wszystkiego do ostatniej kropki. Kiedy zorientowali się, co odkryli, natychmiast przysłali tacie wiadomość. Mieli tylko tyle czasu, ile zajął transport i montaż „Icarusa”, czyli pięć tygodni.

– Domyślałem się – przyznałem i zerknąłem spode łba na kwadratowy otwór w ścianie kuli. Na szczęście Tera potrafiła

otworzyć zamaskowane wejście. – I nie zapuszczali się do środka dalej, niż na parę metrów?

– Nie. Bali się, że zrobią zwarcie i coś uszkodzą. Sam się przekonaj, jaka tam plątanina przewodów i luźnych kabli.

Przywarłem płasko do kadłuba i oświetliłem czeluść otworu. Tera miała rację; istna dżungla.

– Przypomina mi maszynownię – zauważyłem. Niewiele widziałem, ale chyba przez gąszcz drutów przebijały jakieś żarzące się panele. – Ciekawe, czy tak miało być, czy wiązki kabli po prostu porozdzielały się ze starości. Mówiłaś, że jest inne wejście z drugiej strony kuli?

– Tak, za dodatkowym panelem bezpieczników w maszynowni. Założyli zawiasy, panel otwiera się więc bardzo łatwo.

– Widok stamtąd jest lepszy?

– Nie. Dlatego próbowali wpuścić do środka sondy, ale powinny zahaczały o druty. Doktor Chou bał się, że przy wyciągnięciu coś rozerwą. Mieli jedną sondę samosterującą i ta dotarła głębiej, ale coś zakłóciło jej sensory i utknęła.

– No cóż... Do niczego nie dojdziemy, dopóki nie dowiemy się, co to za pomieszczenie.

– Mam nadzieję, że nie sugerujesz, żeby ktoś z nas tam wszedł? – zapytała podejrzliwie. – Jeśli sondy się nie przebiły, to człowiek tym bardziej.

– Wydaje mi się że mam trochę większe szanse przedarcia się przez tę gmatwaninę, niż ktoś, kto na ślepo maca drogę sondą – odparłem. – Choć prawdę mówiąc, najpierw wolałbym wysłać kogoś mniejszego.

Zmarszczyła brwi.

– Kogo?

Wskazałem głową maszynownię.

– Zawołaj Ixila, to ci pokażę.

Ixil odniósł się do mojego pomysłu z takim samym brakiem entuzjazmu, jak Tera.

– Sam nie wiem, Jordanie... – zaczął marudzić i niespokojnie pogłaskał Paxa przycupniętego na jego lewym przedramieniu. – Każdy znany mi napęd gwiazdny ma co najmniej pół tuzina obwodów wysokiego napięcia z kondensatorami. Jeśli Pax dotknie czegoś takiego, dozna śmiertelnego porażenia.

– Ciągłe biega między przewodami zasilającymi – przypomniałem mu. – Jak unika przetarć izolacji i zwarcie?

– Wie, co omijają – odrzekł Ixil. – Ale to jest zupełnie nieznaną, obcą konstrukcją. Nawet izolacja obwodów niskiego napięcia mogła popękać ze starości. Dla nas takie porażenie nie byłoby groźne, ale małego Paxa zabiłoby na pewno.

– Wiem – przyznałem. – I chciałbym, żeby istniał inny sposób, ale go nie ma. Musimy sprawdzić, co tam jest. Tylko Pix i Pax mogą być naszymi oczami.

– Mamy również własne – odparł Ixil. – Ja tam wejść.

– Nie – wtrąciła się Tera, zanim zdążyłem otworzyć usta. – Nie ma mowy.

– Potrafię rozpoznać zagrożenia, których Pax nie wykryje z powodu ograniczonej inteligencji – nie ustępował Ixil. – Wejść tylko kawałek i zobaczę, co jest za pierwszą płataniną kabli. Jeśli uznam, że Pax zdoła pójść dalej, wyślę go na zwiady.

Tera pokręciła głową.

– Przykro mi, Ixil, ale nie pozwolę na to. Tata zabronił wchodzić tam komukolwiek, zanim nie oznaczymy wszystkich źródeł zasilania i przewodów. Mogę wpuścić Pixa albo Paxa, nikogo więcej.

Ixil zacisnęła usta i spojrzała w dół na fretkę.

– Zgoda – westchnęła z rezygnacją. – Co ma zrobić?

– Znaleźć drogę do środka kuli – odpowiedziałem. – Chor-towi i Nicabarowi trochę zamieszały w głowach szczegóły tej egzotycznej konstrukcji z dwóch kul, ale obaj są zgodni, że gdzieś wewnątrz musi być duży kryształ rezonansowy, a wokół niego, albo obok, panel sterowniczy. Jeśli mają rację, może uda nam się tam dostać. Jeszcze lepiej byłoby połączyć go z naszymi przyrządami tutaj. Spróbowałibyśmy uaktywnić system.

– Jeżeli jeszcze nadaje się do czegoś po tylu latach – mruknął Ixil i posadził Paxa na ramieniu.

– Coś tu jednak pobiera i zużywa moc – przypomniałem mu. – Chociaż nie mam bladego pojęcia, skąd ją bierze. Uprzedź go, żeby uważał, gdzie stawia łapki i wtyka nos, i niech się nie spieszy. Nie pali się.

Ixil skinął głową. Przez moment stał bez ruchu i porozumiewał się bezgłośnie z fretką. Potem wziął głęboki oddech, zdjął Paxa z ramienia i postawił przed otworem. Zwierzátko obwącha-

ło krawędź i zmarszczyło nos, jakby nie spodobał mu się zapach. Po chwili pisnęło, wskoczyło do środka i zniknęło.

Ixil natychmiast przykleknął, wyjął mi z ręki latarkę i oświetlił ciemną czeluść.

– Wygląda na to, że nie ma tam żadnej grawitacji – stwierdził, kiedy zajrzał głębiej. – Pax pokonuje swoją trasę jak w stanie nieważkości.

Spojrzałem na Terę. Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ale jeśli pole grawitacyjne na zewnątrz służy do usuwania wszystkiego ze środka komory rezonansowej, to nie ma potrzeby, żeby istniało wewnątrz mniejszej kuli.

Ixil chrząknął. Przez kilka minut staliśmy albo kucaliśmy w milczeniu. W końcu Ixil wyprostował się i oddał mi latarkę.

– Przepadł. Zniknął za czymś, co przypomina wyglądem mufę. Tera delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze. Pamiętaj, że ciągle robi takie wycieczki.

Ixil znów chrząknął. Wyraźnie denerwowało go takie pocieszanie.

– Lepiej już wróć do maszynowni. Zostało nam jeszcze mnóstwo skalowania. Everett nie bardzo sobie radzi. Zawołacie mnie, kiedy Pax wróci?

– Oczywiście – zapewniłem. – Właściwie mogłabyś z nim pójść, Tero, i otworzyć to drugie wejście za panelem z bezpiecznikami. Gdyby Pax stracił orientację, przydałoby mu się dodatkowe wyjście.

– Dobry pomysł – zgodziła się. – Chodźmy, Ixil.

Wspięli się po łagodnej krzywiźnie. Widok ludzi idących po wewnętrznej ścianie kuli wciąż przyprawiał mnie o lekki zawrót głowy. Po chwili zniknęli w polu zerowej grawitacji za otwartymi drzwiami ciśnieniowymi do tunelu. Westchnąłem, położyłem się na kadłubie i skierowałem światło latarki do otworu. Pax istotnie przepadł, choć od czasu do czasu zdawało mi się, że słyszę lekkie chrobotanie. Widocznie dzielnie przedzierał się przez dżungłę kabli. Ostrożnie wsunąłem głowę do środka i oświetliłem wnętrze.

Nagle dostrzegłem prześwit.

Przyglądałem mu się od dwóch minut, gdy wróciła Tera.

– Ixil nie jest zachwycony, prawda? – zagadnęła i usiadła obok mnie po turecku. – Twierdzi co prawda, że to nie są jego ukochane zwierzątka domowe, ale chyba...

– Czy Chou i jego ludzie zrobili zdjęcia tego, co widać przez ten otwór? – przerwałem jej.

Przestawienie się na inny tok myślenia zajęło jej pół sekundy.

– Tak sędzę. Przynajmniej kilka. Jeszcze ich nie oglądałam, bo...

– To obejrzymy je teraz – zarządziłem, starając się opanować nagłą obawę. – Znajdź mi to, które pokazuje szary trapezoid o przekątnej około pół metra z dwoma tuzinami drutów wychodzących ze złotych końcówek na jego krawędziach.

Natychmiast usiadła do komputera i zaczęła przebiegać palcami po klawiaturze.

– Co to jest? – zapytała z napięciem.

– Znajdź mi zdjęcie – przynagliłem.

Wstałem i podszedłem do niej.

Okazało się, że ludzie doktora Chou zrobili masę zdjęć. Odszukanie właściwego zajęło Terze niemal minutę.

Kiedy na nie spojrzałem, obawa zamieniła się w stuprocentową pewność.

– Powiedziałaś mi, że twój tata opuścił statek na Potosi. Skąd wiesz? Zostawił ci wiadomość?

Pokręciła głową i podniosła na mnie wzrok.

– Nie... – Jej niepewny głos świadczył, że też się czegoś obawia. – Mówiłam ci, że jego rzeczy zniknęły i nie mogłam go nigdzie znaleźć.

– Zgadza się – przytaknąłem. – Ale nie pomyślałaś, żeby zajrzeć do mniejszej kuli, prawda?

Wytrzeszczyła oczy i nabrzmiały jej mięśnie na szyi.

– O, nie... – szepnęła. – Chyba nie... O, Boże!

– Nie, nie... Nie widziałem go – uspokoiłem ją szybko. – To znaczy... Nie ma...

– Nie ma ciała?

– Właśnie – potwierdziłem. Ugryzłem się w język, żeby nie dodać, że przynajmniej ja go nie widziałem. – Ten trapezoid to dziura w gąszczu drutów. Jakby ktoś utworował sobie tamtędy drogę.

– Może Pax? – zapytała ponuro.

– Otwór jest wielkości człowieka – odparłem. – Posłuchaj, może on się tam ukrywa?

Gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie, przecież kręcimy się obok wejścia od kilku dni. Usłyszałyby mój głos i wyszedłby. – Przeknęła. – Jeżeli byłby w stanie.

Popatrzyłem na otwór i podjąłem decyzję.

– Wchodzę tam – oświadczyłem i dałem krok naprzód.

Dalej nie zaszedłem. Jej ręka wystrzeliła niczym grzechotnik i chwyciła mnie za ramię.

– Nie! – warknęła. Trzymała mnie ze zdumiewającą siłą. – Nie! Jeśli nie żyje, to coś go tam zabiło. Nie możesz ryzykować.

– Tak ci zależy na życiu zwykłego przemytnika? – zdziwiłem się. Nie chciałem powiedzieć nic przykrego, ale w tej chwili nie byłem przyjaźnie nastawiony. – Nie pomyślałaś, że jednak on żyje? Może być ranny, nieprzytomny albo sparaliżowany. Może nie jest w stanie dotrzeć do wyjścia ani nawet cię zawołać.

– Gdyby wszedł tam na Potosi, to siedziałby w środku od jedenastu dni – odrzekła głucho, ale nie rozluźniła chwytu. – Jeśli byłby zbyt tak ciężko ranny, że nie mógłby wyjść, to do tej pory już dawno by nie żył.

– Chyba że jest tylko lekko rany – odparowałem. Nie zamierzałem ustąpić. – Może uderzył się podczas moich gwałtownych manewrów nad Utheno i jeszcze żyje.

Wzięła głęboki oddech.

– Zaczekajmy na powrót Paxa.

– Pół godziny – zgodziłem się.

– Godzinę.

Otworzyłem usta, żeby zaprotestować, ale na widok jej miny zrezygnowałem.

– Niech będzie.

Skinęła głową i dłuższą chwilę patrzyła na otwór wejściowy. Potem niechętnie wyłączyła komputer i usiadła na pokładzie.

– Opowiedz mi o sobie, McKell.

Wzruszyłem ramionami i usiadłem obok.

– Nie ma co opowiadać.

– Na pewno jest – odrzekła cicho. – Kiedyś musiałeś mieć jakieś nadzieje, plany, marzenia. Może nadal masz. Co byś robił, gdybyś nie był przemytnikiem?

– Kto wie? – Rzecz jasna, Terę nie obchodziły moje nadzieje i marzenia. Pogawędka miała ją oderwać od rozmyślań o martwym ojcu unoszącym się wewnątrz kuli. – Kiedyś chciałem zrobić karierę w wojsku. Ale to się skończyło, gdy wygarnąłem dowódcy, co o nim myślę.

– Przy świadkach, jak się domyślam?

– Przy tylu świadkach, że stanąłem przed sądem wojskowym. Potem próbowałem szczęścia jako celnik. Widocznie byłem za dobry, bo ktoś wrobił mnie w branie łapówek. Później pracowałem w firmie przewozowej, ale straciłem cierpliwość i przyłożyłem szefowi.

– Dziwne... – mruknęła. – Nie sprawiasz wrażenia człowieka, który koniecznie chce mieć kłopoty.

– Bez obaw – uspokoiłem ją. – Wpadam w kłopoty tylko wtedy, gdy otwiera się przede mną droga do kariery. Kiedy w grę wchodzi moje własne bezpieczeństwo, unikam ich jak ognia.

– Może problem polega na tym, że boisz się sukcesu? – podsunęła. – Znam wiele takich osób.

– Niezbyt oryginalna diagnoza – odparłem. – Moi znajomi też tak uważają. Ale w najbliższej przyszłości mam nikłe szanse na sukces.

– O ile sobie przypominam, powiedziałeś, że do połowy przyszłego wieku.

– Mniej więcej.

Przez chwilę milczała.

– A gdybym wykupiła cię z rąk tego szefa mafii?

Spojrzałem na nią i zmarszczyłem brwi. Nie wyglądało na to, że żartuje.

– Słucham?!

– Co ty na to, żebym wykupiła cię z rąk tego szefa mafii – powtórzyła. – Już raz pytałam cię o to, jeśli pamiętasz. Ale chyba wątpię, czy mam luźne pół miliona.

Poczułem, że pali mnie twarz.

– Wtedy nie wiedziałem, kim naprawdę jesteś.

– Ale teraz już wiesz. I wiesz, a przynajmniej powinieneś wiedzieć, że luźne pół miliona to dla mnie raczej drobiazg.

Nie zabrzmiało to w moich uszach zbyt przyjemnie.

– Uważasz, że warto byłoby wyrzucić na mnie tyle forsy? – zapytałem trochę za ostro.

– A dlaczego nie? – wzruszyła ramionami. – Stać mnie na to.
– Nie wątpię – przyznałem. Rozmowa schodziła na niebezpieczne tory. – Firma twojego ojca pewnie tyle wydaje rocznie na spinacze. Pozwolę sobie zauważyć, że to cholernie dobra inwestycja w porównaniu ze mną.

– A kto mówi, że byłbyś inwestycją?

– Doszedłem do tego drogą eliminacji – odparłem. – Nie kwalifikuję się jako cel dobroczynny i jestem za stary, żeby mnie adoptować.

Liczyłem na to, że w końcu się obrazi. Ale widocznie tak martwiła się o ojca, że nie dostrzegła moich wysiłków. Albo nie była taka obraźliwa, jak myślałem.

– Moglibyśmy to potraktować jako nagrodę za doprowadzenie „Icarusa” na Ziemię – powiedziała. – Zapłatę za wykonane usługi.

– Lepiej nie szastaj forszą, dopóki bezpiecznie nie wylądujemy – doradziłem. – Chyba że te obietniczki mają mnie zmiękczyć i zapewnić ci moją lojalność.

– A może po prostu chcę ci dać szansę? – zapytała kompletnie nie zrażona. – Nie jesteś typem przemytnika i kryminalisty. To do ciebie nie pasuje.

Zrobiło się gorzej, niż myślałem. Znalazła już u mnie dobre cechy. Musiałem szybko wybrnąć z sytuacji, zanim będzie za późno.

– Nie chcę cię, broń Boże, obrazić... – zapewniłem – ...ale twoja wysoka pozycja społeczna niekoniecznie oznacza, że potrafisz właściwie osądzać takich ludzi, jak ja. Mógłbym ci pokazać faceta o twarzy i manierach chłopca z chóru kościelnego, który kazałby jednemu ze swoich zbirów wyrwać ci serce i patrzyłby na to bez mrugnienia okiem.

– Zdaje się, że tobie to bardzo imponuje – zauważyła.

– Po prostu nie chcę, żebyś ryzykowała, grzebiąc się w sprawach, których nie rozumiesz – mruknąłem. – Co więcej, ja też nie chcę ryzykować. Zajmuj się dalej fuzjami firm, wykopaliskami archeologicznymi, czy co tam robisz u ojca. Dłużej pożyjesz, Elaino Tero Cameron.

Zmarszczyłem brwi. Nagle uderzyły mnie jej inicjały.

– Elaina Tera Cameron – powtórzyłem. – E.T.C. To od *et cetera*?

Uśmiechnęła się słabo.

– Bardzo dobrze – pochwaliła. – Tak, to był taki żart ojca. Przyszłam na świat jako czwarta, choć zaplanowali tylko troje dzieci. Rodzili się sami chłopcy, a mama strasznie chciała dziewczynkę. Zazwyczaj dąży do celu aż do skutku.

– I dlatego „i tak dalej”?

– Przez cztery lata nawet tego nie zauważyła – ciągnęła Tera. – Wpadła na to dopiero wtedy, kiedy uczyłam się pisać i wszędzie stawiałam swoje inicjały.

– Założę się, że była zadowolona z ojca.

– Raczej zła, że tak długo nie rozumiała dowcipu. Zwłaszcza że tata słynął z takich gier słownych.

– Braciom też wymyślił podobne inicjały?

Wzruszyła ramionami.

– Jeśli nawet, to nikt z nas jeszcze tego nie odkrył. A tata niczego nam nie zdradził.

– Cały on – stwierdziłem. – Zawsze coś ukrywał. Był z tego znany.

– Tylko wtedy, kiedy musiał – zaprotestowała Tera. – I nigdy przed rodziną i przyjaciółmi. – Spojrzała ponad moim ramieniem na otwór. – Tym bardziej to dziwne. Dlaczego tam wszedł i nic mi nie powiedział? Szczególnie że zabronił tego innym.

– Może bał się, że znów wejdę za nim do przestrzeni międzykadłubowej? – podsunąłem.

– Ale dlaczego mi nie powiedział? – upierała się. – Między tym incydentem a lądowaniem na Potosi minęło półtorej doby. Jeśli chciał ukryć się przed tobą, to mieliśmy mnóstwo czasu, żeby to omówić.

– Mógł się obawiać, że wpadnę na niego niespodziewanie. Pamiętaj, że nie znalazłby w statku innej kryjówki.

– A kabina numer dwa na górnym pokładzie? – przypomniała mi. – Po śmierci Jonesa stała pusta. Ixil wymontował dla siebie włącznik drzwi i nikt by się tam nie dostał. Planowaliśmy, że na Potosi przeniesie się do niej.

– I wchodziłby przez dziurę w wewnętrznym kadłubie? – zapytałem i poczułem, że piecze mnie twarz. Miałem nadzieję, że tego nie widać. W ogóle nie przyszło mi to do głowy. Zanim odkryłbym pasażera na gapę, ten dawno by zniknął.

– Gdyby musiał poruszać się po statku, to tak – odrzekła Tera. – Przecież nie mogliśmy ryzykować, że ktoś go zobaczy,

prawda? Odkręciliśmy niektóre śruby kadłuba, żeby mógł szybko wchodzić i wychodzić.

– Aha... – Poczulem się co najmniej jak kandydat do nagrody Nobla. Przebyłem całą przestrzeń międzykadłubową od prawej do lewej burty i nie wpadłem na to, żeby sprawdzić, czy nie brakuje śrub albo czy nie są poluzowane. – Ale w końcu nie przeprowadził się?

Pokręciła głową.

– Mieliśmy to zrobić, kiedy wyszedłeś po lekarstwo dla Shawna. Ale potem Shawn uciekł i wszyscy musieliśmy go szukać. Później były kłopoty z celnikami i nie miałam okazji skontaktować się z tatą, dopóki nie oddaliliśmy się stamtąd.

– Dlatego Everett znalazł cię w warsztacie mechanicznym? Poszłaś po narzędzie?

Uśmiechnęła się.

– Bystry jesteś. Kiedy Everett tam wpadł, myślałam, że sprawa się wydała. Ale okazało się, że chodzi tylko o Shawna. Everett tak się spieszył, że nawet nie zapytał, co robię w warsztacie.

Wzruszyła ramionami.

– Oczywiście potem ty o to spytałeś i sprzedałam ci bajeczkę o rozregulowanym komputerze. Musiałam więc go rozłożyć i udawać, że naprawę coś nawaliło. I dobrze się stało, skoro był taki brudny. Zaskoczyło mnie to tak samo, jak wszystkich.

Rozległ się cichy, daleki dźwięk, jakby metal zazgrzytał o metal. Spojrzałam z nadzieją na otwór. Ale Pax się nie pojawił. Pewnie ktoś z załogi zawadził czymś o kadłub.

– A może ktoś go zobaczył? – zasugerowałam. – I dlatego postanowił zmienić kryjówkę?

– Gdyby tak było, dlaczego ten ktoś nic nie powiedział? – zauważyła słusznie Tera. – Po zostawieniu wiadomości, że nie leci z nami, jego obecność na pokładzie wzbudziłaby zdumienie warte jakiegoś komentarza, nie uważasz?

– Owszem – przyznałam. – Chyba, że ten ktoś miał powód, żeby nie puścić pary z ust. Może twój ojciec przyłapał go na czymś i... O, cholera.

Tera zrozumiała w tej samej chwili.

– Trucizna w kabinie Ixila. No jasne. Tata musiał natknąć się w korytarzu na zamachowca.

Nagle wytrzeszczyła oczy.

– O, mój Boże! McKell! Może on nie wszedł tam dobrowolnie. Może ktoś go tam... wrzucił.

Wstałem.

– Wchodzę. – Przypiąłem latarkę do paska. – W ambulatorium powinno być kilka apteczek. Przynieś jedną.

Pobiegła szybko po krzywiźnie. Jej kroki zadudniły niesamowitym echem w prawie pustej przestrzeni. Skierowałem się w odwrotną stronę przez pobojowisko, które zostało po wnętrzu „Icarusa”. Podeszedłem do dwóch stert sprzętu z warsztatu mechanicznego i elektronicznego. Wyrzebałem pas z narzędziami, wykrywacz pola elektrycznego i kilka rolek izolacji.

Kiedy wróciłem, Tera już czekała przy komputerze. Wręczyła mi dużą apteczkę.

– Dołożyłam butelkę wody i kilka batonów regeneracyjnych.

– Dzięki – mruknąłem. Powstrzymałem się od przypomnienia jej, że objuczanie mnie jak muła tylko utrudni mi podróż przez dżunglę kabli, która i bez tego nie zapowiadała się obiecująco. Trudno, chciała pomóc. Nie bardzo jednak wiedziałem, o czym może zadecydować jedna butelka wody. Przytroczyłem bagaż do pasa tak, żeby nie blokował mi dostępu do narzędzi. – W porządku – powiedziałem, siląc się na swobodny ton. – Do zobaczenia.

– Powodzenia – szepnęła.

Zmarszczyłem brwi. Czyżbym wyczuł troskę w jej głosie? Chyba tak. Dopiero po chwili zrozumiałem, że nie chodzi jej o mnie, tylko o ojca. Z pewnością o niego bardziej.

Odwrociłem się i położyłem obok otworu. Wziąłem głęboki oddech, chwyciłem za krawędź, i wciągnąłem się do środka.

1 6

Perwszy etap wędrówki przebiegał dość gładko. Zza moich pleców wpadało mnóstwo światła, zerowa grawitacja ułatwiała poruszanie się. Do prześwitu w gąszczu kabli miałem prawie wolną drogę. Detektor pola elektrycznego trzymałem w wyciągniętej ręce niczym mistyczny talizman i uważnie śle-

dziłem wskaźniki. Przystawałem, gdy tylko drgnęły, i badałem przyczynę.

Wokół mnie istotnie płynęło dużo prądu. Na szczęście, dla celów nawigacyjnych najsilniejsze źródła pogrupowano w panelach rozmieszczonych nieregularnie na wewnętrznej powierzchni kuli. Z daleka, przez otwór wejściowy, wyglądały trochę tajemniczo. Z bliska również. Wyświetlały dziwne i niezrozumiałe symbole w języku obcych. Mogły to być informacje o stale zmieniających się parametrach pracy urządzeń pokładowych. Niestety, równie dobrze mogło to być jedynie nastrojowe oświetlenie, stale zmieniane przez bezmyślną elektronikę dla poprawy samopoczucia dyżurnego załoganta. Szybko doszedłem do wniosku, że lepiej wychodzi mi pilotowanie statków gwiazdnych, niż odgadywanie zamiarów obcych.

Po kilku minutach dotarłem do prześwitu w gąszczu kabli i przeżyłem rozczarowanie. Okazało się, że jest zupełnie inny, niż wydawało mi się z odległej perspektywy. Kiedy zaglądałem przez otwór wejściowy, zmylił mnie dystans i stosunkowo pusta przestrzeń w tej części kuli. Po pierwsze, w dziurze nie zmieściłby się człowiek. Po drugie, pół metra głębiej przecinał ją co najmniej tuzin kabli. Jeśli Cameron rzeczywiście się tędy przedostał, to dobrze zatarł za sobą ślady. Zważyłem, czy w ogóle wybrał tę drogę i unosi się wewnątrz martwy lub nieprzytomny.

Przez chwilę oświetlałem dziurę latarką i zastanawiałem się, co robić. Snop światła wyławiał z ciemności fragmenty obcego metalu, plastiku i ceramiki. Jeżeli Camerona tam nie było, nie miałem po co iść dalej. Mogło mi grozić niebezpieczeństwo.

Ale jeśli nie ukrył się tam, to gdzie się podział, do cholery? Opuścił statek na Potosi? Porwano go? W takim razie jest zapewne w gorszych opałach, niż byłby tutaj. Może dlatego Najikowie tak szybko zidentyfikowali „Icarusa” nad Utheno? Albo po prostu dostali meldunek od celników z Potosi.

Ale bez względu na to, czy Cameron tu był, czy nie, musieliśmy się dowiedzieć, jak działa obcy napęd gwiazdny. Tylko dzięki niemu moglibyśmy wymknąć się Patthom. Bezpieczniej jednak wycofać się stąd i zaczekać na powrót Paxa.

Zatoczyłem latarką ostatni krąg i nagle usłyszałem odległy, cichy dźwięk. Inny, niż tamten, który słyszeliśmy z Terą. Ten brzmiał

jak dobrze mi znany pisk przestraszonej kalixirskiej fretki. Zazwyczaj szybko stawał się głośny i równie szybko zamierał.

Ale nie tym razem. Odgłos osiągnął tylko połowę skali i raptownie zamilkł.

Cisza aż dzwoniła mi w uszach. Spojrzałem w ciemność i poczułem krople potu na czole i karku. Nie rozległ się już żaden świst, wdech czy westchnienie. Nic, co wskazywałoby, że Paxowi zabrakło powietrza i stracił przytomność.

A zatem nie żył. Coś go zabiło.

Obejrzałem się na otwór wejściowy. Krople potu oderwały się od mojej twarzy i poszybowały w przestrzeń wśród labiryntu obwodów. Jeśli Tera również usłyszała ten okrzyk śmierci, powinna zaraz zajrzeć tutaj i zapytać, co się stało. Ale miały sekundy i nic. Zatem tylko ja wiedziałem, co się wydarzyło.

Musiałem sam podjąć decyzję, co robić. Może to i lepiej. Otarłem lewym rękawem pot z czoła, odsunąłem kable na bok i ostrożnie ruszyłem naprzód.

Wcześniej powiedziałem Ixilowi i Terze, że nam się nie spieszy. Teraz wciąż dźwięczał mi w głowie pisk Paxa i miałem jeszcze mniejszą ochotę ryzykować. Posuwałem się bardzo wolno. Oglądałem każdy przewód i sprawdzałem czujnikiem. Starąłem się dostrzec, dokąd prowadzi. Upewniałem się, czy jest wystarczająco luźny, bo go odgiąć bez naprężania sąsiednich. Jeśli coś budziło moje wątpliwości, zmieniałem trasę.

Pokonanie trzech metrów zajęło mi godzinę. Zaczynałem wątpić, czy za jednym zamachem przebrnę siedem i pół, dzielące mnie od środka kuli. Przedostałem się przez oko sieci, która przypominała rybacką, i nagle znalazłem się w pustej przestrzeni.

Chwyliłem siatkę jedną ręką i zawisłem równolegle do niej w zerowej grawitacji. Oświetliłem latarką najbliższą okolicę. Okazało się, że wokół mnie nie jest tak całkiem pusto. Przez siatkę przechodziło kilkanaście splotów kabli. Ich luźne końce lekko podrygiwały w przestrzeni niczym egzotyczne wodorosty w spokojnym nurcie rzeki. Na siatce wisiało również kilka wyświetlaczy przymocowanych drutami. Wyglądały jak tamte na ścianach. Z jednego wystawało cienkie, wieloczęłonowe ramię z czarnych i srebrnych segmentów. Miało długość siedmiu metrów i sięgało tam, gdzie powinien być środek kuli. Wszystkie wyświetlacze świeciły krwawoczerwonym blaskiem, co

stwarzało dość niesamowitą atmosferę. Znow zatonęłam w poszukiwaniu martwej fretki. Nie znalazłem jej. Widocznie zginęła, zanim przedostała się przez siatkę.

Nagle przypomniałem sobie, co jeszcze powinno tu być, i zaparło mi dech. Szybko oświetliłem środek kuli. Ale nigdzie nie zauważyłem kryształu rezonansowego i tablicy sterowniczej. Według słów Chorta i Nicabar, taki napęd gwiazdny musiał mieć te elementy.

Niestety, ten nie miał.

Powoli przesuwałem snop światła, badając centymetr po centymetrze. Nic. Poczuję ucisk w żołądku. Uwierzyłem Terze na słowo, że we wnętrzu „Icarusa” kryje się obcy napęd gwiazdny, i dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak bardzo na to liczyłem. Bez tego nie było co marzyć o wymknięciu się Patthom. A przecież zbyłem wątpliwości Shawna zapewnieniem, że nie będzie mi w gorszej sytuacji, jeśli ludzie Camerona się pomylili.

Ale to ja się pomyliłem. Cała robota z demontażem statku poszła na marne, jak ostrzegwał Shawn. Co gorsza, mój genialny pomysł kosztował nas stratę cennego czasu. Teraz mogliśmy gorzko tego pożałować. Patthowie prawdopodobnie zdążą się przegrupować i zacieśnią oblęgę. Mało tego, kilka zmarnowanych dni opóźni zdobycie borandisu. Lek zapewne wyczerpie się akurat wtedy, gdy pozostaną nam najwyżej trzy lub cztery planety do wylądowania.

Jeśli jednak ten koszmarny sen elektryka nie jest napędem gwiazdnym, to czego, do cholery, chcą Patthowie? Ta myśl pocieszyła mnie tylko na moment. Natychmiast zdałem sobie sprawę, że to „Icarus” może być wielkim, obcym napędem gwiazdnym. Po prostu kryształ został z niego usunięty albo rozpadł się w pył. Przyjemna sytuacja, szkoda gadać. Mamy kompletnie bezużyteczną rzecz, a jednak dla innych wartą naszej śmierci.

Chyba że...

Znow poświęciłem wokół. Jeżeli to tylko kwestia znalezienia właściwego kryształu... Wątpiłem, by w dzisiejszych czasach taki kamień leżał pod ręką na półce, ale Wuj Arthur mógłby go skądś wygrzebać.

Puściłem siatkę, zawisłem w powietrzu i otarłem pot z twarzy. Nagle rozległ się zgrzyt metalu o metal. To ten dźwięk usłyszeliśmy z Terą w dużej kuli.

Teraz dochodził z bliska.

Zatoczyłem krąg latarką. Może włączył się jakiś mechanizm? Ale zanim zdążyłem cokolwiek zobaczyć, zapadła cisza. Gwałtowny ruch ramieniem spowodował tylko powolny obrót całego ciała. Zakląłem pod nosem i wyciągnąłem rękę w kierunku siatki.

Moje palce trafiły w próżnię. Nie mogłem jej dosięgnąć.

Wygiąłem się niewygodnie i spróbowałem jeszcze raz. Bez skutku. Zmarszczyłem brwi. To jakiś nonsens. Przecież mimo różnych wygibasów nie oddaliłem się od siatki. Zatem odległość nie mogła się zwiększyć. Podstawowe prawo fizyki.

A jednak brakowało mi pięć centymetrów, by ją chwycić. Nie wpadłem na nią i nie odbiłem się, bo poczułbym zderzenie. Gdyby przesunął mnie prąd powietrza, musiałby być tak silny, że usłyszałbym świst. Mamrocząc przekleństwa, sięgnąłem do pasa z narzędziami po najdłuższą sondę. Zastrane szczęście McKella! Los ubarwiał mi życie komplikacjami, których nie chciałem i nie potrzebowałem. A już na pewno nie miałem na nie czasu. Zaciśnąłem sondę w dłoni i wyprostowałem ramię na całą długość.

Nie dosięgnąłem siatki.

Popatrzyłem na odległość dzielącą ją od sondy i poczułem gorzki smak w ustach. Odsuwałem się od siatki. Bardzo wolno, ale jednak. Teraz widziałem wyraźnie, że się oddala. A przyczyna, mogła być tylko jedna: nagle powstało takie samo pole grawitacyjne, jak w większej kuli obok.

Rozejrzałem się i zatrzymałem wzrok na splotach kabli przechodzących przez siatkę na moją stronę. Nie, to pole było zupełnie inne. Działo dokładnie odwrotnie; wskazywał na to obecny kierunek kabli. Zamiast przyciągać do ścian, odpychało wszystko do środka kuli. Mnie również. Zastanawiałem się, jak to możliwe, ale nic nie wymyśliłem.

Zresztą miałem teraz ważniejsze sprawy na głowie. Kiedy dostrzegę punkt zero, utknę tam na dobre. Niezależnie od tego, w którą stronę się odwrócę, będę patrzył w górę. Nie zdołam odepchnąć się od niczego i zostanę w środku niczym komar w pajęczynie.

Zakląłem najgorszymi słowami, jakie znałem, i rozejrzałem się w świetle latarki, szukając natchnienia. W pobliżu oczywiście zwiisały kable. Teraz bardziej przypominały szuwary niż wodorosty. Ale bałem się ich dotknąć. Nie miałem pojęcia, do

czego służą. Mogłem przyplącić to życiem albo zniszczyć „Icarusa”. Poza tym zorientowałem się, że są już za daleko.

Opanowałem panikę i zmusiłem się do racjonalnego myślenia. Nie byłem w sytuacji bez wyjścia. Tera wiedziała, że tu jestem. Jeśli wkrótce nie wyłonię się stąd, zaczną mnie szukać. To tylko kwestia czasu. Ostrożnie podadzą mi linę, przyciągnę się do siatki, a później dobrnę do otworu wejściowego. Może się okazać, że zabranie jedzenia i wody nie było takim głupim pomysłem.

Zdawało mi się, że dryfuję w powietrzu coraz szybciej. Kątem oka dostrzegłem żółty blask. Odwróciłem głowę. Jeden z wyświetlaczy zmienił się: czerwone symbole zniknęły, i pojawiły się żółte i czarne kwadraty. Po chwili na drugim ukazały się pomarańczowe i czarne. Próbowałem doszukać się jakiegoś sensu w ich ułożeniu, ale nie kojarzyły mi się z niczym.

Od środka kuli dzieliły mnie dwa metry. Nagle zdałem sobie sprawę, że wpadnę na wieloczołnowe ramię, które przecina mi drogę. Oświetliłem je latarką i pot wystąpił mi na czoło. Wcześniej zauważyłem tylko, że składa się z czarnych i srebrnych segmentów. Teraz końcowy, dwudziestocentymetrowy odcinek żarzył się niczym jarzeniówka. Mój czujnik jeszcze niczego nie wykrył, ale z tej odległości nie mógł wyłapać napięcia niższego niż kilkaset wolt. Wprawdzie ramię nie przypominało kabli zasilających, które przedtem omijałem, ale zważywszy jego obce pochodzenie, była to słaba pociecha. Jeśli za chwilę rozbłyśnie z mocą zdolną oświetlić New Cleveland, nie będę miał dokąd uciekać. Przyszło mi do głowy tylko jedno: muszę wyciągnąć rękę, chwycić się go i owinąć ciało dookoła. Lepsze to, niż zderzenie z pełną siłą.

Problem polegał na tym, czy ramię wytrzyma mój ciężar. Jeśli nie jest zbyt mocne, urwie się. Jeśli jednak jest aż tak słabe, to i tak pęknie, kiedy w nie uderzę.

Trudno, trzeba zaryzykować. Zaciśnąłem zęby. Poczulem się tak, jakbym miał złapać śpiącą żmiję. Wyciągnąłem prawą rękę i ostrożnie chwyciłem się ramienia.

Za delikatnie. Było bardziej śliskie, niż mogło się wydawać. Dłoń zaczęła mi się zsuwać w kierunku rozżalonego końca. Zaciśnąłem ją mocniej i spróbowałem podciągnąć wyżej całe ciało. Bez skutku. Zjeżdżałem w dół niczym strażak po słupie.

Niezupełnie tak to zaplanowałem, ale ramię przynajmniej wytrzymało. Nawet nie zgięło się pod moim ciężarem. Skoro tak, to może uda mi się wdrapać po nim do siatki?

Jeżeli przestanę się zsuwać, rzecz jasna. Pomogłem sobie drugą ręką i mocno ścisnąłem śliskie tworzywo.

To nie wystarczyło. Trochę zwolniłem, ale nadal zjeżdżałem. Koniec ramienia zbliżał się nieubłaganie. Jeśli spadnę, przelecę przez środek kuli. Zapewne nic mi się nie stanie, bo nie zderzę się z niczym, ale szkoda czasu. Będę musiał czekać, aż pole grawitacyjne powoli mnie zatrzyma i odepchnie z powrotem.

Dotarłem niemal do końca ramienia. Pozostała mi ostatnia szansa. Zaciśnąłem palce z całej siły.

Efekt był taki, jakbym chwycił goły przewód pod napięciem stu volt. Poczulem mrowienie w całym ciele, włosy zjeżyły mi się na karku i rękach, i omal nie zacząłem szczekać zębami. Najsmutniejsze było to, że mimo przesadnej wręcz ostrożności, jednak nadziałem się na odizolowany kabel. Co gorsza, wcale nie przypadkiem.

Jakaś cząstka mojego umysłu nie uległa panice. Uświadomiłem sobie, że jeśli nawet doznałem porażenia prądem, to takiego jeszcze nie przeżyłem. Po pierwsze, nie czułem bólu. Po drugie, mrowienie rozchodziło się po całym ciele, a nie tylko po ramionach i piersi, jak zazwyczaj. Rozległ się jakby daleki trzask pioruna i zapadła ciemność.

Nie na długo. Prawie natychmiast znów rozbłysły światła. Nie tak ostre, jak promień mojej latarki, lecz łagodne i przyćmione. Przez sekundę myślałem, że może straciłem przytomność, ale nie pamiętałem momentu omdlenia i ocknięcia się.

Nagle zauważyłem, że pasiaste ramię z pułapką na końcu zniknęło. Płatania kabli i monitory również. Mała kula zupełnie opustoszała.

Jeżeli to nadal była mała kula.

Na wprost zobaczyłem znajomą krzywiznę szarego kadłuba. Zatem jednak zemdlałem, przynajmniej na chwilę. Prąd musiał mnie kopnąć tak, że wylądowałem z powrotem w środku dużej kuli rezonansowej „Icarusa”. Skrzywiłem się na myśl, ile przewodów rozrwałem. Cud, że po drodze nie doznałem śmiertelnego porażenia.

Gdyby stało się tak, że zniszczyłem jakieś obwody i unieruchomiłem na dobre napęd gwiazdny, to mogłem niedługo poża-

łować, że nie usmażyłem się żywcem. Obróciłem się dookoła niczym pływak, stosując typową technikę manewrowania w zerowej grawitacji, i skierowałem w kierunku otworu wejściowego. Dziwiłem się, że nie słyszę krzyku Tery.

Powód był bardzo prosty: zniknęła.

Podobnie jak skrzynka narzędzi, którą zostawiłem obok wejścia. A także komputer pokładowy, sterty płyt z rozbiórki statku i stopy urządzeń mechanicznych.

Owszem, znajdowałem się w dużej kuli. Tyle, że nie w „Icarusie”.

Do zdumienia dołączyło znajome uczucie opadania: pole grawitacyjne kuli przyciągało mnie wolno do jej wewnętrznej powierzchni. Za wolno, jak na osiemdziesięciopięcioprocentową grawitację w „Icarusie”. To przyciąganie stanowczo działało słabiej. Ale metr od powierzchni pole raptownie zwiększyło siłę. Ledwo zdążyłem ugiąć kolana, gdy z głuchym łoskotem uderzyłem o metal. Pole grawitacyjne miało wyraźnie zróżnicowaną moc przyciągania promieniowego, choć nawet nie próbowałem zgadywać, jak to możliwe.

Kiedy echo mojego upadku zamilkło, usłyszałem inny dźwięk. Cichy i daleki, ale dobrze mi znany. Popiskiwanie dochodziło od strony otworu wejściowego do mniejszej kuli.

Pax!

Zrobiłem dwa kroki w tamtym kierunku i odruchowo wyciągnąłem pistolet. Bóg raczy wiedzieć, po co. Z pewnością nie zamierzałem nikogo zastrzelić. Ani nawet grozić komukolwiek bronią. Chciałem jedynie sprawdzić, co tam się dzieje, do cholery.

Ostatnie trzy metry pokonałem skulony. Pilnie nasłuchiwałem, a w uszach dudniły mi uderzenia własnego serca. Dobiegło mnie ciche posapywanie fretki i jakiś ruch. Nie otworzyłem ognia, choć nie wiedziałem, czy potencjalny przeciwnik ma też skrupuły. Położyłem się płasko na pokładzie i ostrożnie zajrzałem do otworu.

Na pierwszy rzut oka wewnątrz małej kuli w niczym nie przypominało „Icarusa”. Dopiero po chwili zauważyłem, że tu również biegają metry kabli. Ale nie tworzyły już nieprzebytej dżungli. Były porządnie poprowadzone wzdłuż wewnętrznej powierzchni i trzymała je siatka bardziej naciągnięta, niż ta, przez którą przedostałem się wcześniej. Wisiały na niej takie same wyświetlacze,

rzucające różnobarwną poświatę. Sterczało tu również wieloczęnowe ramię składające się z czarnych i srebrnych segmentów. Pochylało się lekko od siatki do środka.

Ściśnięte razem przewody przyciągały wzrok bogactwem kolorów. Może dlatego nie od razu dostrzegłem ruch na prawo od siebie. W moją stronę zmierzał Pax. Cały i zdrowy. Stapał rażno po siatce i ciekawie obwąchiwał wszystko dookoła.

– Witaj, McKell – rozległo się tak nieoczekiwanie, że aż podskoczyłem. – Nie spieszyłeś się tutaj.

Odwrociłem głowę. W jednej czwartej drogi wokół kuli ktoś siedział na siatce. Był ledwo widoczny w blasku wyświetlaczy. Wpatrywał się w jeden z nich i szybko gryzmołił w notesie, który trzymał na kolanach.

Znalazłem Arno Camerona.

1 7

Sytuacja wymagała albo błyskotliwego komentarza, albo całkowitego milczenia. Nie potrafiłem wymyślić nic mądrego ani dowcipnego, wołałem więc nie otwierać ust. Schowałem pistolet i niepewnie ruszyłem naprzód. Obawiałem się, że przejście z jednej kuli do drugiej może być zdradliwe.

Okazało się dużo łatwiejsze, niż się spodziewałem. W przeciwnieństwie do małej kuli „Icarusa”, pole grawitacyjne przyciągało mnie do powierzchni zamiast do środka. Przy gramoleniu się przez otwór wejściowy poczułem tylko lekką dezorientację.

Fretkę wyraźnie ucieszył widok kogoś znajomego, bo gwałtownie polizała mnie po twarzy. Odpoczywałem niespełna minutę po forsownej gimnastyce i czułem powitaniu, zanim wydobyłem z siebie głos. Wstałem ostrożnie z siatki i spojrzałem na Camerona.

– I co teraz? – zapytałem.

Miało to zabrzmieć swobodnie i żartobliwie, jakbym co dzień przeżywał podobne przygody. Tymczasem wychrypiąłem te słowa niczym przestraszony nastolatek, przyłapany przez rodziców na pierwszej randce.

Cameron uśmiechnął się i odłożył notes.

– Krzyczałem i płakałem przez pół godziny, kiedy tu wylądowałem – powiedział. – Jeśli to poprawi twoje samopoczucie.

– Dzięki, ale moją godność i tak już spisałem na straty – odparłem. Tym razem zabrzmiało to lepiej. – Teraz bardziej obchodzi mnie życie, wolność oraz pościg zachłannych Patthów i ich mściwych kumpli.

Rozejrzałem się.

– I szczerze mówiąc, wolałbym nie wplątać się w coś, co tak bardzo przeraziło Arno Camerona.

– Bez obaw, nie jest tak źle, jak początkowo myślałem – uspokoił mnie i lekko uniośł brwi. – Widzę, że wiesz, kim jestem. Co jeszcze wiesz?

Wzruszyłem ramionami.

– Że rzekoma specjalistka komputerowa Tera to pańska córka, Elaina Tera Cameron. – Spojrzałem pod nogi. – Można po tym bezpiecznie chodzić?

– Jak najbardziej – zapewnił. – Radziłbym unikać wchodzenia na wyświetlacze, ale reszta jest mocna niczym nasza waluta.

Przyjrzałem się z powątpiewaniem różnokolorowej płataninie pode mną.

– Te druty nie pękają ani nie poluzują się?

– Miałem mnóstwo czasu na zbadanie tego – odrzekł. – Możesz mi wierzyć, że są tak solidne, jak w „Icarusie”.

– Aha... – Z wahaniem zrobiłem krok w jego kierunku. – Innymi słowy, cały mój wysiłek, żeby zachować nadzwyczajną ostrożność w kuli „Icarusa”, poszedł na marne?

Wzruszył ramionami.

– Jeśli chcesz na to spojrzeć w ten sposób... Osobiście uważam, że żaden wysiłek nie idzie na marne.

– Jasne – mruknąłem powściągliwie. Przewody pod moimi stopami ugięły się lekko, lecz rzeczywiście sprawiały wrażenie wytrzymałych. Mimo to wolałem nie ryzykować; szedłem wolno i nieufnie. Ocenilem, że działa tu taka sama, osiemdziesięciopięcioprocentowa grawitacja, jak w dużej kuli „Icarusa”.

– Elaina zdradziła ci więc, kim jest – odezwał się Cameron. – Trochę mnie zaskoczyła. Zakazałem jej tego dość wyraźnie.

– To było nieco bardziej skomplikowane – odpowiedziałem bez wdawania się w szczegóły. – Żebyśmy nie tracili czasu, powiem od razu, że wiem, jak dwukrotnie przemyśliście „Icarusa” na Meimę: najpierw w częściach, potem po zrobieniu pętli orbitalnej. Patthowie aż się palą, żeby go dostać w swoje łapy.

Rozejrzałem się po kuli.

– I nawet myślałem, że wiem, dlaczego. Ale widzę, że się pomyliłem.

Cameron odetchnął głośno.

– Jak my wszyscy, mój chłopcze. Czy w ogóle orientujesz się, gdzie teraz jesteśmy?

– Najwyraźniej w innym obcym obiekcie. Co oznacza, że zamiast zwykłego, małego napędu gwiazdowego, wykopaliście coś w rodzaju świętego Graala ujednocionej teorii pola Einsteina-Bashermaina.

– Interesujące i związane przedstawienie sprawy – stwierdził Cameron. – Tak, tkwimy wewnątrz fizycznego dowodu na to, że te wszystkie egzotyczne teorie teleportacji i czarnych dziur to nie tylko konstrukcje matematyczne. Kiedy świat nauki dowie się o tym, wybuchnie prawdziwa wojna między zwolennikami i przeciwnikami uznania tego faktu.

– Jeżeli kiedykolwiek się dowie – zauważyłem ponuro. Dotarłem do niego, usiadłem naprzeciwko, i obrzuciłem go szybkim spojrzeniem. Miałem nadzieję, że dyskretnym. Kiepsko wyglądał. Był błąd, wymizerowany i zarośnięty. Nie podniósł się. Zastanawiałem się, czy jest aż tak słaby. – Jeśli Patthowie są gotowi zabić dla szybszego napędu gwiazdowego, to co dopiero dla gwiazdnych wrót.

– Patthowie czy ktokolwiek inny – przyznał z grymasem. – Dlatego musimy dostarczyć „Icarusa” na Ziemię, zanim ktoś orientuje się, co to jest.

Odchrząknąłem.

– Widzę co najmniej dwa problemy. Wie pan, jak daleko jesteśmy od „Icarusa”?

– Wiem tylko, że dość daleko. – Wskazał większą kulę. – Są tam małe, ukryte iluminatory. Znalazłem sposób, żeby je otworzyć. Przez ostatnie dwa dni szukałem jakiejś znajomej konstelacji, ale bez skutku.

– Domyślam się, że nie chodzi panu tylko o konstelacje ziemskie? – spytałem dla pewności.

Uśmiechnął się słabo.

– Prześledziłem całą Spiralę od krańca do krańca, McKell. Powtarzam: nie natrafiłem na nic znajomego.

Poczułem ucisk w gardle.

– Wspaniale – mruknąłem. – Mam nadzieję, że nie zapuściłiśmy się na czyjeś terytorium.

– To nie byłoby bezpieczne – zgodził się. – Ale siedzę tu od jedenastu dni i poza tobą i tym małym stworzonkiem nikt się nie pojawił.

Nagle zmarszczył brwi.

– Jedenaście dni temu lądowaliśmy na Potosi, prawda? Traci się tu poczucie czasu.

– Zgadza się – potwierdziłem. – Rozumiem, że ten mały skok w bok nie był wcześniej planowany?

Parsknął.

– A myślisz, że mogło tak być?

– Biorąc pod uwagę tę całą konspirację pańską i córki, pomyślałem, że warto zapytać. Jak pan właściwie wpadł do tej nory?

Skrzywił się.

– Wśliznąłem się do małej kuli „Icarusa” tuż przed odlotem z Potosi. Zaraz po spotkaniu z niedoszłym mordercą. Przebrnąłem przez druty...

Włosy zjeżyły mi się na karku.

– Zaraz, zaraz... – przerwałem mu. – Jak to, z niedoszłym mordercą?

– Z człowiekiem, który najwyraźniej próbował otruć jednego z waszych załogantów. W kabinie numer siedem na dolnym pokładzie. Nie wiedzieliście?

Kabina Ixila.

– Wiedzieliśmy, że stało się tam coś dziwnego – odpowiedziałem ponuro. – Nic z tego nie rozumieliśmy. Może oświeci mnie pan?

Wzruszył ramionami.

– Niewiele mogę powiedzieć. Elaina zawiadomiła mnie, że wszyscy idą szukać uciekiniera. Chyba nazywa się Shawn, ten chory. Już wcześniej postanowiłem przenieść się chwilowo do małej kuli. Zaczekałem, aż statek opustoszeje i zszedłem na dolny pokład po zapas jedzenia.

– Jak pan wyszedł z przestrzeni międzykadłubowej? – zapytałem. – Przez dawną kabinę Jonesa, numer dwa?

– Tak. Widzę, że Elaina zdradziła ci również to. Zapewne to ty mnie ścigałeś między kadłubami?

– Zgadza się – przytaknąłem.

– Tak podejrzewałem. Omal mnie nie złapałeś. Zdałem sobie sprawę, że przestrzeń międzykadłubowa nie jest bezpieczną kryjówką. Kabina Jonesa też nie. Dlatego wybrałem małą kulę. Na dolnym pokładzie wszystkie światła były zgaszzone. Przy drzwiach kabiny numer siedem majstrował jakiś mężczyzna z małą latarką.

Serce zabiło mi żywiej.

– Rozpoznał go pan? – zapytałem z nadzieją. Może wreszcie będę mógł kogoś powiązać z zabójstwem Jonesa.

Niestety.

Cameron pokręcił głową.

– Przykro mi, latarka świeciła w dół. Zobaczyłem tylko ciemną, przykucniętą postać. Wprawdzie w nikłej poświacie dostrzegłem twarz, ale nie wyglądała znajomo. Może na pokład zakradł się ktoś z obsługi naziemnej?

Zacisnąłem zęby. Co za rozczarowanie.

– To niemożliwe. Po wyjściu załoga zablokowała włącznik – wyjaśniłem. – Ktoś z naszych musiałby wrócić, żeby go wypuścić.

Cameron przyjrzał mi się uważnie.

– Morderca Jonesa?

– Morderca i współnik innego zabójstwa razem w statku wielkości „Icarusa”? Raczej mało prawdopodobny zbieg okoliczności – odparłem kwaśno. – Ale niech będzie; nasz morderca ma przyjaciół. Kto nie ma? Co było dalej?

– Z pewnością myślał, że jest zupełnie sam na pokładzie, bo całkowicie pochłaniało go to, co robił. Spozstrzegł mnie dopiero, kiedy podszedłem bardzo blisko. Wepchnął w szparę drzwi wielki klucz i próbował je otworzyć. A, prawda... Zapomniałem dodać, że odsuwały się tylko częściowo, jakby...

– Wiem – przerwałem mu. – Sam je tak nastawiłem.

– Aha... – Spojrzał na mnie dziwnie i wzruszył ramionami. – Odwrócił się, gdy byłem dwa kroki od niego. Myślałem, że już nie dojdę dalej. Chwytał klucz, ale na moje szczęście nie mógł go

wyszarpnąć ze szpary. Spróbował podważyć ramieniem. Wtedy skoczyłem i uderzyłem go kantem dłoni w szyję.

Zerknąłem krytycznie na jego ręce. Owszem, miał spore mięśnie, ale jakby trochę mniejsze, niż przy naszym spotkaniu na Meimie.

– Zapewne skutecznie?

– O dziwo, tak – przyznał. – Zwłaszcza że oślepiła mnie lartarka. Na wszelki wypadek przyłożyłem mu jeszcze kilka razy. Odetchnąłem z ulgą, kiedy znieruchomiał na pokładzie.

– To bardzo przyjemny moment – zgodziłem się. – Rozpoznałby go pan?

– Wątpię. Nie przyjrzałem mu się dobrze. Zresztą, pewnie już go nie spotkamy. Podejrzewam, że prysnął, jak tylko się ocknął. Chyba że „Icarus” ma nowego pasażera.

– Na pewno nie – zaprzeczyłem z przekonaniem.

Rozłożył ręce.

– Trudno. Przyznasz, że Spirala jest wystarczająco duża, by mógł ukryć się w niej pojedynczy człowiek.

– Kiedyś uważałem, że jest wystarczająco duża, by mógł ukryć się w niej pojedynczy statek gwiazdny – wtrąciłem. – Myliłem się. Co pan zrobił potem?

– Gdy stracił przytomność, zobaczyłem na podłodze dwie buteleczki. Obejrzałem je. Wtedy pozbyłem się jakichkolwiek wyrzutów sumienia, że go ogłuszyłem. Przygotowywał gaz cyjankowy.

Wiedziałem, że muszę się spieszyć. Lada chwila mógł się ocknąć. Mogła też wrócić załoga. Nie miałem czym go związać, a chciałem mu pokrzyżować plany. Drzwi pozostały uchylone, wrzuciłem więc buteleczki jak najdalej do kabiny, żeby ich nie dosięgnął. Wyszarpnąłem klucz i drzwi się zasunęły. Wolałem nie ryzykować, że je otworzy. Wyciągnąłem kostkę z włącznika i też wrzuciłem do kabiny. Resztę mechanizmu roztrzaskałem.

– Zostawił pan po sobie niezłą zagadkę – mruknąłem. – Wychodziliśmy z siebie, żeby ją rozwikłać.

– Przepraszam. Mogę tylko powiedzieć, że nie zamierzałem być taki tajemniczy. Miałem schować się na dzień lub dwa, dopóki nie przeszukasz przestrzeni międzykadłubowej. Nie przyłapałbyś pasażera na gapę i pomyślałbyś, że ścigałeś kogoś z załogi. Wtedy wróciłbym do starej kryjówki. Opowiedziałbym wszystko Elainie,

a ona znalazłaby sposób, żeby cię ostrzec przed przyszłymi atakami na statek.

Cameron pokręcił głową. Mówił z wyraźnym trudem.

– Niestety mój plan nie wypalił. Przedostałem się przez gąszcz kabli do pustej przestrzeni. Nagle włączyła się grawitacja. Ciągnęła mnie do środka kuli. Chwyciłem się pasiastego ramienia. Musiałem przypadkiem włączyć mechanizm na jego końcu i znalazłem się tutaj.

– Daleko od czegokolwiek – westchnąłem i przyjrzałem się jego zapadniętym policzkom. – Nie wspominając o najbliższym sklepie spożywczym. Cud, że jeszcze nie umarł pan z głodu.

– Ostatnio rzeczywiście jadam skromnie – przyznał. – Nie planowałem długiego pobytu w tym miejscu, choć oczywiście uwzględniłem szeroki margines błędu. Ale nie aż tak szeroki. – Wskazał mój bagaż. – Czy to nie butelka z wodą?

Zupełnie zapomniałem o niej i o batonach.

– Tak, proszę... – wręczyłem mu wodę z lekką niechęcią samoluba. Porcja ledwo wystarczała dla jednej osoby, a co dopiero dla dwóch. – Pańska córka ma chyba dar jasnowidzenia – dodałem, kiedy pił łączywie. – Chciałem tylko zajrzeć na chwilę do małej kuli, a jednak wyposażyla mnie jak na obóz szkoły przetrwania.

Milczał, zajęty piciem. Rozejrzałem się. Tym razem dostrzegłem materac turystyczny i katalityczne urządzenie do likwidacji odpadków, niezbyt widoczne w blasku wyświetlaczy.

– Niech ją Bóg błogosławi – powiedział Cameron, gdy wreszcie złapał oddech. Zauważyłem z zazdrością, że wydoił jedną trzecią butelki. – Na szczęście nie będziemy tego potrzebować.

Zmarszczyłem brwi.

– Co pan ma na myśli?

– Wracamy do domu. – Wypił następny łyk. Dobrze, że mały. – Jak tylko pozbieramy moje rzeczy.

– Naprawdę? – zapytałem, siląc się na obojętny ton. Jeszcze nie widziałem, żeby komuś zupełnie odbiło w ciągu jednego mrugnięcia okiem. Cameron musiał chyba zwariować, zanim tu wszedłem. – Ciekawe, jak?

– Nie, nie, McKell, nie oszalałem – uspokoił mnie. Wyciągnął rękę w prawo. – Popatrz.

Spojrzałem tam, gdzie wycelował palec. Na jednym z wyświetlaczy widniały żółte i czarne kwadraty.

– Widzę. Co to jest?

– Wskazanie miejsca przeznaczenia. Określone wrota gwiazdne, do których wyruszysz, jeśli zsuniesz się po wieloczołowym ramieniu i uruchomisz mechanizm. Teraz spójrz na wyświetlacz po lewej.

Zobaczyłem same czarne kwadraty ułożone identycznie, jak te obok.

– No i...?

– To kod identyfikacyjny wrót, które właśnie przekroczyłeś. Niestety, z powodu wady konstrukcyjnej lub awarii ekran świeci się tylko przez kilka minut po podróży i gaśnie. Dlatego nie mogłem wrócić. Zanim zrozumiałem, co pokazuje wyświetlacz, było za późno. Chociaż...

Zmarszczyłem brwi.

– Zaraz, zaraz... Skąd pan to wszystko wie? Tera mówiła, że archeolodzy na Meimie niewiele ustalili.

Wzruszył ramionami.

– Nie zapominaj, że siedzę tu od jedenastu dni. Musiałem znaleźć sobie zajęcie. Pewnie nie wiesz, że kiedyś uzyskałem stopień naukowy w Akademii Studiów nad Obcymi. W młodości dokonałem wielu odkryć archeologicznych i przetłumaczyłem sporo tekstów z ich języka.

Najwyraźniej ta gadka miała wyrzucić na mnie wrażenie i uspić moją czujność. Ale nie byłem w nastroju do zachwycania się czyimiś osiągnięciami, a uspienie mojej czujności nie wchodziło w rachubę.

– To zwykle wciskanie kitu, i pan dobrze o tym wie – powiedziałem prosto z mostu. – Zaliczył pan jeden cykl wykładów z archeologii i trzy z językoznawstwa obcych. Ale ta nauka obejmowała znane gatunki i nie miała nic wspólnego z rozszyfrowywaniem nieznanego pisma. Otrzymał pan honorowy tytuł naukowy po wpłaceniu na konto Uniwersytetu Kaplanina pięćdziesięciu milionów na nowy ośrodek badań archeologicznych.

Rysy mu stwardniały.

– Jesteś doskonale poinformowany. Ciekawe, skąd to wygrzebałeś i po co?

– To bardzo proste – odparłem. – Moi znajomi mają dobrą pamięć, a ja lubię sprawdzać, dla kogo pracuję. Niech pan sobie daruje te bajki. Nie ze mną takie numery.

Przyjrzał mi się badawczo.

– Sam widzisz, dlaczego trzymam wszystko w tajemnicy. – Zatoczył ręką krąg. – A co ty masz na swoje usprawiedliwienie?

– Podoba mi się życie – odpowiedziałem. – Niekoniecznie takie, jakie teraz prowadzę, ale sam pomysł kontynuowania egzystencji.

– A jakie teraz prowadzisz?

– Trochę niuregulowane. Odbiegamy od tematu. Skąd pan tyle wie o gwiazdnych wrotach?

Przez kilka sekund mierzyliśmy się wzrokiem. Poddał się pierwszy, jakby zmęczyło go przeciąganie tej milczącej walki.

– Elaina nie zna całej prawdy. Zanim przyleciałem z ekipą na Meimę, żeby zbudować „Icarusa”, archeolodzy już rozszyfrowali większość pisma obcych. Zdobyliśmy wiele informacji o działaniu wnętrza obiektu.

Ściągnął usta.

– Ciągle jednak myśleliśmy, że mamy do czynienia z nowym napędem gwiazdnym. I że wyświetlacze służą do nawigacji, pokazują cel podróży.

– Zatem gdzie są te informacje? – zapytałem. – Chyba nie zamierza mi pan wmówić, że tylko w pańskiej głowie?

Przyjrzał mi się podejrzliwie.

– A dlaczego chcesz wiedzieć?

– Na wypadek, gdyby coś się panu stało – wyjaśniłem cierpliwie. – Nie mam pojęcia, czy pan wie, że jest teraz ostatnim Mohikaninem. Reszta pańskiej grupy wpadła w ręce Ihmisitów, może już nawet Patthów; nie śledzę wypadków na bieżąco. Jeśli złąpią również pana, będą mieć komplet.

– A jeśli ty się dowiesz, gdzie są dane, możesz nie oprzeć się pokusie przehandlowania ich za własne życie, na którym ci tak zależy – skontrolował. – Lepiej zachowam to w sekrecie. Przynajmniej na razie.

Parsknąłem.

– Samotne stawianie czoła hordom najeźdźców jest bardzo melodramatyczne, ale zupełnie bez sensu, Cameron. Niech pan

spojrzy prawdzie w oczy. Jest pan w niebezpieczeństwie i stoi na przegranej pozycji. Musi pan pogodzić się z tym i zaufać komuś. W tej chwili ma pan tylko mnie.

Uciekł wzrokiem w bok.

– To racja... – westchnął. – No dobrze; dane są zaszyfrowane w moim notesie. Jeśli coś mi się stanie, Elaina lub mój asystent Stan Avery potrafią je odczytać.

Skinąłem głową.

– Rozumiem. – Mogłem się założyć, że nie powiedział mi wszystkiego; zbyt łatwo uległ. Ale pewnie przynajmniej część była prawdą. Na razie musiało mi to wystarczyć. – W porządku. Kiedy wrócę do „Icarusa”, przyślę panu jedzenie i wodę. Czy pańska mała toaleta jeszcze działa?

Nagle stężyły mu rysy.

– Chwileczkę. Jak to, kiedy wrócisz na „Icarusa”? Wrócimy tam razem. Nikt nie musi tu zostawać, żeby obsługiwać to urządzenie.

Pokręciłem głową.

– Przykro mi, ale pan jeszcze nie może się tam pokazać. I zapomniałem powiedzieć, że rozmontowaliśmy wnętrze. To bardzo ułatwia powrót, ale uniemożliwia ukrycie się. Jeśli nagle się pan ujawni, ktoś poskłada kawałki w jedną całość.

– A co z mniejszą kulą? – zapytał tonem człowieka, który chwyta się ostatniej deski ratunku.

– Poza tym... – ciągnąłem, wskazując notes – ...tylko pan ma klucz do tej bomby zegarowej. Proszę nie zapominać, że na pokładzie jest morderca. Im dalej będzie pan od niego, tym lepiej.

Wyglądał na załamane, ale byłem pewien, że przyzna mi rację. Co znaczy kilka dni odosobnienia w porównaniu z nożem w plecach? Powoli wziął się w garść.

– Słusznie – westchnął. – Zostanę tutaj. Tylko na jak długo?

– Dopóki nie znajdziemy bezpiecznego lądowiska. Bez obaw, dam panu znać.

Spróbował się uśmiechnąć.

– Lepiej nie zapomnij. Nie ma tu zbyt ciekawych widoków.

– Może pan nadawać nazwy nowym konstelacjom – podsunąłem i wstałem. – Jak mam stąd zniknąć?

Wskazał wielocłonowe ramię. Sterczało dwadzieścia metrów nad nami i celowało w środek kuli.

– Twój punkt docelowy już zakodowałem, chyba więc wystarczy, że wdrapiasz się tam i uruchomisz mechanizm. Zrobisz to samo, co w „Icarusie”.

Niestety pole grawitacyjne działało tam w odwrotnym kierunku. Wyglądało na to, że czeka mnie długa wspinaczka.

– Jasne – zgodziłem się. – Niech pan się nie denerwuje, jeśli dostarczenie jedzenia zajmie mi kilka godzin. Na pokładzie trudno teraz o chwilę samotności, a nie chcę, żeby ktoś mnie nakrył przy robieniu paczki żywnościowej. Mógłby dojść do fałszywych wniosków.

– Albo do właściwych – dodał.

Skinąłem głową.

– Tym gorzej.

Przez jego twarz przemknął cień troski.

– Uspokoisz moją córkę, że ze mną wszystko w porządku? Prawie nie rozmawialiśmy od początku podróży. Nie mieliśmy wielu okazji. Na pewno martwi się o mnie.

– A pan o nią? – domyśliłem się.

– Bardzo – przyznał cicho. – Byłbym wdzięczny, gdybyś nad nią czuwał.

– Może pan na mnie liczyć – obiecałem.

Przez chwilę badał mnie wzrokiem. Pewnie zastanawiał się, czy może mi zaufać. Wytrzymałem jego spojrzenie z kamienną twarzą. Po kilku uderzeniach serca skinął głową.

– W porządku – westchnął. – Ruszaj.

Gwizdnąłem na Paxa. Wyłonił się z płataniny kabli i przybiegł do mnie z entuzjazmem. Podniosłem go, zanim zdążył zaatakować moją nogę, i usadowiłem w zgięciu łokcia.

– Dam panu znać, kiedy będzie można wyjść – powiedziałem do Camerona i ruszyłem po krzywiźnie kuli w stronę ramienia. – Albo osobiście, albo przysyłę którąś z fretek.

– Czekam na wiadomość. Powodzenia.

– Wzajemnie – odrzekłem. Wyciągnąłem wolną rękę, oplótłem nogami wieloczołowe ramię, i podjąłem niewygodną wspinaczkę.

Niewygodna nie trwała długo. Niemal natychmiast poczułem, że jestem w stanie nieważkości. Przez pięć sekund wisiałem w zerowej grawitacji, potem przyciąganie znów zaczęło działać. Tym razem było skierowane do środka kuli. Odwróciłem się szybko.

Cameron pozostał na wewnętrznej powierzchni, choć rozdziawił usta. Nie wiem, czy dwuwarstwowa, sztuczna grawitacja w tym worku pełnym niespodzianek powinna mnie zaskoczyć, ale tak się stało. Siła przyciągania równała się mniej więcej tej w „Icarusie”. Ciągnęła mnie do środka, lecz nie miałem uczucia niekontrolowanego opadania. Spokojnie zjeżdżaliśmy z Paxem w dół. Spojrzałem w górę na Camerona. Zastanawiałem się, czy zauważył, iż nie obiecałem, że nie powiem Terze, gdzie go znalazłem.

Nie zamierzałem jej wyjawić, czym naprawdę jest „Icarus”. O tym nie mogło być nawet mowy. Z tej prostej przyczyny, że wtedy zdradziłbym, co wiem. Jako nowoczesny – choć może nieczynny – napęd gwiazdny, „Icarus” miał dużą chociaż trudną do określenia wartość. Jako funkcjonujące gwiazdne wrota był wręcz bezcenny.

Nie chciałem, żeby Tera uświadomiła sobie, że teraz cena wywoławcza „Icarusa” przekracza o lata świetlne mój żaloszny dług wobec Brata Johna i organizacji Antoniewicza. Za tak astronomiczną sumę wykupiłbym się z ich łap, zapewnił sobie nietykalność władz, i spędził resztę życia w luksusie.

Dotarłem do końca ramienia, ścisnąłem je, i po raz ostatni zerknąłem na Camerona. Nie miał pojęcia, co wiedziała o mnie jego córka. Ale kiedy poczułem mrowienie i wokół zapadła ciemność, zastanowiłem się, czy nie domyśla się prawdy.

1 8

Powrót do „Icarusa” nie trwał zapewne dłużej, niż podróż w przeciwnym kierunku. Mówię „zapewne”, bo wydawał się zdecydowanie dłuższy. Częściowo dlatego, że już wiedziałem, czego się spodziewać, i niecierpliwie czekałem na koniec trasy. A częściowo dlatego, że teraz towarzyszyła mi fretka. Na uczucie mrowienia reagowała wbijaniem pazurków w każdy centymetr mojej skóry, który miała w zasięgu łapek.

Za główną przyczynę uznałbym jednak niemiłą świadomość, że błąd w obliczeniach Camerona może mnie wpakować w poważne

kłopoty. Gdyby domyślał się, że nie jestem dokładnie tym, kogo wynajął na Meimie, mógłby mnie nie chcieć na pokładzie swojego statku. Wtedy wystarczyłaby drobna „pomyłka” przy wprowadzaniu kodu, żeby pozbyć się mnie na dobre.

Ale pazurki Paxa nie wyrządziły mi krzywdy, a Cameron nie popełnił błędu ani przypadkiem, ani celowo. Pode mną, za otworem wejściowym, czekały sterty płyt z demontażu wnętrza statku, stopy urządzeń i archaiczny komputer.

Na szczęście nie wylądowałem w niewłaściwych wrotach gwiazdnych na niewłaściwym krańcu wszechświata. Za to miałem teraz inny problem: jak wytłumaczyć Terze mój nagły powrót bez zdradzania, gdzie byłem. Odetchnąłem z ulgą, kiedy okazało się, że na mnie nie czeka. Przez moment obawiałem się, czy nie weszła za mną do małej kuli, lecz kiedy zacząłem znajome, powolne dryfowanie w dół, uspokoiłem się. Pewnie poszła do drugiego otworu w maszynowni, żeby sprawdzić, czy nie wyjdę tamtędy.

Widocznie szczęście nadal uśmiechało się do mnie. Może tylko po to, żeby uspić moją czujność.

Tym razem przygotowałem się na gwałtowny wzrost siły przyciągania na ostatnim metrze. Wylądowałem bezpiecznie na powierzchni i ruszyłem przez tor przeszkód w kierunku panelu wejściowego. Nagle uniosła się kłapa do tunelu. Niech to szlag trafi! Zaraz pojawi się Tera i zaczniesz zadawać pytania, na które nie mam ochoty odpowiadać.

Ale los sprawił mi miłą niespodziankę. Zamiast Tery, z zerowej grawitacji tunelu wygramolił się Chort. Miał na sobie kombinizon, a zdjęty hełm podrygiwał na jego łopatkach.

– O, jest pan, kapitanie McKell... – wysapała na mój widok. – Spodziewałem się, że tu pana znajde.

Powstrzymałem się od uwagi, że raczej nie mogę być gdzie indziej. Zabrzmiałoby to sarkastycznie, a zważywszy, gdzie spędziłem ostatnią godzinę, nie byłoby szczerze. Postawiłem Paxa na twardym gruncie.

– Jakiś problem?

Wciągnął się do kuli i wstał.

– Musimy opuścić to miejsce. Jak najszybciej.

Zmarszczyłem brwi.

– Już skończyliście osłonę?

Pokręcił głową.

– Nie całkiem. Ale więcej nie zrobimy. Specjalista elektrotechnik Shawn zachorował.

Skrzywiłem się. Tak mnie pochłoneła podróż donikąd i z powrotem, że prawie zapomniałem o tym problemie.

– Bardzo z nim źle?

– Niedługo sam pan się przekona – odrzekł Chort. Jego głos świszcział bardziej niż zwykle. – Specjalista silnikowiec Nicabar wciągnie go do środka, jak tylko minie mu atak.

Włosy zjeżyły mi się na karku. Jaki znów atak? To coś nowego.

– Nie trzeba Revsowi pomóc?

Chort znów pokręcił głową.

– Zapewnił mnie, że sam sobie poradzi. Ale musimy jak najszybciej zdobyć lekarstwo.

– Rozumiem... – Podeszedłem do komputera i połączyłem się interkodem z maszynownią. – Ixil?

– Nareszcie jesteś – odpowiedział mi głos Tery. – Gdzie byłeś?

– A jak myślisz? – parsknąłem. – W środku tej cholernej kuli. Wyplątywałem tę cholerną fretkę Ixila z tego cholernego gąszczu drutów. A co? Za długo grzebałem się z tym jak na twój gust? Dawaj Ixila.

Nie odezwała się. Wyobrażałem sobie, jak ją zamurowało. Nie spodziewała się takiego wybuchu z mojej strony. Przez moment czułem się winny, ale miałem teraz ważniejsze problemy, niż wyrzuty sumienia.

– Tak, Jordan? – zameldował się Ixil.

– Podobno Shawn ma jakiś atak – poinformowałem. – Revs wciągnie go do środka, gdy tylko to minie. Zacznij odpalać silniki i napęd gwiazdny. I przyślij tu Everetta i Terę, zanim zamkniemy tunel.

– Zrozumiałem. Już idą.

– W porządku. Aha... i znalazłem Paxa. Jest cały i zdrowy. – Nagle coś przyszło mi do głowy. – Przyniosę ci go za minutę.

Wyłączyłem się, zanim zdążył zapytać, dlaczego zamierzam się fatygować, zamiast zająć się nawigacją.

– Co mam robić? – spytał Chort.

Wskazałem stertę sprzętów z ambulatorium.

– Przygotuj stół zabiegowy. Potem będziesz asystował Everettowi. Zaniosę Paxa Ixilowi, bo może go potrzebować.

Nie musiałem używać tej kiepskiej wymówki. Chort chyba nawet jej nie usłyszał. Pobiegł szybko po krzywiznie kuli. Poszedłem w przeciwnym kierunku. Obok mojej kabiny leżały zapasy jedzenia. Nadarzała się być może jedyna okazja, by zaopatrzyć Camerona.

Skończyłem wypychać torbę batonami i butelkami z wodą, gdy z tunelu wyłonili się Tera i Everett. Nasz medyk popędził prosto do Chorta i swojego królestwa. Tera oczywiście ruszyła prosto do mnie.

Wyszedłem jej na spotkanie.

– No i...? – zapytała z niepokojem, jakby oczekiwała najgorszego.

Pokręciłem głową.

– Nie znalazłem go tam. Ani żywego, ani martwego, ani ranego.

Wyraźnie trochę jej ulżyło.

– To gdzie on jest?

– Nie wiem – skłamałem. – Może jednak wysiadł na Potosi. Odwróciła wzrok.

– Nie opuściłby „Icarusa” dobrowolnie.

Miała rację, choć nie wiedziała o tym.

– Być może. Ale nie upadałbym na duchu – pocieszyłem ją. – Twój ojciec potrafi ukryć się tak, że Patthowie go nie znajdą.

Westchnęła.

– Mam nadzieję.

– Ja to wiem – zapewniłem. Teraz ja z kolei spojrzałem w bok. Nie mogłem patrzeć na jej udręczoną twarz. Najchętniej powiedziałbym, że Cameron jest cały, zdrowy i bezpieczny.

Dołożyłem jednak wszelkich starań, by oprzeć się tej pokusie. Gdybym zrobił jakąkolwiek aluzję, że sytuacja naprawdę wygląda inaczej, z pocieszydciela stałbym się podejrzanym. Nikomu nie było to potrzebne.

– Posłuchaj, chętnie bym jeszcze pogawędził, ale muszę to zanieść Ixilowi, zanim Nicabar znów zamieni tunel w komorę powietrzną.

– Oczywiście – odrzekła machinalnie. Myślni błędziła gdzieś indziej.

Całe szczęście. Liczyłem, że zdążę odejść, zanim otrząśnie się i zapyta, co mam w torbie. Nie musiałbym znów kłamać. Gwizdnąłem na Paxa, który rył w zapasach jedzenia, i poszedłem do tunelu.

Ixil unosił się w ciasnej maszynowni niczym wielka chmura. Sprawdzał po dwa razy monitory i wskaźniki, i uruchamiał silniki i napęd gwiazdny.

– Cieszę się, że nic wam się nie stało – przywitał mnie i spojrział na Paxa. Szturchnąłem fretkę. Poszybowała w powietrzu do swego pana. Po drodze piszczała radośnie, szukając łapkami punktu zaczepienia. W końcu chwyciła się tuniki Ixila i wdrapała na swoje miejsce na jego ramieniu. – Były jakieś problemy?

– Lepiej złap się czegoś – doradziłem i skierowałem się do otworu wejściowego w małej kuli; Tera zostawiła otwartą kłapę, żeby ułatwić mi wyjście. – Założę się, że nie uwierzysz, jaką podróż odbyliśmy z Paxem.

Plątanina kabli wyglądała tak samo, jak po drugiej stronie. Ale po zapewnieniu Camerona, że przewody są mocne, nie musiałem już być taki ostrożny. Przestałem się obawiać, że przypadkowo dokonam nieodwracalnych zniszczeń. Wsunąłem się do środka i zacząłem bezceremonialnie usuwać kable z drogi. Tym razem dotarcie do siatki zajęło mi pięć minut zamiast godziny.

Zawisłem tuż przed nią i szybko nagryzmołem wiadomość dla Camerona. Przypomniałem, żeby nie wychodził, dopóki ja albo fretki nie damy mu znać. Wepchnąłem kartkę do torby, wycelowałem starannie i cisnąłem tobolek w kierunku końca ramienia. Kiedy wolno opadał, zacząłem się obawiać, czy takie uderzenie wystarczy do włączenia mechanizmu. Może uruchamia go tylko mocne ściśnięcie? Jeśli tak, będę musiał jakoś odzyskać torbę i wysłać z nią Pixa. Tylko jak wytłumaczę załodze zniknięcie fretki? Nie mogę pozwolić, żeby nagle wynurzyła się w dużej kuli na oczach wszystkich.

Niepotrzebnie martwiłem się na zapas. Torba ześliznęła się po ramieniu i zniknęła. Poczułem tylko lekki podmuch powietrza, kiedy gwałtownie wypełniło powstałą próżnię.

Wycofałem się i po pięciu minutach wróciłem do maszynowni. Ixil siedział przypięty w fotelu z fretkami na ramionach. Jeszcze nie widziałem u niego takiej miny.

– I co o tym myślisz? – zapytałem swobodnym tonem i zamknąłem panel z bezpiecznikami.

Spojrzał na mnie z wyraźnym wysiłkiem.

– Nie do wiary – szepnął.

– Właśnie – przyznałem. – A jednak.

Bezwiednie pogłaskał Paxa.

– Nikt z załogi nie może się o tym dowiedzieć. Patthowie byliby gotowi obalić kilka rządów, gdyby dostali informację, na co naprawdę polują.

– Już to wziąłem pod uwagę – zapewniłem. – Terze też nie możemy powiedzieć.

Fretki jednocześnie wykrzywiły pyszczki.

– Bo pracujemy dla Brata Johna?

– Bo przekazanie mu „Icarusa” uwolniłoby nas od zobowiązań wobec organizacji – uściśliłem. – Tera od początku nam nie ufa. Gdyby zorientowała się, jaką mamy teraz kartę przetargową, przyspawałaby nam tyłki do kadłuba.

– Tak... – Ixil zamilkł na chwilę. – Niestety znów wracamy do pytania, co dalej?

Skrzywiłem się.

– Nie mamy wyboru. Musimy zdobyć borandis dla Shawna. Chyba nie będziemy siedzieć beczynnienie i patrzeć, jak umiera?

Ixil zastanowił się.

– Właściwie możemy mu wierzyć tylko na słowo, że jest chory. O ile dobrze pamiętam, Everett nie potrafił tego potwierdzić, choć również nie zaprzeczył. A jeśli Shawn udaje, żeby wywabić nas z kryjówki?

– Mógł nas zdradzić dużo wcześniej – przypomniałem mu. – Zaoszczędziłby wszystkim mnóstwa kłopotów.

– To prawda. – Ixil spojrzał na mnie uważnie. – Chyba nie wytniesz mi żadnego numeru?

– Na przykład jakiego? – zdziwiłem się.

Wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. Może na przykład takiego, jak przekazanie „Icarusa” Bratu Johnowi bez uzgodnienia ze mną.

– Nie wygłupiaj się – parsknąłem. – Chociaż musisz przyznać, że w jego rękach byłyby bezpieczny.

– „Bezpečny” to pojęcie względne.

– Owszem – przyznałem. – Ale założę się, że Brat John poradziłby sobie z Patthami.

– Oczywiście taki prezent z naszej strony wywindowałby nas na wysokie pozycje w organizacji Antoniewicza – ciągnął Ixil. – Tylko mi nie mów, że nigdy o tym nie myślałeś.

– Myślałem i po przemyśleniu odrzuciłem to – uspokoiłem go. – Mam wiele wad, ale nie należy do nich niezdrowa ambicja. – Uniosłem brew. – A może tobie chodzi to po głowie?

– Uważasz, że miałbym szanse zostać pierwszym obcym w najbliższym otoczeniu szefa ludzkiej mafii? – zapytał ironicznie. – Dzięki, ale raczej spasuję.

Machnąłem ręką.

– Jak chcesz. A przy okazji, czy Nicabar wciągnął już Shawna do środka?

– Tak, kiedy byłeś w małej kuli. Tera da nam znać, jak w tunelu znów będzie ciśnienie. – Przechylił głowę na bok. – Nie wyglądała na zadowoloną, że utknąłeś po tej stronie tunelu, skoro czeka cię robota po tamtej.

Wzruszyłem ramionami.

– Niewiele tej roboty. Już wybrałem kurs.

– To znaczy?

Odchrząknąłem.

– Weźmiemy udział w Wielkim Świącie Plorins na Palmary. Fretki gwałtownie wykrzywiły pyszczki.

– Żartujesz? – zapytał z niedowierzaniem Ixil. – W Wielkim Świącie Plorins?

– A znasz lepsze miejsce, żeby zniknąć w tłumie?

– Między połową wszystkich złodziei, oszustów i ciemnych tyków z okolicy dwustu lat świetlnych? A co za tym idzie, w towarzystwie połowy stróżów prawa z tej samej okolicy, którzy będą ich pilnować? Przecież jedni i drudzy tylko czekają, żebyśmy się pojawili.

– Jasne, że to szaleństwo – zgodziłem się. – Ale właśnie dlatego nikt się nas tam nie spodziewa.

Pokręcił głową, ale przynajmniej fretki siedziały spokojnie. Musiał przetrwać mój pomysł.

– „Szaleństwo” to za mało powiedziane – westchnął. – Jednak biorąc pod uwagę okoliczności, to chyba równie dobry plan, jak każdy inny.

– To się nazywa odwaga – pochwalilem. – Poza tym i tak będą obserwować każdy port w odległości tysiąca lat świetlnych od Utheno. Im większy tłok w przestrzeni, tym większa szansa, że nas nie zauważą.

Spojrzał na mnie z kwaśną miną.

– I tym więcej zamieszania i paniki, jeśli nas zauważą.

Wzruszyłem ramionami.

– Coś w tym rodzaju.

Odezwał się interkom.

– McKell? – zawołała Tera. – Tunel gotowy. Może byś ruszył tyłek i znalazł nam jakieś miejsce do lądowania?

– Lecę, kochanie – mruknąłem.

– Co to miało być?

– Nic. Powiedziałem, że zaraz przyjdę – odparłem. – I przyślij tu Revsa, żeby pomógł Ixilowi przy starcie.

Palmary należała do częściowo niezależnych kolonii. Zasielono ją stosunkowo niedawno, lecz sprawiała wrażenie zamieszkaney od zawsze. Głównie dlatego, że wśród osadników nie dominował jeden gatunek. Dwadzieścia lat temu planetę odkryli Trinkianie, ale wkrótce zjawili się wanchańscy rolnicy, porpyfiańscy górnicy i k'Trańscy leśnicy. Ktoś rozreklamował tutejszy egalitaryzm w jakimś serwisie informacyjnym, i w kilka lat później na planecie zrobiło się dość tłoczno.

Wielkie Święto Plorins przywieźli ze sobą k'Tranie i spodobano się wszystkim. Dla jednych stało się ważnym wydarzeniem kulturalnym i manifestacją przywiązania do historii, dla innych po prostu największym przyjęciem w Spirali. Podejrzywałem, że niewielu interesowała historia i kultura k'Tra, ale co roku w trzytygodniowym festiwalu uczestniczyły miliony przyjezdnych.

Wielkie Święto przypominało z grubsza ostatni dzień karnawału, wciąż uroczyste obchodzonego w różnych miejscach na Ziemi i jej koloniach. Było wspaniale.

Zanim znów przebiliśmy się do hiperprzestrzeni, ustawiłem kamery kadłubowe i szybko obejrzałem zmiany w wyglądzie statku. Chort miał rację: były dalekie od doskonałości. Mimo to płyty wystarczająco maskowały prawdziwy kształt „Icarusa”.

Liczyłem, że uda nam się wylądować bez wzbudzania podejrzeń przestępczego podziemia, będącego na usługach Patthów.

Co nas czeka na Ziemi, to inna sprawa. Z bliska każdy dostrzegłby przez szpary dwie charakterystyczne kule. Ale miałem kilka pomysłów, jak temu zapobiec. Najpierw musieliśmy wylądować.

Oficjalne obchody Wielkiego Święta zaczynały się dopiero za trzy dni, ale na planetę już ściągali chętni do zajęcia lepszych miejsc lub amatorzy wcześniejszego rozpoczęcia zabawy. Ixil spreparował nam nową tożsamość i nazywaliśmy się teraz „Błąd Shermana”. Chronił nas również zmieniony wygląd statku. Bez przeszkód załatwiliśmy formalności i kontroler lotów o zmęczonym głosie skierował nas do właściwego prostokąta w porcie kosmicznym Bangrot. Dorzucił nawet życzenia miłego pobytu. Nazwa lądowiska nie figurowała w moim wykazie.

Brak ten stał się jasny, gdy tylko osiągnęliśmy współrzędne, które mi podano. Port był po prostu wielką, pustą przestrzenią na południowych krańcach dwóch bliźniaczych miast Drobney i k'Barch. Przypominał niewykorzystany teren budowlany. Widocznie Wielkie Święto przyciągało już tylu gości, że wyznaczano lądowiska gdzie tylko się dało, i to trzy dni przed oficjalnym otwarciem obchodów. Jak tak dalej pójdzie, za kilka lat powinni ogłosić, że impreza trwa na okrągło przez cały rok.

„Pusta przestrzeń” może sugerować, że port dopiero czekał na przyjęcie spóźnialskich. Nic podobnego – już był zatłoczony. Statki niemal stykały się ze sobą. W wąskich przesmykach między nimi panował ożywiony ruch. To my należeliśmy do spóźnialskich.

Obawiałem się trochę, gdzie będzie „góra” i „dół” we wnętrzu „Icarusa”, kiedy wejdziemy głębiej w pole grawitacyjne Palmary. Tera mówiła, że na Meimie obcy generator grawitacji w dużej kuli potrafił niwelować wszelkie efekty innego przyciągania. Ale tak było, zanim technicy Camerona zaczęli robić w środku bałagan. Gdyby generator nie zdołał przezwyciężyć siły przyciągania planety, mogłoby się nagle okazać, że będę podchodził do lądowania, leżąc w fotelu pilota na plecach. Albo jeszcze gorzej: nasze prowizorycznie zamontowane stanowiska mogłyby nie wytrzymać, i znalazłbym się wraz z fotelem i tablicą przyrządów na dnie kuli dwadzieścia metrów poniżej.

Niepotrzebnie martwiłem się na zapas. Po usunięciu metalowych przeszkód, a więc wewnętrznego kadłuba, ścian i korytary, obcy generator znów działał z pełną mocą. Przy lądowaniu prawie nie poczułem zmiany w przyciąganiu.

– Co dalej? – zawołała z góry Tera. Jej głos zadudnił echem w pustej kuli.

Przełączyłem systemy statku w stan spoczynku i wygiąłem szyję, żeby na nią spojrzeć.

– Idę skombinować borandis – oświadczyłem, patrząc na czubek jej głowy. Wstała od komputera i poszła w kierunku tunelu.

– A co z nami? – krzyknął Shawn ze swojego miejsca. Siedział w naturalnym dolnym punkcie statku. Rozmieściłem tak wszystkich oprócz Nicabara. Nie chciałem ryzykować, że spadną i zginą, jeśli obce pole grawitacyjne zawiedzie. – Mamy tu sterceć i czekać na ciebie, jak poprzednio? I z nudów obgryzać paznokcie?

– A obgryzaj sobie, co chcesz – odparłem, schodząc po krzywiznie w jego stronę. – Zostaniesz tu z Everettem, dopóki nie przyniosę lekarstwa.

Wskazałem Chorta i Terę, która zbliżała się z przeciwnika.

– Natomiast wy oboje i Nicabar nie będziecie mieć czasu na obgryzanie sobie czegośkolwiek. Zbierzecie wszystkie lampy awaryjne i zainstalujecie w szparach między płytami maskującymi, żeby świeciły na zewnątrz. To ładna dekoracja na Wielkie Święto. A przy okazji blask powinien na tyle oslepić ewentualnych ciekawskich, że nie dostrzegą kul za osłoną.

– Może dodać jakieś kolorowe transparenty? – zaproponowała Tera. – Będzie jeszcze bardziej odświeżnie i zakryją statek.

– Można – zgodziłem się. – Tylko nie wiem, czy w tym prowizorycznym porcie dostaniecie coś takiego. Wolę, żeby nikt z was nie włóczył się po tej pustej okolicy w poszukiwaniu rzeczy, które nie są konieczne potrzebne.

Z tunelu wyłonił się Nicabar. Musiał usłyszeć ostatnie zdanie, bo włączył się do rozmowy.

– Są tu dwie linie tramwajowe do obu miast. Widziałem je na monitorach, kiedy siadaliśmy. Jeśli mają tutaj komunikację, to na pewno są też sklepy. Mogę sprawdzić. To nie potrwa długo.

– Zapomnij o tym – warknął Shawn, zanim zdążyłem otworzyć usta. – McKell nigdy nie pozwala nikomu wychodzić. Nie pamiętasz, jak było dotychczas?

– Uspokój się – ostrzegł Everett i położył mu wielką dłoń na ramieniu.

– Odwal się – parsknął Shawn i strząsnął jego rękę. – Nie jestem dzieckiem.

– Jeśli uwiniesz się szybko, to idź – powiedziałem do Nicabara. – Tylko uważaj na siebie i wróć najdalej za pół godziny. Musisz pomóc Terze i Chortowi.

– Dobra – obiecał Nicabar. – Bez obaw, na zewnątrz jest takie mrowisko, że nikt mnie nawet nie zauważy. – Zniknął z powrotem w tunelu.

– A on? – Tera wskazała Ixila. Stał z boku i nie odzywał się.

– Będzie czuwał nad wszystkim – odrzekłem, ignorując wściekle spojrzenie Shawna. Udowodniłem mu, że nie ma racji, bo pozwoliłem wyjść Nicabarowi, a Shawn nie cierpiał się mylić, zwłaszcza w okresach rozdrażnienia z braku borandisu. – Poza tym wysła Pixa i Paxa na zwiady wokół statku.

– Jak zamierzasz zdobyć lekarstwo? – spytała.

Przyjrzałem się jej uważnie. Patrzyła na mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, ale ta mina mówiła sama za siebie: nie chciała zdradzić, co myśli.

– A co? Masz wątpliwości, czy załatwię to legalnie? Zrobię, co będę musiał. Tobie nic do tego.

Wzruszyła ramionami.

– W porządku. – Nie wyglądała na urażoną. – Chcę ci tylko przypomnieć, że nie możemy sobie pozwolić na to, żebyś wpadł w tarapaty. Jeśli nie wrócisz, nie odlecimy.

– Spokojna głowa – odparłem. Wyminąłem ją i poszedłem do tunelu. – Nie martw się o mnie – dorzuciłem przez ramię. – Lepiej zajmij się lampami.

Przejsie między różnymi wektorami grawitacji kuli i tunelu było trochę zdradliwe. Udało mi się jednak nie stracić równowagi i zachować godność. Nicabar wcześniej otworzył wąż i opuścił dziesięciometrowe schodki. Sprawdziłem, czy pistolet łatwo wysuwa się z kabury, stanąłem na ich szczycie i rozejrzałem się.

Nicabar miał rację: istne mrowisko. Między ciasno ustawionymi statkami pozostały tylko wąskie przesmyki. Sunęły nimi tłumy pieszych, cysterny i pojazdy straży celnej. Milion małych, dwuosobowych samochodzików miał ułatwić przyjezdnym poruszanie się, ale tylko pogarszał sprawę.

Lepszej sytuacji nie mogłem sobie wymarzyć. Nawet jeśli Patthowie i guzowaci Iykamowie nas szukali, to w tym tłoku nie mieli szans. Dostrzegłem odgałęzienie linii tramwajowej, zszedłem po schodkach i wepchałem się łokciami w rzekę przechodniów.

Zastanawiałem się, czy nie skorzystać z małego samochodziku, ale nie zauważyłem wolnego. Poszedłem piechotą, co tylko wyszło mi na dobre. Szybko przekonałem się, że samochodziki łatwo grzęzną w tłumie. Do tramwaju nie było daleko i mogłem spokojnie pomyśleć.

Wcale nie o tym, jak zdobyć borandis. Wprawdzie nieco melodramatycznie oświadczyłem Terze, że zrobię, co będę musiał, ale tym problemem specjalnie się nie martwiłem. Co najmniej tuzin gatunków tłoczących się wokół mnie używało borandisu absolutnie legalnie. Każda apteka na tej planecie powinna go mieć i wątpiłem, by ktoś zadawał jakieś pytania.

Gnębiło mnie zupełnie co innego. Zresztą, wciąż to samo: jak wyprzedzić Patthów, żeby doprowadzić „Icarusa” na Ziemię.

Równocześnie jednak zadawałem sobie pytanie, czy naprawdę warto.

Ciągle brzmiała mi w uszach ostatnia rozmowa z Ixilem i jego niby żartobliwe podejrzenie, że chcę oddać „Icarusa” Bratu Johnowi. Zapewniłem go, że nie ma mowy. Ale teraz wcale nie byłem pewien, czy to nie najlepsze rozwiązanie. Gwiazdne wrota pozostałyby w ludzkich rękach. Fakt, że splamionych krwią, ale jednak. A ja zrobiłbym taką karierę, o jakiej ludzie w mojej sytuacji mogą tylko pomarzyć. Może nawet poznałbym tajemniczego pana Antoniewicza, co naprawdę zapewniłoby mi wysoką pozycję.

Rzecz jasna, Cameron nie byłby zadowolony. Tera też nie. A jeśli ona nie, to i Nicabar. Od pamiętej konfrontacji ze mną w sterowni, ta dwójka wyraźnie trzymała ze sobą. Ale teraz zadowolenie innych niewiele mnie obchodziło. Pokonałiśmy zale-

dwie jedną piątą odległości z Meimy na Ziemię, a już wydarzyło się o wiele za dużo, jak na mój gust. Załoga była przekonana, że mamy w „Icarusie” obcy, superszybki napęd gwiazdny. Bez wątpienia wciąż wierzyła, że dzięki niemu uda nam się uciec Patthom. Ale Ixil i ja już wiedzieliśmy, że te nadzieje się rozwiąły.

Uważałem, że z której strony nie spojrzeć, mój pomysł ma sens. Cameron i Tera w końcu wybaczyliby mi ten krok. Ale niechętnie przyznałem, że jeszcze nie jestem gotów do podjęcia takiej decyzji. Może po odlocie z Palmary.

Linia tramwajowa sprawiała wrażenie zbudowanej w pośpiechu. Mimo to była wygodniejszym i bardziej profesjonalnym środkiem transportu, niż spotykane w pozornie lepiej rozwiniętych światach. Kiedy doszedłem do przystanku, czekały tam dwa składy wagonów. Jeden odjeżdżał do Drobney, drugi do k'Barch. Wybrałem to drugie miasto. K'Trańska nazwa sugerowała, że zapewne świętuje się tam bardziej spontanicznie, a większe zamieszanie ułatwi mi zgubienie się w tłumie.

Moi towarzysze podróży najwyraźniej też zasugerowali się nazwą miasta, choć bez wątpienia kierowali się innymi względami niż ja. Fala wsiadających wepchnęła mnie przez drzwi i utknałem w połowie wagonu. Z jednej strony napierali na mnie spocony Narchnerzy, z drugiej czyści, ale równie aromatyczni Saffi.

Ruszyliśmy. Wyjrzałem przez boczne okno. Nicabar miał rację: przy rozwidleniu torów zauważyłem nie tylko duży salon z wyposażeniem kosmicznym, ale również restauracje, tawerny i sklepiki. Postawiono tu nawet stację łączności satelitarnej Starr-Commu, żeby goście nie musieli jeździć do jednego z dwóch pobliskich miast. Nie po raz pierwszy pomyślałem, że Wielkie Święto to świetny interes dla Palmary.

Dojechaliliśmy do końcowego przystanku. Wyglądało na to, że jesteśmy niedaleko śródmieścia k'Barch i niebezpiecznie blisko epicentrum przyszyłych obchodów. Fala wysiadających popchnęła mnie do wyjścia. Po kilkunastu minutach manewrach wy dostałem się na chodnik, zatłoczony niewiele mniej niż tramwaj. Przecnicę dalej powiewała charakterystyczna flaga apteki. Ruszyłem w tamtym kierunku.

Przepychałem się do drzwi sklepu, gdy nagle coś dzieliło mnie w kark i pogrzyłem się w ciemnej otchłani.

Powoli i boleśnie odzyskiwałem przytomność. Czulem niewygodę i chłód, miałem zeszywniałe ciało i łupało mi pod czaszką. Coś było nie tak z moimi rękami, choć nie wiedziałem dokładnie co. Gdzieś w pobliżu przebiegało słabe światło. Postanowiłem sprawdzić, skąd dochodzi. Dość długo musiałem sobie przypominać, co zrobić, żeby odwrócić głowę. W końcu udało się. Zadowolony z sukcesu, przekręciłem szyję.

Gwałtowny ból natychmiast mnie otrzeźwił. Najwyraźniej ktoś nie szczędził wysiłków, żeby oderwać mi głowę od tułowia gołymi rękami. Zaciśnąłem zęby i zaczekałem, aż ból trochę ustąpi. Potem otworzyłem oczy.

Siedziałem na twardym, drewnianym krześle z poręczami. Głowa opadała mi na pierś. Szybko stało się jasne, co jest z moimi rękami: były przykute do poręczy krzesła. Na próbę poruszyłem stopą. Nie zadali sobie trudu, żeby związać mi nogi. W tle usłyszałem przyciszoną muzykę, a przed sobą rozmowę w języku obcych. Ostrożnie uniosłem głowę.

I zaraz tego pożałowałem. Zobaczyłem nieduży, prawie nieumeblowany pokój. Pod sufitem wisiała pojedyncza żarówka. Może cztery metry na wprost ode mnie były zamknięte drzwi. W połowie tej odległości siedzieli dwaj guzowaci Iykamowie. Na niskim stole przed nimi leżały moje rzeczy osobiste, w tym częściowo rozmontowany telefon.

Obcy wpatrywali się we mnie bez szczególnej sympatii. Mieli miny strażników, którym kazano zachować więźnia przy życiu, choć najchętniej skopaliby go na śmierć. Z pewnością nie tracili nadziei, że dostarczę im pretekstu.

Lubię iść innym na rękę. Byłoby mi wstyd, gdybym ich zawiodł.

Wstałem razem z krzesłem, zaciśnąłem dłonie na poręczach i pochyliłem się do przodu dla złapania równowagi. Nadzieje nadziejami, ale na pewno nie spodziewali się mojego samobójczego ataku. Dostrzegłem na ich twarzach szok, gdy robiłem dwa szybkie kroki do przodu. Obróciłem się o sto osiemdziesiąt stopni i zwałem prosto na nich.

Oczywiście widzieli nadciągające niebezpieczeństwo, ale trzymali nogi pod stołem i nie zdążyli odskoczyć. Wśród trzasku łamanego drewna i obcych przekleństw wszyscy wyładowaliśmy na ziemi. Z rękami przykutymi do poręczy miałem dość ograniczone ruchy. Mimo to byłem w dużo lepszej pozycji do walki, niż przeciwnicy. Okładałem ich krzesłem i trzymałem pod sobą. Jeśli któryś próbował się wychylić, kopałem go w głowę lub pierś. W końcu znieruchomieli. Dołożyłem im jeszcze kilka kopniaków na wypadek, gdyby udawali. Potem padłem na pobjowisko bliski zapaści.

Na szczęście wkrótce doszedłem do siebie. Sporo ryzykowałem, rzucając się na nich tuż po odzyskaniu przytomności. Ale nie miałem wielkiego wyboru. Jeden przeciwko dwóm to jeszcze nie tak źle. Gdybym zwlekał, zdążyliby zawiadomić swoich szefów, że przeznaczona na ofiarę laleczka voodoo jest gotowa do przekuwania. Nie wyszedłbym stąd żywy.

Zresztą nadal mi to groziło. Walka nie obyła się bez hałasu, a muzyka wskazywała, że obok ktoś jest. Moje krzesło trochę ucierpiało, ale wciąż byłem do niego przykuty. Przekręciłem się niezgrabnie i zacząłem szukać przy strażnikach kluczy do kajdank. Jednocześnie nasłuchiwałem, czy nikt nie nadchodzi.

Dwaj Guzowaci nosili takie same neogreckie tuniki, jak ich kuzyni na Xathru. Szybko natrafiłem na małe kieszenie, niestety puste. Jeden miał przy pasie sakiewkę. Tu też nie znalazłem kluczy. Żaden nie był uzbrojony.

Kilka metrów od roztrzaskanego stołu leżał mój telefon.

Krępujące mnie krzesło ugrzęzło między ciałami Iykamów. Rozbijałem się lekko i oswobodziłem je. Obróciłem się na kolana, wstałem i ruszyłem wśród szczątków mebli po telefon. Dopiero z bliska zobaczyłem, że Guzowaci zdjęli tylko tylną osłonę aparatu. Nie bardzo wiedziałem, po co. Może łudzili się, że odzyskają w pamięci jakieś zakodowane numery.

Jeśli tak, to mieli niefart. Telefon zabrałem Jamesowi Fulbrightowi na Dorscind's World. W pamięci nie było żadnych numerów powiązanych ze mną. Ani tajnych, ani jawnych.

Mimo to cieszyłem się, że próbowali. Przynajmniej nie zniszczyli go. Dzięki temu miałem teraz łączność ze światem. Położyłem się na boku i przekręciłem aparat klawiaturą do góry. Wciąż byłem w poważnych tarapatkach, ale mogłem chociaż ostrzec Ixila,

że Patthowie są na naszym tropie. On zawiadomiłby resztę załogi. Po raz ostatni zerknąłem na drzwi i szybko wyciągnąłem palec w stronę klawiszy.

Nie dotknąłem ich jednak.

Coś za łatwo mi poszło. Gdzie posiłki? Dlaczego jeszcze nikt tu nie wpadł? Dlaczego przy telefonie majstrowali dwaj Iykamowie, a nie fachowiec w dobrze wyposażonym warsztacie? A przede wszystkim, dlaczego było ich tylko dwóch?

Z powrotem przekręciłem aparat i przyjrzałem się odsłoniętym obwodom. Już wiedziałem, czego szukać, i znalazłem to bez trudu.

Moi sprytni towarzysze zabaw podłączyli do mikrofonu mikroukład przekaźnikowy. Nie mogłem odczytać maleńkiego symbolu na jego obudowie, ale nie miało to znaczenia. Prostszy model, Mark VI, pozwalał podsłuchiwać rozmowy. Bardziej zaawansowana wersja, Mark IX, oraz odpowiednio przygotowany telefon umożliwiała nie tylko podsłuch, ale również zlokalizowanie rozmówcy na drugim końcu linii za pomocą lokalnej sieci telefonicznej. Pomyliłem się z tą laleczką voodoo. Guzowaci chcieli w łatwy sposób namierzyć „Icarusa”.

Spełniłem ich skryte nadzieje, że będę rozrabiał, ale na tym koniec współpracy z wrogiem. Zostawiłem telefon w spokoju, znów uniosłem się na kolana i poczłapałem w kierunku mojego pistoletu i portfela.

Właśnie wyciągałem rękę po broń, gdy drzwi otworzyły się z impetem.

Opadłem na podłogę i nie udało mi się osiągnąć pistoletu. Przy twardym lądowaniu głowa omal nie pękła mi z bólu, a czerwona mgła przesłoniła oczy. Przekręciłem się i wycelowałem w drzwi.

Muszę przyznać, że zobaczyłem imponujący widok. W pokoju stali półkołem cztery Iykamowie. Każdy trzymał znaną mi już broń na wyładowania koronowe. W nieruchomej pozie czujnego oczekiwania wyglądali jak chimery po transplantacji twarzy. Za progiem tkwiło kilka następnych paskudnych bestii. Bez wątplenia też marzyły o szansie dobrania się do mnie.

A w samym wejściu, między dwiema grupami, stał Patth w szarej szacie.

– Szkoda fadygi z tym pistoletem, panie McKell – odezwał się. Jego głos brzmiał typowo dla tej rasy: pogardliwie, a jedno-

czesnie przymilnie. Poświstywał trochę podobnie do Chorta. – Chyba nie myśli pan, że zostawiliśmy tu sprawną broń?

– Po raczej topornej sztuczce z moim telefonem, bardzo wątpię – przyznałem. Trudno było mi celować z rękami przykutymi do krzesła, ale jakoś zdołałem wymierzyć w środek jego piersi. – Chyba że przypadkiem. Słyszał pan o potrójniku?

Między chimeraami zapanowało lekkie poruszenie.

– Nie przypominam sobie – odrzekł Patth. W jego głosie pojawiło się rozbawienie. – Ale jestem pewien, że umiera pan z niecierpliwości, żeby mi to wyjaśnić.

– Trafny dobór słów – pochwaliłem. – Potrójnik to kondensator elektryczny o bardzo dużej energii, podłączony wewnętrznie do obwodu ogniowego pistoletu plazmowego. Jest ładowany przez główny zasilacz, ale jednocześnie niezależny od niego. Zgromadzona energia wystarczy do oddania dwóch do czterech strzałów. – Zmrużyłem oczy w zamyśleniu. – Co oznacza, że pan i trzech pańskich sługusów zginiecie, jeśli podejście bliżej. Może wskaże mi pan tych, których lubi pan najmniej, to zobaczę, co da się zrobić.

Czterej pierwsi Iykamowie przestali przypominać niegroźne chimery. Unieśli elektryczne spluwy, wyciągnęli łapska i wycełowali we mnie. Ale miałem przewagę i wiedzieli o tym. Leżałem cztery metry od nich, a więc dokładnie na granicy zasięgu ich ognia. Natomiast oni byli w zasięgu mojego. W dodatku nie mogli sobie pozwolić na zabicie mnie i nie paliło się im do śmierci. Słowem, trzymałem ich w szachu.

Przez minutę wyglądało na to, że uda mi się z tego wyjść. Większą część twarzy Pattha zasłaniał kaptur, ale chyba dostrzegłem na niej niezdecydowanie. Z pewnością wołał nie ryzykować własną skórą, skoro „Icarusa” czekała jeszcze długa droga do domu. Nie należał ani do zawodowych łowców nagród, ani do zwykłych szeregowców, którzy ślepo wykonują rozkazy. Zapewne był kimś ważnym, kogo okoliczności zmusiły do wzięcia udziału w oblawie na nas.

Gdy tak się wahał, zza progu dobiegł głos innego Pattha. Również brzmiał przymilnie, ale zdecydowanie bardziej władczo.

– Nonsens, on blefuje, Enig. Każ tym durniom zabrać mu broń. Nie mamy czasu na takie zabawy.

Patth w drzwiach mruknął coś i dwaj Iykamowie niechętnie wystąpili naprzód. Nie spuszczałem ze mnie celowników. Pozwoliłem im podejść na dwa kroki i upuściłem pistolet na podłogę.

– Ma pan rację – westchnąłem. – Błefuję.

– Dajcie go tutaj – zarządził nowy dowódca. Powiedział to bez satysfakcji ani ulgi. Po prostu podjął decyzję i wydał rozkaz, który został wykonany. Uznał to za rzecz naturalną. Podobnie, jak to, że się nie pomylił. Widocznie nagle przeskoczyliśmy o kilka stopni w górę drabiny społecznej Patthów.

Iykamowie postawili mnie na nogach i na wpół zaciągnęli do pokoju obok. Był o wiele przyjemniejszy od mojej dotychczasowej celi: prawie trzy razy większy, umeblowany i oświetlony kilkoma lampami. Za biurkiem pod lewą ścianą siedział trzeci Patth. Wzdłuż krawędzi blatu stały monitory. Niestety, roilo się tu od Guzowatych, ale w końcu nie można mieć wszystkiego.

Rozejrzałem się.

– Nieźle.

Iykamowie zawlekli mnie do kolejnego twardego krzesła przed biurkiem. Z tego pomieszczenia również prowadziły tylko jedne drzwi, nie licząc tych do mojej celi. Znajdowały się zresztą naprzeciw siebie. Nad głową zobaczyłem świetlik, ale po chwili okazało się, że to lampa udająca sufitowe okno. Przy podłodze i suficie zauważyłem parę wlotów wentylacyjnych. Ozdobne kratki wyglądały na tak liche, że pewnie dałoby się wyrwać je ze ściany jednym szarpnięciem. Niestety, w kanałach nawiewowych nie zmieściłby się nawet wyjątkowo szczupły Chort. Szybko policzyłem Iykamów: ośmiu.

– Całkiem nieźle – powtórzyłem, gdy moi strażnicy zdejmowali mi kajdanki. Uwolnili mnie od szczątek poprzedniego krzesła, posadzili i znów przykuli ręce do poręczy. Tym razem przyglądałem się uważnie, który schował klucze do kieszeni. – Gdybyście trzymali więźniów w takich warunkach, zamiast w tamtym opróżnionym schowku na szczotki, z pewnością byłiby bardziej chętni do współpracy.

Zza biurka nie padł żaden komentarz. Leniwie dokończyłem oględziny pokoju, potem skoncentrowałem się na osobie gospodarza.

Nie doceniłem rangi Pattha. Nie miał na sobie zwykłej, szarej szaty, jakie nosiła większość jego rasy. Rękawy i brzeg kaptura

zdobiły ciemnopomarańczowe wycięcia. Należał do elity korpusu dyplomatycznego. Może nawet był samym ambasadorem na Palmary.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziałem. – Czy mogę wiedzieć, z kim mam przyjemność?

Przyglądał mi się przez chwilę.

– Nazywam się Nask, panie McKell. Sprawia nam pan mnóstwo kłopotów.

Skłoniłem lekko głowę, ignorując nową falę bólu, którą wywołał ten ruch.

– Dziękuję. Zapewne uważa pan, że gra skończona?

– Dlaczego tak pan to ujął? – spytał spokojnie. – Oczywiście, że jest skończona, ale czemu użył pan akurat takich słów?

– Z powodu pańskiego nazwiska – wyjaśniłem. – „Nask” to po waszemu „zwycięzca”. Choć są jeszcze inne określenia.

– Interesujące... – odrzekł. – Nie myliliśmy się co do pana. Nie jest pan zwykłym pilotem statków handlowych.

– Zgadza się, nie jestem – przyznałem. – Pracuję dla bardzo potężnego i niebezpiecznego człowieka. Zaryzykowałbym twierdzenie, że potrafiłby mocno zaszkodzić nawet imperium ekonomicznemu Patthów.

– Niech zgadnę... – wtrącił się Patth imieniem Enig. Wyszedł z kręgu żądnych krwi Iykamów i stanął z szacunkiem za Naskiem. Nie mówił już przemilnym tonem. Był chyba rozdrażniony, że mój blef z pistoletem ośmieszył go przed przełożonym.

Dopiero teraz, przy lepszym oświetleniu, zobaczyłem błyszczące implanty pilota wokół jego oczu. Okazywany Naskowi szacunek świadczył, że Patth za biurkiem istotnie nie jest byle kim.

– Czy ten człowiek to przypadkiem nie Johnston Scotto Ryland? – dokończył Enig.

– Jesteście dobrze poinformowani – przyznałem spokojnie, choć poczułem niemiły ucisk w żołądku. Jeśli moje powiązania z Bratem Johnem nie robiły na nich wrażenia, to musieli wiedzieć coś, czego ja nie wiedziałem. – Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, czym grozi wchodzenie mu w drogę?

– Owszem – odparł Nask. – Ale jest pan w dużym błędzie, sądząc, że ktoś wchodzi komuś w drogę. Kiedy ustaliliśmy pańskie związki z panem Rylandem, skontaktowaliśmy się z organizacją.

Ma pan ochotę usłyszeć, co pan Ryland powiedział dyrektorowi generalnemu Patthaaanutthu zaledwie sześć godzin temu?

Ucisk w moim żołądku powiększył się.

– Naturalnie. Proszę mówić.

Nask włączył jeden z wyświetlaczy.

– Cytuję: „Jordan McKell nie jest znany naszej organizacji”.

Koniec cytatu. Krótko i zwięźle, nie uważa pan?

– Bardzo krótko i zwięźle – westchnąłem. Zrobiło się gorąco i Brat John rzucił mnie na pożarcie wilkom. Typowe. – Na czym więc stoimy?

– Na pozycji przetargowej. – odparł Nask. – I możemy ubić interes bez udziału osób trzecich.

Zmarszczyłem brwi.

– Słucham?!

– Dobrze pan słyszał – zapewnił. – Pan ma „Icarusa”, a ja go chcę. Proste.

– Naprawdę? – Staralem się wyczytać coś z częściowo zakapturzonej twarzy, ale bez skutku. Taka propozycja w ludzkich ustach sugerowałaby, że oferent chce odciąć od interesu swojego szefa. Ale Nask był Patthem. Chyba źle go zrozumiałem. A może nie? – Czy mógłby pan wyjaśnić, o jakie osoby trzecie chodzi?

Zamachał ręką.

– O te, co zawsze. O prawników, o wysokich urzędników Federacji, o członków ludzkiego rządu. O tych wszystkich, którzy hamują postęp i są przeszkodą na drodze do dobrobytu rozsądnych istot.

– Czy na pańskiej liście są również inne rządy? – zapytałem.

– Wszystkie, które hamują postęp – odparł. – Naturalnie współpraca tych, które go popierają jest mile widziana.

Skinąłem głową.

– Aha...

Najwyraźniej sugerował, żebyśmy dogadali się we trzech: ja, on, i Enig. Potem obaj odsprzedaliby „Icarusa” swojemu rządowi, bez wątplenia z godziwym zyskiem. Zapewne zakładał, że będę wolał prywatną umowę z nim, niż z ich dyrektorem generalnym. On i Enig dzięki swoim wysiłkom awansują o kilka szczebli w hierarchii społecznej, a cała rasa Patthów dostanie „Icarusa”.

Popatrzyłem na Iykamów. Rzecz jasna, gdybym nie skorzystał z oferty, te bestie mogły mnie rozszarpać na kawałki. A rząd Patthów nie byłby w to zamieszany. Spojrzałem z powrotem na Naska.

– Co pan proponuje?

Wzruszył ramionami. Ten gest Patthowie podpatrzyli u nas. Ale Nask wcale nie wyglądał dzięki temu bardziej ludzko.

– Niech pan przedstawi swoje żądania – skontrował. – Potrafimy być bardzo hojni.

– A jeśli interesuje mnie nie tylko gotówka? – odpowiedziałem. Żałowałem, że nie wiem, jak długo byłem nieprzytomny. W pewnym momencie Ixil domyśli się, że mnie złapali i wystartuje z Palmary beze mnie. Gdyby udało mi się przeciągnąć tę rozmowę, przynajmniej inni byłiby bezpieczni. – Co pan na to, jeżeli dodatkowo zażądam, by moja żałoga pozostała przy życiu i na wolności?

– Pierwszy warunek z pewnością możemy spełnić. Z drugim mogą być trudności.

– Dlaczego?

Znów wzruszył ramionami.

– Pańscy ludzie będą musieli pozostać przez jakiś czas gośćmi dyrektora generalnego Patthaaunutthu. Zapewniam, że w całym miłym otoczeniu. Potem zostaną zwolnieni.

– Jestem pewien, że będą liczyć dni – odparłem. – Jak długo miałyby trwać te luksusowe wakacje?

Przez moment badał mnie wzrokiem.

– Dopóki nie okaże się, czy obce urządzenie da się uruchomić, czy też jest bezużyteczne. Pańska pomoc z pewnością miałaby wpływ na czas ich trwania.

– Gdybym tylko miał pojęcie, co to za urządzenie... – westchnąłem. Zastanawiałem się, co wie o obiekcie. Albo raczej, co sobie wyobraża. – Jest szczerze zaplombowane.

– Dostanie się do niego to najmniejszy problem – stwierdził Nask. – A zatem, życie i wolność pańskiej żałogi. Coś jeszcze?

– No cóż... Oczywiście pieniądze. Mnóstwo pieniędzy. – Uniosłem brwi. – Niestety, pieniądze nie na wiele przydadzą się temu, kto nie może ich wydać. Raczej nie mógłbym z nich korzystać, siedząc pod kluczem.

Wykonał koniuszkami palców jakiś nie znany mi gest.

– Jeśli obawia się pan zemsty swoich towarzyszy, zakwaterujemy pana oddzielnie.

– Nie rozumiemy się – odparłem. – Chodzi mi o to, że puści mnie pan wolno. Natychmiast. Innych może pan zamknąć i trzymać do sądnego dnia, ale ja biorę gotówkę i znikam.

Pokręcił głową.

– Przykro mi, lecz obawiam się, że dyrektor generalny nie zgodzi się na to. Nie możemy pozwolić na żaden przeciek.

– A Cameron? – zapytałem. – Wie o „Icarusie”, i o ile się orientuje, wciąż jest na wolności.

– Ma pan nieaktualne informacje – wtrącił się Enig. – Arno Cameron został zatrzymany dwa dni temu na Meimie. Przebywa w naszym ośrodku na tamtej planecie.

– Aha. – To tyle, jeśli chodzi o wsparcie Brata Johna, pomyślałem. I o szczerość Patthów. Dwie wielkie niespodzianki.

– Ale zapewniam, że będzie pan u nas zakwaterowany i traktowany jak członek steve’tyliańskiej rodziny królewskiej – ciągnął Nask. Mówił to z wiarą i przejęciem. Na tę okazję zrezygnował nawet z ugrzecznoniego tonu. – A potem do końca życia pozostanie pan przyjacielem Patthaanutthu.

– Warto do tego dążyć – przyznałem z lekkim sarkazmem. Zauważyłem, że odbłask na jego twarzy przybrał trochę inny odcień. Czyżby z powodu zmiany na ekranie jednego z monitorów? – Ale załóżmy, że obce urządzenie okaże się bezużyteczne. Czy wtedy też pozostaniemy przyjaciółmi?

– Jeśli Patthaanutth obiecuje komuś przyjaźń, zawsze dotrzymuje słowa. Pańska dobra wola i pomoc zostaną docenione bez względu na końcowy efekt.

– Rozumiem... – Nagle zjeżyły mi się włosy na karku. Nask wypowiedział ostatnie słowa mechanicznie; całą uwagę skupił na monitorach. Coś się działo. Coś ważniejszego od naszej uprzejmej pogawędki. – Przypuścimy, że znajdę inny sposób, żeby dochować tajemnicy...

– Niech pan szybko wybiera – przerwał mi Nask. – Powie pan, gdzie jest „Icarus”, albo decyzja przestanie należeć do pana.

– O czym pan mówi? – oburzyłem się, znów czując ucisk w żołądku. – Jak...

Urwałem na dźwięk klucza przekręcanego w zamku na prawo ode mnie.

– Przyjechał – jęknął Nask z rozpaczliwym poświstem, jakiego jeszcze nie słyszałem u Patthów. – Zysk i chwala przypadną teraz dyrektorowi generalnemu.

Drzwi otworzyły się z rozmachem. Odwróciłem głowę...

I zatkało mnie. Do pokoju wkroczyły władczo dwie osoby. Wyglądały jak właściciele lokalu, którzy zamierzają podnieść czynsz. Jedną był Patth z implantami pilota wokół oczu.

Drugą Revs Nicabar.

20

Wszystkiego bym się spodziewał, tylko nie tego. Nicabar był ostatnią osobą w Spirali, którą podejrzewałbym o wejście do meliny Patthów z tak swobodną arogancją. Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale całkiem mnie dobił.

– Widzę, że go macie – zwrócił się do Naska. – W samą porę.

– Owszem – przyznał Nask. Wyglądał na dużo mniej zaskoczonego pojawieniem się Nicabara niż ja. – A pan jest...?

– Nie wie pan? – zadrwił Nicabar. – To gdzie pan patrzył, kiedy Brosh pokazywał moją legitymację do kamery?

– Na monitorze wyraźna była tylko pieczęć dyrektora generalnego. Nie zauważyłem numeru ani pańskiego stanowiska.

Nicabar westchnął znacząco, wyciągnął legitymację i rzucił na biurko.

– W porządku. Niech pan się przyjrzy.

Nask przyjrzał się. Trwało to prawie pół minuty. W pokoju panowała cisza i nikt się nie poruszył. Nicabar popatrzył kolejno na każdego Iykama, obrzucił mnie obojętnym spojrzeniem i przeniósł wzrok na Naska.

Patth jakby z ociąganiem zamknął i odłożył legitymację.

– Zadowolony? – zapytał Nicabar.

– Jak najbardziej, panie ekspedytorze – odrzekł niemal ponuro Nask.

– To dobrze. – Nicabar wyciągnął rękę. – W takim razie grzeczność za grzeczność. Wiem od Brosha, że jest pan ambasadorem na Palmary. Jeśli to pomieszczenia ambasady, chciałbym zobaczyć jakiś dowód potwierdzający, że zajmuje pan to stanowisko.

– Oczywiście, że nie jesteśmy w ambasadzie – odparł sztywno Nask i wyciągnął swoją legitymację. – Celowo wybrałem to miejsce, żeby spotkanie nie odbyło się na terytorium Patthaanutthu.

– Gdzie my właściwie jesteście? – wtrąciłem się.

Nask zerknął na mnie, ale nie odpowiedział. Nicabar oglądał jego legitymację i nawet nie podniósł wzroku. Rozejrzałem się. Iykamowie też nie mieli ochoty udzielić mi wyjaśnień. Po chwili Nicabar zamknął legitymację i rzucił na biurko obok swojej.

– Doskonale. Są już jakieś postępy?

– Mamy go od niedawna – Nask wskazał na mnie. – To dopiero początek. – Odchrząknął. – Wybacz pan, ale jestem zaskoczony pańską nieoczekiwaną wizytą. Nie zawiadomiono mnie o pańskiej obecności na Palmary.

– Będzie pan jeszcze bardziej zaskoczony, kiedy wymienię nazwę statku, którym tu przybyłem – zadrwił Nicabar. – To mały, prywatny frachtowiec „Icarus”.

Trzej Patthowie wyglądali tak, jakby nagle chwycili się linii wysokiego napięcia.

– Co?! – wykrztusił Enig. – „Icarus”?

– Nie czytacie na bieżąco własnych biuletynów rządowych? – parsknął Nicabar. – Moje zdjęcie powinno być znane w całej ambasadzie, żeby wszyscy wiedzieli, że jestem członkiem załogi tego statku.

– Nie dostaliśmy go – wytłumaczył Nask. – Dopiero zaczęliśmy gromadzić informacje o załodze na podstawie różnych raportów. Na razie nie mamy żadnych zdjęć.

– Co za bajzel – mruknął Nicabar.

– Robimy, co możemy – bronił się Nask. – Ślepy traf sprawił, że członek ochrony Eniga dostrzegł McKella przed apteką i rozpoznał go pomimo charakteryzacji.

– Członek ochrony Eniga? – powtórzył jak echo Nicabar i spojrzał na Eniga.

– Tak – potwierdził Nask. – Enig i Brosh to piloci frachtowca „Rozważny”.

– Cywile?! – wściekł się Nicabar. – Włączył pan do tej sprawy cywilów?

– Nie miałem wyboru – odciął się Nask. – Nie mogłem w to mieszać mojego personelu z tego samego powodu, dla którego nie zabrałem McKella do ambasady. Poza tym Enig i Brosh nie są już właściwie cywilami. Ich statek to obecnie nasza jedyna jednostka na tej planecie. Kiedy zdobędziemy „Icarusa”, ktoś będzie musiał doprowadzić go do Aauth. Dlatego powołałem obu do służby państwowej.

Nicabar zerknął na mnie.

– Rozumiem. Zatem wie pan, gdzie jest statek?

– Jeszcze nie – wyznał Nask. – Właśnie rozpoczynałem negocjacje, kiedy pan przyjechał. – Rzucił mi niechętne spojrzenie. – Domyślam się, że teraz to już nieaktualne?

– Niezupełnie – odparł Nicabar. – Reszta załogi wie, że McKell zniknął i jest w pogotowiu. Musimy bardzo uważać, żeby nie dopuścić do zniszczenia obiektu.

– To byłoby straszne – mruknąłem pod nosem.

Nicabar popatrzył na mnie, jakbym przykleił mu się do podešwy buta.

– Kim oni są? – wskazał Iykamów. – Następnymi poborowymi z floty handlowej?

– To ochrona mojego statku, panie ekspedytorze – zjeżył się Brosh. Wyraźnie uznał uwagę za obraźliwą. – Można im powierzyć każde zadanie.

– Przekonamy się – odrzekł Nicabar i podszedł do Iykamów. Przeszedł się między nimi i przyjrzał każdemu niczym oficer na inspekcji. – Czy mam rozumieć, że wyposażycie ich w czapki niewidki?

– W co? – zdumiał się Brosh. – W jakie czapki?

– Tylko w ten sposób zdołają zbliżyć się do „Icarusa” i użyć tego... – Nicabar uniósł uzbrojoną rękę najbliższego Iykama i poklepał pistolet elektryczny.

– Już rozumiem – skinał głową Nask. – Bardzo słusznie. Brosh, czy twoi ochroniarze na zewnątrz mają pistolety plazmowe?

– Niektórzy. – Brosh łypnął wściekle spod kaptura na Nicabara. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do obcowania z agentami wysokiej rangi i nie zależało mu na tym. – Wezwę ich i sprawdzę.

– Żadnych telefonów – sprzeciwił się Nicabar, gdy Brosh sięgnął pod szatę. – Mogą nas podsłuchać i wytropić. Wy trzej... – wycelował palec w najbliższych Iykamów – ...pójdziecie do tamtych i przyniesiecie wszystkie pistolety plazmowe.

– Zaraz, zaraz... – zaprotestował Brosh i wskazał na mnie. – A co z nim? Nie może pan ich tak odesłać.

– A co, pięciu takich superkomandosów to za mało do pilnowania jednego skutego więźnia? – zadrwił Nicabar.

– On ma rację, panie ekspedytorze – wtrącił się Nask. – McKell to szalenie niebezpieczny typ i wymknął się już z kilku pułapek. Enig pójdzie po broń.

Nicabar zniecierpliwiał się.

– Nie chcę, żeby któryś z was trzech wychodził stąd bez wyraźnej potrzeby. W ogóle nie powinniście być w tej części miasta, a co dopiero chodzić bez obstawy.

– Jest Wielkie Świąto – zauważył cierpko Nask. – Teraz mieszają się tu wszystkie rasy. Ale skoro pan nalega... – skinął głową na trzech Iykamów, których wytypował Nicabar. – Wykonać rozkaz!

– I przyniesiecie broń dla mnie – dodał Nicabar, kiedy tamci ruszyli do wyjścia.

– Nie ma pan swojej? – zapytał Nask, gdy Iykamowie zamknęli za sobą drzwi.

– Przecież pan wie, że nie – odparł Nicabar. – Na pewno obserwował pan, jak Enig i jego ochroniarze rewidowali mnie przy wejściu.

– Dlaczego nie nosi pan broni? Myślałem, że ekspedytorzy są rutynowo uzbrojeni.

– Większość ekspedytorów nie musi spędzać życia na pokładzie statku wielkości „Icarusa” z takimi ludźmi, jak McKell, którzy wszędzie wścibiają nos – przypomniał mu Nicabar. – Dawniej zostałem zdemaskowany, gdybym miał broń.

– W porządku, wykołowałeś nas – warknąłem. – Zwłaszcza udało ci się tamta gadka w maszynowni. Nieźle mnie zbajerowałeś.

Uniósł brwi.

– Jak to? Przecież wyraziłem się jasno. Przedstawiłem pogląd, że niechęć do Patthaanutthu jest nieusprawiedliwiona. Bierze się tylko stąd, że inni mają mniejsze osiągnięcia techniczne. Chyba nie słuchałeś mnie uważnie.

– Widocznie – mruknąłem i poczułem nagły przyływ adrenaliny. Słuchałem go wtedy bardzo uważnie. Nic takiego nie powiedział. Nawet nie dał do zrozumienia.

Co oznaczało, że albo prowadzi ze mną jakąś głupią grę, albo dzieje się tu coś zupełnie innego, niż na to wygląda.

Nicabar lekceważąco odwrócił się do mnie tyłem. I wtedy usłyszałem najcudowniejszy dźwięk pod słońcem. Jeszcze trzy minuty wcześniej przysiągłbym, że nie dożyję takiej chwili.

Do moich uszu dotarło cichutkie posapywanie kalixirskiej fretki.

Byłbym zaskoczony, gdyby inni też je usłyszeli. Ale nic na to nie wskazywało. Nicabar dyskutował cicho z Naskiem. Zapewne omawiali plan ataku na „Icarusa”. Iykamowie wciąż wpatrywali się we mnie z nienawiścią. Bardzo wolno obróciłem głowę i zerknąłem na dolny otwór wentylacyjny.

Przez kratkę ledwo dostrzegłem znajomy kształt. Nie mogłem rozpoznać, czy to Pix, czy Pax. Stworzonko przekrzywiało łebek na bok, jakby wygryzało sobie coś z sierści. Z powrotem przeniósłem wzrok na biurko, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Nicabar wciąż rozmawiał z Naskiem i spoglądał na mnie kątem oka. Opuściłem jedną powiekę o milimetr. Odpowiedział mi tym samym. Potem jakby przypomniał sobie o swojej legitymacji na biurku i schował ją do kieszeni. Legitymacja oczywiście nie była jego; zabrałem ją agentowi Patthów na Dorscind’s World po tym, jak mój stary kumpel James Fulbright próbował zainkasować za mnie nagrodę. Najwyraźniej Thompson nie był księgowym, tylko kimś o wiele ważniejszym.

– Pewnie jesteś ciekaw, co zaplanowaliśmy? – zapytał Nicabar, jakby czytał w moich myślach.

– Nie, nie – zaprzeczyłem. – Nic mi nie mów. Uwielbiam niespodzianki.

– Gratuluję dobrego samopoczucia – odparł surowo. – Los załogi „Icarusa” zależy tylko od ciebie. Na twoim miejscu... Co to, do cholery? – Zerwał się i podskoczył do ściany. Nask wydał dziwny skowyt.

Nie bez powodu. Z górnego i dolnego otworu wentylacyjnego buchnął nagle gęsty, jasnożółty dym.

– Pali się! – wykrztusił Enig.

– Wy trzej wynoście się stąd! – warknął Nicabar. Schylił się do niższego wlotu i niemal zniknął wśród dymu. – Ochrona, zamknąć górny nawiew!

Dwaj z pięciu Iykamów spróbowali dosięgnąć dźwigni przy wlocie pod sufitem. Znad podłogi dobiegł zgrzyt rozrywanego metalu i dym zaczął się rozwiewać. Nicabar wyprostował się.

Trzymał trzymilimetrowe, półautomatyczne kochran-uzi Fulbrighta.

Dwa pierwsze strzały położyły trupem dwóch pilnujących mnie Iykamów. Trzeci strażnik zdążył unieść broń i wycelować, ale stracił szansę, kiedy kopnięciem podbiłem mu ramię do góry. Nicabar załatwił po kolei wszystkich Guzowatych. Poderwałem się z krzesłem na plecach i rzuciłem na biurko Naska.

Patth zorientował się w porę. Gwałtownie odsunął się z fotelom i otworzył szufladę. Ale odjechał za daleko i nie sięgnął do niej. Niepotrzebnie zrobił unik, bo wysokość biurka i monitory uratowały go przed moją szarżą. Kiedy straciłem impet na przeszkodzie, dał nura do przodu w kierunku szuflady.

– Nawet nie próbuj – ostrzegł go od drzwi znajomy głos.

Nask zamarł z ręką w powietrzu, potem odwrócił głowę. Ja też, choć słabo widziałem. Drugi wysiłek w krótkim czasie sprawił, że oczy znów zasnuła mi czerwona mgła.

W progu stał Ixil z pistoletem plazmowym. Celował w Naska i zagradzał drogę ucieczki dwóm zaszokowanym pilotom.

– Rozumiem – powiedział Nask. Znów na niego spojrzałem. Wyprostował się i opuścił rękę.

– Nasza klasa znowu razem – stwierdziłem. Własny głos zadudnił mi głucho w uszach. Kowal pod moją czaszką widocznie skończył przerwę na lunch, bo młot znów się odezwał. – Może ktoś ma proszek od bólu głowy?

– Mamy coś lepszego – pocieszył mnie Ixil. Pokazał pilotom, żeby stanęli obok Naska i zamknął drzwi. – Everetta. Czeka na zewnątrz.

– Everetta? – powtórzyłem jak echo. – Kazałem mu zostać z Shawnem.

– Są przy nim Tera i Chort – wyjaśnił Nicabar. Stał obok mnie i oglądał kajdanki. – Pomyśleliśmy, że możesz potrzebować lekarza bardziej niż on.

– Nie potrzebuję, chociaż mogło tak być – przyznałem. Wskazałem głową jednego z martwych strażników. – Ten ma klucze. W sakiewce przy pasie. Jak mnie znaleźliście?

– Prawdę mówiąc, nie zgubiliśmy cię nawet na chwilę. – Nicabar przykleknął i pogrzebał w sakiewce. – Tera chciała sprawdzić, dokąd idziesz po to, co wiesz.

Popatrzyłem na Naska. Stał sztywno i przyglądał się nam uważnie.

– Nie przejmuj się, że coś wygadasz – uspokoiłem Nicabara. – Nie obstawili aptek na chybił trafił. Słyszałeś, co mówił. Zbierają informacje o załodze.

– Sporo już wiemy – pochwalił się Nask. – Prędzej czy później dostaniemy was. – Nadał się. – A wtedy pożałujesz, że nie dogadaliśmy się tu i teraz. Bardzo tego pożałujesz.

– Szczerze wątpię. Może się założymy? – zaproponowałem, chociaż w dziewięćdziesięciu procentach była to pewność siebie na wyrost. Czulem, że przegrałbym zakład. Przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości. – Mów, jak to było? – zwróciłem się z powrotem do Nicabara. – Po moim wyjściu zadzwoniła do ciebie, żebyś mnie śledził?

– Umówiliśmy się wcześniej, że tak zrobię – odparł. Znalazł klucze i zaczął dopasowywać je do kajdanek. – Kiedy Iykamowie cię porwali, przyszedłem za wami tutaj, a potem wezwałem Ixila. Przyniósł potrzebne chemikalia i przygotowałem świece dymne z zapalnikiem czasowym. Wysłał fretki na zwiady, a po ich powrocie włożyliśmy im uprząż do przyciągnięcia tu świec i broni.

Zdjął mi kajdanki. Rozmasowałem nadgarstki. Zatem fretka w otworze wentylacyjnym przegryzała uprząż, żeby uwolnić się od bagażu, zanim nastąpi wybuch.

– Jaki jest dalszy plan?

Nicabar wskazał głową trzech Patthów.

– Skujemy naszych przyjaciół i wyniesiemy się stąd.

– Dobry pomysł – pochwaliłem. – Jest tylko jeden problem. Ich statek „Rozważny”. Musi być spory, inaczej Nask nie porywałby się na „Icarusa”. Jeżeli się uwolnią, zanim opuścimy planetę, mogą spróbować nas przechwycić.

– Słusznie – przyznał Nicabar. – A zatem... Zajmę się nimi, jeśli chcesz.

– Lepiej uważajcie – ostrzegł Nask. Z jego głosu całkiem zniknęła przymilność. Teraz czaiła się w nim groźba. – Za zamordowanie obywateli Patthaaunutthu zostaniecie ukarani z niewyobrażalną surowością.

Nicabar spojrzął na niego drwiąco.

– A skąd wasi będą wiedzieli, kto to zrobił?

– Są sposoby – zapewnił go Nask tym samym tonem. – Na wszystko są sposoby.

– Nieważne – wtrąciłem się, zanim Nicabar zdążył odpowiedzieć. – Nie zastrzelimy z zimną krwią bezbronnych cywilów.

– To co? – zirytował się Nicabar. – Zostawimy ich tutaj? Tak, jak stoją?

Ixil wystąpił krok naprzód i wręczył mi swoją broń.

– Zostawimy ich. Ale niezupełnie tak, jak stoją. Bądź tak uprzejmy, Jordan, i przypilnuj ich. A ty, Revs, otwórz górny wlot wentylacyjny, żeby wpuścić Pixa.

– Co ty knujesz? – zapytałem, patrząc jednym okiem na Patthów, drugim na Ixila. Wziął pistolet elektryczny i zaczął majstrować przy dwóch regulatorach.

– Zrobimy eksperyment – wyjaśnił. – Odkryłem tę regulację w spluwach, które zdobyłeś na Xathru. Właściwie są o wiele za słabe, żeby stanowić skuteczną broń.

– Po co im coś takiego? – stęknął Nicabar. Akurat wyrywał górną kratkę wentylacyjną. Zanim zdążył ją całkowicie usunąć, Pix wyskoczył z otworu. Wylądował na podłodze, ominął ciała Iykamów i wspiął się na nogę Ixila.

– Podejrzewam, że służą do tortur. – Ixil przyjrzał się wskaźnikom. – To coś w sam raz do zadawania bólu bez ryzyka uszkodzenia ciała.

– Rewelacja – mruknąłem i łypnąłem złym okiem na Naska. – Dwa w jednym. – Nie odezwał się. Wpatrywał się w broń w rękach Ixila. – Nie musicie nosić dwóch rzeczy: broni i maszynki do łamania palców.

– Właśnie – zgodził się Ixil. Skończył regulować pistolet i podszedł do Brosha.

Brosh cofnął się szybko.

– Zaraz, zaraz... Jestem tylko zwykłym pilotem statku handlowego. Nie mam nic wspólnego z tą sprawą.

– Wiem – przytaknął Ixil. Chwycił wolną ręką ramię Brosha i unieruchomił w stalowym uścisku. – Dlatego mam nadzieję, że nie będzie bardzo bolało.

Przycisnął broń do lewej kości policzkowej pilota i ściągnął spust.

Nie błysnęła iskra, prąd był o wiele za słaby, jednak wywołał reakcję, jakby Brosha kopnęło tysiąc wolt. Porażenie zaparło mu dech i odrzuciło głowę do tyłu tak gwałtownie, że na sam widok znów rozboleła mnie moja własna. Ixil nie dał mu dojść do siebie. Zbliżył się i powtórzył to samo z drugim policzkiem. Przerazony Brosh był na granicy hysterii.

– Jeszcze tylko raz – pocieszył go Ixil, po czym zaaplikował mu trzeci elektrowstrząs w czoło, tuż nad oczami.

Nask warknął coś w swoim języku. Nagle zdał sobie sprawę, do czego zmierza Ixil.

– Ty *sacundian* obcy *frouzht*...

– A teraz zajmujemy się rękami... – zapowiedział Ixil, ignorując przekleństwa Naska i skowyt Brosha. Szybko poraził wierzchy dłoni pilota i puścił jego ramię. Brosh o mało nie upadł. – I to by było na tyle.

– Tak – zgodziłem się. – Przepaliłeś mi już chyba wszystkie obwody. Statek „Rozważny” został bez pierwszego pilota.

– I zaraz zostanie bez drugiego – Ixil podszedł do Eniga.

Enig okazał więcej godności i opanowania od swojego szefa. Nie skomlał i nie jęczał. Słysząc było tylko potok przekleństw Naska.

– Teraz można ich przykuć do biurka – oznajmił Ixil. Z odrazą odrzucił elektryczny pistolet i zabrał mi plazmowy. – Revs, masz ochotę dostąpić tego zaszczytu?

Po minucie trzech Patthowie byli związani niczym indyki na Święto Dziękczynienia. Znieśli operację ze stoickim spokojem. Nawet Nask zamilkł. Widocznie wyczerpał repertuar obelg pod naszym adresem. Nie przestawał tylko wpatrywać się w Ixila tak morderczym wzrokiem, że przechodziły mi ciarki po plecach.

Kiedy Nicabar skończył, szybko obejrzałem jego dzieło. Nie dlatego, że mu nie ufałem, ale czas nagiął i nie mogliśmy niepotrzebnie ryzykować.

– Całkiem niezłe – pochwaliłem. – Mam nadzieję, że ktoś wie, jak stąd wyjść.

– Prosto przez klub – powiedział Ixil i pstryknął palcami. Pax przerwał oględziny jednego z martwych Iykamów i przybiegł na wezwanie. – Pewnie nie wiedziałeś, że przywlekli cię na zaplecze nocnego lokalu?

– Nie, choć powinienem był się domyślić. Słyszałem muzykę.

Pax wdrapał się na ramię Ixila. Nagle uświadomiłem sobie, że od jakiegoś czasu nie słyszę orkiestry. Albo ogłuszyły mnie strzały Nicabara, albo w klubie zapadła cisza. Nie podobało mi się to.

– Chodźmy – przynagliłem.

Ruszyłem do wyjścia. Po drodze podniosłem elektryczny pistolet, żeby mieć jakąś broń. Ixil i Nicabar zajęli pozycje z mojej prawej i lewej strony. Nicabar ostrożnie uchylił drzwi i wyjrzał. Ixil obserwował Patthów.

– Czysto – mruknął Nicabar. Wysunął się na zewnątrz...

– Kalixie...

Obejrzałem się. Nask wciąż świdrował Ixila wzrokiem. Miał w oczach żądę mordu.

– ...drogo zapłacisz za to, co tu dziś zrobiłeś – ostrzegł cicho. – Ty i cała twoja rasa. Przypomnisz sobie tę noc, kiedy będziesz patrzył, jak twoi pobratymcy umierają z głodu.

Przez moment Ixil patrzył na niego bez wyrazu. Zaniepokoiłem się. Może ma wątpliwości, czy stanął po właściwej stronie? Jeśli ambasador nie rzuca słów na wiatr i potrafi namówić dyrektora generalnego Patthów do zemsty, Kalixów istotnie czeka ciężkie życie.

– Ixil! – szepnął niecierpliwie Nicabar.

Ixil ocknął się.

– Idźcie. Będę osłaniał tyły.

Posuwaliśmy się jasno oświetlonym, lecz pustym korytarzem. Nadal nie słyszałem muzyki ani żadnych innych dźwięków.

– Co zrobiliście po przyjsciu tutaj? – zapytałem. – Wystraszyliście wszystkich gości?

– Coś w tym rodzaju – mruknął Nicabar.

– Mam nadzieję, że Iykamów też – powiedziałem. – Nask dawał do zrozumienia, że pilnują budynku.

– Pilnowali – poprawił Ixil. – Zajęliśmy się nimi z Everettem, kiedy Patthowie skupili uwagę na tobie i Nicabarze.

– A gdzie Everett?

– Czuwa w głównej sali lokalu – wyjaśnił Ixil. – Na prawo.

Skręciliśmy za róg i zatrzymaliśmy się na skraju krzykliwe udekorowanego parkietu. Kolorowe światła wciąż migąły, choć nie było już nikogo. Na podłodze pozostało kilka rozlanych drinków i zgubionych szalików. Na stolikach wokół parkietu stały butelki i kieliszki. Niedbale odsunięte krzesła wskazywały, że klienci wynieśli się w pośpiechu. Poza parkietem w sali panował półmrok.

Nigdzie nie zauważyłem Everetta.

– Gdzie on jest? – mruknął Nicabar.

– Nie wiem – odrzekł Ixil. – Może wyszedł na zewnątrz.

Albo wypłoszyli go Patthowie lub Iykamowie, pomyślałem. Jeśli tak, to długi wieczór jeszcze się nie skończył.

– Gdzie są drzwi? – zapytałem.

– W rogu, za tamtymi pomarańczowymi światłami są ewakuacyjne – wskazał Nicabar – a za nimi zaułek odchodzący od jednej z głównych ulic.

– Miejmy nadzieję, że on tam jest – powiedziałem. – Prowadź.

Ruszyliśmy przez parkiet. W blasku reflektorów przypominaliśmyśmy tle lampy. Przeszliśmy dwie trzecie drogi, gdy kątem oka dostrzegłem ruch w mroku między stolikami.

– Uwaga! – krzyknąłem i wycelowałem tam palec.

Za późno. Błysnął pistolet plazmowy i Nicabar opadł na jedno kolano. Zaklął i odpowiedział ogniem.

– Jasna cholera! – warknąłem. Podskoczyłem i pociągnąłem go na podłogę. Nad moją głową odezwała się broń Ixila.

– Dostałem w ramię, nic takiego – wycedził Nicabar przez zaciśnięte zęby. Ledwo go dosłyszałem wśród głośniego syku plazmowego pistoletu Ixila i huku trzymilimetrowego uzi. – Widzisz tamtego?

Nie widziałem sylwetki, tylko ruch w mroku. Zamachowiec przemieszczał się. Ale nawet gdybym go widział, bez porządnej broni nie mogłem nic zrobić. Był za daleko. Podbiegłem do skraju parkietu, chwyciłem stolik, i na wpół cisnąłem, na wpół pchnąłem tam, skąd strzelał Nicabar. Chciałem dać mu osłonę.

Kiedy stolik sunął z przeraźliwym zgrzytem po podłodze, na prawo od naszego przeciwnika błysnął drugi pistolet plazmowy. Rozległ się wrzask, a potem gardłowy okrzyk:

– Trafiłem go! Chodźcie, trafiłem go!

– Zostań tu – rozkazał cicho Ixil i bezceremonialnie wepchnął mnie za stolik obok Nicabara. Zachwiałem się i ledwo złapałem równowagę. Ixil poderwał się z podłogi i pobiegł przez otwartą przestrzeń. Poruszał się z zadziwiającą szybkością i zwinnością, jak na masę swojego ciała. Pix i Pax przeskoczyły parkiet wcześniej. Właśnie znikwały wśród stolików i krzeseł po drugiej stronie. Wstrzymałem oddech i z obawą śledziłem bieg Ixila. Czekałem bezradnie, kiedy nagły strzał położy go trupem.

Ale nic takiego się nie stało. Dotarł do celu i schylony wpadł między stoliki.

Wtem przystanął. Gwałtownie wciągnąłem powietrze...

– Chodźcie! – zawołał. Schował broń do kabury i zamachał do nas. – To Everett. Jest ranny.

A kto nie jest, pomyślałem i ugryzłem się w język, żeby nie powiedzieć tego głośno. Podtrzymując się wzajemnie, przecięliśmy z Nicabarem parkiet w rekordowym tempie. W sali mógł się czaić inny napastnik.

Everett leżał wśród krzeseł. Na lewym udzie tuż nad kolaniem miał ciężkie oparzenie od plazmy.

– Widocznie w złym momencie spojrzałem nie tam, gdzie trzeba – wyjaśnił i spróbował się uśmiechnąć. – Przepraszam.

Ixil delikatnie usuwał z rany zwęgloną nogawkę.

– Nie przejmuj się – pocieszyłem Everetta. Wziąłem jego pistolet plazmowy i rozejrzałem się czujnie. Jeśli ktoś krył się w mroku, to zachowywał absolutną ciszę. – Nikt z nas nie jest w tej chwili w kwitującym stanie. Gdzie ten typ, co do nas strzelał?

– Gdzieś tam – wskazał ręką.

– Widzę – przytaknąłem. Kilka stolików od Everetta na krześle spoczywała bezkształtna masa. Podeszedłem bliżej. Znowu Iykan. Wszędzie ich pełno. Leżał w poprzek siedzenia, a z ręki luźno zwiślał mu pistolet plazmowy. Przyczyna śmierci była oczywista: dostał w płeć z bliskiej odległości. – Ładny strzał.

– Dzięki – odrzekł Everett i natychmiast syknął z bólu; Ixil oderwał resztę spalonego materiału od rany. – Przepraszam, że nie załatwiłem go wcześniej, ale chwilami traciłem przytomność. Nawet nie wiedziałem, że tu jest, dopóki nie strzelił do was. Jak twoje oparzenie, Revs?

– Boli jak cholera, ale chyba nie jest groźne – odparł Nicabar. Klęczał na jednym kolanie obok Everetta i grzebał w apteczce. – Jakim cudem zostawili cię tu żywego?

– Nie wiem – wyznał Everett. – Ale cieszę się, że to zrobili.

– Ja też – powiedziałem. – Możesz chodzić?

– A mam jakiś wybór? – zapytał. Sięgnął do apteczki, niecierpliwie odsunął ręce Nicabara, i wyjął kilka opatrunków na oparzenia. – Chyba wiesz, jak to się zakłada?

– Wolałbym nie pamiętać, ile razy to robiłem – mruknął Nicabar i odkleił spalony rękaw koszuli od rannego ramienia. Nawet się nie skrzywił.

– A co z tobą, McKell? – Everett ostrożnie opatrzył sobie ranę. – Zdaje się, że to ty najbardziej potrzebowałeś pomocy.

– Nic mi nie jest – zapewniłem. – Wystarczy proszek od bólu głowy. Nie zdążyli wziąć mnie w obroty. Oprócz Ixila, jestem chyba w najlepszej formie z nas wszystkich.

– Na twoim miejscu nie kusiłbym losu – ostrzegł Nicabar. – Everett?

– Jestem gotów – odparł Everett. Przycisnął mocniej brzegi opatrunku i skrzywił się. – Może jednak sam sobie nie poradzę, dopóki znieczulenie nie zacznie działać.

Westchnąłem. Bez wątpienia mogliśmy teraz stawić czoło całej potędze Patthów. Ludzkość była w tarapatach i liczyła na nas.

– Nie usłyszę żadnych dobrych wiadomości? – zapytałem kwaśno.

– Jedną – pocieszył mnie Everett. Wyrzebał z apteczki słoiczek proszków i rzucił mi. – Znalazłem bezpieczny port. Przyjajmniej na jakiś czas.

Zmarszczyłem brwi.

– O czym ty mówisz?

Zniżył głos.

– W drodze ze statku tutaj skontaktowałem się z przyjacielem. Zadzwoniłem do niego ze stacji StarrCommu obok przystanku tramwajowego. To emerytowany lekarz, mój były instruktor z kursu medycznego. Teraz prowadzi prywatny ośrodek narciarski i wspinaczki górskiej, na niewielkiej, spokojnej planecie wypoczynkowej o pięć dni lotu stąd. Ma tam małe, ale doskonałe

wyposażone lądowisko. Pompy paliwowe, wyrzutnie startowe, pomocnicze promienie grawitacyjne... Wszystko działa.

– Pewnie przyjmuje tylko prywatne jachty – zauważył z powątpiewaniem Nicabar. – Zmieści się tam statek wielkości „Icarusa”?

– Podałem mu wymiary i zapewnił, że bez problemu – odparł Everett. – Teraz nie ma sezonu i jest tam zupełnie pusto.

– Są jakieś miasta w okolicy? – zapytał Ixil.

– Najbliższe jest dwieście kilometrów stamtąd. Zdążymy dokończyć kamuflaż statku i wyleczyć oparzenia. – Zniżył głos jeszcze bardziej. – Może nawet uruchomić napęd gwiazdny.

– Zbyt piękne, żeby było prawdziwe – stwierdziłem. – Gdzie jest haczyk?

– Nie ma – odpowiedział Everett. – On nic o nas nie wie. Przedstawiłem was jako inwestorów, którzy szukają najlepszych terenów rekreacyjnych. Zresztą nie będzie go na miejscu. Za dwa dni wybiera się w podróż po nowy sprzęt. Zostawi nam wszystko do dyspozycji.

Spojrzałem na Ixila i pytając uniosłem brwi. Wzruszył lekko ramionami. Poznałem po minie, że myśli to samo, co ja. Nawet jeśli to pułapka, nie mamy wiele do stracenia. Patthowie i tak siedzą nam na karku. Skoro przygotowali misterną zasadzkę, powinni zrezygnować z walenia nas tępymi przedmiotami. Przynajmniej na razie. Dzięki temu nie tylko wydobrzeje mi głowa, ale wzrosną nasze szanse na wymknięcie się, lub przebicie przez obławę.

– W porządku – zgodziłem się. – Spróbujemy. Gdzie to jest? Everett rozejrzał się z wahaniem po ciemnych kątach sali.

– Lepiej zaczekajmy, aż stąd wyjdziemy.

– Chcę wiedzieć teraz – uparłem się. Podszedłem i przysunąłem ucho do jego ust. – Jeśli się boisz, powiedz szeptem.

Westchnął. Poczułem na policzku nieprzyjemnie gorący oddech.

– Na Beyscrim – wyszeptał. – W północnozachodniej części kontynentu Highlandia.

Skinałem głowę i wziąłem go mocno pod ramię. Miał rację. Nawet szept był tu ryzykowny. Ale musiałem wiedzieć, zanim wrócimy do statku.

– Teraz możemy iść.

Przestrzelanie w klubie spodziewałem się kordonu policji wokół budynku. Jednak ku mojemu zaskoczeniu bez przeszkód wydostaliśmy się zaułkiem na zatłoczone ulice k'Barch. W barwnym tłumie nie zauważyłem ani jednego mundurowego. Albo jeszcze nie zdążyli dojechać w tym ścisku, albo załatwiali pilniejsze sprawy. W czasie Wielkiego Świąta mogli mieć ważniejsze problemy, niż krótka wymiana ognia w nocnym lokalu.

Zwłaszcza, jeśli właściciel klubu nie złożył skargi. Ambasador Nask natomiast z pewnością wołał nie ryzykować, że Patthowie stracą kontrolę nad „Icarusem”, i nie zawiadomił lokalnych władz.

Całe szczęście. I bez tego nasza ucieczka nie była łatwa. Teraz, w środku nocy, na miasto wyległo co najmniej dwa razy więcej świętujących, niż kiedy tu przyjechałem. Z trudem przepychaliśmy się do przodu. Co kilka kroków ktoś z nas dostawał kukuśnia w zranione miejsce od zbyt rozbawionych albo kompletnie pijanych osobników. Środki przeciwbólowe i znieczulające niewiele pomagały. Po przebrnięciu dwóch przecznic miałem ochotę wyciągnąć pistolet i utorować nam drogę.

Oprócz fizycznych tortur dręczył nas niepokój, czy i kiedy Patthowie zdążą się przegrupować i znów uderzyć. Nawet w tym wielorasowym tłumie Ixil z fretkami zbyt rzucał się w oczy. Ale podobnie jak policjanci, nie pojawili się ani Patthowie, ani Iykamowie. Albo zlikwidowaliśmy w klubie ich główne siły, albo Nask wołał obstawić wejścia do portu, zamiast przeczesywać miasto. Miałem nadzieję, że na jego mapie nie zaznaczono prowizorycznego lądowiska Bangrot.

Okazało się, że z nocnego lokalu jest niedaleko do apteki, gdzie napadli mnie Iykamowie. Z kolei apteka była blisko przystanku tramwajowego, na którym wysiadłem. Jednak szybko się zorientowałem, że Ixil prowadzi nas w zupełnie innym kierunku. Zrozumiałem jego taktykę: na najbliższym przystanku mogli czekać obserwatorzy Patthów. Nie byłem zachwycony, że po ciężkich przejściach muszę jeszcze nakładać drogi.

Na szczęście w końcu przepchnęliśmy się przez tłum i głowa jakoś mi nie odpadła. Przed nami zobaczyłem inny przystanek. Ixil skierował nas trzech do zaułka.

– Zaczekajcie tutaj – rozkazał. – Sprawdzę, czy nie ma tam niepożądanego towarzystwa.

– Dobra – zgodziłem się i pomogłem mu ułożyć Everetta na ziemi. – Tylko pamiętaj, że k'Tranie mogli zamontować kamery monitorujące ruch również na przystankach.

– Będę bardzo uważał – obiecał. Po dwóch krokach zniknął mi z oczu.

Everett rozmasował bolącą nogę.

– O co ci chodziło z tymi kamerami?

– Może z nich korzystać ktoś niepowołany – odrzekłem. – Zamiast szukać nas po całym mieście, Patthowie mogli się podłączyć do systemu.

– Ixil na pewno to wykryje – wtrącił się Nicabar. Opierał się o przeciwległą ścianę i patrzył na mnie w zamyśleniu. – Czy on ma przeszkolenie wojskowe, McKell?

Wzruszyłem ramionami.

– Zaczęliśmy latać razem jakieś sześć lat temu. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek o tym wspominał.

– Ciekawe... – mruknął Nicabar i zamknął oczy. Wyglądał na wykończonego. – Czasem zachowuje się jak zawodowy żołnierz.

– To pewnie pod moim wpływem – odparłem. – Kiedyś służyłem pięć lat w Ziemskich Siłach Obronnych.

– Wiem, Tera mi mówiła. – Nicabar na moment uniósł powieki i znów je opuścił. – Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jakiego wartościowego współnika znalazłeś.

Nie wyprostowałem się nagle, nie wciągnąłem gwałtownie powietrza, ani nie zrobiłem nic, co tradycyjnie towarzyszy chwili objawienia. Ale po słowach Nicabara ostatnie, oporne kawałki układanki wreszcie dopasowały się do całości. Już wiedziałem, kto zamordował Jonesa i próbował zabić Ixila, oraz psuje nam szyki od początku podróży „Icarusa”.

A co ważniejsze, wiedziałem dlaczego.

Wciąż dumiałem nad swoim odkryciem, gdy wrócił Ixil.

– Droga wolna – oznajmił i zaczął podnosić Everetta. – Władzę światła. Nadjeżdża tramwaj.

– To dobrze – powiedziałem i pomogłem mu. – Bo wy pojeździecie, a ja zostanę. Spotkamy się na pokładzie.

Spojrzeli na mnie, jakby nagle wyrosła mi druga głowa.

- O czym ty gadasz? – zirytował się Nicabar.
- Muszę zdobyć borandis – przypomniałem mu. – Jeszcze tego nie załatwiłem. A przy okazji, potrzebuję gotówki. Nask zabrał mi całą forszę.
- Ja pójdę po borandis – zaproponował Ixil. – Ty wracaj z nimi. Pokręciłem głową.
- Obaj są ranni. Przydasz im się bardziej, niż ja. Tylko ty jesteś zupełnie sprawny.
- Ale co będzie z tobą? – zaniepokoił się Everett. – Nie możesz kręcić się tu sam. To duże ryzyko.
- Słusznie – przyznał Nicabar. – Ixil, ty zabierzesz Everetta, a ja zostanę z McKellem.
- Ixil może cię potrzebować – zauważyłem. – Everettowi wciąż grozi opóźniony szok. Wtedy trzeba będzie go nieść. Prawdę mówiąc, tobie grozi to samo, Revs. Nie wyobrażam sobie, żebym dźwigał cię na plecach. – Odwróciłem głowę. – Lepiej się spieszcie, bo ucieknijcie wam tramwaj.
- Ale... – zaczął Nicabar.
- Szkoda czasu – przerwał mu Ixil i zarzucił sobie rękę Everetta na ramiona. Pix i Pax musiały zmienić miejsce. – Jak się uprze, nie przekonasz go.
- A jeśli dopadną go Iykomowie? – warknął Nicabar.
- Iykomowie są martwi albo w rozsypce – powiedziałem. – Bardziej obawiam się, że Patthowie natkną się na nasz statek i nie będzie komu go bronić. A może łudzicie się, że Tera z Chortem sami odeprą zmasowany atak?
- Chyba ma rację – ustąpił niechętnie Everett.
- Jasne, że mam – odparłem. – Po powrocie na pokład dajcie mi godzinę. Jeśli nie pojawię się, startujcie beze mnie. Przejmiesz dowodzenie, Ixil. Polecicie do kryjówki Everetta, a ja spróbuję dołączyć do was. I zostawcie mi trochę gotówki.
- Ixil wręczył mi swój portfel i utkwiał we mnie wzrok.
- Powinno wystarczyć.
- Dzięki. – Wiedziałem, że chce mi powiedzieć mnóstwo rzeczy, ale nie przy nich. – Idźcie już.
- Skinął głową.
- Uważaj na siebie.
- Zaufaj mi – odrzekłem.

Oddalili się. Wyglądali jak kupka nieszczęścia. Przeliczyłem pieniądze. Trzysta kommarek. Więcej niż potrzeba. Odczekałem chwilę, dałem nura w tłum i poszedłem za nimi. Częściowo na wszelki wypadek; chciałem ich osłaniać, gdyby okazało się, że jednak nie wszyscy Iykamowie są martwi albo w rozsypce. Ale głównie po to, żeby sprawdzić, czy cała trójka wsiądzie do tramwaju i odjedzie. Miałem pewien plan i nie mogłem dopuścić do przecieku.

Przystanąłem za grupką Skanków i obserwowałem, jak moi ładują się do tramwaju. Kiedy ruszył, uniosłem się na palcach i przyjrzałem flagom informacyjnym. Zobaczyłem symbol apteki i precyzyjnie się w tamtym kierunku.

Zgodnie z przewidywaniami dostałem borandis bez kłopotu. Po dziesięciu minutach wyszedłem na ulicę lżejszy o dwieście kommarek, za to z zapasem leku w wewnętrznej kieszeni. Kupiłem dużo więcej, niż naprawdę mogło się przydać, ale wyglądałoby podejrzanie, gdybym przyniósł odmierzoną porcję tylko na przelot do kryjówki Everetta na Beyscram. Wróciłem na przystanek i schowałem się w tłumie do przyjazdu następnego tramwaju.

Nie zdziwiłem się, że jest prawie pusty. Zabawa rozkręciła się na dobre i mało kto wyjeżdżał z miasta. W tłoku czułbym się bezpieczniej, ale przynajmniej mogłem usiąść i odpocząć kilka minut. Coś za coś.

Krótką podróż przebiegła bez przygód. Nie dostrzegłem ani Patthów, ani Iykamów. Nie zauważyłem też, by ktoś mnie śledził. Wkrótce wysiadłem na przystanku przy porcie kosmicznym Bangrot.

Czekała mnie teraz długa wędrówka do „Icarusa”. Chyba że znalazłbym wolny samochodzik. Ale po drodze i tak musiałem jeszcze gdzieś wstąpić. Zamiast pójść w prawo do statku, skręciłem w lewo do StarrCommu.

Recepcjonistka Wuja Arthura trzymała mnie przy telefonie kilka minut, co nie wróżyło niczego dobrego. Wuj Arthur na pewno chrapał w najlepsze, a nie cierpiał, gdy ktoś go budził. W dodatku nie miałem dla niego pomyslnych wieści. W sumie rozmowa nie zapowiadała się przyjemnie.

Kiedy Wuj Arthur wreszcie pojawił się na ekranie, zamurowało mnie. Nie wyglądał na zaspanego i włosy nie sterzczały mu na wszystkie strony niczym ciernista aureola. Nie był w koszuli

nocnej i narzuconym w pośpiechu szlafroku. Od lat nie widziałem go tak elegancko ubranego i starannie uczesanego.

Zatem nie wyciągnąłem go z łóżka. Zamiast tego przeszkodziłem mu pewnie w spotkaniu z takimi samymi tajemniczymi ważniakami, jak on. Zastanawiałem się, czy to lepiej, czy gorzej, ale moja boląca głowa nie potrafiła tego rozstrzygnąć.

Spojrzałem na jego twarz i ciarki przeszły mi po plecach. Miał minę bezradnego człowieka osaczonego przez wrogów. Przypominał mistrza szachowego, któremu pozostał tylko król i jeden pionek oraz świadomość, że tego pionka będzie musiał za chwilę poświęcić.

– Właśnie rozmawialiśmy o tobie, Jordan – przywitał mnie z wystudiowaną obojętnością. – Jaka sytuacja?

– Jeszcze nie najgorsza – odrzekłem. – A co u pana?

– Niestety, nie najlepiej – wyznał. – Gdzie jesteś?

– Biorę udział w Wielkim Świątku na Palmary. I zamierzam wynieść się stąd do wszystkich diabłów, jak szybko się da.

– Rozumiem, że masz jakiś problem?

– Można tak powiedzieć – zgodziłem się cierpko. – Dorwali mnie Patthowie i pozwolili swoim Iykanom poćwiczyć na mojej głowie solówki perkusyjne. Załoga wydostała mnie, ale dwaj z naszych dostali plazmą. Wiem, że woli pan nie przyznawać się do mnie, ale potrzebujemy wsparcia, i to szybko.

Zrobił jeszcze bardziej obojętną minę.

– Dokąd się wybierasz po opuszczeniu Palmary?

– Jeden z członków załogi ma kumpla na Beyscrim. Załatwił nam tam kwatery do wyłącznej dyspozycji – wyjaśniłem i znów przeszły mnie ciarki. Nie zareagował na moją prośbę o pomoc. Przynajmniej powinien teraz włączyć komputer i znaleźć informacje o planecie. Ale ani drgnął. – To około pięciu dni lotu stąd. Chyba pańscy ludzie zdążyliby tam dotrzeć na czas?

– Tak, na pewno... – przyznał z ciężkim westchnieniem. – Posłuchaj, Jordan... Obawiam się, że nic z tego.

Wlepiłem w niego oczy.

– Jak to? Dlaczego?

– Powiem wprost: Ziemia uległa naciskom – odparł z goryczą. – Przed kwadranssem Genewa wydała oficjalny zakaz udzielania poszukiwanemu statkowi „Icarus” pomocy w ludziach,

sprzęcie, materiałach, w postaci informacji czy innej formie. Dotyczy to wszystkich władz, instytucji, organizacji, a także osób prywatnych z obywatelstwem ziemskim lub sojusznicznych światów.

Usta mu zadrgały.

– Wymieniono wasze nazwiska, Jordan. Twoje, Ixila i dwóch czy trzech członków załogi, które udało się ustalić.

Poczułem, jak wali mi serce. Wuj Arthur był moją ostatnią szansą.

– To jakaś bzdura. Nie mogą tego zrobić. Chodzi o tak wysoką stawkę, że...

Skrzywił się.

– Właśnie wysokość stawki brali pod uwagę. Jeszcze nie powiedziałem ci wszystkiego. Dziesięć minut przed komunikatem genewskim Patthowie wydali swój własny. Uznali Kalixów za rasę wyklętą.

Przypomniałem sobie groźbę Naska.

– To szybko – stwierdziłem. – Jeszcze nie minęła godzina od ostrzeżenia wygłoszonego do nas przez ich ambasadora.

– Cokolwiek zrobiłeś, rozdrażniłeś ich. Żarty się skończyły.

Westchnąłem głośno.

– Stanowczo wolałem poprzednią sytuację, kiedy bawiliśmy się z nimi w podchody. Czy Genewa pamięta, że w tej sprawie ma swój udział Arno Cameron?

Wzruszył ramionami.

– Chyba tak. Gdyby Cameron był w Genewie, na pewno załatwiłby wszystko po swojej myśli. Ma rozległe wpływy i pieniądze. Ale, o ile wiem, nie odnalazł się. A samo nic się nie załatwi. – Zmrużył oczy. – Chyba, że ty wiesz, gdzie jest.

– Nawet gdybym wiedział, nie powiedziałbym panu – odparłem kwaśno. – A przynajmniej nie przy tych waśniakach, którzy nas teraz słuchają.

Zerknął na swoje ubranie.

– Pewnie zdradził mnie ten oficjalny strój, co? Genewa przysłała do mnie dwóch przedstawicieli z kopią zarządzenia. Ale wcale nas teraz nie podsłuchują.

– Chyba powinienem być wdzięczny za drobne przysługi – mruknąłem. – To tyle, jeśli chodzi o nasz mały, prywatny układ.

– W istocie – zgodził się. – Jestem zaskoczony, że tym razem władze nie zapomniały o mnie.

– A szkoda – powiedziałem i dotknąłem ostrożnie guza na głowie. Zdawało mi się, że osiągnął wielkość grejpfruta-medalisty. – W porządku. Krótko mówiąc, zabronili panu zadawać się ze mną. Podobnie jak wszystkim w Spirali, którzy mają dziesięć palców i czerwoną krew. Tylko co to dokładnie znaczy?

Westchnął.

– Właśnie to. Nie wolno mi mieć z tobą nic wspólnego.

Parsknąłem.

– Bez żartów. Od kiedy pozwala pan sobą dyrygować? Zwłaszcza tym z Genewy?

Pokręcił głową.

– Nie rozumiesz, Jordan. To nie jest strategiczna czy polityczna decyzja trzeźwo myślących mężów stanu. To paniczna reakcja ludzi przerażonych groźbami Patthów. Trzęsą się na myśl, co może nas spotkać, jeśli jakakolwiek istota ludzka w Spirali udzieli wam pomocy.

– To śmieszne – nie ustępowałem. – Patthowie blefują. Towary należące do ludzi i wspólników to cztery do sześciu procent ich przewozów. Nie mogą tego przekreślić jednym pociągnięciem pióra.

– Tak zrobili z Kalixami – przypomniał mi. – Wiem, że w porównaniu z naszym, udział kalixirskich towarów w ich przewozach jest znikomy. Ale nikt w Genewie nie uważa, że to blef. – Zawahał się. – Szczerze mówiąc, ja też nie. Nie w sytuacji, kiedy przyszłość ekonomiczna Patthów może zależeć od tego, co jest w „Icarusie”.

Milczeliśmy przez pół minuty. Wuj Arthur pierwszy przerwał ciszę.

– A co z Rylandem i Antoniewiczem? Wątpię, żeby Genewa dostarczyła im kopię zarządzenia.

– Nie musi – odparłem i zmarszczyłem brwi; coś mi nagle przyszło do głowy. – Wiem od ambasadora Patthów, że Brat John wyparł się mnie.

– Szkoda – mruknął Wuj Arthur. – Bez względu na to, co myślisz o Antoniewiczzu, jego organizacja mogłaby ci pomóc.

– O dziwo, Tera zasugerowała mi coś podobnego – odpowiedziałem w zamyśleniu, bo właśnie dokonałem nowego odkrycia w związku ze śmiercią Jonesa. – Tylko w przeciwieństwie do pana nie podobał jej się pomysł przekazania „Icarusa” przestępcom.

– Mnie też się nie podoba – zapewnił. – Ale jeśli miałbym wybierać między Antoniewiczem i Patthami... – Pokręcił głową.

Wzięłem oddech. Nareszcie. Wszystkie kawałki układanki znalazły się na swoich miejscach. Czas wykonać odpowiedni ruch.

– A gdyby pan mógł mieć „Icarusa”? – zapytałem. – I wszystko, co zawsze chciał pan mieć? Jak daleko gotów pan się posunąć?

Przez chwilę świdrował mnie wzrokiem. W takich momentach zawsze miałem wrażenie, że te niebieskie oczy próbują przewiercić się przez różne warstwy mojej psychiki i dotrzeć do samej duszy.

– Mówisz poważnie – odezwał się w końcu. Nie zapytał, tylko stwierdził.

– Śmiertelnie poważnie – zgodziłem się. – Mogę to załatwić. Niech pan weźmie pod uwagę, że jeśli nic nie zrobimy, stracimy „Icarusa”. Dostanie się w ręce Patthów albo...

– W porządku, przekonałeś mnie – przerwał mi. – Czego potrzebujesz?

Przez następne dziesięć minut wprowadzałem go w szczegóły.

Po wyjściu ze StarrCommu nie znalazłem wolnego samochodu, co było do przewidzenia. Pozostał mi spacer. Musiałem się pospieszyć. Ixil miał czekać tylko godzinę. Szedłem tak szybko, jak tylko pozwalała mi boląca głowa i ostrożność. Nie chciałem zwracać na siebie uwagi.

Kiedy wreszcie w polu widzenia ukazał się „Icarus”, nie zauważyłem na zewnątrz nikogo. Ale też nie spodziewałem się tego. Ixil i Nicabar nie pozwoliliby na to. Dopiero przy samych schodkach dostrzegłem Pixa. Przycupnął pod sąsiednim statkiem, żeby nie rozdeptali go przechodnie. Nawet o tej porze ruch w porcie nie ustał. Przywołałem fretkę gwizdnięciem i złapałem, zanim zdążyła wleźć mi na nogę. Podrapałem ją za uchem.

– Gdzie Ixil? – spytałem cicho.

– Tutaj – zabrzmiało gdzieś z góry na lewo ode mnie. Podniosłem głowę. Ixil wyłonił się spoza lamp zamontowanych zgodnie z moim rozkazem w szparach między płytami maskującymi statek. – Miałeś jakieś problemy?

– Żadnych – zapewniłem. Przecisnął się przez szerszą szparę i zeskoczył na ziemię. – A wy?

Pokręcił głową i przywołał kogoś ręką. Obejrzałem się. Obok cysterny z paliwem wynurzył się Chort.

– Jak ci się podoba świąteczna iluminacja? – zapytał Ixil.

– Śliczna – pochwaliłem. – Znalazłeś tam pozycję snajperską.

– To pomysł Chorta. – Ixil wziął ode mnie Pixa i umieścił na swoim ramieniu. – Siedział tam na straży, kiedy wróciliśmy. Ponieważ jestem większy i trudniej mi się ukryć, wysłałem go za cysternę i zająłem jego miejsce.

– Słusznie – przyznałem. – Co z Shawnem?

– Kiepsko, ale nie tragicznie. Przynajmniej tym razem nie uciekł. Tera sprawdziła, czy jest mocno przypięty, zanim zajęła stanowisko przy władze. – Zerknął w górę. – Powinna tam jeszcze być. Nicabar i Everett nie są w takiej formie, żeby ją zmienić. Uprowadź ją, że nadchodzisz. Wciąż jest trochę zdenerwowana.

– Domyślam się – odparłem sucho.

Podszedł do nas Chort.

– Wszystko gra? – zapytałem.

– Tak jest, dziękuję, kapitanie McKell – zaświstał i przyjrzał mi się. – Jak rozumiem, pan nie miał takiego szczęścia.

– Bywało gorzej – uspokoiłem go. – Wygląda na to, że przy starcie w maszynowni będzie Ixil. Chciałbym, żebyś mu pomógł. Mam nadzieję, że zbiorniki są pełne?

– Paliwa jest pod korek, pompierze opłaceni – zameldował Ixil. – Dolecimy na miejsce bez problemu.

Skinąłem głową.

– Dobra. – Postawiłem nogę na pierwszym stopniu schodków i rozejrzałem się po raz ostatni. Nie wypatrzyłem Patthów ani Iy-kamów. Policji i celników również. Ale teraz, kiedy układanka była skończona, specjalnie mnie to nie zdziwiło. – Ruszamy.

2 2

Pięciodniowy lot na Beyscrim był najdłuższą jednoetapową pod różą, jaką do tej pory zaryzykowaliśmy „Icarusem”. Ten wyczyn trochę nas kosztował: w kadłubie pojawiły się trzy

pęknięcia i parę drobnych rys. Każde z tych uszkodzeń wymagało zewnętrznej naprawy, trwającej od dwóch do sześciu godzin. W sumie pochłonęło to cały dodatkowy dzień.

Najbardziej frustrujące było to, że nie mieliśmy pewności, czy warto naprawiać kadłub. Znając konstrukcję „Icarusa”, niektórzy zaczęli się niecierpliwić. Popękało tylko zewnętrzne poszycie, którym ludzie Camerona otoczyli kulisty obiekt. Obcy metal pod spodem nie ucierpiał na skutek ciśnienia w hiperprze-strzeni. Kilka razy dyskutowaliśmy o celowości łatania płyt, gdy Chort z Ixilem pracowali na zewnątrz przy ostatnich uszkodzeniach. Każdy miał inne zdanie. Ja głosowałem za kontynuowaniem postępu i dokończeniem napraw, nawet jeśli nie są konieczne. Tak zrobiliśmy.

Nie była to z mojej strony zwykła ostrożność czy brak wiary w umiejętności obcych konstruktorów statku. Mimo zapewnień Everetta, że jego przyjacielowi można bezgranicznie ufać, czekała nas jedna wielka niewiadoma w zupełnie nieznanym świecie. Łącznie z Shawnem, czterech z nas miało problemy ze zdrowiem. Uznałem, że im dłużej wypoczniemy, tym lepiej.

Po pierwszym przelocie nad Beyscrim musiałem jednak przyznać, że wygląd miejsca zgadza się z opisem Everetta. Planeta miała tylko pięć publicznych portów kosmicznych. Żaden nie dorównywał standardem nawet Meimie. Bezpieczna przystań przyjaciela Everetta istotnie leżała w sercu górzystego pustkowia. Automatyczny system lądowniczy sprowadził nas ku pięciu stanowiskom. Ulokowano je na lekkiej pochyłości, trzysta metrów na zachód od rezydencji w stylu domku myśliwskiego. W dole zbrocza rósł gęsty zagajnik, osłaniający lądowisko. Wybrałem stanowisko najbliższe drzew i posadziłem statek równolegle do nich, tuż przy rozłożystych gałęziach. Oczywiście najpierw tak obróciłem „Icarusa”, żeby właz wychodził na wolną przestrzeń i domek.

Tera zakwestionowała mój wybór. Uważała, że ustawienie statku na samym skraju sztucznego lądowiska grozi zapadnięciem się podłoża pod ciężarem „Icarusa”. Everett też mnie skrytykował, chociaż z innego powodu. Uznał, że wylądowałem za daleko od domku, co narazi nas na niepotrzebne pokonywanie dodatkowych stu metrów. Odpowiedziałem Terze, że chodziło mi o jak najlep-

sze ukrycie statku przed wszelkimi obiektami latającymi. Everetta potraktowałem niezbyt uprzejmie. Powiedziałem, że jeśli za krótko wypoczywał i nie chce mu się ruszyć tyłka, może samotnie mieszkać w „Icarusie”; my przenosimy się do domku.

Zdecydował się zostać. Rzekomo nie z wygodnictwa, tylko w trosce o bezpieczeństwo statku. Udałem, że mu wierzę i zgodziłem się. Razem z resztą załogi wyszedłem na chłodne, popołudniowe powietrze.

Domek okazał się większy, niż początkowo sądziłem. Oprócz prostokątnej części równoległej do lądowiska, z tyłu ciągnęło się prostopadłe skrzydło. Cały budynek miał kształt litery T. Dziwiłem się, jak mogłem tego nie zauważyć. Chyba tylko dlatego, że kryty łupkiem dach tylnej części ginał na tle skalistego zbocza góry za domkiem. Pomyślałem, że w sezonie turystycznym Beyscristm musi być bardzo popularnym miejscem w sezonie turystycznym.

Wielkość domku zapewniała każdemu z nas możliwość odseparowania się od reszty. Po przymusowym przebywaniu w jednym pomieszczeniu na skutek demontażu wnętrza „Icarusa”, wszyscy tęskniliśmy za odrobiną prywatności. Zaproponowałem jednak, żebyśmy się nie rozdzielali, dopóki nie sprawdzimy, czy cały domek jest rzeczywiście pusty. Tera nie zgodziła się. Oświadczyła, że nie życzy sobie niczyjego towarzystwa przynajmniej przez kilka najbliższych godzin. Wzięła staromodny, klasyczny klucz do jednego z pokoi gościnnych i poszła pospać w prawdziwym łóżku. Shawn i Nicabar zrobili to samo. Chort powędrował do kuchni, żeby zobaczyć, co mamy do jedzenia. Poddałem się. Wysłałem Ixila za nim i wyszedłem na szeroki, frontowy ganek.

Z danych nawigacyjnych o okresie obrotu planety wywnioskowałem, że dzień skończy się dopiero za dwie, trzy godziny. Nie wziąłem pod uwagę wysokiego łańcucha górskiego na zachodzie, który wznosił się za „Icarusem” i drzewami. Słońce już chowało się za najwyższymi szczytami. Wyglądało na to, że do zmierzchu pozostało nie więcej niż pół godziny.

Lepsze pół godziny słońca i świeżego powietrza, niż nic. Przynasąłem do krawędzi ganku jeden z solidnych foteli wypoczynkowych stojących pod ścianą i usiadłem.

Everett widocznie też zapragnął odetchnąć świeżym powietrzem. Zobaczyłem go w otwartym włączu. Patrzył w moim kierunku.

Chciałem mu nawet pomachać, ale zrezygnowałem. Skoro sam nie wykonał takiego gestu, pewnie nie był towarzysko usposobiony. Przynajmniej w stosunku do mnie. Poprawiłem się w fotelu i przestałem zwracać sobie nim głowę.

Siedzieliśmy zamknięci we własnych małych światach, a słońce powoli znikало za górami. Niebo zmieniało barwę i w końcu zapadł zmierzch. Ixil przyszedł zawiadomić mnie, że Chort przygotowuje kolację, i wrócił mu pomóc. Zostałem na ganku jeszcze kilka minut. Obserwowałem, jak zmierzch zamienia się w noc i na niebie pojawiają się gwiazdy. Przypuszczałem, że Everett patrzy na domek i wyrastające za nim góry. Albo po prostu na mnie.

Po dwudziestu minutach od zapadnięcia zupełnych ciemności temperatura wyraźnie spadła. Uznałem, że czas się ruszyć. Wstałem i w słabym świetle ozdobnych latarni na ganku zszedłem ostrożnie z boczem do „Icarusa”.

Everett leżał na swojej koi w dużej kuli. Opierał ranną nogę na apteczce i przerzucał pokładowe spisy farmaceutyków.

– Znudziło cię siedzenie w otwartym włazie? – zagadnąłem.

– Zmarzłem – odrzekł. – Co tam u was?

– Nic. Aha, niedługo będzie kolacja. Przyłączysz się?

– Co jest do jedzenia?

– Nie mam pojęcia – przyznałem szczerze. – Chort rządzi w kuchni. Jak go znam, przygotowuje coś zjadliwego.

– Zapewne – skrzywił się Everett, bo akurat poprawiał bolącą nogę. – Ale obawiam się, że nie dojdę.

Zmarszczyłem brwi i przycupnąłem obok niego.

– Aż tak źle? Przepraszam, nie wiedziałem. Wpadłbym tu wcześniej.

Machnął lekceważąco ręką.

– Nie przejmuj się. Miałeś rację. Do tej pory powinno się zagoić. Może to przez tutejszy chłód i niższe ciśnienie.

– Przyda ci się więc wygodne łóżko – powiedziałem zdecydowanie. Wyprostowałem się i wyciągnąłem rękę. – Chodź, pomogę ci.

– Nie trzeba – zapewnił. – Odpocznę jeszcze trochę i przyjdę.

– Musisz zjeść z nami kolację, Everett – oświadczyłem to-nem nie znoszącym sprzeciwu. – Już nie pamiętam, kiedy jedliśmy porządną posiłek. Dobrze ci to robi. Twojej nodze też.

– Posłuchaj, doceniam twoją troskę, ale...

– Poza tym wszyscy musimy się poważnie zastanowić, co dalej – ciągnąłem. – Albo wyjdiesz stąd z moją pomocą, albo przyśle Ixila i Nicabara, żeby cię zanieśli. Wybieraj.

– Wygrałeś – mruknął. Odłożył papiery i uśmiechnął się krzywo. – Nieśli mnie większość drogi na Palmary. Dziękuję, wolę nie powtarzać tego doświadczenia.

Poszliśmy wolno po krzywiźnie kadłuba do tunelu. Nie zauważyłem, żeby Everett miał aż takie problemy z chodzeniem, ale na wszelki wypadek czuwałem nad nim. Zapaliłem reflektory wejściowe, żeby oświetlić nam drogę, i pierwszy zszedłem po schodkach. Dotarł na ziemię cały. Ruszyliśmy do domku.

Zerwał się lekki wiatr i zrobiło się jeszcze zimniej. Everett poskarżył się, że sztywnieje mu noga. Przejście czterystu metrów zajęło nam dziesięć minut. Przy stopniach ganku Everett zrezygnował z dumy i uwiesił się na moim ramieniu.

– Przepraszam... – wysapał przed drzwiami. – Chyba jednak Ixil powinien był mnie zanieść.

– Nic nie szkodzi – uspokoiłem go. – Poczujesz się lepiej, jak wejdziemy do ciepłego wnętrza... Cholera!

– Co się stało? – zapytał zaskoczony.

– Reflektory – odpowiedziałem, oglądając się za siebie. „Icarus” był pięknie skąpany w blasku światła. – Zapomniałem je wyłączyć. To przyzwyczajenie. W portach zawsze zostawiam zapalone.

– Zamierzasz wrócić i zgasić je?

– Chyba nie zależy nam na zwróceniu na siebie uwagi? – Pchnąłem drzwi i pomogłem mu przestąpić próg. Od smakowitych zapachów z kuchni zaburczało mi w żołądku. – Jadalnia jest na lewo. Skręcisz za róg i przejdiesz pod prostokątnym sklepieniem. Za minutę wracam.

– Lepiej zabierz ze statku latarkę – doradził. – Teren jest nierówny.

– Zbiorę – rzuciłem przez ramię. – Jeżeli jakąś znajdę w tym bałaganie. Nie pamiętam, gdzie je wetknęliśmy. Dopilnuj, żeby Chort zostawił mi trochę żarcia.

– Jasne – obiecał. – Przynajmniej spróbuję.

Drogę oświetlały mi reflektory i lampy na ganku. Wyboistą trasę pokonałem bez przygód. Wspiąłem się po schodkach, wyłączyłem reflektory i wszedłem do głównej kuli.

Wcale nie musiałem szukać latarek. Wiedziałem dokładnie, gdzie są. Leżały wśród wyposażenia warsztatu mechanicznego. Po dziesięciu sekundach miałem jedną w ręce. Czas rzekomych poszukiwań mogłem teraz przeznaczyć na załatwienie tego, po co tu naprawdę przyszedłem.

Najpierw zająłem się systemem sterowniczym i nawigacyjnym. Przy mojej znajomości rzeczy trwało to dwie minuty. Przeszedłem do komputera. To też poszło szybko; ostatnio spędziłem przy nim sporo czasu. Potem ukradkiem przemknąłem tunelem do maszynowni.

Nawet przy pełnym oświetleniu przedostanie się przez labirynt kabli nastęczało duże trudności. Przy celowo przyciemnionej latarce takie safari było wręcz niebezpieczne. Ale szczęśliwie żaden przewód nie obciążł mi głowy i po pięciu minutach dotarłem do celu.

Ukryte wejście do wewnętrznej kuli stało otworem. Prosiłem Ixila, żeby je tak zostawił. Zaświeciłem latarką w głąb, ale zobaczyłem tylko płataninę kabli. Owinąłem drutem otwarty panel z bezpiecznikami i zabezpieczyłem tak, żeby nikt go bezmyślnie nie zamknął. Potem wyszedłem z maszynowni i zablokowałem otwarte drzwi do tunelu.

Dotarłem do włazu, zgasilem latarkę, i po ciemku zszedłem po schodkach. Everett lub ktoś inny mógł patrzeć w tym kierunku, a przed kolacją musiałem jeszcze coś sprawdzić. Ostrożnie okrążyłem rufę statku i znalazłem się przy prawej burcie.

Gałęzie nade mną zasłaniały gwiazdy i było tu jeszcze ciemniej, niż po drugiej stronie. Mimo to bez trudu odnalazłem wpusty w kadłubie, które odkryłem na Meimie podczas pierwszych oględzin statku. Teraz już wiedziałem, że służą do zaczepiania opuszczanej drabinki. Tędy Cameron dostał się na pokład tamtego ranka. Wsunąłem mały palec do jednego z dolnych otworków w poszukiwaniu złożonej połówki plakietki naprowadzającej.

Zgięty kawałek plastiku nie tkwił w połowie głębokości wpustu, jak go włożyłem. Został wciśnięty na dno i zgnieciony. W drugim otworu również.

Wróciłem po omacku do schodków. Dopiero wtedy zapaliłem latarkę i poszedłem do domku.

Everett nie czekał na mnie w rozległym holu, jak się spodziewałem. Siedział w jadalni u szczytu jednego z drewnianych,

grubo ciosanych stołów. Shawn, Tera i Nicabar właśnie zajmowali miejsca. Chort z Ixilem wyłonili się z kuchni z wielkim, parującym garnkiem. Cztery krzesła pozostały wolne: dwa po obu stronach Everetta, jedno obok Shawna, i ostatnie przy końcu stołu najbliżej mnie i wejścia. Usiadłem.

Kolacja przebiegała w dość osobliwej atmosferze, pełnej kontrastów. Kilka godzin samotności dokonało cudownej przemiany w zachowaniu grupy, zwłaszcza Tery i Shawna. Podobno dobrze się wyspali. Ciche, bezpieczne otoczenie też bez wątplenia działało uspokajająco.

Ale jednocześnie nikogo nie opuszczało podświadome poczucie zagrożenia. Nerwowość przejawiała się w różny sposób. Zdawkowe rozmowy przeplatały się z długimi chwilkami krepującej ciszy. Wszyscy regularnie spoglądali na wejście za moimi plecami, jakby lada chwila spodziewali się ataku całej rasy Pathów. Najczęściej robiła to Tera, za nią Shawn. Jakby na podstawie niepisanej umowy nie poruszaliśmy tematu następnego etapu podróży i naszych szans dotarcia na Ziemię.

Zaczekałem pół godziny, dopóki gulasz nie zniknął ze stołu. Rozmowy znów się nie kleiły i wyglądało na to, że wszyscy zamierzają się rozejść. Odchrząknąłem i uniosłem lewą rękę.

– Wiem, że jesteście zmęczeni i chcielibyście jak najszybciej znaleźć się w łóżkach – zacząłem. – Ale musimy omówić jedną czy dwie sprawy.

Jeśli ich miny nie wyrażały wrogości, to przynajmniej zupełny brak entuzjazmu.

– Nie możemy tego odłożyć do rana? – zapytał Everett z drugiego końca stołu. – Noga znów mnie boli i chętnie oparłbym ją na czymś.

– To zajmie tylko kilka minut – obiecałem. – I niestety nie możemy tego odłożyć.

– Jasne, że nie – mruknął pod nosem Shawn. – Nie wtedy, kiedy McKell uważa, że to pilne.

Wskazałem głową Chorta i Ixila.

– Przede wszystkim podziękujmy im za wspaniały posiłek. Zwłaszcza Chortowi, bo domyślam się, że to głównie jego zasługa.

Wszyscy głośno pochwalili kolację, po czym rozległo się ciche szuranie odsuwanych krzesel. Shawn i Nicabar pierwsi przygotowali się do wyjścia. Everett zaczął się podnosić.

- Jeszcze coś? – zapytał.
- Owszem – odparłem i uniosłem prawą dłoń ponad blat, żeby pokazać, że trzymam pistolet. – Może zechcielibyście z powrotem usiąść i położyć ręce na stole, dobrze? Zamierzam przedstawić wam mordercę.

23

Moje słowa wywołały szok. Zamarli w różnych pozach niczym posągi i trwali tak przez sześć uderzeń serca. Jedni wlepiali wzrok we mnie, inni w pistolet. Nie poruszyłem się i nie odezwałem. Czekałem, żeby dotarło do nich to, co usłyszeli.

Pierwszy otrząsnął się Everett. Osunął się ostrożnie na krzesło, jakby miał usiąść na jajkach i nie chciał żadnego zgnieść. Jego ruch odczarował Shawna i Nicabara. Równie ostrożnie przysunęli się z powrotem do stołu. Wszyscy trzej położyli ręce na blacie. Ixil zrobił to samo. Spojrzałem pytająco na Terę i Chorta. Niechętnie zastosowali się do polecenia.

– Dziękuję – powiedziałem i rozparłem się wygodnie, ale pistolet trzymałem w pogotowiu. – Od początku tej podróży zdarzają się nam niewyjaśnione i z pozoru nie dające się wytłumaczyć wypadki. Kiedy Chort po raz pierwszy naprawiał kadłub na zewnątrz statku, nieoczekiwanie włączył się generator grawitacji. Chort mógł zostać ciężko ranny, lub nawet zginąć, gdyby miał mniej szczęścia. Uszkodzony palnik poważnie poparzył Ixila i pewnie pozbawiłby go życia, gdybyśmy razem z Nicabarem nie wyłączyli go w porę. Gdy Ixil dochodził do siebie, w jego kabine podłożono niebezpieczną mieszaninę substancji chemicznych i roztrzaskano włącznik drzwi.

To oczywiście nie jedyne wydarzenia. Celowo wymieniłem je na początku, gdyż dały się najłatwiej wyjaśnić. Generator grawitacji włączyła Tera, żeby Chort nie odkrył tajemnicy statku, której nie chciała ujawnić.

Wszystkie oczy jak na komendę zwróciły się ku Terze.

– Czego nie chciała ujawnić? – zapytał Nicabar.

– Dodatkowego wężu na szczycie przedziału silnikowego – odrzekłem. – Tamtędy jej ojciec wśliznął się na pokład przed naszym odlotem z Meimy.

– Zaraz, zaraz... – wtrącił się zaskoczony Shawn. – Ona jest... córką Borodina?!

– Dokładnie – przytaknąłem, ignorując zdumioną minę Tery.

– Człowiek podający się za Aleksandra Borodina to w rzeczywistości znany przemysłowiec Arno Cameron.

Wszystkim opadły szczęki.

– Arno Cameron? – wysapał Everett. – O mój Boże.

– Coś mi świtało... – mruknął Nicabar. – Trzeba mieć kupę forsy, żeby zbudować takiego „Icarusa”.

– Tego na pewno Cameronowi nie brakuje – zgodziłem się. – Okazało się, że to on celowo uszkodził palnik. Podслуchał moją rozmowę z Ixilem; chcieliśmy wyciąć otwór do ładowni i dostać się tam. Cameron oczywiście nie mógł do tego dopuścić.

– Więc Borodin... to znaczy Cameron, leciał z nami? – zapytał Shawn. – Gdzie się ukrywał?

– Musiał być w przestrzeni międzykadłubowej – odpowiedział mu Nicabar. – To świetna kryjówka. Nikt z nas nawet nie podejrzewał, że jest tam tyle miejsca, dopóki nie zaczęliśmy demontażu wnętrza statku.

– Zgadza się – potwierdziłem. – Wynurzył się raz czy dwa, żeby skontaktować się z Terą albo sprawdzić nasz kurs na dodatkowych wyświetlaczach w kabinie komputerowej. Poza tym nie wychodził.

– Gdzie on się podział? – zdziwił się Everett. – Chyba nie powiesz nam, że wciąż ukrywa się gdzieś na pokładzie?

– Byłbym bardzo zaskoczony, gdyby tak się okazało – odrzekłem. – Wracając do głównego wątku, to Cameron podrzucił trującą chemikalia do kabiny Ixila.

– To kłamstwo – warknęła wściekle Tera. Oczy jej błyszczały. – Już ci mówiłam, że tata nie chciał nikomu zrobić krzywdy.

– Nie twierdzę, że chciał – uspokoiłem ją łagodnym tonem. – Wręcz odwrotnie; starał się uratować Ixilowi życie. Ale jeszcze do tego wróć.

– Jak zatem widzicie... – ciągnąłem, przyglądając się załodze – ...niektóre wypadki udało się wyjaśnić. Niestety, nie wszystkie.

Dochodzimy do zabójstwa – umyślnego zabójstwa – naszego pierwszego mechanika, Jaegera Jonesa.

– Zabójstwa?! – Chort tak zaświstał z przejęcia, że ledwo go zrozumiałem. – Myślałem, że to był wypadek.

– Nie – odparłem. – Ale morderca postarał się, żebyśmy tak sądzili.

– To jakaś bzdura – parsknął Everett. – Po co Patthowie mieliby zabijać Jonesa?

– Wcale nie uważam, że to oni – odpowiedziałem. – Ale skoro już o tym mowa, to pytanie długo nie dawało mi spokoju. Pamiętasz ucieczkę Shawna na Potosi i wizytę najickich celników? To sprawa naszego mordercy.

– Co przez to rozumiesz? – wtrąciła się Tera. – Chyba Shawn uwolnił się sam?

Pokręciłem głową.

– Ktoś mu pomógł, choć on pewnie tego nie pamięta. Podczas poszukiwań Shawna zabójca chciał odbyć kilku rozmów wideotelefonicznych, kiedy wszyscy się rozejdą i będzie sam. Pragnął za wszelką cenę zatrzymać „Icarusa”. A jednak nie wykorzystał żadnej okazji, żeby oddać nas w ręce Patthów.

– To brzmi tak, jakbyś mówił o jakimś schizofreniku – mruknął Everett.

– Albo kompletnym psycholu – dodał Shawn, rozglądając się ukradkiem. – O kimś, komu zabijanie sprawia przyjemność.

– Wbrew pozorom, ten ktoś jest absolutnie zdrowy psychicznie – zapewniłem ich. – Ale dobrze; przyjmijmy na chwilę, że to świr. Postawię jeszcze jedno pytanie, które ułatwi mi przyjęcie właściwego toku rozumowania. Mamy Arno Camerona, twórcę potężnego imperium finansowego i przemysłowego. Krąży po różnych spelunach na Meimie i szuka załogi. Musi dostarczyć na Ziemię cenny ładunek. Pytanie brzmi: jeżeli zakładając, że Cameron przynajmniej częściowo zawdzięcza swój sukces doskonałej znajomości ludzkich charakterów, jak mógł nie wyczuć, że jeden z wynajętych przez niego ludzi to schizofrenik, psychotyczny potencjalny morderca?

Przez minutę na wszystkich twarzach malowało się zakłopotanie. Albo pytanie zbiło ich z tropu, albo zastanawiali się nad odpowiedzią. Tylko Tera nagle zrozumiała; poznałem to po jej

wytrzeszczonych oczach. Nie czekałem, aż ktoś z klasy wreszcie podniesie rękę i ciągnąłem dalej.

– Oczywiście odpowiedź brzmi następująco: Cameron tego nie wyчуł, bo między wami jest ktoś, kogo nie wynajął na Meimie.

Chort pierwszy odzyskał głos.

– To niemożliwe – zaświstał tym razem trochę wyraźniej. – Skąd ktoś wiedziałby, że „Icarus” jest tak cenny i warto zaryzykować?

– A jeśli nawet wiedział, to dlaczego po prostu nie poszedł do Patthów i nie wydał nas? – dodał Shawn. – To jeszcze bardziej bez sensu, niż teoria o psychołu.

– Bynajmniej – zaprzeczyłem. – Odpowiem kolejno na wasze pytania. Nie miał pojęcia, że „Icarus” jest wyjątkowy. A nie wydał nas Patthom dlatego, że nie po to wszedł na pokład.

Wskazałem głową Everetta.

– To on naprowadził mnie w końcu na właściwy trop. Kiedy wszyscy dowiedzieliście się, co jest w „Icarusie”, Everett zauważył, że Borodin i Patthowie to nie jedyni uczestnicy tej gry. Wtedy nagle zdałem sobie sprawę, że ma rację. A potem uświadomiłem sobie, kto jeszcze bierze w niej udział.

– Kto? – zapytała ostro Tera.

Podniosłem rękę.

– Ja.

Na moment zapadła cisza.

– Nic nie rozumiem – wzruszył ramionami Shawn. – O czym ty gadasz?

– Mówię o sobie i ludziach, dla których pracuję – wyjaśniłem. – I o tym, że morderca dostał się na pokład tylko w jednym celu: żeby dać mi nauczkę. Lekcję posłuszeństwa.

Do tej pory luźno trzymałem pistolet i nawet gestykułowałem uzbrojoną ręką. Teraz mocno zacisnąłem palce na kolbie i wy-celowałem broń w szeroką pierś na drugim końcu stołu.

– Możesz mu powiedzieć, że dostałem nauczkę, Everett.

Znów zapadła cisza.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi, do diabła? – przemówił w końcu Everett.

– O szefa organizacji przestępczej, Johnstona Scotta Rylan-da. Chciał mi przypomnieć, że należy służyć tylko jednemu panu.

– Zaraz, zaraz... – wtrącił się osłupiały Shawn. – Już całkiem się zgubiłem. Co ma z tym wspólnego szef mafii?

– McKell jest mu winien pół miliona – odparł Nicabar, świdrując mnie wzrokiem, który wcale mi się nie podobał. – Od kilku lat przemycą jego towar.

Shawn utkwił we mnie oskarżycielskie spojrzenie.

– Jesteś przemysłowikiem?! To dlatego tak łatwo dostałeś borandis. Powinienem być się domyślić, co z ciebie za numer, kiedy...

– Odwal się, Shawn – zgasił go Nicabar. – Czym więc zażyłeś sobie na tę lekcję, McKell?

– Ixil i ja transportowaliśmy jego ładunek na Xathru. Nadrobiliśmy trochę czasu i po drodze wpadliśmy na Meimę.

– Po co? – zapytała Tera.

– Później to wyjaśnię – odrzekłem. – Ryland ma wszędzie informatorów, nawet w takim zabitym dechami świecie, jak Meima. Pewnie już wcześniej podejrzewał mnie o niełojalność. Kiedy jakiś kapuś doniósł mu, że wylądowałem na Meimie, wkurzył się. Pomyślał, że chcę się urwać albo wykołować go, czy coś w tym stylu. Uznał, że trzeba mi dokopać. Ty jesteś tym kapuśm, Everett, czy tylko jego mięśniakiem?

Everett nie odpowiedział. Machnąłem ręką.

– Stanowisko nieważne. W każdym razie, Ryland kazał Everetowi przykleić się do mnie i sprawdzić, co jest grane. Everett łaził więc za mną po Meimie i zapewne śledził mnie w tamtej tawernie, gdzie Cameron proponował mi stanowisko pilota „Icarusa”.

– A skąd wiedział, że zostałeś wynajęty? – spytała Tera. – Jeśli nie był na tyle blisko, żeby podsłuchiwać, nie miał pojęcia, o czym rozmawiacie.

– Z pewnością nie był tak blisko – odpowiedziałem. – Rozglądałem się i zapamiętałbym go. Ale nie musiał podsłuchiwać. Mógł zobaczyć, że Cameron daje mi plakietkę i to mu wystarczyło. Resztę sobie dośpiewał.

– Kiedy Cameron wyszedł... – ciągnąłem – ...Everett zostawił mnie i poszedł za nim. Chciał ustalić, z kim mam konszachty. Sam zamierzałem śledzić Camerona, ale wdałem się w rozróbę z trzema pijanymi Yavanni i zgubiłem go. Tymczasem Everett zaobserwował, że Cameron wynajął kilku następnych członków załogi. Postanowił zainteresować się bliżej jednym z nich. Gdy

Cameron zakończył rekrutację, poszedł za ostatnim wynajętym załogantem i dał mu w łeb w ciemnej uliczce.

– Kogo załatwił? – zapytała Tera.

– Lekarza pokładowego – odparłem. – Niewiele ustalił, dlatego po złożeniu raportu Rylandowi dostał polecenie, żeby zająć miejsce tej osoby na pokładzie „Icarusa” i nie spuszczać ze mnie oka. Na nasze szczęście Everett ma odpowiednie kwalifikacje medyczne. Chyba to nie był przypadek. Celowo wybrał lekarza.

Chort gwizdnął, aż zabolowały mnie uszy.

– Pamiętam. Przyszedł do portu ostatni. Powiedział, że miał kłopoty przy bramie i dlatego się spóźnił.

– Wątpię – odrzekłem. – Raczej ukrył się za pobliskim statkiem i obserwował, jak się zbieramy. Zapewne przygotował sobie również historyjkę dla Camerona, że wynajęty lekarz to jego kumpel, który nagle zachorował i on go zastąpił.

Nicabar parsknął.

– Dość żałosna historyjka.

– Może wymyślił coś lepszego. – Uniosłem brew i spojrzałem na Everetta. – Nie krępuj się. Popraw mnie, jeśli nie doceniłem twojej pomysłowości czy inteligencji.

– Nie, nie, mów dalej – zachęcił. – Oczywiście to wszystko bzdury, ale słucham cię z wielkim zainteresowaniem.

Kątem oka dostrzegłem, że Nicabar lekko zmarszczył czoło. Zapewne dziwił się, dlaczego Everett wcale nie wygląda na zaniepokojonego.

– Bez względu na to, jaką bajeczkę wymyślił, okazała się niepotrzebna – ciągnąłem, żeby odwrócić uwagę Nicabara od niefrasobliwego zachowania Everetta. Tylko tego brakowało, żeby były komandos nabrał teraz jakichś podejrzeń. – Cameron się nie zjawił, więc Everett mógł więc spokojnie udawać, że to on został wynajęty.

– Wiesz co, McKell... – warknął Shawn. – Everett ma rację. To tylko spekulacje. Sam powiedziałeś, że na Meimie Cameron rozstał się z tobą. Skąd możesz wiedzieć, co się wydarzyło?

– Żadne spekulacje – zaprzeczyłem. – Widzisz... po incydencie z kabiną Ixila uciałem sobie z Cameronem krótką pogawędkę. Wyjawił mi, że na dolnym pokładzie rozprawił się z kimś, kto pracowicie przygotowywał gaz trujący. Nie rozpoznał jednak w zamachowcu nikogo z załogi. Zasugerował, że to był ktoś z zewnątrz.

Ale gdyby członek załogi wpuścił na pokład postronną osobę, powinien jej pomóc popełnić drugie morderstwo, nie sądzisz? Nie, o wiele prościej jest założyć, że jednego z wynajętych załogantów od początku zastąpił ktoś inny.

– Wspomniałeś, że Everett dostał się na pokład, żeby dać ci nauczkę – odezwała się Tera. – Co miałeś na myśli?

– W oczach Rylanda wyszedłem na zdrajcę – odrzekłem. Poczułem, jak palce zaciskają mi się na kolbie pistoletu wycelowanego w Everetta. – Ale widocznie uznał, że jeszcze można mnie nawrócić, albo przynajmniej przywołać do porządku. Dlatego z typowym dla niego okrucieństwem kazał Everettowi zabić mojego współnika.

Terze zaparło dech.

– Twojego współnika? Jones był twoim współnikiem?

– Oczywiście, że nie – warknąłem, bo nagle mnie poniosło. Przeze mnie zginął niewinny człowiek. – Jones był po prostu mechanikiem, którego wynajął Cameron. Tu Everett pomylił się i tak namącił, że dopiero teraz połapałem się, w czym rzecz. Ubzdurał sobie, że razem z moim współnikiem porzuciliśmy towar Rylanda na Meimie i chcemy się urwać, wziął więc mechanika „Icarusa” za mojego współnika. W dodatku Jones miał tak towarzyskie usposobienie i bezpośredni sposób bycia, że wyglądało, jakbyśmy znali się od lat. Everett wiedział, że w naprawach na zewnątrz statku tradycyjnie uczestniczy mechanik. Uszkodził więc aparat tlenowy przy kombinezonie pasującym na Jonesa, i spokojnie czekał.

Machnąłem pistoletem w kierunku Everetta.

– Ale potem coś cię zdradziło. Drobną uwagą. Zorientowałem się dopiero na Palmary. Przypomniał mi ją komentarz Revsa. Wylądowaliśmy na Xathru, żeby przekazać zwłoki Jonesa władzom portowym i przy okazji zabrać Ixila. Kiedy wszyscy opuściliśmy statek, zadzwoniłeś do Rylanda i pochwaliłeś się, że wykonałeś zadanie. Jednocześnie wspomniałeś, że zamierzam ściągnąć jeszcze jednego współnika na miejsce Jonesa. Ryland wyjaśnił ci, że zabiłeś niewłaściwą osobę. Ale jego towar dotarł do celu na czas, uznał więc, że wszystko gra. Kazał ci zostać na pokładzie „Icarusa” tylko po to, żeby mnie obserwować.

– A gdzie ta drobna uwaga, która go zdradziła? – zapytał Shawn. – Nie zauważyłem nic takiego.

– To było później – odparłem, przyglądając się Everettowi. – Wróciłeś do statku, kiedy rozmawiałem z Ixilem w tunelu. Rzuciłeś na niego okiem i powiedziałaś: „Zatem to jest twój współnik”. Zabrzmiało to tak, jakbyś wcześniej myślała, że jest nim ktoś inny.

Mina Everetta nie zmieniła się, tylko usta lekko mu zadrgały. To mi wystarczyło. Trafiłem w dziesiątkę.

Nicabar odchrząknął.

– Skoro wszystko grało, to dlaczego próbował zabić Ixila na Potosi?

– Bo między Xathru i Potosi sytuacja się zmieniła. Po wylądowaniu na Potosi natychmiast zadzwoniłem do Rylanda, żeby wskazał mi handlarza prochów, który sprzedaje borandis. W tym czasie zainteresowanie Patthów „Icarusem” osiągnęło szczyt. Ryland nie był zachwycony, że jeden z jego ludzi, czyli ja, znalazł się w centrum uwagi.

– Dlaczego nie kazał ci po prostu opuścić statku? – zapytał Shawn.

– Bo wiedział, że tego nie zrobię – odparłem. – Przypomniałem mu, że „Icarus” to dobra przykrywka dla kogoś, kto udaje biednego, ale uczciwego pilota. Nie zamierzał kłócić się ze mną o to przez publiczny wideotelefon StarrCommu. Zresztą miał już plan, który nie wymagał podjęcia takiej decyzji.

Poleciłem wam zostać na pokładzie i poszedłem po borandis. Everett musiał składać meldunki Rylandowi, rozluźnił więc pasy krępujące Shawna i umożliwił mu ucieczkę. Kiedy potem wszyscy szukaliście Shawna, Everett poszedł do budynku StarrCommu. Może nawet dzwonił do Rylanda, zanim ja skończyłem z nim rozmawiać; Ryland zniknął z wizji na dłuższy czas, bo szukał dla mnie handlarza prochów.

Ryland kazał Everettowi zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, dać anonimowy cynk najickim celnikom, że przemycamy klejnoty. Po drugie, zabić śpiącego Ixila, bo dowiedział się od Everetta, że Ixil kuruje się po wypadku. Ryland zakładał, że jeśli celnicy przeszukają statek i znajdą zwłoki, wypadnę z gry.

Na jego nieszczęście, wszystko poszło nie tak. Cameron nakrył Everetta, gdy ten przygotowywał zamach na Ixila. Unieszkodliwił go i wrzucił buteleczki z chemikaliami do kabiny Ixila, żeby Everett ich nie odzyskał.

Spojrzałem na Terę.

– Pamiętasz, jak włączyłaś się do mojej rozmowy telefonicznej z Everettem i zameldowałaś, że znalazłaś Shawna? Przypominasz sobie, jak brzmiał jego głos?

Zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

– Jakoś dziwnie. Trochę niewyraźnie.

– Nawet bardzo niewyraźnie – poprawiłem ją. – Wtedy myślałem, że Shawn mu przyłożył podczas ucieczki. Teraz wiem, że to po ciosach twojego ojca.

– Tata jest ciągle w niezłej formie – przyznała. – Potrafi porządnie przywalić.

– Zwłaszcza kiedy coś go właściwie zainspiruje – zgodziłem się. – Muszę rzucić okiem na twoje wyniki bokserskie, Everett. Ciekawe, czy zdarzało ci się przegrywać przez nokaut, czy Cameron miał po prostu szczęście. Wróćmy jednak do sprawy. Everett zrozumiał, że nie zdąży wprowadzić w życie planu B, bo wkrótce zjawią się Najikowie. Podwinął ogon i dał nogę ze statku. Nie zapomniał o zablokowaniu włazu, żeby wyglądało, że od waszego wyjścia nic się nie zmieniło.

Najikowie przybyli silną grupą, gotowi narobić rabanu. Wtedy pech Everetta po raz drugi dał znać o sobie. Chort wrócił mniej więcej w tym samym czasie i nie zgodził się wpuścić ich na pokład pod nieobecność kapitana. Stał im na drodze, a rzadko kto w Spirali odważy się rozgniewać przedstawiciela Crooei. Najikowie pewnie naradzali się z przełożonymi, co dalej począć, kiedy pech dosięgnął Everetta po raz trzeci.

– Ty? – domyślił się Nicabar.

– Ja – przytaknąłem. – Ryland wysłał mnie po borandis prawie na drugi koniec miasta. Liczył, że zanim wrócę, będzie po wszystkim. Tylko nie przewidział deszczu. Ponieważ nie lubię moknąć, wbrew jego zakazowi wzięłem taksówkę. Zdażyłem zjawić się w porę, wyperswadowałem Najikom pomysł przeszukania statku, i odlecieliśmy bez problemu.

– Genialnie to wydedukowałaś – pochwalił Everett, kręcąc z uznaniem głową. Najwyraźniej wciąż nie zamierzał się poddać. – Popełniłeś wprawdzie mnóstwo błędów, ale słuchałem cię z zainteresowaniem. Powiedz mi zatem, panie detektywie: skoro tak bardzo chciałem wykończyć ciebie lub Ixila, dlaczego narażałem

życie, pomagając ci uciec przed Patthami na Palmary? Omal mnie nie zastrzelili, o ile sobie przypominasz.

– Oczywiście, że sobie przypominam – zapewniłem. – Przyczyna jest prosta, nawet jeśli inne szczegóły nie są całkiem jasne. Nie załatwiłeś mnie ani Ixila, bo w porę zorientowałeś się, jaką wartość przedstawia „Icarus”. Wiedziałeś, że Ryland będzie chciał go mieć i potrzebowałeś pilota. Dlatego bezinteresownie odwaliłeś kawał roboty na ochotnika.

Wskazałem wolną ręką Nicabara.

– Revs to zupełnie inna, dużo poważniejsza sprawa. Potrzebowałeś pilota i specjalisty od silników. Ale Ixil i Revs to już dwaj specjaliści. W innych okolicznościach zapewne byłbyś zadowolony, że masz rezerwowego fachowca. Jednak podczas przygotowań do mojego uwolnienia Revs pewnie wspomniał, że służył w Ziemskiej Piechocie Powietrznej. Wspaniale, jeśli chodzi o odbicie mnie; wcale nie tak dobrze, gdy przyjrzałeś się temu bliżej. Zatem kiedy Ixil zostawił cię na straży w głównej sali klubu, posadziłeś na krześle martwego Iykama i postrzeliłeś się w nogę.

– Sam się postrzelił?! – zaświstał Chort. – Po co?

– Z dwóch powodów – odparłem. – Po pierwsze, musiał jakoś usprawiedliwić fakt swojego zniknięcia, gdy Revs z Ixilem wyprowadzą mnie z zaplecza. Pamiętaj, że strzelał do Revsa z kryjówki obok martwego Iykama, potem przebiegł kilka stolików dalej i strzelił trupowi w plecy, żeby wszystko wyglądało wiarygodnie. Jediną wiarygodną przyczyną jego nieobecności na posterunku mogło być to, że oberwał.

Wzruszyłem ramionami.

– Na swoje nieszczęście, znów miał pecha. Zamiast zabić Revsa, tylko go zranił. Ale lepsze to, niż nic; przynajmniej częściowo wyłączył go z akcji.

Cały czas wpatrywałem się w Everetta i dlatego nagle dostrzegłem wyraz ulgi na jego twarzy. W tym samym momencie usłyszałem za plecami znajomy głos.

– Bardzo sprytnie. Naprawdę bardzo sprytnie.

Wziąłem głęboki oddech. Pozostali znów znieruchomieli naszym posągi.

– A drugi powód, dla którego się postrzelił... – dokończyłem z westchnieniem rezygnacji – ...był taki, że chciał zostać

w „Icarusie”, kiedy reszta z nas przeniesie się do domku. Chodzi o to, że ze StarrCommu wcale nie telefonował do zaprzyjaźnionego emerytowanego lekarza.

Nie odwracając głowy, wskazałem niedbale za siebie.

– Przedstawiam wam Johnstona Scotta Rylanda.

2 4

Jestem pod wrażeniem, Jordan. Naprawdę – odezwał się Brat John. Jego słowom towarzyszył odgłos równych kroków. Podszedł bliżej. – To dlatego siedziałeś na ganku? Chciałeś zobaczyć, czy się tutaj zjawię?

– Mylisz się – odparłem. – Nawet nie próbuj – dodałem i wycelowałem pistolet w Nicabara, który powoli sięgał do krawędzi stołu.

– Właśnie. Lepiej go posłuchaj – zgodził się Brat John. – Jeżeli zależy ci na życiu. Możesz odłożyć broń, Jordan, to grzeczny chłopak. Zatem nie spodziewałeś się mnie?

– Może, ale nie wtedy, kiedy siedziałem na ganku – odrzekałem i położyłem pistolet na stole. Potem odwróciłem się lekko. Rozpromieniony Brat John stał w wejściu do jadalni. W naszym kierunku maszerowało sześciu mięśniaków – najgorszych zbirów spod ciemnej gwiazdy, jakich kiedykolwiek widziałem. Mieli gęby zawodowych zabójców. Mierzyli do nas z wielkich, czarnych spluw, przy których mój pistolet plazmowy wyglądał jak zabawka. – Przypuszczam jednak, że oczekiwał pana Everett. Obserwował urwisko za domkiem.

– Nie gadaj bzdur – powiedział Brat John. Jego głos wciąż brzmiał wesoło, ale wyczułem w nim groźbę. – Naprawdę myślisz, że pozwoliłbym wam przylecieć tu przed nami? Od wczoraj warujemy w tylnym skrzydle domku. A ty czekałeś, aż Everettowi znudzi się czuwanie i wejdzie do środka.

– Co tu się właściwie dzieje? – zapytała Tera. Starła się zapanować nad głosem, ale nie bardzo jej to wyszło.

– To chyba oczywiste – odparł Brat John, nie odrywając ode mnie wzroku. – Zabieramy wam „Icarusa” i jego obcy napęd gwiazdny.

Z powrotem odwróciłem się twarzą do stołu. Ochroniarze już do nas podeszli. Czterej stanęli na straży, dwaj poderwali do góry Ixila i Chorta, i zaczęli ich szybko, ale dokładnie rewidować.

– Everett dostał rozkaz sprowadzenia nas tutaj pod pozorem, że to bezpieczna przystań – wyjaśniłem. – Jak słyszeliśmy, pan Ryland i jego ludzie czekali w ukryciu. Mieli zamiar wśliznąć się do statku i odlecieć, kiedy wejdziemy do domku.

Ochroniarze nie znaleźli broni u Ixila i Chorta. Popchnęli ich z powrotem na krzesła, i przeszli do Tery i Shawna.

– Jestem zaskoczona, że nie ustawili nas pod ścianą i nie rozstrzelali – parsknęła Tera. Przeszywała Brata Johna wściekłym spojrzeniem i usiłowała ignorować ręce przesuwające się po jej ciele.

– Nie doceniasz pana Rylanda – powiedziałem do niej.

– Właśnie – przytaknął Brat John. – W końcu już raz ocaliłem wam życie. Moi ludzie pilnowali portu na Palmary podczas waszej pospiesznej ucieczki z planety. Dodam, że obsadzili również wieżę kontrolną.

– Zastanawiałem się, dlaczego poszło nam tak gładko – mruknął Nicabar. – Patthowie powinni byli przynajmniej wstrzymać odloty.

Brat John rozpromienił się jeszcze bardziej.

– Próbowali. Naprawdę. Wywarli nacisk na miejscowe władze i wydano stosowne rozkazy. Niestety, kontrolerzy ruchu powietrznego jakoś dali się przekonać, że to nie najlepszy pomysł.

– Jemu to zawdzięczamy – potwierdziłem. – Ale gdy mówiłem, że go nie doceniasz, Tero, miałem na myśli zupełnie co innego. Pan Ryland nigdy nie zamierzał nas zabić. Po co, skoro może zarobić dodatkowe pieniądze za przekazanie nas Patthom?

Tera popatrzyła na mnie i rozdziawiła usta.

– Chcesz powiedzieć...? – Znów spojrzała na Brata Johna. – Ty sukinyu!

– Na twoim miejscu, Jordan, uciszyłbym tę damę – ostrzegł mnie Brat John z listopadowym chłodem w głosie.

– Zwłaszcza że w ciągu trzech ostatnich minut cena waszego życia drastycznie spadła.

– Co to ma znaczyć? – wtrącił się Nicabar.

Goryle Brata Johna zabrali Terze śrutowy pistolet. Przyszła kolej na mnie i Nicabara.

– Nie zaplanował wydania nas Patthom tylko po to, żeby zgnać trochę drobnych – wyjaśniłem i skrzywiłem się. Potężne łapska uraziły mnie w bolące miejsca. – Chodzi mu głównie o to, żeby zyskać na czasie i zdążyć ukryć „Icarusa”. Nikt z nas nie będzie wiedział, co się stało ze statkiem, więc Patthowie będą mogli przesłuchiwać nas do czerwca i niczego się nie dowiedzą.

– Mili faceci – mruknął Shawn i cofnął się, gdy jeden z goryli posłał mu mordercze spojrzenie.

– Wiesz co, Jordan... – zagadnął Brat John. – Czuję się winny, że cię nie doceniłem. – Patrzył jak ochroniarz znalazł u Nicabara kochran-uzi i zabrał je. – Nie, nie, nie siadajcie – dodał, kiedy goryle próbowali siłą posadzić nas na krzesłach. – Ty i twój obcy współnik idziecie ze mną. A przy okazji, nigdy mi nie mówięś, że to obcy.

– Wiem – przyznałem. – Dlatego Everett pomylił się i wziął Jonesa za mojego współnika. Nie powiedział mu pan, że Ixil to obcy, bo nie wiedział pan o tym.

– Nie cierpię obcych – oświadczył Brat John swobodnym tonem. – Prawie tak samo, jak ich miłośników. Everett, ty też możesz iść z nami. Reszta zostaje, dopóki nie zdecydujemy, co z wami zrobić.

Everett wstał i wskazał Terę.

– Dziewczyna może się panu przydać, panie Ryland. – McKell twierdzi, że to córka Arno Camerona.

Brat John uniósł brwi.

– Naprawdę? – Po raz pierwszy od kiedy tu wszedł, zobaczyłem na jego twarzy autentyczne zdumienie. – No to zabieramy ją. W końcu McKell może potrzebować dodatkowych środków perswazji.

Ochroniarz poderwał Terę na nogi.

– Perswazji? – zdziwił się Nicabar.

– Tak – odparł ponuro Brat John. Nagle stracił humor. – Zdaje się, że nasz sprytny miłośnik obcych zmajstrował coś w systemach sterowniczych „Icarusa”. Moi ludzie nie potrafią się z tym uporać.

Popatrzyłem na Everetta.

– Nie chciałem rozstawać się z nim bez tej miłej pogawędki – odrzekłem skromnie. – Everett, powiedz prawdę. Dałeś tu całkiem fajne przedstawienie. To ty zabiłeś Jonesa, mam rację?

Parsknął pogardliwie.

– Tak się popisywałeś swoim sprytem i jeszcze nie jesteś pewien? Oczywiście, że go zabiłem. A co myślałeś? – zadrwił. – Że to Chort?

– Wolałem się upewnić – mruknąłem.

– Cieszę się, że wszystko jest jasne – wtrącił się Brat John. – Dar i Kinrick, zostajecie tutaj. Reszta idzie ze mną.

Droga do „Icarusa” wydawała mi się tym razem piekielnie długa. Na przodzie kroczył Brat John w towarzystwie Everetta i dwóch ochroniarzy. Ixil, Tera i ja szliśmy za nimi pod eskortą trzech goryli. Pilnowali, żebyśmy trzymali się pięć kroków za czołem pochodu. Widocznie bali się, że ktoś z nas spróbuje samobójczego ataku na ich szefa.

Było jeszcze ciemniej i zimniej niż przedtem. Wiatr przybrał na sile. Panowało nieprzyjemne milczenie. Bez wątpienia Tera winiła za wszystko wyłącznie mnie. Niestety, nie mogłem odmówić jej racji.

Ale w tej chwili mało mnie obchodziły nasze wzajemne stosunki, żale Tery, chłód, czy nawet lufa broni wbijająca mi się w lewą nerkę. Oczami wyobraźni widziałem stół do gry i toczące się po nim kości. Za kilka minut miało się okazać, czy wygrałem, czy przegrałem.

W otwartym włazie stała ciemna postać. Pierwszy wspiął się na schodki Brat John, za nim ochroniarz i Everett, potem Tera, drugi ochroniarz i Ixil. Dwaj inni goryle zarezerwowali mi ostatnie miejsce w kolejce. Wzięli mnie między siebie i wprowadzili na górę. Albo Brat John uważał, że jestem najbardziej niebezpieczny, albo należały mi się specjalne względy z tego tytułu, że jako jedyny potrafiłem uruchomić systemy statku.

Brat John wszedł do środka i pomaszerował przed siebie. Tera z Ixilem, ich ochroniarze, typ z włazu i jego dwaj kolesie czekali na mnie w tunelu. Myślałem, że Brat John przyprowadził do domu najgorsze kreatury ze swojej kolekcji. Ale ci nowi bili tamtych na głowę pod każdym względem. Bez słowa pokazali lufami, że mamy iść do głównej kuli.

Kłapa na końcu tunelu była zamknięta. Jeden ze zbirów otworzył ją i omal nie stracił równowagi na granicy dwóch pól grawitacyjnych. Tera i Ixil przekroczyli próg z godnością dzięki długiej praktyce. Wstrzymałem oddech i poszedłem w ich ślady.

Od mojej wieczornej wizyty we wnętrzu kuli nie zmieniło się prawie nic. Tyle tylko, że teraz paliły się wszystkie światła i przywitało nas ośmiu następnych typów. Czterej pochodzili z tego samego miotu, co nasza eskorta. Stali swobodnie w pobliżu dna kuli. Trzej inni uwijali się przy sterach i przyrządach nawigacyjnych w przedniej części kadłuba; z pewnością pilot i silnikowcy, którzy już dawno powinni byli unieść „Icarusa” w przestrzeń.

Moją uwagę przykuł ósmy mężczyzna. Czekał na samym dnie kuli. Widocznie nie ufał obcej grawitacji, choć trzymała jego techników przy powierzchni w połowie krzywizny kadłuba. Był drobny, przynajmniej w porównaniu z otaczającymi go ochroniarzami. Dawno przekroczył wiek średni, czego nie mogły ukryć intensywnie zabiegi odmładzające, które z pewnością przeszedł. Nosił drogi, ciemny garnitur i jeszcze droższą dyskretną biżuterię. Miał starą twarz bez wyrazu i martwe oczy, jakby nie żył od tysiąca lat. Nigdy go nie widziałem, ale natychmiast odgadłem, kim jest.

Kości przestały toczyć się po stole. Wygrałem.

Brat John sprowadził nas w dół kadłuba.

– McKell, jak się domyślam? – odezwał się mężczyzna. Głos miał równie martwy, jak oczy.

– Zgadza się – potwierdziłem. – Pan Antoniewicz, o ile się nie mylę? Bardzo się cieszę, że w końcu mam okazję poznać pana osobiście.

– Czyżby? – odrzekł. Mówi się, że niektórzy ludzie potrafią rozebrać człowieka wzrokiem. Spojrzenie Antoniewicza wręcz obdarło mnie ze skóry i przeniknęło do kości. – Większość tych, którzy są przyprowadzani na spotkania ze mną, wcale nie marzy o takim przeżyciu. Wielu nawet krzyczy i nie może zamilknąć.

Przełknąłem z trudem. Przypomniały mi się wszystkie zasłyszane historie o ludziach zmuszonych do stawienia się u Antoniewicza.

– Rozumiem, proszę pana – odpowiedziałem pokornie. – Ze chce mi pan wybaczyć śmiałość, ale podejrzewam, że nikt z tamtych nie ofiarował panu takiego prezentu, z jakim ja przychodzę.

Kąciki jego ust chyba się leciutko, ale trzeba byłoby mieć mikrometr, żeby się upewnić. Może nawet się uśmiechnął, bo jego oczy przybrały jeszcze bardziej martwy wyraz.

– Czyżby? Miałem wrażenie, że „Icarus” już należy do mnie.

– Zgadzam się z tym – przyznałem. Wolałem przemilczeć fakt, że gdybym sam tu nie przyleciał, „Icarus” pewnie jeszcze długo nie należałby do niego. Zważywszy liczbę obecnych ochroniarzy, uznałem swoją wstrzemięźliwość za usprawiedliwioną. – Ale mówię o czymś zupełnie innym. A raczej o kimś.

– Chwileczkę – warknął Everett i zrobił krok w moim kierunku. – Spróbuj przypisać sobie zasługę sprowadzenia jej tutaj, a skuję ci mordę.

– Ryland? – Antoniewicz wykonał przywołujący gest, potem wskazał Terę.

– Everett twierdzi, że to córka Arno Camerona – wyjaśnił Brat John. W jego głosie wciąż dźwięczał dobry humor, choć dziwnie przytłumiony. Podejrzewałem, że obecność Antoniewicza tłamsi wszystko, co dobre, z humorem włącznie. – Cameron to...

– Wiem, kim jest – przerwał mu Antoniewicz. – Powiedz mi lepiej, dlaczego Everett uważa, że sprowadzenie jej tutaj to jego zasługa.

– Chciałabym skorzystać z okazji i przypomnieć wszystkim, że nie jestem niczyją zdobyczą – wtrąciła się Tera i posłała każdemu wściekle spojrzenie. Najbardziej mordercze zarezerwowała dla mnie. Nie mogłem jej za to winić. Gdybym kilka minut temu nie ujawnił jej tożsamości podczas błyskotliwego podsumowania sprawy, pozostałaby anonimowym członkiem załogi.

Odechrząknąłem.

– Jeśli można...

– Cisza – zgasił mnie Antoniewicz. Nie podniósł głosu, nie zmienił tonu, nawet nie odwrócił wzroku od Tery, a mimo to zamknąłem się natychmiast. Sama obecność tego człowieka wystarczyła. Jego potęga i czające się w nim zło miały niemal fizyczne cechy, jak głos, twarz, czy garnitur. Po raz pierwszy naprawdę zrozumiałem, dlaczego udało mu się stworzyć tak ogromne imperium przestępcze.

Tera nie była zbita z tropu.

– Nie wiem, kim pan właściwie jest – ciągnęła. – Ale jeśli wyobraża pan sobie, że robi na mnie dobry interes, to lepiej niech pan od razu o tym zapomni.

– Nie licz na to – odparł spokojnie Antoniewicz. – Spośród wszystkich, którzy pracowali przy tym statku, tylko twój ojciec pozostaje na wolności. Pomożesz mi wywabić go z kryjóWKi.

– Jest pan głupszy, niż myślałam – parsknęła Tera. Najwyraźniej mało ją obchodziło, czy go obrazi. Zauważyłem, że Everett i Brat John skulili się. Nawet Pix i Pax wykrzywiły pyszczki. Tak nie mówi się do Antoniewicza. – Mój ojciec w pełni zdaje sobie sprawę, ile ten statek jest wart dla ludzkości. I jeszcze nigdy względy osobiste nie przeszkodziły mi w postąpieniu tak, jak należy. Na pewno nie zdradzi żadnych informacji o „Icarusie” komuś takiemu jak pan. Zwłaszcza pod przymusem.

– Nawet, jeśli stawką będzie życie jego córki? – zapytał Antoniewicz z uprzejmym niedowierzaniem.

– Nawet wtedy – odparła zdecydowanie Tera i wyprostowała się wyniośle. Duma na chwilę przyćmiła wszelkie oznaki strachu i niepewności. Wyobraziłem sobie dawną władczynię patrzącą odważnie i pogardliwie na wrogi tłum wieśniaków.

– Szkoda – westchnął z żalem Antoniewicz. – Jesteś zatem dla mnie bezwartościowa. – Skinął niedbale na goryla za moimi plecami.

Poczułem, że lufa przestała uciskać mi kręgosłup. Kątem prawego oka dostrzegłem, że celuje teraz w twarz Tery.

Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłem. Wiedziałem, że Antoniewicz blefuje. Nie zabiłby potencjalnej zakładniczki, której przydatności jeszcze nie sprawdził. Nawet jeśli słownie napluła mu w twarz, jak Tera. Może gdybym zastanowił się jeszcze pół sekundy, uświadomiłbym sobie, w co się pakuję.

Ale obiecałem Cameronowi, że będę czuwał nad jego córką i widocznie zadziałałem odruchowo. Prawą ręką podbiłem lufę wycelowaną w Terę, obróciłem się na prawej pięcie i prawym łokciem walnąłem ochroniarza w spłot słoneczny. Jednocześnie lewą ręką sięgnąłem po jego broń.

Moja akcja zakończyła się fiaskiem, jak wszystko, za co brałem się w życiu. Trafiłem łokciem w płytkę kamizelki kuloodpornej i nie dosięgnąłem broni, bo facet zrobił unik. Zanim zdążyłem złapać równowagę i spróbować czegoś innego, dał długi krok do tyłu. Po chwili zobaczyłem, że gapi się na mnie, jak na ciekawy okaz owada. Sukces, że w ogóle utrzymałem się w pionie.

Przygotowałem się na serię pocisków i potworny ból. Ale moje oczekiwania znów rozminęły się z rzeczywistością.

– Ciekawe – odezwał się Antoniewicz w pełnej napięcia ciszy. – Miałaś rację, Ryland. To typ bohatera.

– I chyba coś czuje do panny Cameron – zgodził się Brat John. Znów promieniał. Nie wiedziałem, czy cieszy go moja porażka, czy własna bystrość umysłu.

– Takich uczuć pan nigdy by nie zrozumiał – warknąłem z rozdrażnieniem ośmieszonego człowieka. – Na przykład lojalności czy współczucia. Ale skąd może pan wiedzieć, co odczuwają ludzkie istoty, skoro jest pan mniej ludzki, niż większość znanych mi obcych.

Zadowolenie zniknęło z twarzy Brata Johna.

– Słuchaj no, McKell...

– Wystarczy – uciął Antoniewicz i przyjrzał mi się z zainteresowaniem badacza owadów, jak jego ochroniarz. – Bez względu na to, jakie McKell ma wady charakteru, wyraźnie zależy mu na tym, by tej młodej damie nie stała się krzywda. – Uniósł lekko brwi. – To chyba jasne?

Spojrzałem na Terę. W jej oczach pozostały resztki pewności siebie, ale wyraźnie zbladła. Atmosfera zła i śmierci otaczająca Antoniewicza zaczęła na nią działać.

– Co to ma znaczyć? – zapytałem w ostatnim zrywie samobójczej odwagi.

Równie dobrze mógłbym to sobie darować.

– Nie udawaj głupiego, McKell – zgromił mnie Antoniewicz. – To do ciebie nie pasuje. Odblokujesz systemy „Icarusa”, czy moi ludzie mają zabrać pannę Cameron do maszynowni?

Poczułem, że w statku nagle zrobiło się zimno.

– Niech pan pozwoli, że zaproponuję coś innego – powiedziałem z trudem. Atmosfera otaczająca Antoniewicza zaczęła działać również na mnie. – Jeśli wypuści pan stąd Terę, Ixila i mnie, uruchomię systemy „Icarusa” i dam panu coś o wiele cenniejszego, niż my troje.

– On coś kręci – odezwał się lekceważąco Brat John. – Nie ma nic do przehandlowania.

– Wręcz przeciwnie – odparłem. – Mam Arno Camerona.

– I powiesz nam, gdzie jest? – zainteresował się Antoniewicz.

– Zrobię coś lepszego – odpowiedziałem, ignorując przerażoną minę Tery. – Oddam go w wasze ręce. Tu i teraz.

Moje słowa zelektryzowały ich.

– Co ty bredzisz? – parsknął Brat John i rozejrzał się, jakby Cameron miał nagle wyskoczyć z kadłuba. – Gdzie on jest?

– Ukrywa się w mniejszej kuli – wyjaśniłem bez wdawania się w szczegóły. Cała opowieść narobiłaby tylko zamieszania. – Mogę go przyprowadzić.

Antoniewicz uniósł brwi.

– Naprawdę? – Jego ton stał się lodowaty. – Uważasz nas za idiotów, McKell? Moi ludzie przeszukali każdy centymetr sześcienny tego statku, zanim wszedłem na pokład.

Pokręciłem głową.

– Może tu i w przedziale silnikowym, ale nie w małej kuli. W każdym razie nie wrokowo. Tam jest dżungla przewodów i zajęłoby to im kilka godzin. Czego używali? Czujników ciepła ludzkiego ciała i wykrywaczy ruchu?

– I jeszcze kilku innych specjalistycznych urządzeń – przytaknął Antoniewicz i przyjrzał mi się badawczo. – Chyba zdajesz sobie sprawę, że martwy Cameron to żadna karta przetargowa?

– On żyje – zapewniłem. – Jest tam miejsce, gdzie nie sięgają sensory. Podejrzewam, że to ta cała obca maszyna.

Antoniewicz spojrzał na Brata Johna i znów na mnie.

– W porządku – zdecydował. – Mów, gdzie on jest. Wyślę tam jednego z moich ludzi.

– Tamto miejsce bardzo trudno znaleźć – odparłem. – Poza tym dopuści do siebie tylko mnie. Jeśli zobaczy nieznanego, zapewne będzie walczył. Coś mogłoby się uszkodzić.

– Może nawet sam Cameron – mruknął Brat John.

– Nie spuszczać cię z oka – uciął dyskusję Antoniewicz. – Mów, gdzie on jest.

Westchnąłem.

– To niepotrzebne – powiedziałem niechętnie. – Obiecałem mu, że kiedy będzie mógł bezpiecznie wyjść, przyjdę po niego osobiście albo wyślę jedną z fretek Ixila. W maszynowni jest wejście. Powinno być otwarte.

Antoniewicz odzyskał dawny spokój. Osiągnął, co chciał.

– Świetnie. Poślij po niego.

Popatrzyłem na Ixila i skinąłem głową. Odpowiedział mi tym samym. Pix zlął po jego nodze i pobiegł w kierunku tunelu.

– Lepiej niech pan powie swoim ludziom, żeby go nie zatrzymywali po drodze – doradziłem Antoniewiczowi.

– W maszynowni nikogo nie ma – uspokoił mnie. – Domyślałem się, że Cameron przyjdzie tu tą samą trasą?

– Nie – zaprzeczyłem. – Wyłoni się tędy... – wskazałem zasłonięty otwór za komputerem Tery. – To wygodniejsze wyjście.

– Otwórzcie to – rozkazał ochroniarzom Antoniewicz. – A przez ten czas, McKell, zaczniesz uruchamiać systemy statku.

– Tak jest, proszę pana – zgodziłem się posłusznie i ukradkiem zerknąłem na Terę. Czułem się, jakbym sypał sobie sól do otwartej rany. Ale musiałem sprawdzić, jak to wszystko przyjmie.

Przygotowałem się na wściekłość, strach czy nawet histerię. Nic z tych rzeczy. Jej twarz była martwa, jak oczy Antoniewicza. Jakby wszystko się dla niej skończyło i wiedziała, że nic już nie powstanie z popiołów. Pewna siebie córka potężnego przemysłowca i dumna, buntownicza władczyni zniknęły. Pozostała tylko zmęczona młoda kobieta czekająca na śmierć.

– Zaufałam ci – szepnęła.

Odwrociłem wzrok. Zabolało tak, jak się spodziewałem.

– Przykro mi. Zrobiłem to co musiałem.

Obliczyłem, że dotarcie do środka kuli i uruchomienie mechanizmu gwiazdnych wrót zajmie Pixowi około dziesięciu minut. Zabrałem się do usuwania zabezpieczeń w systemie sterowniczym i nawigacyjnym „Icarusa”. Po dziewięciu minutach stanąłem przed Antoniewiczem i wskazałem głową techników.

– Niech zaczynają – oznajmiłem. – Zablokowałem również komputer i przyrządy do obsługi silników, ale nie mogę ich odblokować, dopóki nie zostaną włączone stery i nawigacja, i systemy nie dokonają samosprawdzenia.

– Wracaj tam i bądź w pogotowiu – rozkazał Antoniewicz. Wskazał komputer i dwóch goryli przy otwartym panelu wejściowym. – Za długo to wszystko trwa.

– Będę tam potrzebny dopiero za kilka minut – wyjaśniłem. – A na razie chciałbym pana ostrzec.

Uniósł brwi z wyraźnym rozbawieniem.

– Naprawdę? Bez wątplenia ma to coś wspólnego z tobą i pozostałymi?

– Nic podobnego – zaprzeczyłem. – Słyszałem pogłoski, że Genewa ugięła się pod presją Patthów i zabroniła wszystkim obywatelom Ziemi i ich współpracownikom udzielać pomocy „Icarusowi”.

Antoniewicz ubawił się jeszcze bardziej.

– I uważasz, że ten zakaz dotyczy również moich ludzi?

Pokręciłem głową.

– Nie pańskiej wypróbowanej kadry. Ale na pewno przygodnych współpracowników. Zwłaszcza tych cichych informatorów w rządzie i armii. Przełożeni będą im teraz patrzeć na ręce. W dodatku Patthowie wyznaczili wysoką nagrodę za „Icarusa” i pewnie podnoszą ją co kilka godzin. Nawet pan może mieć trudności z poruszaniem się tym statkiem i z ukryciem go.

– W pełni zdaję sobie sprawę z zagrożeń – zapewnił Antoniewicz. – Dlatego przybyłem tu osobiście i zabrałem tylko najbardziej lojalnych ludzi. – Znów obdarzył mnie ledwo dostrzegalnym uśmiechem. – Ukryję „Icarusa” w jednej z moich prywatnych posiadłości.

Zerknąłem na Ixila.

– Rozumiem. Domyślam się, że po drodze wypuści pan Ixila, Terę i mnie?

Zmarszczył brwi. Ten ruch jego twarzy też kwalifikował się tylko do zmierzenia mikrometrem.

– Kto mówił o wypuszczeniu was?

Teraz ja zmarszczyłem czoło.

– Taka była umowa – przypominałem mu. – Daję panu Camerona w zamian za Terę.

– A, tak – przyznał. – Zapomniałem. – Odwrócił głowę w kierunku tablicy sterowniczej. – Yodanna?! – zawołał.

– Prawie gotowe, proszę pana – odkrzyknął jeden z techników.

– A reszta przyrządów?

– Jeszcze sprawdzamy, ale wygląda na to, że wszystko będzie dobrze.

Antoniewicz znów zwrócił się do mnie.

– Jak na takiego cwaniaka, czasami jesteś zadziwiająco naiwny, McKell. Panna Cameron może okazać się bardzo przydatna. Zapewni mi współpracę swojego ojca. Jak mogę ją wypuścić? Co do ciebie i twojego obcego koleśia, jesteście zbyt niebezpieczni,

żeby trzymać was dłużej, niż potrzeba. – Znowu spojrział w górę. – Yodanna?

– Tak, proszę pana. Już mam sekwencję, której użył. Sami odblokujemy komputer i systemy silnikowe.

Antoniewicz przeniósł wzrok na mnie.

– Powiedziałbym, że chwila rozstania nadeszła szybciej, niż przewidywałem. Ale każdemu daję szansę wygłoszenia ostatniego słowa. Chcesz z niej skorzystać, McKell?

Lekki podmuch wiatru zmierwił mi włosy. Wyprostowałem się i zamknąłem oczy.

– Nie. Niech pan strzela.

Nawet przy opuszczonych powiekach poczułem na twarzy ostre światło. Tuzin błysków, jakby prorok Eliasz wezwał z nieba ogień. Usłyszałem obok gwałtowne wciągnięcie powietrza, przerażony okrzyk Tery i przekleństwo zaskoczonego Brata Johna.

Potem zapadła cisza. Ostrożnie otworzyłem oczy. Spodziewałem się następnych oślepiających błysków.

Antoniewicz stał sztywno w tym samym miejscu. Jego twarz była bez wyrazu. Everett zbladł jak płótno. Brat John też pobladł. Miał minę, jakby szedł o północy przez cmentarz.

Kiedy się rozejrzałem, odgadłem trafność tego porównania. Najbardziej lojalni ochroniarze Antoniewicza leżeli na pokładzie. Padli tam, gdzie stali. Większość jeszcze trzymała broń w zeszywniałych palcach. Czubki ich głów dymiły i wokół unosił się smród spalonych włosów, skóry, i kości. Istotnie – ogień z niebios.

Teraz z trudem łapała oddech. Widocznie dopiero teraz odzyskała zdolność widzenia po oślepiających błyskach laserów. Podszedłem do niej.

– Już po wszystkim – uspokoiłem ją szybko. – Nie denerwuj się.

– Ale... – urwała i obejrzała się przez ramię na tunel.

– Nie tam – powiedziałem i wskazałem w górę. – Tam.

Wiedziałem, co zobaczę. Mimo to, musiałem przyznać, że widok jest godny zapamiętania. Było ich dwunastu. Trzymali się zwartą grupą na środku kuli. Po chwili zaczęły dryfować w różne strony kadłuba pod wpływem obcej grawitacji. Szyby hełmów niemal całkowicie zasłaniały twarze o rysach rozdeptanej iguany. Na szerokich ramionach siedziały fretki w półpancerzykach. Dodawały całej scenie surrealistycznej niedorzeczności.

Ciężka, wojskowa broń laserowa w rękach gości nie wyglądała jednak surrealistycznie ani niedorzecznie. Była wycelowana w Antoniewicza, Brata Johna, Everetta i trzech techników.

– Kalixirscy Komandosi Królewscy – przedstawiłem żołnierzy na wypadek, gdyby oszołomiona widownia nie zdobyła się na zadanie pytania. – Przysłał ich jedyny rząd w Spirali, który nie ma już nic do stracenia, jeśli przeciwstawi się Patthom.

Tera nie odrywała od nich wzroku.

– Ale... gdzie mój ojciec?

– Jest bezpieczny – zapewniłem. – Widzisz... „Icarus” to nie napęd gwiazdny. To gwiazdne wrota połączone ze swoim duplikatem gdzieś na drugim końcu galaktyki. Twój ojciec uruchomił je przypadkowo i wylądował po tamtej stronie.

– Czyli u Kalixów? – zapytał zaszokowany Everett.

– Nie – zaprzeczyłem. – Komandosi czekali na nasz przylot ukryci wśród drzew. Głównie dlatego ustawiłem statek tuż przy gałęziach. Po zmroku poszedłem po Everetta i włączyłem reflektory. Blask zamaskował ich przegrupowanie. Wspięli się po opuszczonej drabinie z prawej burty i weszli przez dodatkowy właz do przedziału silnikowego. Stamtąd dostali się do małej kuli i otworu, gdzie czekał twój ojciec.

– Zatem Pix...?

– Dużo pracy mnie kosztowało, żeby pan Antoniewicz uparł się wysłać tam Pixa zamiast mnie. – Popatrzyłem na Antoniewicza. Martwe oczy ożyły. Pałały żądzą śmierci. Oczywiście mojej. Ale kalixirscy komandosi właśnie lądowali na pokładzie wokół niego. Stracił na zawsze ostatnią szansę. – Pix zapamiętał wzrokowo liczbę, uzbrojenie i rozstawienie jego ochroniarzy. Podał ich komandosom na talerzu. Jedno nie było pewne: czy pomoc nadejdzie, zanim Antoniewicz mnie zastrzeli.

Jeden z kalixirskich żołnierzy szedł w moim kierunku. Zauważyłem puste miejsce na jego ramieniu. Przedtem siedział tam Pix. Teraz wrócił na ramię Ixila.

– Skoro już mowa o przybyciu na czas, jaka jest sytuacja w domku, panie dowódcu? – zapytałem.

– Zajęliśmy go – odparł z wyraźnym, regionalnym akcentem. – Właśnie dostałem meldunek.

– O czym on gada? – nie wytrzymał Brat John. – Powiedziałeś...

– Nie wszyscy komandosi weszli do statku – wyjaśniłem przemaszając. – Druga grupa ukryła się w pobliżu lub nawet w samym domku, żeby zająć się pańskimi ludźmi, którzy tam zostaną. Kiedy dowódca wy dobył z pamięci Pixa, że Nicabar i inni są zakładnikami, przekazał szczegóły drugiemu oddziałowi. Uderzyli jednocześnie tu i tam.

Tera spojrziała na Brata Johna, potem na mnie.

– Myślałam, że pracujesz dla tych ludzi. Mówiłeś, że jesteś im winien pół miliona.

– Zgadza się – potwierdziłem. – Ale dużo, dużo wcześniej zacząłem pracować dla kogoś innego. Jeszcze na długo przed tym, zanim zaciągnąłem dług, który zwrócił na mnie łaskawą uwagę Brata Johnstona Scotto Rylanda.

Nareszcie zrozumiała.

– Chcesz powiedzieć...?

– Tak. – Wypreżyłem się na baczność. Ja też miałem swoją dumę i... od dawna nie wypowiadałem tych słów. – Major Jordan McKell, Wywiad Wojskowy Ziemi Składowych Obronnych, Wydział Tajnych Operacji. Przedstawiam również mojego szefa: pułkownik Ixil T'adee z Sekcji Specjalnej Kalixirskiego Biura Narkotyków. Od dwunastu lat rozpracowujemy największe organizacje przestępcze w Spirali, trudniące się handlem bronią i narkotykami.

Zwróciłem się do Antoniewicza.

– Jak już wspomniałem, bardzo się cieszę, że pana poznałem. Stróż prawa w całej Spirali nie mogli się doczekać, kiedy wyjdzie pan z ukrycia. Jestem zaszczycony, że zrobił pan to dla mnie.

2 5

Grupkę, która zebrała się w jadalni domku następnego ranka tuż po świcie, trudno byłoby nazwać wesołą. Mimo to, przy stole panowała o niebo lepsza atmosfera niż poprzednio. Częściowo dlatego, że spotkaliśmy się w mniejszym gronie. Shawn i Chort składali zeznania w innym pomieszczeniu, Ixil towarzyszył

przy oględzinach „Icarusa”, a Antoniewicza i jego świtę dawno zabrano pod silną eskortą. Cameron zdażył wziąć prysznic, co też mogło mieć wpływ na ogólny nastrój.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jak bardzo ryzykowałeś, kiedy ostatnio wycelowałeś tu we mnie pistolet – odezwał się Nicabar. Starannie wybierał najlepsze kaski spośród wojskowych smakołyków dostarczonych przez kalixirskich komandosów. Wprawdzie nie dorównywały gulaszowi przyrządzonemu przez Chorta, ale wystarczały do zaspokojenia głodu. – Pomyślałem wtedy, że całe to gadanie o wyczynach Everetta to tylko gra na zwłokę, żeby zdażyli zjawić się twoi kumple.

– Wcale nie ryzykowałem – odparłem. – Nie miałeś żadnych szans. Ludzie Antoniewicza położyliby cię trupem, zanim wykonałbyś pół ruchu w moją stronę. Nie mówiąc o sięgnięciu po broń. Głównie dlatego wziąłem cię na muszkę.

Parsknął cicho.

– Wydawało mi się, że robię to dyskretnie.

– Owszem – przyznałem. – Ale nie po to spędziłem dwanaście lat w wywiadzie, żeby nie wiedzieć, jak wygląda dyskretnie sięgnięcie po broń. Miej do mnie trochę zaufania.

– Ja obdarzyłem cię wielkim zaufaniem – wtrącił się Cameron z pełnymi ustami. Jako jedyny wcinał już drugą porcję. – A ty od początku mnie oszukiwałeś. Najpierw na Meimie, potem podczas naszej potajemnej pogawędki w małej kuli statku. A kiedy wpadli tam ci kalixirscy komandosi, o mało nie dostałem ataku serca.

– Przepraszam. Myślałem, że po naszej rozmowie domyślił się pan, kim jestem.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Czuję, że coś kręcisz, ale nie podejrzewałem prawdy.

Tera spojrzała na mnie z wyrzutem.

– Mogłeś mu powiedzieć. Przecież nie zdradziłby cię, skoro siedział tam sam.

– Ale kiedyś wyszedłby z ukrycia – przypomniałem jej – a nie mogłem przewidzieć, w jakich okolicznościach to nastąpi.

– W tej branży lepiej trzymać język za zębami – wziął mnie w obronę Cameron. – Wuj Arthur wszystko mi wyjaśnił w swojej wiadomości.

– W jakiej wiadomości? – zdziwiła się Tera.

– Od mojego szefa – wytłumaczyłem. – To Arthur Graym-Bar-ker, oficjalnie emerytowany generał wywiadu, były koordynator drugiego stopnia. Nieoficjalnie ziemski dyrektor tej małej, tajnej jednostki specjalnej, w której działamy z Ixilem. Przesłał wiadomość przez komandosów, żeby twój ojciec wiedział, co się dzieje.

– Tylko nas nikt nie raczył poinformować – mruknął Nicabar. – Jak to z tobą jest, McKell? Mówiłeś Terze, że wykopali cię z Ziemskich Sił Obronnych.

– Powiedziałem prawdę – zapewniłem go. – Rzeczywiście stanąłem przed sądem wojskowym. Wszystko musiało wyglądać autentycznie, żebym mógł przeniknąć do przestępczego podziemia Spirali. W moich papierach figurowało wydalenie ze służby, na wypadek, gdyby ktoś chciał to sprawdzić. A praca w straży celnej i firmie przewozowej braci Rolvaag pozwoliła mi zapoznać się z zawodem przemytnika. Kiedy byłem gotów, dostałem „Burzową Chmurę” i polecenie, żebym popadł w długi. Zacząłem działać samodzielnie.

– I wtedy poznałeś Ixila? – zapytał Nicabar.

– Nie. Znamy się jeszcze z czasów mojej służby wojskowej. To on mnie wypatrzył. Werbował ludzi do wywiadu i zasugerował Wujowi... to znaczy sir Arthurowi, że się nadaję. Kiedy przechodziłem szkolenie, budował własną fałszywą tożsamość wykolejńca. Kilka lat później zawiązaliśmy spółkę już jako para życiowych rozbitków.

Tera popatrzyła na ojca.

– Znałeś wcześniej tego generała Graym-Barkera?

– Poznaliśmy się jakieś piętnaście lat temu przy unowocześnianiu niewykrywalnych maszyn wojskowych – odrzekł Cameron. Spojrzał na mnie i skrzywił się. – Oczywiście myślałem, że naprawdę jest już na emeryturze. Inaczej nie skontaktowałbym się z nim. Tylko tego brakowało, żeby gadatliwi biurokraci w Genewie dowiedzieli się, co mam.

Tera odwróciła się do mnie.

– To dlatego byłeś na Meimie, kiedy zaczęła się cała sprawa. Nigdy nie wyjaśniłeś, co tam robiłeś.

Skinąłem głową.

– Podczas rutynowego kontaktu sir Arthur powiedział nam, że twój ojciec jest w tarapatach. Poprosił, żebyśmy zboczyli z kursu

i zorientowali się w sytuacji. Prawie cztery godziny chodziłem po tawernach na Meimie, zanim wpadliśmy na siebie.

Spojrzałem na Camerona.

– Co ciekawe, polecił mi chronić pana za wszelką cenę. Dostałem nawet pozwolenie zdemaskowania się, jeśli nie będzie innego sposobu. To miało pana przekonać, jak bardzo cenię pana na najwyższych szczeblach władzy.

– Jestem zaszczycony – mruknął Cameron. – Zabawne, że ja z kolei byłem gotów wyjawić jego wysłannikowi całą prawdę o „Icarusie”, jeśli nie będzie innego sposobu zapewnienia sobie jego pomocy.

– Dobrze, że pan tego nie zrobił – odparłem. – Kiedy pokazuje się komuś karty, nigdy nie wiadomo, czy ktoś inny nie zagląda człowiekowi przez ramię.

– W przeciwieństwie do sytuacji, gdy rzuca się karty na stół – zauważył sucho Nicabar. – Myślałem, że Tera dostanie zawału, kiedy obwieściła wszystkim, kim naprawdę jest.

– Chyba wiesz, dlaczego tak postąpiłem?

Przytaknął.

– Nie domyśliłem się od razu, ale w końcu zrozumiałem.

– A ja nie – wtrąciła się Tera. Przyjrzała mi się ze zmarszczonym czołem. – Podejrzewałam, że to przemęczenie, albo pierwsze objawy starości.

Uśmiechnąłem się.

– Owszem, byłem zmęczony, i możliwe, że zaczynam się starzeć. Ale jeszcze nie jest tak źle. Pamiętaj, że przedtem upewniłem się, czy Kalixowie są już na pokładzie. Nie wiedziałem tylko, jaki mają plan działania jeśli chodzi o domek i czy zdążą was wydostać. Chciałem, żeby Everett usłyszał, kim jesteś, bo to gwarantowało, że ludzie Antoniewicza zabiorą cię z powrotem do statku. Z jego strony nic ci nie groziło; sam powiedział, że możesz mu się przydać. A skoro komandosi mieli się zjawić na czas, żeby uratować mnie, dotyczyło to również ciebie.

Do pokoju wszedł Ixil. Rozejrzał się i podszedł do mnie.

– Widzę, że tym razem nie siedzisz plecami do drzwi – zadrwił.

– Odwal się – warknąłem z urażoną miną. – Dobrze wiesz, że nie chciałem rzucać się w oczy, kiedy wpadnie tu Brat John ze swoimi goryłami. Coś nowego?

– Mnóstwo. – Przysunął sobie krzesło, przyjrzał się jedzeniu i pociągnął nosem. Pix i Pax nie traciły czasu. Zbiegły z jego ramion na stół i wzięły kurs na półmisk. – Pilot próbował skasować współrzędne, które wprowadził do systemu sterowniczego, ale udało nam się je odtworzyć. Dwadzieścia minut temu połączone siły wylądowały w posiadłości Antoniewicza.

– Połączone? – ucieszyłem się. Nicabar właśnie nakładał na swój talerz porcję kalixirskich przysmaków dla fretek. – To znaczy, że sir Arthur przekonał Genewę, żeby złagodziła zakaz i wysłała do pomocy ziemskie oddziały.

– Chyba raczej przekonał Genewę, że ta operacja nie ma nic wspólnego z „Icarusem” i ultimatum Patthów – odparł Ixil. – Co nie całkiem mija się z prawdą.

– Fakt – zgodziłem się. – Mam nadzieję, że są ostrożni. Antoniewicz z pewnością przygotował kilka niemiłych niespodzianek dla nieproszonych gości.

– Wątpię, by dali się zaskoczyć. – Ixil spojrzął na Camerona. – Następną wiadomość może zainteresować głównie pana. Mniej więcej dwie godziny temu w pobliżu Trondariok poszukiwany frachtowiec „Icarus” cudem uciekł trzem krążownikom straży celnej.

Zaskoczony Cameron zerknął na Terę.

– „Icarus”? Gdzie to było?

– Blisko Trondariok – powtórzył Ixil. – To dariocka kolonia oddalona o około dziesięć lat świetlnych od Rachny.

Cameron nadal nie rozumiał. Obserwowałem go i zastanawiałem się, kiedy skojarzy. Nagle doznał olśnienia.

– Oczywiście... – pokiwał głową. – Rachna. Chodzi o duplikat „Icarusa”, który tam zbudowaliśmy. To ten statek miał wylądować na Meimie.

– Ten sam – przytaknąłem. – Zasugerowałem to sir Arthurowi. Obsadził w nim drugi oddział kalixirskich komandosów. Dostali rozkaz, żeby przez tydzień krążyć w tamtym rejonie i dać się zidentyfikować.

– Jeśli dopisze nam szczęście – dodał Ixil – do tego czasu nasza grupa na Hinsenato skończy budować swoją kopię według projektu przesłanego przez Kalixów z Rachny.

Nicabar zmarszczył czoło.

– Zaraz, zaraz... Rachna... To chyba rejon Eta Sindron?

– Zgadza się – przytaknąłem.
– To cholernie niedobrze – skrzywił się. – Patthowie wiedzą, że niespełna tydzień temu byliśmy na Palmary. Nie przebyliśmy takiej długiej trasy...

Nagle urwał i rozpromienił się.

– Prawda! Myślą, że „Icarus” ma nowy, superszybki napęd gwiazdny.

Skinałem głową.

– A ten mały incydent powinien utwierdzić ich w tym przekonaniu. Musimy tak trzymać. Kilka dni po zniknięciu z rejonu Trondariok, „Icarus” pojawi się w pobliżu Hinsenato, potem gdzie indziej, i tak dalej. Chodzi o to, żeby odciągnąć obławę jak najdalej stąd, po czym spokojnie odstawić prawdziwego „Icarusa” w bezpieczne miejsce i zacząć go badać.

– A co z nami? – zaniepokoił się Nicabar. – Trafimy do złotej klatki, jak nam obiecywali Patthowie?

– Chort i Shawn pozostaną pod strażą – przyznałem. – Przy najmniej dopóki nie ukryjemy „Icarusa.” Przez ten czas złożą zeznania obciążające Everetta.

– To dlatego podpuściłeś go, żeby przyznał się przy świadkach do zabicia Jonesa? – odgadła Tera.

– Tak. Teraz mamy na niego haka, gdyby odmówił współpracy w śledztwie przeciwko organizacji Antoniewicza. Ty i twój ojciec możecie nie obawiać się gróźb Genewy; jesteście wystarczająco znani i wpływowi. Podejrzewam, że sir Arthur będzie wręcz nalegał, żebyście uczestniczyli w programie badawczym „Icarusa”.

– Z pewnością – odparł zdecydowanie Cameron. – „Icarus” to moje odkrycie i moja własność. Nie odciągnęliby mnie od niego nawet dzicy Yavanni.

– Mnie też nie – zawtórowała mu Tera.

– Domyślałem się. – Zwróciłem się do Nicabara. – Zostałeś tylko ty.

– Jaki mam wybór? – zapytał.

– Szczerze mówiąc, Kalixowie chcą cię zamknąć w złotej klatce razem z Shawnem i Chortem – wyznałem. – Moim zdaniem, to marnowanie twojego talentu i możliwości. Dlatego złożę ci dwie propozycje, które przedstawię sir Arthurowi. Pierw-

sza: zostaniesz z Cameronem i grupą badaczy jako członek ich ochrony. Przydasz się z twoim doświadczeniem komandosa. Druga: zabiorę cię na spotkanie z sir Arthurem. Oцени, czy nadajesz się na fałszywego przemytnika. Mamy Antoniewicza, ale to nie jedyna gruba ryba w przestępczym świecie.

Nicabar popatrzył na Camerona i Terę.

– Doceniam tę ofertę – odrzekł. – Ale pierwsza bardziej mi odpowiada. „Icarus” to przyszłość. Jeśli poznamy działanie gwiazdnych wrót, Spirala zmieni się z dnia na dzień. Zresztą, co tam Spirala... Będziemy mogli dotrzeć do najbardziej odległych miejsc galaktyki.

Spojrzał na mnie.

– I jedno jest pewne: Patthowie tak łatwo nie zrezygnują. Wolałbym zostać tutaj.

Wzruszyłem ramionami.

– W porządku. Pójdę zadzwonić do sir Arthura i zobaczymy, co da się zrobić. Zawiadomię cię o jego decyzji.

Wstałem, skinąłem głową Cameronowi i Terze, i ruszyłem do wyjścia. Zostawiłem Ixila przy odpędzaniu fretek od jedzenia.

Na progu jadalni przystanąłem i obejrzałem się. Nicabar cicho rozmawiał z Cameronami. Gdy pochylał się nad stołem, wydało mi się, że patrzy przede wszystkim na Terę, a nie na jej ojca. Ona też nie odrywała od niego oczu. Przyszło mi do głowy, że po wspólnej niebezpiecznej podróży na pokładzie „Icarusa”, kiedy mogli zaufać tylko sobie, stali się dla siebie czymś więcej niż kolegami z załogi. Pomyślałem, że po pewnym czasie warto byłoby odwiedzić zespół badawczy i zobaczyć, czy Cameron pracuje ochraniający przez przyszłego zięcia.

Ixil szedł w moim kierunku. Pix i Pax siedziały na jego ramionach i jeszcze coś chrupały. Postanowiłem, że zaproponuję mu mały zakład.